

Carla Montero

Wiedeńska gra

Przełożył Wojciech Charchalis

Mojemu dziadkowi Gregoriowi

Podziękowania

Powieść ta nie byłaby taka, jaka jest, gdyby nie uwagi osób, które w duchu krytycznym przeczytały maszynopis. Wszystkim im dziękuję, a w szczególności mojemu mężowi, za cierpliwość w chwilach kształcenia mojego humanistycznego umysłu w obszarze nauk ścisłych, mojemu bratu Luisowi za nakłonienie mnie do zajęcia się Wiedniem okresu *fin de siècle* i Miguelowi Naverosowi za jego cenny wkład literacki.

CARLA MONTERO

Och, moja bogini, kochana moja Kali, niech twe oczy będą moim przewodnikiem, a twe serce moim mieszkaniem. Otwórz swe ramiona i przyjmij mnie, wszak w nich właśnie pragnę umrzeć.

Arjaman

Dwa prologi

Zamek Brechin, Angus, Szkocja, wrzesień 1911

Szpiegostwo zawsze było męską grą, przypomniał sobie niemal dokładnie w chwili, gdy spojrzął na kapitana Cumminga. To były jego słowa. Przyszły mu do głowy, kiedy palił, starając się znieść pełne napięcia oczekiwanie, wbity w kąt tej nudnej grupki dżentelmenów, którzy także – każdy na swój sposób – byli szpiegami.

„Dżentelmeni i szpiegdy... Dżentelmeni i szpiegdy...”, kołatało mu w głowie, gdy powoli wypuszczał ostatni kłęb dymu. W owym czasie absolutnie zgadzał się z kapitanem i jeszcze wiele lat zajmie mu ustalenie, że jego przełożony był w błędzie: może jest to gra, tak, ale nie tylko dla dżentelmenów, nie tylko dla mężczyzn.

Tamten poranek, choć zbyt chłodny jak na środek września, wstał przejrzysty i słoneczny. Potem, w miarę jak dzień się rozwijał, niebo zasnuło się chmurami wyglądającymi jak strzępy waty, które około południa stały się grube i ciężkie. Wieczorem spadł rzęsy deszcz, typowy raczej dla najgorszych listopadowych dni. Taki jest klimat Highland. *Unpredictable*, jak powiedziałyby każdy Szkot.

Ponownie zaskoczyło go to, że w takich okolicznościach dywaguje sam ze sobą na temat pogody. Niedorzeczna maszyna. Ludzki umysł, zasadniczo

skomplikowany, zadziwiał go czasem prostotą swoich podstępów: starał się ukoić nerwowość rozważaniami o pogodzie... Przez cały dzień chodził podminowany, bezustannie ścisnęło go w dołku – co jest równie nieprzyjemne jak niewczesna wizyta. Taki stan był zupełnie dla niego niespotykany, wszak zwykle określał siebie jako człowieka zimnej krwi i spokojnych nerwów – tego wymagała jego praca.

Gra szła o wielką stawkę. Miał za sobą długie miesiące ciężkich wysiłków i niezliczonych zabiegów dyplomatycznych, twardych negocjacji, ryzykownych sytuacji, kiedy wszystko dosłownie wisiało na włosku, a wynikających głównie z austriackiego nieprzejednania. W końcu to Austro-Węgry ryzykowały utratę twarzy wobec Niemiec, swojego naturalnego sojusznika. Dlatego sprawa traktatu od samego początku była najściślej poufna.

Od pierwszej chwili nie podobało mu się, że minister spraw zagranicznych Austro-Węgier odmówił zamieszkania w zamku i, co gorsza, zaproszenia na wspólną kolację. Oczywiście usprawiedliwił się w sposób dyplomatyczny i możliwy do przyjęcia, a nawet wiarygodny. On jednak czułby się pewniej, gdyby miał wszystkie figury na szachownicy. Zamiast tego czekał niecierpliwie na przybycie niesforne go dygnitarza, w napięciu obserwując przez okno zamkowej biblioteki wysypaną żwirem drogę, której kres zamazywał się na horyzoncie. Zamek Brechin był wspaniałą rezydencją lorda Arthura George'a Maule'a Ramsaya, czternastego

hrabiego Dalhousie, który wielkodusznie udostępnił swój dom na tak ważne spotkanie. Miły gest, oczywiście, ale jednocześnie wzbogacający biografię rodziny Ramsayów. Stara arystokracja mogła się od tej chwili szczycić tym, że pod jej znamienitym dachem podpisano jeden z najważniejszych w historii traktatów.

Wstrząsanej konwulsjami Europie ów traktat miał dać tymczasowe odprężenie i odsunąć widmo totalnej wojny. Od chwili, kiedy doszedł do smutnego przekonania, że kontynent został zakażony wirusem wojny – wirusem, który trwał w stanie utajenia i tylko czekał na pretekst, z pewnością idiotyczny, by zaatakować – poświęcił cały swój czas i wszystkie wysiłki na pomniejszenie jego ewentualnych zgubnych skutków. Celem jego działań było wypracowanie kompromisu i podpisanie paktu o nieagresji pomiędzy Austro-Węgrami a Rosją, dwoma drzemiącymi olbrzymami, odwiecznymi wrogami, których przebudzenie byłoby jak podpalenie lontu. Traktat miał zmusić Rosję do powstrzymania się od interwencji w krajach bałkańskich, pozostawiając je w strefie wpływów cesarstwa, ale w zamian dając jej wolną rękę w Polsce. Nic decydującego, ale przynajmniej ziarnko piasku na konkretnej górze.

Dla niego prywatnie nie był to zwykły traktat. To było coś, co stawiało na szali jego zawodowy prestiż, jego osobistą przyszłość i, w sumie, jego życie. Wiele nad tym myślał i był absolutnie zdecydowany brnąć naprzód. To był jego obowiązek wobec pokoju na świecie,

obejmującego także pokój jego bliskich. Dlatego właśnie zgodził się na wpisanie swego nazwiska na strony tego dokumentu, obok nazwiska jakiejś Rosjanki, którą ledwie znał.

Dwa świetliste kręgi przesączające się przez zasłonę wody rozproszyły jego myśli. Czarny samochód nadjeżdżał drogą, zmierzając do ronda przed głównym wejściem do zamku. Był cierpliwy. Oddając się zdrowemu ćwiczeniu panowania nad niepokojem, obserwował, jak samochód się zatrzymuje, a kierowca otwiera tylne drzwi i osłania pasażera parasolem. Stracił obie postaci z oczu pod markizą rozciągniętą nad wejściem.

Nie chciał wstrzymywać westchnienia ulgi, które narosło w jego piersi.

Kiedy wyciągał dokumenty z teczek – trzy kopie na grubym, opieczętowanym papierze, każda w trzech językach i elegancko oprawiona w skórę – uniósł wzrok, żeby się przyjrzeć minom osób zebranych wokół mahoniowego stołu, wypolerowanego do połysku przez służbę hrabiego Dalhousie.

Światło było intensywne i zdradzieckie. Demonizowało twarze. Niedawno zainstalowana w zamku elektryczność była przywilejem zarezerwowanym tylko dla niektórych lamp do czytania. Dlatego zapalono dodatkową wielką lampę gazową nad stołem i jej światło bezlitośnie spływało na głowy obecnych, nadawały twarzom surowość, jakby zostały naszkicowane węglem.

Próba wywnioskowania czegokolwiek z min dyplomatów mogła być poczytana co najmniej za zuchwałość. W niektórych przypadkach dlatego, że ich hieratyczne oblicza były pozbawione wyrazu, w innych dlatego, że ich miny zwykle były zwodniczym odbiciem tego, co się działo w ich głowach. Mimo to nie był w stanie się powstrzymać.

Naprzeciwko niego siedział jego szef, sir Mansfield Cumming, dyrektor Secret Intelligence Service, nowej brytyjskiej agencji wywiadowczej podlegającej Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Cumming był mężczyzną o bladym obliczu, na którym odcinała się okrągła, idealnie ogolona broda i zdradzające inteligencję oczy. Zwykł zamykać jedno i drugim skrupulatnie mierzył zza monokla każdą poznaną osobę – wtedy jego mina była surowa. Ale on, który już go znał, wiedział, że ten groźny wygląd skrywa serdeczną osobowość. Z czasem zaczął odczuwać wobec kapitana Cumminga wielki podziw.

Wspominał dzień, kiedy zobaczył go po raz pierwszy. Wtedy C – tak podpisywał wszystkie oficjalne dokumenty i depesze – będący pierwszym szpiegiem nowej szkoły pracującym na Bałkanach i w Niemczech dla Secret Service Bureau, miał za zadanie stworzyć agencję wywiadowczą świadczącą usługi dla wojska i najważniejszych ministerstw, która dostarczałaby im wiadomości na temat wszystkich wrogich wobec Wielkiej Brytanii krajów. Do tej szczególnej gry rekrutował adeptów spośród młodzieży należącej do klasy wyższej.

On sam poznał Cumminga w jego gabinecie w Whitehall, osobliwym biurze ukrytym za sekretnym panelem, otwierającym się za pomocą dźwigni. Trafił tam z polecenia swojego najlepszego przyjaciela z Eaton – młodego earla. Kapitan zaczął tamto spotkanie luźną rozmową, podczas której uciekał się chwilami do ostrego języka, aż w końcu przełamał lody, zadając mu pytanie, kim jest mężczyzna na zdjęciu stojącym na stole. On, uprzedzony przez przyjaciela, w grubym, brodatym bawarskim kupcu rozpoznał Cumminga; było to jedno z ulubionych przebrań kapitana, gdy jeszcze sam pracował w terenie. Prawdziwy angielski dżentelmen ten Cumming, o specyficznym poczuciu humoru.

Obok Cumminga siedział sir Edward Grey, wicehrabia Grey of Fallodon, minister spraw zagranicznych. Jego twarz była niemal bez wyrazu, choć lekko zagryzał dolną wargę, co mogło zdradzać zniecierpliwienie, a nawet niepokój. Sir Edward był znanym pacyfistą, a w tej chwili toczyła się gra o pokój.

Cumming i sir Edward byli dwuosobową delegacją brytyjską, ponieważ on sam działał jako zwykły sekretarz na drugim, dyskretnym planie: przezorność, do której dołożyli zmianę nazwiska oraz ukrycie twarzy za okularami, wąsami i brodą, zapuszczaną przez kilka ostatnich tygodni. Jako arbitrzy owego aktu Brytyjczycy zostali posadzeni między delegacjami rosyjską i austriacką, którym przewodniczyli ministrowie spraw zagranicznych, odpowiednio Siergiej Sazonow i hrabia

Leopold Berchtold.

Miał okazję poznać pana Sazonowa w Londynie, kiedy był on członkiem rosyjskiego poselstwa dyplomatycznego w Anglii, wówczas jeszcze nowicjuszem w zawodzie. Na plotkarskim rynku informacji mówiło się, że doszedł do rangi ministra dzięki carowej Aleksandrze, z którą podobno łączyło go coś więcej niż zażyła przyjaźń. Pomijając zwykłą anegdotę, to, czy Sazonow doszedł do stanowiska dzięki własnym zasługom czy w jakiś inny sposób, było mu całkowicie obojętne. Wiedział tylko, że Sazonow doskonale pasuje do jego celów, bo znał trzy szczegóły jego polityki: miał interes w poprawieniu stosunków z Niemcami, w tajemnicy sympatyzował ze sprawą narodową Polaków i był całkowicie świadomy militarnej słabości Rosji. Ponadto szczerze interesowało go zbliżenie stanowisk pomiędzy Rosją a Wielką Brytanią. Wszystko to czyniło zeń kandydata chętnego do podpisania traktatu. Nie bez powodu jego mina była spokojna, niemal jowialna, gdyż podano mu na tacy układ całkowicie zgodny z jego strategią.

Hrabia Berchtold, zanim został ministrem, między innymi piastował urząd ambasadora Austrii w Rosji, i to w okresie niezbyt pokojowym. Był zazartym przeciwnikiem Serbii, więc bombardował cesarza pomysłami kłopotliwymi i wysoce ryzykownymi, biorąc pod uwagę koniunkturę polityczną. Berchtold był najbardziej konfliktowym elementem całego procesu i

jeśli tamtej nocy przebywał w zamku, to na pewno z polecenia cesarza. Hrabia w żadnym razie nie był mu człowiekiem miłym. Tak naprawdę to uczucie powstało w nim tylko na podstawie pierwszego wrażenia oraz wielu uprzedzeń, ponieważ nigdy wcześniej nie spotkał hrabiego, mimo że Berchtold, jako jeden z najbogatszych ludzi w Austrii, bywał w tym samym towarzystwie co on. Miał jednak okazję poznać, i to blisko, jego piękną córkę, której wspomnienie w tamtej chwili pomogło mu ukoić ducha.

Podczas gdy on prowadził tę szczegółową analizę osobowości, pozostali zebrani pozwalali sobie na jeden czy drugi dowcipny komentarz, rzecz jasna nieistotny i właściwy każdemu dyplomatycznemu wydarzeniu. Można też było usłyszeć szelest papieru towarzyszący symbolicznemu kartkowaniu wcześniej uzgodnionych dokumentów i klikanie skuwek piór, które jemu przywiodło na myśl dyskretne strzelanie korków szampana.

W miarę jak pozłacane stalówki zostawiały na papierze ślad czarnego atramentu, kreśląc skomplikowane gryzmoły zwane podpisami, jego mięśnie się rozluźniły i mrowienie w brzuchu ustąpiło. Jednak poczucie ulgi przeszłoby w przygnębienie, gdyby mógł zobaczyć jak w kryształowej kuli, że ten traktat całkowicie odmieni jego życie – życie, które wydawało mu się tak doskonale urządzone.

Frankfurt, Niemcy, wrzesień 1913

Każdy spodziewałby się, że będzie to brudna piwnica, śmierdząca wilgocią i pleśnią, albo że myszy będą się gonić pomiędzy starymi gratami i połamanymi meblami. Każdy spodziewałby się kurzu, pajęczyn wiszących w rogach i wielu innych ohydnych detali. Nic z tych rzeczy. Nie bez powodu kapitan mówił, że szpiegostwo jest grą dżentelmenów.

Tak naprawdę znajdował się w luksusowym salonie mieszczącego pałacyku na obrzeżach Frankfurtu, udekorowanym zgodnie z najnowszymi prądami – w duchu secesji. Nie za bardzo znał się na zdobnictwie, ale słyszał, jak matka rozmawiała o secesji, i widział, jak jej dom w Chelsea powoli zmienia się w myśl zasad nowego stylu. Jego misja rozpoczęła się niemal rok wcześniej w plebejskich sferach Amsterdamu, a teraz miała się zakończyć w wyższych sferach Frankfurtu.

W sumie już od ponad roku zajmował się tą sprawą, może zbyt wielką jak na pierwszą misję. A jednak, mimo młodego wieku i niewielkiego doświadczenia, był najbardziej odpowiednim agentem do jej wykonania, skoro przez piętnaście lat mieszkał w Indiach, dokąd jego ojciec został skierowany jako brytyjski oficer. I to nie byle jaki oficer: William Sleeman był człowiekiem, który zdemaskował thugów, zabójców mordujących na cześć bogini Kali. Dlatego to właśnie on został zwerbowany i przeszkolony, a potem odbył intensywny kurs na temat

religii orientalnych, przede wszystkim hinduizmu i buddyzmu, oraz sekt i tajnych stowarzyszeń.

Pierwszym zadaniem jego misji było przeniknięcie do tajnego stowarzyszenia, Loży Kalikamaistów: organizacji o podstawach i fundamentach religijnych, lecz o celach kryminalnych i politycznych, która zagrażała wątej stabilności światowego porządku. Secret Intelligence Service wiedziała tylko, że Loża odwołuje się do teozofii madame Bławatskiej. Nigdy wcześniej o niej nie słyszał, więc zabrał się do studiowania: teozofia, dowiedział się, jest wiarą w ezoteryczne poznanie Boga poprzez refleksję, wewnętrzne oświecenie i mistyczne doświadczenie duchowe. Cóż, rzekłby, że to banda świrów. W 1875 roku Helena Pietrowna Bławatska stworzyła w Stanach Zjednoczonych Towarzystwo Teozoficzne zakorzenione w tym nurcie wiary, ale odwołujące się do religii Wschodu i broniące idei okultystycznych, spirytystycznych i ezoterycznych. Towarzystwo atakowało chrześcijaństwo oraz wszystko, co ono reprezentuje, a dzięki zaangażowania Annie Besant skierowało się w stronę hinduizmu. Loża Kalikamaistów bardzo szybko rozprzestrzeniała się pośród dawnych zwolenników teozofii.

Ten czysto spirytystyczny odłam Loży (nie wnikając w problem zdrowia psychicznego wyznawców) byłby niegroźny i w epoce, kiedy rozwijał się okultyzm, a tajne towarzystwa pojawiały się jak grzyby po deszczu i służyły nieco dekadentkiemu społeczeństwu za frywolną

rozrywkę, nie zasługiwałyby nawet na wzmiankę. Kiedy jednak niektórych członków Loży zaczęto kojarzyć z rytualnym składaniem ofiar z ludzi, profanacją grobów, handlem bronią, morderstwami i wymuszeniami, podniosło się larum.

Od jakiegoś czasu pilnie tropiono niejakiego Ottona Krüffnera, o którym sądzono, że jest mózgiem i kieszenią finansującą kalikamaistów. Przeszłość Krüffnera była niejasna. Nie figurował w żadnym rejestrze urodzin w żadnym kraju. A jednak podróżował – i to bardzo dużo – z paszportem niemieckim. Uważano, że ostatnio mieszkał w Królewcu, stolicy Prus Wschodnich, niemal przy granicy z Rosją, gdzie założył AFV – Aufbruch für Freie Volk, czyli Powstanie Wolnego Ludu – półlegalną partię anarchistyczną, której członkowie rekrutowali się głównie z Uniwersytetu Albertyna w Królewcu, na którym Krüffner był profesorem sanskrytu, języka hinduizmu.

Jednak Secret Intelligence Service nie zaczęła się przyglądać kalikamaistom z powodu ich działalności mafijnej (należało to do zadań innej komórki rządu), ale dlatego że podejrzewano ich o międzynarodowy spisek, którego celem było wywołanie wojny w Europie i rozprzestrzenienie jej na cały świat. Zagrożenie to *a priori* mogło zostać uznane za nad wyraz przesadne, nawet śmieszne, ale mając na względzie okoliczności, należało je brać na poważnie.

Wychodząc od tak skąpych informacji, miał się dowiedzieć więcej na temat ich filozofii, ich szefa,

organizacji, rytuałów, powiązań gospodarczych, politycznych i społecznych...

Człowiek nie może ot tak pójść i zapukać do drzwi tajnego stowarzyszenia – to ono puka do niego. Dlatego rozpoczął od ustalenia, gdzie się znajduje jedno ze zwyczajowych centrów rekrutacji: brudna knajpa w najbardziej obrzydliwej i zapadłej części dzielnicy portowej Amsterdamu, w której bywali tani artyści i intelektualiści, żeby palić opium i pić absynt, środki dające wenę twórczą. Pojawił się tam z egzemplarzem *Doktryny tajemnej* – obowiązkowej lektury teozofów – i wszystko było już tylko kwestią oczekiwania. Miesiąc później się z nim skontaktowali.

Od pierwszej chwili odnosił wrażenie, że wszedł do organizacji będącej czymś więcej niż zwykłą sektą. Stopniowo odkrywał świetnie zorganizowane tajne stowarzyszenie, podzielone na precyzyjnie określone komórki, z logiczną hierarchią i absolutystyczną formą rządów, mające jedyne bezdyskusyjnego i nieusuwalnego przywódcę.

Zanim został przyjęty do najniższej komórki, zwanej zaiksha, musiał przejść bardzo trudną próbę. Po roku nauki osiągnął poziom sziszja, drugi stopień w hierarchii, w związku z czym musiał się poddać dikszy, rytuałowi inicjacji – makabrycznemu i okrutnie nieprzyjemnemu – podczas którego dość szybko stracił świadomość. Wszystko odbywało się w świątyni pod jakimś lokalem na przedmieściach Wiednia, poświęconej Kali-Kamie,

wymysłowi sekty: bogini o przerażającym wyglądzie, otaczanej kultem i czczonej z wielkim oddaniem jako pani wszech rzeczy, stwórczyni i niszczycielka, mająca absolutną władzę nad życiem i śmiercią, która naprawdę okazała się kiepską mieszanką bogini Kali w jej destrukcyjnym wcieleniu i boga miłości Kamy. Zaikszowie, którzy w trakcie obrzędu mieli się stać sziszjami, nosili purpurowe szaty i tworzyli szereg przed ołtarzem, gdzie zasiadali przewodzący ceremonii zwierzchnicy sekty: czterech paramaguru z gurudewą na czele. Ceremonia odbywała się w sanskrycie. Po wstępnych modlitwach wszyscy zebrani zaczęli palić haszysz, aż wpadali w trans, powtarzając bez wytchnienia mantrę „Kuruma Kali-Kama”. Od tamtej chwili jego wspomnienia są mgliste i na pamięć przychodzi mu tylko obraz ludzkiego ciała leżącego przed ołtarzem (nie potrafił stwierdzić, żywego czy martwego), z którego gurudewa wyrywał jakiś narząd, prawdopodobnie serce, żeby ofiarować je Kali-Kamie (kiedy to sobie przypominał, wciąż jeszcze przewracał mu się żołądek), potem podawał odsączoną z ciała krew (dla oczyszczenia zagotowaną na boskim ogniu i wlaną do świętego kielicha życia i śmierci) jako napój dla wtajemniczonych. Na koniec, wydaje mu się, oddał się seksualnemu szaleństwu, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, aż do zatracenia różnic płci. Następnego dnia wstał z bólem głowy tak potężnym, jakby uczestniczył w rzymskich bachanaliach, i z dwiema literami K wypalonymi na piersiach. Zdarzenia,

które należało zapomnieć.

W tamtej chwili, kiedy misja znajdowała się o krok od zakończenia, miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał brać udziału w kolejnym rytuale.

Jako sziszja kontynuował swoje kształcenie duchowe i łączył je z badaniem kryminalnej działalności sekty, o czym odpowiednio informował Whitehall. Lecz o ile działalność ta była tylko kolejnym sposobem finansowania tajnej organizacji oraz wzbogacania najwyższych członków w hierarchii, o tyle prawdziwe zagrożenie dla światowego pokoju kryło się w samej filozofii kalikamaistów, opisaney w dziele *Święte posłanie*, autorstwa samego gurudewy.

Podczas okresu nauki miał okazję pogłębić wiedzę o kulcie Kali-Kamy i gdy musiał napisać raport, zebrał ją w trzech punktach:

1. Dwojaka natura ludzkiego ducha zawiera się w miłości (jako sile sprawczej życia) i w śmierci. Miłość stwórcza (która często jest mylona z aktywnością seksualną) wymaga oczyszczenia duszy poprzez cielesną rozkosz. Ludzkość nie rozwija się duchowo, bo zachodnie religie ograniczają seksualność do zwyczajnej funkcji prokreacyjnej. Śmierć zaś prowadzi do całkowitego oczyszczenia duszy. Dla Kali-Kamy zniszczenie cielesnej powłoki jest po prostu kolejnym krokiem ku ostatecznej śmierci, a każdy z tych kroków zakłada nową reinkarnację.

2. Odpowiednio trenowany umysł ludzki ma

nieograniczone możliwości. W nim mieszka Kali-Kama, bóstwo wszechmogące. Mówi się, że gurudewa ma nadludzkie moce, bo widzi przez przedmioty, rozmawia ze zmarłymi i potrafi wzniecić ogień z niczego. Z przykrością informował przełożonych, że nie był świadkiem żadnego z tych cudów...

3. Ludzkość jest pogrążona w epoce ciemności, kalijudze. Obecna sytuacja społeczna, polityczna, gospodarcza i kulturowa nie pozwala człowiekowi dostąpić całkowitego oczyszczenia, skazując go na bezustanne odradzanie się. Przewyciężenie kalijugi wymaga zniszczenia współczesnej ludzkości. Jedynie wybrańcy, duchowa elita, która osiągnęła etap dźnana pada uratują się z tej zagłady, aby stworzyć nowego człowieka z połączenia istot duchowych, niemal boskich, prawdziwie oczyszczonych dzięki absolutnej śmierci.

Na tym polegało niebezpieczeństwo ze strony kalikamaistów: uważali się za namaszczone przez bóstwo i zbierali siły, aby przygotować niespodziewaną hekatombę. Dawał głowę – stale ją ryzykował – że jednym z celów sekty jest doprowadzenie do całkowitej zagłady ludzkości, owej „ostatecznej śmierci”.

Było oczywiste, kim są wybrańcy i że w swoich działaniach nigdy nie zdają się na przypadek.

Dopóki będzie prostym sziszja, nigdy nie uzyska dostępu do informacji na ten temat, bo takie sprawy omawiano na spotkaniach najwyższych członków sekty. Z drugiej strony czekać, aż wejdzie do ich grona, byłoby

stratą czasu, gdyż tak wysokiego poziomu nie osiągało się w drodze wewnętrznego awansu, lecz poprzez arbitralne mianowanie przez gurdewę, najwyższego zwierzchnika. Nie zostało mu nic innego, jak tylko przejść do działania, więc we współpracy z Secret Intelligence Service nakreślił plan przeniknięcia na jedno ze spotkań na szczycie kalikamaistów.

Nie było łatwo się dowiedzieć, gdzie odbywają się te spotkania. Musieli polegać na tych niewielu informacjach, do jakich mieli dostęp, na jedynym kluczu z imieniem i nazwiskiem w tej zagadce: Ottonie Krüffnerze i AFV. Zbadano cały ich majątek, jak również wszystkie operacje na rynku nieruchomości, które przeprowadzili w ostatnich latach. Początkowo Secret Intelligence Service nie odkryła nic godnego uwagi. Jednakże on, przeglądając raporty, zwrócił uwagę na coś, co pominęły osoby niezaznajomione z sektą. W 1907 roku Krüffner przekazał AFV dom na obrzeżach Frankfurtu, a kilka miesięcy potem AFV sprzedała go niejakiemu Herr Śaktiemu Dewi. Nazwisko, pozornie wskazujące na kupca pochodzenia indyjskiego, wzbudziło jego podejrzenia. Wiedział, że Śakti Dewi to jedno z imion małżonki boga Śiwy, zwanej również Parwati, Durga albo... Kali. Był to dobry powód, żeby przyjrzeć się temu domowi.

Chodziło o typową rezydencję, położoną w gęstym lesie około trzydziestu kilometrów od Frankfurtu. Chociaż nie była zamieszkana i miała zapieczętowane drzwi, a okna zamurowane, prawdopodobnie po to, żeby nie

wprowadził się tam żaden włóczęga, wydawała się dobrze utrzymana. Nic nietypowego, poza jednym: co dwadzieścia osiem dni, na trzy noce przed pełnią, pod osłoną ciemności wchodziło tam pięciu mężczyzn w odstępach piętnastominutowych... Tu ich miał.

Tamtej nocy, ukryty wewnątrz domu, obserwował jedno z tajemniczych tajnych spotkań elity kalikamaistów. Tak jak podczas różnych obrzędów oraz inicjacji zebrani skrywali oblicza pod maskami i mieli na sobie tuniki, każdy w innym kolorze, reprezentujące pańcabhuta, czyli pięć żywiołów, z których składa się człowiek i całe stworzenie, stanowiących podstawę wszelkiego istnienia. Dzięki temu nie widzieli nawzajem swoich twarzy i nie nazywali się prawdziwymi imionami, lecz nazwami pańcabhuta: Prithiwi, ziemia, miał tunikę brązową; Waju, powietrze, białą; Ap, woda, niebieską; Agni, ogień, czerwoną; i na koniec, Akasha, eter, jedyny czysty żywioł będący źródłem wszystkich pozostałych, nosił czarną tunikę. Od razu się domyślił, że to ona skrywa gurudewę. Pozostali czterej byli paramaguru, czyli duchowymi przywódcami. Tylko jednego z nich, Agni, ogień, gurudewa nazywał Arjamanem, przyjacielem, z czego wywnioskował, że ten pewnie jest najważniejszy rangą pośród paramaguru.

Zgromadzeni wokół stołu dyskutowali w sanskrycie, znanym im wszystkim języku, o jakiejś czerwonej książce. W miarę jak gęstniał zmrok, coraz lepiej rozumiał, o czym mówią. To, co mężczyźni mieli przed

sobą, jego zdaniem nie istniało. A jednak tam było. I zawierało szczegółową instrukcję, jak unicestwić znany mu świat.

Jego nastrój wyczekiwania zmienił się w niepokój, a czerwona książka – w cel. Musiał ją zdobyć, bez względu na cenę.

Następnego dnia dziób łodzi płynącej po Menie uderzył w ciało unoszące się w wodzie twarzą do dołu.

W kronice bieżących wydarzeń w popołudniowym wydaniu „Frankfurter Zeitung” można było przeczytać:

Ciało mężczyzny, zidentyfikowanego jako J.H.D., kupiec z Afryki Południowej, zostało znalezione rano na brzegu Menu, w pobliżu dzielnicy Sachsenhausen. Mężczyzna miał ranę postrzałową, na ciele znaleziono też inne ślady przemocy. Gdy zamykaliśmy niniejsze wydanie, policja nie знаła jeszcze przyczyn zabójstwa.

Naprawdę ten młody człowiek nazywał się Geoffrey Sleeman i był agentem Secret Intelligence Service.

Dwa dzienniki dla Larsa

1915

Wracam do domu, ukochany. Podróż się dłuży i minuty ciągną się przygnębiająco niczym godziny. Ale zaczęłam do ciebie pisać i lżejsza zdaje się tortura czasu, przestrzeni i rozłąki. Zaczęłam do ciebie pisać i czuję, że słowa płyną gładko, jak atrament po stalówce. Zaczęłam

do ciebie pisać i odczuwam ulgę, pocieszenie i czuję cię, obecnego we wspomnieniach w mojej głowie, tłoczących się, żeby utorować sobie drogę na papier.

Oto, ukochany, moja opowieść. Opowieść dla ciebie, która ma mi przynieść ulgę.

Dzisiaj się ożeniłem, bracie. Brałem udział w ceremonii niczym świadek, jak człowiek obserwujący z czyścica własny pogrzeb.

Nie mogę przestać o niej myśleć...

Wziąłem kilka czystych kartek, zanurzyłem pióro w atramencie i zacząłem pisać do ciebie.

Pragnę tylko opowiedzieć ci o niej.

Pragnę spisać swoje wyznanie.

1913

2 grudnia

Pamiętam, ukochany, że od chwili przekroczenia granicy pogoda i pejzaż były wilgotne i szare. Deszcz towarzyszył nam przez większą część podróży, śnieg zaczął sypać, kiedy zbliżyliśmy się do gór. Deszcz nigdy nie był mi niemiły. W przeciwieństwie do reszty śmiertelników lubię szare jesienne dni; nie bez powodu mam w żyłach krew ludów Północy.

Z czołem wspartym o okno przedziału pierwszej klasy przyglądałam się krajobrazowi przemykającemu za

szybą i myślałam o domu, o moim prawdziwym domu, tym z dzieciństwa. Zaskoczona tą nostalgią przypominałam sobie jesienne wieczory w miasteczku, kiedy wyglądałam z balkonu nad placem, jakich pełno w Hiszpanii: kwadratowym, wdzięcznym i typowym; z kamiennymi podcieniami, kapliczką, zegarem i flagą powiewającą na ratuszu; z lekkim posmakiem starości i zacofania, ale z trudnym do naśladowania pięknem. Lubiłam na niego patrzeć, na jego kamienie, częściowo przysłonięte ogromnymi kałużami: mój plac jawił się trochę smutno i samotnie bez ludzi... Mogłabym ci opowiedzieć tyle rzeczy o moim domu; wszystko to, czego nigdy ci nie opowiedziałam. Choć może to też nie jest odpowiednia chwila...

– Isabel.

Usłyszawszy swoje imię, wróciłam do wagonu pierwszej klasy, do miarowego stukotu kół na szynach, do wielkiej księżnej wdowy Aleksandry de Brunstrieck, bo to ona mnie wołała, i do Wielkiego Księstwa będącego moim przeznaczeniem.

Niedawno odkryłam, że Wielkie Księstwo Brunstriecku to tylko jeden zamek posadowiony na górskich szczytach i kilka tysięcy hektarów ziem niedaleko Wiednia, pomiędzy cesarstwem austro-węgierskim i niemieckim. Wielkie Księstwo Brunstriecku było pozostałością Wielkiego Księstwa Valdavii, wchłoniętego w 1871 roku przez cesarstwo niemieckie, po tym jak w wojnie francusko-pruskiej

wielki książe stanął po stronie Francuzów, a tym przyszła do głowy nieszczęsna myśl, by przegrać. To wtedy wielki książe Valdavii, spokrewniony z austriacką rodziną królewską, uzyskał u cesarza porozumienie z Wilhelmem I, zgodnie z którym Brunstrieich pozostawał pod władzą wielkiego księcia i pod protektoratem cesarstwa austro-węgierskiego.

Wielka księżna Aleksandra wiele lat temu owdowiała. Mieszkała w Brunstrieichu, znudzona, bo choć miała dwoje dzieci, to wiecznie przebywały one za granicą w interesach. Wielka księżna wdowa, kobieta o surowym wyglądzie, była niemiłosiernie skąpa. Wysoka, chuda, z siwymi włosami, ostrymi rysami twarzy i zimnym spojrzeniem, wcale nie wyglądała na roztrzepaną staruszkę, rozgadaną i uroczą, którą w rzeczywistości była.

Chociaż to wszystko.... Cóż, to wszystko już wiesz, bo ona jest twoją matką, a ty jesteś wielkim księciem Brunstrieichu.

– Isabel – powtórzyła. – Idziesz do wagonu restauracyjnego? Zjemy coś.

– Tak, ciociu – odpowiedziałam, uprzedzając jej zniecierpliwienie.

14 grudnia

Pamiętam, ukochany, że zatrzymałyśmy się w hotelu Crillon. Otwarty przed czterema laty hotel okazał się

idealnym miejscem dla przebywającej w Paryżu europejskiej arystokracji szukającej wygód na właściwym dla niej poziomie. Nic dziwnego, był to przecież pałac hrabiostwa Crillon, później przekształcony w luksusową rezydencję, którą uznano za typowo francuską; położony na styku kulturalnej i frywolnej części stolicy. Doskonały dla wielkiej księżnej wdowy Aleksandry.

Według niej tydzień miał wystarczyć, żeby pokazać mi miasto, odwiedzić kilkoro przyjaciół (później się okazało, że jest ich kilka tuzinów) i nabyć kompletną wyprawkę dla dziewczyny debiutującej w towarzystwie. Tydzień doprawdy szalony, spędzony pomiędzy domami mody, herbaciarniami i muzeami. Oboje wiemy, że Paryż jest miastem o szaleńczym rytmie, a twoja matka, osoba o niespokojnym temperamencie, wciągnęła mnie w wir jedwabów, gładkich i wzorzystych, perfum i kapeluszy, agrafek, krawieckich centymetrów... To z rana. Popołudniami przesuwwały się nieskończone korowody malarzy i rzeźbiarzy, stylów architektonicznych, godziny spędzone w muzeach... Wiezorami zaś przeciągające się kolacje z całkowicie mi obcymi osobami z towarzystwa. Ten pobyt w Paryżu, mieście światła, mody, sztuki i miłości, był absolutnie wyczerpujący, uwierz mi.

A jednak, ukochany, Paryż nigdy nie przestawał mnie zachwycać, ze swoimi uliczkami, gdzie zawsze stoi stoliczek pod latarnią i można się napić kawy; albo placykami, gdzie rozkładają się stragany i ryneczki. Zachwycały mnie ogrody przykryte dywanami suchych

liści i wir barw w Tuileriach. Cieszyło mnie szperanie po stoiskach bukinistów z akwarelami i litografiami na *rive gauche*. A w pobliżu hotelu, tuż za rogiem, zawsze pachniało chlebem i świeżym croissantami, znajdował się tam też sklepik, w którym sprzedawano po trochu wszystkiego, jak na orientalnym bazarze. Lubiłam tam wstępować i myszkować pomiędzy półkami. W sumie każde miasto, nawet Paryż, ma coś z małego miasteczka. I tamto miasteczko było moim Paryżem.

Piątego dnia pobytu twoja matka w końcu poddała się ograniczeniom narzucanym przez podeszły wiek i zapadła w długi, głęboki sen podczas sjeisty. Miałam więc okazję samotnie udać się w gwarne okolice karuzeli w Tuileriach, żeby popatrzeć sobie na dzieci jeżdżące na drewnianych konikach i zjeść watę cukrową, ten puszysty i zdumiewająco słodki wełnisty kłębek.

Późne popołudnie było chłodne, lecz słoneczne i park kąpał się w ostatnich promieniach słońca przed zmierzchem. Spacerowałam po ziemnych alejkach wśród posągów i ścieżkami pośród równo przyciętych żywopłotów. Spotykałam paryżan rozkoszujących się złotą jesienią; eleganckie damy przechadzały się w otoczeniu swoich panien do towarzystwa, mamki popychały dziecięce wózki na wielkich kołach, z których wystawały koronki z różowymi lub niebieskimi wstążeczkami, żołnierze gwizdali na ładne dziewczyny, dziewczynki grały w klasy, a chłopcy zabawiali się puszczaniem małych żaglówek na wodach fontanny. Z

oddali docierała skoczna, dźwięczna, w kółko powtarzająca tę samą frazę muzyka karuzeli.

Tak bardzo byłam pogrążona w myślach, ciesząc się tym, co mnie otacza, że dopiero po dłuższym czasie zauważyłam mężczyznę podążającego za mną krok w krok w rozsądnej odległości. Przeszedł przez plac Concord i postępował za mną w Tuileriach, od czasu do czasu przystając i opierając się o drzewo, żeby zapalić papierosa, za każdym razem, kiedy się zatrzymywałam. Czekał na odpowiedni moment... Akurat kiedy wybrałam ławkę przy karuzeli, żeby na chwilkę przysiąść i poczytać książkę, podbiegł do mnie, mocno chwycił moją torebkę i usiłował mi ją wyrwać. Mimo że kompletnie mnie zaskoczył, odruchowo przycisnęłam torebkę do siebie, nie pozwalając jej sobie odebrać.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko, minęło zaledwie kilkanaście sekund między napaścią a chwilą, kiedy leżałam powalona na ziemię. W końcu, widząc, że ludzie zaczęli zwracać na nas uwagę, złodziej uciekł bez swojego łupu.

A ja leżałam pośrodku parku, w liściach i w piachu, z ręką zaciśniętą na torebce tak mocno, że aż zbieleły mi knykcie. To ciekawe, że po upadku pierwszą rzeczą, którą człowiek czuje, bez względu na to, jak silne byłoby uderzenie, nie jest ból czy oszołomienie, lecz okrutne gorąco, wynik niespodziewanego poczucia własnej żalosności. „Oby nikt mnie nie widział”, zwykle tak brzmi pierwsze nieme błaganie, ale w moim przypadku nie

miało to sensu, bo otoczył mnie krąg ludzi, przyglądających mi się i szepczących po francusku. A zatem nie tylko byli świadkami mojej żalosego położenia, ale w dodatku, jako że zadarła mi się spódnica, bezwstydnie wystawiałam na ich widok łydki i kawałek bielizny. Szybkim ruchem je zakryłam.

– *Vous êtes bien, medemoiselle?* – zainteresował się ktoś, jednocześnie przytrzymując mnie za łokieć i pomagając wstać.

– *Sí... Ee... Oui, oui...* – Nadal nieco oszołomiona odpowiedziałam młodemu mężczyźnie, który elegancko pośpieszył mi z pomocą.

– Nic się pani nie stało? – przemówił do mnie po hiszpańsku, świadomy mojej narodowości z powodu tego spontanicznego „*sí*”. W jego głosie znać było cień akcentu, którego nawet nie próbowałam ustalić. – Ma pani poranione ręce...

Tak naprawdę tylko jedna dłoń była zraniona: ta, na której się wsparłam, upadając i ratując się przed uderzeniem twarzą o ziemię. Miałam kilka niewielkich zadrapań zabrudzonych ziemią i zdartą skórę.

– To nic takiego... – wyszeptałam ze spuszczoną głową.

Ciągle byłam zawstydzona i chciałam jedynie, żeby wszyscy się rozeszli i zostawili mnie samą z moimi podrapanymi rękami, zabrudzoną ziemią sukienką i poczuciem, że wyglądam żałośnie; nawet elegancki kawaler.

On jednak nie miał zamiaru odejść.

– Lepiej będzie obmyć ręce, żeby nie wdało się zakażenie. Potowarzyszę pani do tamtej kawiarenki.

Nie sposób było odmówić. Wyprowadził mnie spośród otaczających nas ludzi, a ponieważ spektakl już dobiegł końca, wszyscy w końcu jęli się rozchodzić, i poprowadził do parkowej kawiarenki opodal karuzeli. Tymczasem ja usilnie starałam się oczyścić sukienkę.

Mały lokalik miał kilka stolików z żelaza i niepołerowanego marmuru, a za barem stał posepny kelner ze starannie przyciętym wąsikiem, w muszce i białej marynarce, jak wszyscy francuscy kelnerzy, którego towarzyszący mi młody mężczyzna zagadnął o *les toilettes, s'il vous plaît*.

– *Il n'y a pas* – odpowiedział zapytany z miną, jakby chciał dodać: „To jest tylko ogrodowa kawiarenka, idioto, a nie żaden Ritz”.

– A zatem proszę o odrobinę wody, żeby pani mogła sobie umyć ręce, oraz dwie filiżanki herbaty z cytryną – zaordynował mój wybawca tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Czy już się pani uspokoiła? – zapytał mnie, gdy usiedliśmy.

Uspokoiła się? Nie zastanawiałam się nad tym...

– Boże, próbowali mi ukraść torebkę! – wykrzyknęłam, nagle zdając sobie z tego sprawę.

– W rzeczy samej. I nie udało im się. Okazała pani wielką odwagę.

Mechanicznie przytaknęłam. Nie słuchałam go,

pochłonięta swoimi myślami.

– Kiedy ciotka się dowie... Moja ciotka! – Zerwałam się na równe nogi. – Muszę już iść. Będzie się niepokoić.

Lecz on mnie zatrzymał.

– Proszę usiąść i napić się herbaty. Ciepły napój panią uspokoi. A jeśli wytrze pani krew z ręki, ciocia na pewno mniej się przestraszy.

Naprawdę wyglądałam na zdenerwowaną?

Jego argumenty wydawały się przekonujące. Zdecydowałam się znowu usiąść, a kelner przyszedł z zamówieniem. Czułam, że ta parująca herbata, gorąca i apetyczna, dobrze mi robi, zwłaszcza że się ochłodziło. Zanim zdążyłam posłodzić, młody mężczyzna wyciągnął chusteczkę i zamoczył ją w przyniesionej przez kelnera wodzie.

– Proszę pozwolić – poprosił, bym podała mu rękę.

Z moim przyzwoleniem delikatnie przesunął chusteczką po zadrapaniach.

Po raz pierwszy od całego zajścia spojrzałam na niego uważnie. Był elegancko ubrany, a jego twarz, na której wyróżniała się blizna nad ustami, wyglądająca nieco jak zajęcza warga, była całkiem przyjemna. Była to taka twarz, która ma w sobie coś znajomego, nawet jak się ją widzi po raz pierwszy: w jednej chwili wzbudza zaufanie i uspokaja.

– Piecze?

– Nie... Obawiam się, że jeszcze panu nie podziękowałam, panie...

– Windfield. Richard Windfield – odpowiedział, unosząc wzrok i z uśmiechem, który miał być uwodzicielski, a który był po prostu szczery i sympatyczny. – Odrobina mydła z pewnością by pomogła.

– Tak jest dobrze, dziękuję. Przepraszam... przepraszam, że nie byłam wobec pana zbyt miła, panie Windfield.

– Nie musi się pani usprawiedliwiać. Była pani w szoku. Teraz proszę wypić herbatę, dobrze pani zrobi.

Oboje upiliśmy po łyku.

– Miała pani pecha. Zwykle w tej części miasta nie zdarzają się takie napaści.

– A przecież nie wyglądam na bardzo bogatą damę z torebką wypchaną pieniędzmi – podsumowałam wzburzona. – I to... za pierwszym razem, kiedy zdecydowałam się wyjść z domu sama. To dopiero niefortunna przygoda!

– Jeszcze się pani nie przedstawiła.

– Rzeczywiście. Znowu muszę przeprosić za swoje maniery. Nazywam się Isabel Alasúa.

– Bardzo mi miło, panno Alasúa.

– Powinnam powiedzieć „mnie również”, panie Windfield, chociaż w moim przypadku znajomość z panem wykracza dalece poza zwykłą przyjemność, ponieważ uratował mnie pan od śmierci z upływu krwi.

Pan Windfield znowu się zaśmiał.

– Nie jest pan Francuzem, prawda?

– Nie. Jak pani to odgadła?

– Cóż... – zawahałam się, a potem powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy: – Bo nie ma pan francuskiej twarzy.

– To dobre – zaśmiał się. – Nie wiem, czy potraktować to jako komplement czy raczej przyganę.

– Och, proszę to uznać za komplement. Nie chciałam się wydać źle wychowana... znowu.

– Zatem tak zrobię. Tak naprawdę jestem Anglikiem. Z Devonshire. Zna pani Anglię?

– Nie, niestety.

– Cóż, jest... zielona.

Sprawił, że się uśmiechnęłam.

– Z której części Hiszpanii pani pochodzi? Bo jest pani Hiszpanką, co do tego nie mam wątpliwości.

Pomyślałam o moich kręconych ciemnych włosach, nazbyt ciemnej skórze i zbyt ostrych rysach. Nigdy ci o tym nie wspomniałam, ale ktoś mi kiedyś powiedział, że urodziłam się pod cygańskim księżycem i jestem czarująca. Prawda jest taka, ukochany, że męczy mnie urok mojej pospolitej urody i zawsze pragnęłam mieć piękną twarz o delikatnych rysach, subtelną i bladą. Jako ekspert w sprawach kobiet powinieneś wiedzieć, że naszą przypadłością jest chcieć czegoś zupełnie przeciwnego do tego, co mamy.

– Z południa, z małego miasteczka pod Kadyksem. Wyobrażam sobie, że zna pan Hiszpanię, bardzo dobrze pan mówi po hiszpańsku.

– Naprawdę?

– Czym się pan zajmuje, panie Windfield?

– Jestem dyplomatą. Zostałem kiedyś oddelegowany do brytyjskiej ambasady w Hiszpanii – dodał nieco pośpiesznie, jakby się tego wstydził.

Czy się mylę, czy rzeczywiście są ludzie, którzy w pewnych sytuacjach obawiają się, że wydadzą się zbyt ważni?

– A teraz przysłano pana do Paryża?

– Nie, jestem tu przejazdem. Pani przyjechała z wizytą?

Zaprzeciżyłam ruchem głowy.

– Też jestem przejazdem. Oficjalnie nie mieszkam w Hiszpanii od dwóch tygodni. Jestem w podróży do Austrii... a właściwie w jej pobliżu, gdzie będę mieszkać z ciotką. Jutro jedziemy pociągiem do Wiednia.

Na obliczu pana Windfielda odmalowało się radosne zdumienie.

– Cóż za fantastyczny zbieg okoliczności! Ja też jutro jadę pociągiem do Wiednia. Byłbym zaszczycony, gdybym mógł się cieszyć pani towarzystwem w którymś momencie podróży, jeśli nie sprawi to pani kłopotu.

Pomysł, który, mimo że nie wprawił mnie w tak wielki entuzjazm, jaki najwyraźniej stał się jego udziałem, nie był mi też niemiły. W sumie pan Windfield wydawał się mężczyzną sympatycznym, a jego towarzystwo mnie nie nudziło.

Nagle dzięki magii elektryczności zapaliły się latarnie w parku. Pomyślałam z nostalgią o tym niewidzialnym

skrzacie, jakim zdawał mi się kiedyś latarnik. Drabina i tyczka: sylwetka ekwilibrysty na ulicach, widok, który postępowanie uczynił obrazkiem z przeszłości. Oświetlenie karuzeli też było elektryczne, więc lśniąca żarówka kreśliła na czarnym niebie jej świetlisty kształt. Powietrze pachniało przypalonym cukrem, zapachem stoiska z watą cukrową i gasnącym jesiennym wieczorem. Zdałam sobie sprawę, że zapadł zmrok, więc jednym łykiem opróżniłam filiżankę.

– Zrobiło się późno. Teraz już naprawdę muszę iść. Ciotka będzie się martwić – mówiłam, wstając. Młodzieniec poszedł w moje ślady. – Jeszcze raz dziękuję, że był pan dla mnie taki miły, panie Windfield – powiedziałam z ręką wyciągniętą w jego stronę.

On ujął moją dłoń i nie wypuszczał.

– Czy pozwoli pani zaprosić się dziś wieczorem na kolację? – wyrzucił z siebie w zdecydowany sposób. – Zna pani restaurację na wieży Eiffla? Ten widok warto zobaczyć, zapewniam.

Jego propozycja mnie zaskoczyła. Nie spodziewałam się po flegmatycznym dżentelmenie podobnej spontaniczności, ludzie z jego klasy uznaliby ją co najmniej za niestosowną. Wahałam się przez chwilę, co odrzec, w końcu zdecydowałam się na odpowiedź, jakiej można oczekiwać od dziewczyny z dobrego domu, panny, i to świeżo porzuconej przez narzeczonego.

– Bardzo dziękuję, panie Windfield, ale z pewnością ciotka już nas umówiła na dzisiejszy wieczór.

– Zatem może jutro w pociągu? – nalegał.

– Może.

– Pozwoli pani, że jej potowarzyszę. Nie powinna pani iść sama przez park po zmroku.

Pan Windfield był człowiekiem upartym, nie przyjąłby łatwo odmowy i nie miał też zamiaru przystawać na to, żeby dama, która, tak jak ja, miała już dość przygód jak na jeden dzień, narażała się na kolejne przeżycia, tym razem w nocy. Zatem się zgodziłam.

– Daleko pani mieszka?

– Nie, bardzo blisko. W hotelu Crillon.

– To znakomicie! Ja też się tam zatrzymałem. Zdaje się, że dziś mamy dzień zbiegów okoliczności.

– Na to wygląda – przytaknęłam, gdy wchodziliśmy w słabo oświetlone ścieżki ogrodów Tuilerie, zostawiając za sobą karuzelę.

Niepokoilo mnie tyle zbiegów okoliczności. A ty przecież wiesz, ukochany, że w moim przekonaniu zbiegi okoliczności, podobnie jak nieszczęścia, nigdy nie pojawiają się pojedynczo; przeznaczenie się upiera, żeby rzucać je nam pęczkami, jak obwarzanki.

– Boże! – wykrzyknęłam, nie będąc w stanie się pohamować.

Gdy otworzyłam drzwi pokoju w hotelu, jak zwykle zapaliłam światło, ale zamiast idealnie wysprzątanego luksusowego apartamentu urządzonego zgodnie z osiemnastowiecznymi kanonami zastałam kłębowisko ubrań i papierów, poprzewracane meble, pootwierane

szuflady, pościel na podłodze... Znieruchomiałam w progu.

Po kilku sekundach Richard Windfield, który usłyszał mój krzyk, czekając na windę w głębi korytarza, pojawił się za mną i wychylił nad moim ramieniem, żeby zajrzeć do pokoju.

– *Good Lord!*

Jako pierwszy wszedł do środka, omijając leżące na podłodze przeszkody: przewrócone krzesło, wywrócony do góry nogami kosz na śmieci, but, rozsypaną zawartość kufra, otwarte pudła na kapelusze i powódź koronek: moja najbardziej intymna bielizna bezwstydnie wałała się dookoła. Postępowałam za nim, aż zatrzymał się pośrodku pokoju i rozejrzał się dokoła.

– Co tu się wydarzyło? – zapytałam, jakby on mógł to wiedzieć.

– Ależ się zepsuła obsługa pokoi w tym hotelu...

Zbita z tropu rzuciłam na niego okiem, a on posłał mi kpiarski uśmiezek. Wzruszył ramionami, żeby pokazać, że to miał być żart. Mnie jednak nie było do śmiechu. On odchrząknął i zapytał, znowu przybierając poważny ton:

– Miała pani coś cennego?

– Tak... moje klejnoty! – Podbiegłam do toaletki, gdzie trzymałam szkatułkę z biżuterią.

Leżała na podłodze jak reszta rzeczy. Schyliłam się, żeby sprawdzić, czy czegoś brakuje. Moje ruchy były niezgrabne ze zdenerwowania.

– Jest wszystko? – chciał wiedzieć pan Windfield.

– Chyba tak...

– Nic nie rozumiem – zastanawiał się, przesuając ręką po ciemnych, falowanych włosach. – Przysięgłbym, że chodziło o kradzież, ale skoro nie zabrali klejnotów...

Schowałam kosztowności w szkatułce i pieczołowicie ją zamknęłam, po czym ponownie odstawiłam na toaletkę, jakby ten drobny gest miał poprawić chaotyczny wygląd sypialni i ukoić moje nerwy. Potem gorączkowo zaczęłam zbierać bieliznę; krępowało mnie, że pan Windfield jest otoczony moimi pończochami, *culottes* i gorsetami.

– Dwa napady w jeden dzień! To za dużo... – lamentowałam, na kolanach podnosząc z dywanu kompromitujące części garderoby.

– Może to nie jest zwykły zbieg okoliczności.

Nadal klęcząc na podłodze, uniosłam wzrok i spojrzałam na niego pytająco.

– Czy ma pani coś, czego ktoś mógłby pragnąć? – zapytał z naturalną prostotą, która mnie wydała się przemiła. Równie naturalny był rumieniec, który natychmiast oblał moje policzki. Richard Windfield od samego początku wydawał mi się cudownie komiczny w swojej niewinnej ciekawości. – To znaczy... chodzi mi o jakiś wartościowy przedmiot: pieniądze, paszport...

– Trochę pieniędzy mam w torebce. Resztę ma ciotka. Paszport...

– Musi pani dobrze się przyjrzeć, pomyśleć, czego może brakować.

Koncentrując się na poszukiwaniach paszportu,

przeglądałam torebkę, tę samą, którą usiłowano mi ukraść w parku. Położyłam ją na łóżku i systematycznie wyjmowałam zawartość na ogołoceny z pościeli materac.

– Pewne jest to, że ktoś szuka czegoś, co pani ma, a przynajmniej on tak sądzi.

– Może powinniśmy zawiadomić policję – zasugerowałam.

– Tak, być może...

Nie kończąc zdania, pan Windfield podszedł do mnie. Coś zwróciło jego uwagę.

– O co chodzi? – zapytałam.

Wziął do ręki książkę, którą miałam w torebce, i pokazał mi.

Nie mogłam pojąć, cóż jest w niej takiego zaskakującego.

– Czy to pani książka?

– Oczywiście, że tak... Nie, nie jest moja! – Zdziwiłam się, dokładnie ją obejrzawszy. Chodzi o to, że miałam książkę w torebce, ale nie tę. Jest podobna, ale jednak inna. Nie rozumiem tylko, jak się tu znalazła. Chociaż może...

– Tak?

– Nie jestem pewna... ale gdy dojechałyśmy do Paryża, na peronie wpadłam na jakiegoś mężczyznę... Wtedy jemu otworzyła się walizka, którą niósł, a mnie wypadła torebka. Pośpiesznie zebraliśmy nasze rzeczy i... Cóż, możliwe, że w zamieszaniu złapałam jego książkę, myśląc, że należy do mnie. Czy nie wydaje się to panu

prawdopodobne?

– Tak, to możliwe.

Pan Windfield ciągle przeglądał książkę, okładki, grzbiet, wnętrze...

– Nie przychodzi mi do głowy inne wyjaśnienie – stwierdziłam. – Co mówi tytuł? To dziwny język, prawda? A to, co to jest?

Pokazałam symbol wytłoczony na grzbiecie: dwie litery K naprzeciwko siebie.

Wydało mi się, że pan Windfield wahał się przez chwilę, nim odpowiedział:

– Nie... nie wiem. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Potem, pod moim uważnym spojrzeniem, dalej badał książkę. Dotykał jej ostrożnie opuszkami palców, delikatnie stukał w okładki, lekko przesuwał paznokciem po łączeniach...

– Ma pani scyzoryk albo nóż do kopert? Coś ostrego? Jego pytanie przywróciło mnie do rzeczywistości.

– Nie, przykro mi. Może nożyczki się nadadzą... Jeśli uda mi się je znaleźć.

– Nożyczki byłyby doskonałe.

Zaczęłam przeszukiwać stosy przedmiotów obok toaletki. Pod jakąś tacką, na której z kolei leżała szczotka do włosów, znalazłam nożyczki. Podałam je panu Windfieldowi, a on jednym z ostrzy jął ostrożnie odklejać papier po wewnętrznej stronie okładki. Gdy już to zrobił, ukazało się wgłębienie, jakby ramka, wypełnione brązową

pastą podobną do smoły. Pan Windfield wyciągnął szczyptę, roztarł między palcami, powąchał i delikatnie dotknął językiem, żeby posmakować.

– Co to jest?

Jego milczenie wystawiało na próbę moją cierpliwość.

– Haszysz – brzmiała sucha i konkretna odpowiedź.

– Haszysz? – powtórzyłam, marszcząc czoło.

– To narkotyk, halucynogeny. Niektórzy to palą i... widzą niebieskie smoki. – Uśmiechnął się, najwyraźniej zachwycony swoim wyjaśnieniem, lecz ja uznałam to za wolne żarty.

– Niebieskie smoki? Żartuje pan sobie ze mnie? A co to świństwo robi w książce?

– Zostało tu ukryte. To świństwo, jak pani je nazywa (i rzeczywiście nim jest), jest warte fortunę i do tego nielegalne. To oczywiste, że właśnie tego szukał w pani pokoju ów człowiek, kimkolwiek jest, i to on próbował pani wyrwać torebkę.

– Matko Boska!

– Lepiej będzie, jeśli zadzwonimy na policję. Ja to zatrzymam – stwierdził, zamykając książkę. Jakaś kartka wysunęła się ze środka i upadła na podłogę; schyliłam się, żeby ją podnieść. – Oddam policji, gdy przyjedzie. Jeśli pani chce, mogę z nimi porozmawiać. Francuscy policjanci...

– Na wszystkich świętych! Coś ty zrobiła, Isabel?!

Oboje odwróciliśmy się gwałtownie. Twoja matka

krzyczała, lawirując między pudłami na kapelusze.

– Ależ, ciociu, jak mam...? – Usiłowałam się bronić, ale mi przerwała.

– Richard? Richard Windfield? Co ty tu, u diabła, robisz? – Lubiłam słuchać, jak twoja matka rozpuszcza język, kiedy się zdenerwuje; jej zdaniem to przywilej wieku.

– Aleksandra? – Richard Windfield zdawał się zbity z pantafelku, jakby chciał rozwikłać jakąś zagadkę i mocno nad tym pracował. – A więc ty... ona... panienka jest... twoją krewną? – I zwrócił się do mnie: – To pani ciotka?

Przytaknęłam ruchem głowy. Proporcjonalna twarz Richarda Windfielda, o którym nigdy bym nie powiedziała, że jest mężczyzną przystojnym, lecz że ma w sobie coś niebywale atrakcyjnego, natychmiast się rozjaśniła w szerokim uśmiechu, który rozciągnął bliznę nad ustami.

– No teraz to już na pewno nie będzie pani mogła odrzucić zaproszenia na kolację – zawyrokowałam.

– Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, co tu się dzieje?! – zażądała wielka księżna.

Było dużo do wyjaśniania, rzecz jasna. Ale mieliśmy cały wieczór, żeby porozmawiać szczegółowo i wyczerpująco na ten temat. I w końcu musiałam przyjąć zaproszenie Richarda Windfielda na kolację na szczycie wieży Eiffla.

– Powinnaś przyjąć to uprzejme zaproszenie bez wahania, kochanie. Richard to prawie rodzina. Jestem

absolutnie przekonana, że będzie cię traktował z atencją starszego brata – zapewniała mnie Aleksandra. Chociaż ja wcale nie byłam taka pewna, że zamiary pana Windfielda są wyłącznie braterskie.

Tamtego wieczoru dowiedziałam się, że Richard Windfield, lord Richard Windfield, piąty earl Lightmoore, ściśle rzecz ujmując, jest dobrym przyjacielem twojego brata.

– On i Karel, mój młodszy syn, jeszcze go poznasz, są przyjaciółmi, powiedziałabym nawet, że bardzo bliskimi. Razem studiowali w Eaton. Obaj są dyplomatami. Mówiłam ci już, że Karel jest moim drugim synem? No tak, oczywiście, że mówiłam. Poza tym jest dyplomata. A Richard, szczerą duszą, praktycznie należy do rodziny, jest dla mnie jak trzecie dziecko. Spędza długie tygodnie w Brunstriechu i powiem ci, że woli przyjeżdżać na wakacje do mnie, zamiast jechać do matki w Devonshire. Nie wydaje ci się to wzruszające, kochanie? – zaznajamiała mnie z tematem twoja matka.

I rzeczywiście, lord Windfield towarzyszył nam nie tylko do Wiednia, ale do samego Brunstriechu, gdzie znowu miał spędzić Boże Narodzenie, ku radości twojej matki.

– Mówią, że Guy de Maupassant codziennie jadał tu kolację.

– Dobry Boże, co za zbytek! Jakby w Paryżu nie było innych restauracji.

– Są, oczywiście, ale on mawiał, że to jedyna

restauracja, z której nie widać wieży Eiffla, w jego mniemaniu okropnej budowli.

– Mam nadzieję, że jego próba samobójcza nie była spowodowana jakością serwowanych potraw – rzuciłam ironicznie, odwołując się do tragicznego epizodu z biografii Maupassanta.

Szczęśliwie lord Windfield, człowiek o wyrafinowanym poczuciu humoru, podchwycił moją ironię.

– Ufam, że nie. Zapewniam panią, że mam jedno z najbardziej wrażliwych podniebień w całej Anglii, a nawet jeśli taka cecha u Anglika nie może budzić zaufania, sądzę, że kuchnia jest tu znakomita, i pozwolę sobie polecić pani *filet mignon au poivre vert*. Szef kuchni przyrządza go po mistrzowsku. Co pani wybrała?

– Cóż, jeszcze nie udało mi się przejrzeć karty. Patrzyłam na desery...

– Nie będzie pani jadła? Nie jest pani głodna? – zapytał lord Windfield, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

– Och, jestem głodna. To taki zwyczaj, wie pan? Zawsze zaczynam czytać menu od deserów.

Richard Windfield odpowiedział uśmiechem ulgi.

– Jestem okropnym łakomczuchem. Gdy mieszkałam w Costerze, moim rodzinnym miasteczku, miałam zwyczaj patrzeć na wystawę cukierni doñi Inés, która pechowo mieściła się naprzeciwko mojego okna, żebym każdego popołudnia cierpiała, patrząc na jej słodkie pokusy: ciastka z kremem, kandyzowane owoce, wielkie

słoje wypełnione kolorowymi cukierkami... Nieraz miałam ochotę pobiec tam po te ciasteczka, które na białej tacy kusiły mnie z drugiej strony placu. Ale nie pozwalano mi na to.

Na chwilę przerwałam. Lord Windfield patrzył na mnie zaciekawiony. Prawdopodobnie byłam jedyną kobietą, która przyznała się do łakomstwa podczas pierwszej kolacji. A jednak wydawał się też rozbawiony. Z uśmiechem na ustach odłożył menu i wydawał się gotów wysłuchać mojej historii. Albo przynajmniej mi się przyglądać. Bo moje doświadczenie z płcią przeciwną, ukochany, bez urazy, dowodzi, że mężczyźni rzadko słuchają kobiet; przyznaj, że właśnie tak jest. Jakkolwiek by było, uznałam, że to dobra chwila, żeby wyrecytować mu niemal jednym tchem całą historię swojego życia. Najpierw jednak zamierzałam pozwolić trochę się prosić.

– Nudzę pana tymi opowieściami o słodyczach, prawda? Na pewno już czuje się pan znużony.

– W żadnym razie. Dzieci przyklepione do wystawy cukierni zawsze mnie rozczulają. Wyobrażanie sobie pani jako ślicznej łakomej dziewczynki wzbudza we mnie taką samą czułość. Przeklinam doñę Inés za to, że tak panią torturowała.

– No dobrze, nie zawsze tak było. Bywały lepsze chwile, kiedy na podwieczorek była czekolada, a Carolina, kucharka, piekła maślane ciasteczka, które się jadło z truskawkową marmoladą. W niedzielę było migdałowe ciasto świętego Jakuba, a na kolację bita

śmietana z biszkoptami. Niania Lourdes opowiadała, że raz w tygodniu w porze podwieczorku mama przyjmowała eleganckie panie z okolicy i z kuchni do pokoju wędrowały dziesiątki talerzy ze słodyczami. Mogę sobie wyobrazić zapalone lampy w salonie, zamykające w swoich kryształach tysiąc tęczy, puszyste dywany, nowe obicia mebli i batalion służących krzątających się po domu jak mrówki. Pachniało przywiezionymi z Paryża perfumami, a na kredensie i na stole w wazonach stały kwiaty.

– Mówi pani o tym, jakby opisywała jakiś obraz.

– Miałam trzy lata, kiedy umarła moja matka. Opowieści Lourdes i jeden portret to moje o niej wspomnienia. Nic innego nie mam. Ale mogło tak być, nie uważa pan?

– Oczywiście.

– Chociaż salon jawi mi się w pamięci jako pusty i zimny. Ojca pamiętam nieco lepiej: był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, dobrym, lecz biednym. Ożenił się z kobietą szlachetnie urodzoną, bardzo bogatą i kapryśną, dla której był kolejnym kaprysem. Jej rodzice jakoś go zaakceptowali, choć z własnej woli nigdy w życiu nie wybraliby kogoś takiego na męża swojej jedynej córki. Przed śmiercią mamy sprawy miały się raz lepiej, raz gorzej, bo tata był człowiekiem tolerancyjnym i... marynarzem. Rozumie pan, prawie nigdy nie było go w domu. Gdy mama umarła, źle zarządzany majątek, długa choroba, dwór, który był studnią bez dna, i inne wydatki

sprawiły, że zasiliłam szeregi zrujnowanej szlachty. Na krótko przed moim wyjazdem z domu wielki żyrandol w salonie już nie był zapalany i tylko jeden kinkiet oświetlał Lourdes, kiedy szyla, stary dywan był tu i ówdzie poprzecierany, obicia mebli miały dziury, które starałyśmy się zakrywać poduszkami, nie było służących, a markiza Vilamar, czyli ja, była sierotą, niezbyt szczerze obdarzoną przez naturę i bez grosza przy duszy.

Richard Windfield zrobił ruch ręką, żeby mi przerwać. Doskonale wiedziałam, co ma zamiar powiedzieć: „Ależ nie, na Boga! Jak może pani mówić coś takiego? W żadnym razie się z panią nie zgodzę. Jest pani piękna” albo inne kurtuazyjne banały w tym guście. Ale to ja nadawałam rytm temu recitalowi i nie chciałam mu pozwolić się wtrącić, żeby nie stracić wątku.

– Ale proszę nie wyrabiać sobie mylnej opinii na mój temat. Przez ostatnie lata byłam też szczęśliwa. Miałam dom, nianię, która się mną opiekowała, i wujka Juana, fantastycznego ojca chrzestnego, wysyłającego mi pieniądze, żebym mogła prowadzić godne życie. Żyłam w zgodzie z ludźmi w miasteczku, świetnie bawiłam się z przyjaciółkami i pewien chłopak z bogatej rodziny był gotów się ze mną ożenić. Niczego więcej sobie nie życzyłam, bo niczego więcej nie znałam. – Zamilkłam na chwilę, jakbym potrzebowała czasu, żeby mój głos zabrzmiał stosownie smutno. Spuściłam wzrok, utkwiałam spojrzenie w pustym białym talerzu i ponownie się odezwałam, wiedząc, że lord Windfield przez cały czas

mnie obserwuje: – I wtedy pękła bańka całego mojego świata, w której świetnie się czułam sama ze sobą i z innymi ludźmi. Zaczęłam dorastać, wypadało pomyśleć o zamążpójściu. Zaczęło mi grozić, że dołączę do grupy, która przebiera figury świętych w kościele. Lourdes też się postarzała i nie mogła się mną opiekować. Tak naprawdę to nią trzeba się było zajmować. Jej siostra wzięła ją do siebie, do domu w Castilleja de la Cuesta. Lourdes cierpi na reumatyzm, a tam panuje doskonały klimat dla jej stawów. Sprawy miały się tak, że powodów było aż nadto, aby niezwłocznie wyjść za Fernanda, mojego odwiecznego narzeczonego, bogatego dziedzica mieszczańskiej rodziny, który zresztą, tak przy okazji, wcale mnie nie kochał. Zawsze o tym wiedziałam. Może dlatego nigdy nie było mi śpieszno do ślubu, chociaż miałam świadomość, że małżeństwo bez miłości to rzecz całkowicie normalna, a ludzie mogliby powiedzieć, że ja, biedna i niezbyt urodziwa, powinnam i z tego być zadowolona. Gdy skończyłam dwadzieścia lat, przyszło mi do głowy, żeby przyznać im rację, więc zaczęłam myśleć, że Fernando mnie ceni i szanuje i że nie mogę liczyć na wiele więcej. Dlatego tak bardzo mnie zabolало to publiczne odrzucenie i upokorzenie. Płakałam i płakałam, całe dni i noce, nie dlatego, że straciłam Fernanda, ale z powodu tego, co ta strata dla mnie oznaczała. Plany na życie z Fernandem były moimi jedynymi planami...

Co się stało z Fernandem? Kim on jest? Zdawały się

zapytywać oczy lorda Windfielda, błyszczące niecierpliwością.

– Pamiętam, że tamtego październikowego dnia plaża była kompletnie pusta. Świeciło słońce i nie było zbyt zimno, co w październiku w Costerze nie tak często się zdarza. Niewielki kościółek dla rybaków...

Kościółek dla rybaków... stojący nad urwiskiem ponad miasteczkiem i plażą, plac, cztery domki i kilka metrów kwadratowych celtyckiej osady, które co jakiś czas przyciągały ciekawskich profesorów z uniwersytetu. Przed kościołem był niewielki park z ławeczkami, fontanna nie większa od umywalki i cztery cyprysy, po jednym w każdym rogu. W letnie noce pachniało wiciokrzewem, a wiosną kwitły róże pnące się po murach świątyni, malutkie margerytki unosiły główki z trawnika i don Amador, proboszcz, sadził u stóp kamiennego krzyża petunie, które co roku usychały zaraz na początku sierpnia, kiedy skwar robi się nie do zniesienia...

– Dobrze się pani czuje?

Nagły przyływ wspomnień – niczym biały błysk lampy aparatu fotograficznego, jaki towarzyszy wybuchowi magnezji – zaatakował mój umysł. Obcy głos lorda Windfielda mnie ocucił, odgonił ode mnie ten obraz. Obraz, którego nie przywoływałam, lecz sam się pojawił, zaburzając mój rozsądek i dobry nastrój; zabrał mnie daleko od miejsca, w którym się znajdowałam, i od tego, kim byłam... Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że przestałam mówić. Czasem, ukochany, zwłaszcza na

początku, to mi się przydarzało.

– Tak... tak, przepraszam. Na czym to... Aha, kościółek. Tak, ten kościółek, idylliczna sceneria, idealna do zawarcia związku skazanego na klęskę, jeszcze zanim się rozpoczął. – Oprzytomniawszy, pośpiesznie wróciłam do historii. – Na kilka godzin przed ślubem, kiedy kończyłam przymierzać suknię, narzeczony przyszedł do mnie i powiedział, że nie może mnie poślubić, gdyż Rocío, córka aptekarza, jest z nim w ciąży. Stało się dla mnie oczywiste, że ja nie byłam jego jedynym życiowym projektem. – Gdy przedstawiałam ten żałosny epizod, w moim głosie brzmiały rozpacz i oburzenie. – Doszłam do stanu, że gardziłam sobą za to, że tak bardzo jestem nikim, że jestem biedna i brzydka, że nie jestem jak Rocío, z jej złotymi loczkami, bladą cerą, niebieskimi oczkami i wąskimi usteczkami.

– Przepraszam za zuchwałość, ale ja... ja... uważam, że jest pani... prześliczna – zdołał wtrącić mój usłużny towarzysz z wielkim wysiłkiem, który pewnie był wynikiem zarówno szczerzej rezerwy i powściągliwości, jak i nieszczerości powodowanej zwykłą uprzejmością.

Jakkolwiek było, przeszłam do porządku dziennego nad jego galanterią i ciągnęłam:

– Tutaj właśnie na scenę wkracza ciotka Aleksandra. Ona jest moją wybawicielką. Wyciągnęła mnie z tunelu bez wyjścia, w który zmieniło się moje życie po niedoszłym zamążpójściu. Kiedy stałam jak słup przed drzwiami kościoła, przybył mój jedyny bliski krewny:

wujek Juan, który tak naprawdę nie jest ani wujkiem, ani krewnym, ale był najlepszym przyjacielem mojego ojca i jest moim ojcem chrzestnym. Kiedy opcja małżeństwa spaliła na panewce, aby wyplątać się z mojej sytuacji życiowej, przeszłam pod jego kuratelę. My, kobiety, z zadziwiającą łatwością stajemy się zawadą. Nie wchodziło już w grę, żeby Lourdes odłożyła swoją zasłużoną emeryturę i dalej się mną zajmowała, więc ktoś musiał wziąć na swoje barki sierotę. Wujek Juan, chociaż jest moim ojcem chrzestnym, występował w charakterze łaskawego dobroczyńcy, a gdy miałam u niego zamieszkać, bronił się jak kot przewrócony na grzbiet, wysuwając kolejne argumenty ukrywające prawdziwy powód jego niechęci, a ten był tylko jeden: ciotka Eugenia, jego żona. To dobra kobieta, ale kompletnie stuknięta; chory umysł każe jej sądzić, że ma dwanaście lat, i zachowuje się tak, jakby rzeczywiście tyle miała. Wujek Juan właśnie czynił zabiegi, żeby zamknąć ją w domu wariatów i rozpocząć życie na nowo z... kochanką, którą już sobie znalazł. W takiej sytuacji ja mu nie pasowałam. Wtedy ktoś sobie przypomniał o dalekiej krewnej, ciotce mojej matki, Aleksandrze. Po rozporządzeniu moim losem przykryliśmy meble, zwinęliśmy dywany i zapakowaliśmy porcelanę, sztucce i ozdoby. Sprzedałam swoją suknię ślubną, do kufrów spakowałam trochę rzeczy i wsiadłam do pociągu do Madrytu, żeby spotkać się z osobą, która miała mnie przyjąć do swojego domu.

Nie miałam nic więcej do powiedzenia. A jednak Richard Windfield dalej przyglądał mi się w milczeniu, jak sparaliżowany, z rękami złożonymi na karcie, o której zdawał się nie pamiętać, jakby chciał, żebym nie przestawała mówić. Zastanawiałam się, co też mu chodzi po głowie. Cokolwiek to było, jego milczenie pobudzało moją wyobraźnię, a jednocześnie mnie dręczyło.

– A zatem poleca mi pan *filet mignon*? – zakończyłam, jakby to wszystko, co właśnie opowiedziałam, wcale mnie nie dotyczyło.

– To bardzo miło móc liczyć na towarzystwo kawalera w podróży. Zwłaszcza po tym, co się wydarzyło w Paryżu. To oczywiste, że świat stał się ohydny i nazbyt niebezpiecznym miejscem – zauważyła wielka księżna, gotowa poszukać bezpiecznego schronienia w swoim zamku, przynajmniej na jakiś czas.

Ze swej strony, spędziwszy przyjemny wieczór w towarzystwie lorda Windfielda, nie miałam nic przeciwko jego obecności również w pociągu. Już dość długo byłam skazana na towarzystwo twojej matki i jej służącej, młodej Francuzeczki, dość nudnej, która po hiszpańsku potrafiła powiedzieć raptem trzy słowa, więc nowa twarz sprawiłaby, że ten ostatni odcinek podróży przez zasypaną śniegiem środkową Europę stały się bardziej znośny.

Wiem, że nigdy go szczególnie nie szanowałeś, mówiłeś o nim, że jest flegmatycznym Anglikiem, nudnym i niedojrzałym; postacią rodem z tragikomedii, równie żalną, jak komiczną. Ale zapewniam cię,

ukochany, że mnie Richard Windfield się podobał. Podobała mi się jego niebywała uprzejmość i eleganckie maniery, jego sposób bycia angielskiego dżentelmena; i lubiłam z nim rozmawiać. W malutkiej przestrzeni przedziału, kiedy za oknami następowały po sobie, jak w żywych obrazach, równiny i ośnieżone góry, miasteczka jak kolaże czerwonych dachów i szarych westchnień kominów, lord Windfield opowiadał mi swoje przygody z egzotycznych krajów. Wraz z jego głosem docierały do mnie aromaty przypraw i bazarów Dżajpuru, intensywny turkus wód Bosforu, niebieskie łodzie w Mogadorze albo piękne spektakle sakury na zboczu góry Fudzi.

16 grudnia

Pamiętam, ukochany, że Brunstreich wzbudzał we mnie niepokój, ale także skrywane i nieziszczalne pragnienia; wyobrażałam go sobie jako miejsce odległe i tajemnicze, spowite legendą... Kolej tam nie docierała, Brunstreich nie był dość duży ani ważny; to jedno z tych miejsc, których nawet nie ma na mapach, więc stają się wyjątkowo tajemnicze. Twoim zdaniem nie chodziło o tajemnicę ani marzenia, tylko o pieniądze. Później mi wyjaśniłeś, że kolej to projekt zbyt kosztowny, żeby ktokolwiek chciał go sfinansować, zwłaszcza przy tak skromnym budżecie, jakim dysponowało księstwo, zarządzane przez niewielką Radę Ludową. Ponadto – jak wyjaśniłeś z zarożumiałym uśmiechem – nie stanowiło to

niedogodności dla domu książęcego, posiadającego inne środki transportu, pośród których znajdowały się różne rodzaje powozów oraz trzy automobile.

Jeden z nich oczekiwał tamtego poranka na dworcu w Wiedniu, aby zawieźć nas do zamku; podróż miała potrwać trzy lub cztery godziny. Szofer stał na peronie, u podnóża schodów, aby zabrać nasz podręczny bagaż i zająć się kuframi.

– Przez chwilę myślałam, że może jeden z moich wyrodných synów będzie na tyle uprzejmy, że przyjedzie na dworzec i odbierze mnie po wyczerpującej peregrynacji... – zrzędziła twoja matka, obciążając szofera bagażami.

– Waszą wysokość ucieszy informacja, że książę Karel oczekuje na panią w środku – rzucił szofer z kamiennym wyrazem twarzy.

– Proszę, proszę. A to niespodzianka! Naprzód, dzieci, biegnijmy mu na spotkanie.

O ile ciebie, mój ukochany, wyobrażałam sobie od pierwszej chwili, gdy tylko dowiedziałam się o twoim istnieniu, jako dalekiego, tajemniczego i spowitego legendą jak sam Brunstreich, o tyle nigdy nie zdarzyło mi się zastanowić, jaki może być twój brat. A nawet gdyby, prawdopodobnie w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że poznam go, gdy będzie pochłaniał ogromny *bratwurst*, którego obłe końcówki obscenicznie wystawały spomiędzy dwóch kawałków pszennej bułki; ani tego, że pierwszą rzeczą, na którą zwrócę uwagę, będą jego

błyszczące od tłuszczu, oblepione okruchami usta oraz wypchane policzki, jak u chomika pałaszującego ostatni kawałek marchewki.

– Nie sądziłem, że tak szybko się zjawisz. Byłem głodny. Jeszcze nie zdążyłem dziś nic zjeść – usprawiedliwiał się, kiedy matka skarciła go za niedbalstwo. Spłoszony ocierał usta chusteczką.

Gdy sposobił się, żeby mnie pocałować – gest wymuszonej zażyłości – pomyślałam z przerażeniem, że jego usta zostawią na moich policzkach wilgotny, śliski ślad tłuszczu i śliny. Na szczęście wytarł je dokładnie, więc moje obawy się nie ziściły. Po tak absurdalnym początku uznałam twojego brata za zwyczajny przypadkowy szczegół. Był tylko jednym z elementów tej podróży, tak samo jak futrzane okrycia chroniące nas przed chłodem, jak szofer prowadzący automobil z otwartym dachem, jak ostrożna jazda po ośnieżonych serpentynach, jak świergotanie twojej matki zdającej relację z moich nieszczęsnych wypadków w Paryżu, podkreślającej raz po raz, jak bardzo niebezpiecznie jest podróżować po Europie w tych wariackich czasach. Był on zaledwie jedną z wielu nieistotnych rzeczy.

– Karlu, opowiedz kuzynce historię zamku – zachęciła Aleksandra twojego brata, kiedy rozmowa przestała się kleić. – Bardzo lubi badać jego przeszłość – odezwała się do mnie z dumą, mrugając porozumiewawczo.

Zatem tym razem on zabrał głos, miał lekki akcent,

szczególny sposób mówienia człowieka, który posługuje się kilkoma językami, beznamiętny ton osoby, w której nic nie wzbudza pasji. Pierwsze moje zetknięcie z Brunstriechem to ciąg lasów za szybami samochodu, droga o coraz gorszej nawierzchni, drogowskaz wskazujący na trzy strony świata: WIEDEN, ZAMEK, WIEŚ; na koniec zaś sam zamek o neogotyckiej sylwetce: w oddali malutki jak obrazek na pocztówce, śliczny; a z bliska niemożliwy do ogarnięcia wzrokiem, przytłaczający. Dopiero później, w czasie długich spacerów po okolicy, odkryłam, że Brunstriech, położony na kresach cesarstwa austro-węgierskiego, to wielkie równiny kończące się łańcuchem górskim oddzielającym je od Niemiec; i że pod osłoną gór, niczym zawieszony na urwistych skałach, otoczony lasami i obiegany przez rzekę, do której spływają topniejące śniegi z najwyższych szczytów, stoi zamek, a jego wygląd i sąsiedztwo przywodzą na myśl *Śpiącą królową* i inne bajki.

Jednakowoż zanim wysiedliśmy z samochodu, poznałam historię Brunstriechu. Karel, posłuszny poleceniu matki, opowiedział mi ją ze szczegółami. Dowiedziałam się, że początki zamku sięgają XIII wieku, kiedy to książę Maksymilian de Brunstriech kazał go zbudować jako siedzibę rodu i fortecę mającą chronić przed najazdami Węgrów. Dzięki położeniu na górskich szczytach wroga można było dostrzec z daleka i przygotować obronę. Wiedziałam już, że z oryginalnej gotyckiej bryły zamku zachowały się jedynie piwniczne

ściany i lochy oraz niewielka część murów. Oraz że w XIV wieku, po śmierci księcia Ottona, wnuka założyciela dynastii, zamek przeszedł w ręce wpływowego rodu Rottenbaumów, który w 1553 roku dokonał jego renowacji zgodnie z renesansowymi kanonami. W roku 1676 ówczesny Dom Książęcy Brunstriechów, z jego wysokością wielkim księciem Ludwikiem na czele, odzyskał zamek, który przeżywał okres świetności aż do lata 1835 roku, kiedy to w kuchni zamkowej wybuchł wielki pożar i strawił większą część fortecy. Karel opowiedział mi, jak to wielki książę Franciszek, wasz dziadek, i jego małżonka Maria Wiktorja, rozpoczęli odbudowę, naśladowując gotycki styl Tudorów, typowy dla angielskiego Windsoru, który wielka księżna Maria Wiktorja wielce sobie ceniła, jako że była Angielką. Zwrócił uwagę, że odbudowa ciągnęła się aż do połowy 1866 roku i zakończyła na kilka miesięcy przed śmiercią wielkiego księcia Franciszka, który zdążył jeszcze obejrzeć swoje dzieło.

– Średniowieczny duch jest widoczny w całej budowli z jej wieżami i blankami, wielkimi bramami i oknami zwieńczonymi ostrołukami, choć zamek zmodernizowano według kanonów XIX wieku. Całość cechuje niewątpliwy romantyzm.

Wielka księżna Maria Wiktorja była też autorką wystroju wewnątrz, więc styl angielski dominował w większości komnat, gdzie mieszały się meble edwardiańskie z antykami sprowadzonymi ze Wschodu,

szczególnie z Chin, gdzie wielka księżna spędziła część dzieciństwa. Zwracały też uwagę kolekcje gobelinów, lamp z kryształu górskiego i przedmiotów z brązu oraz cyny z północnej Afryki. Zamkowa biblioteka, oprócz tego, że jest jednym z najpiękniejszych pomieszczeń, dzięki sufitowi z rzeźbionego drewna i bogato intarsjowanym panelom ściennym, liczy około szesnastu tysięcy książek i grafik. Wszystkie te szczegóły wyszły z ust twojego brata, a on nie okazał przy tym ani odrobiny dumy ze swego pochodzenia, nawet się nie pochwalił, że przez wieki wasza rodzina zebrała cenną kolekcję obrazów. Po prostu wyrecytował, jakby chodziło o muzealny katalog, płótna mistrzów różnych narodowości oraz rozlicznych stylów, wiszące na ścianach licznych komnat: Caravaggio, Holbein, Bacon, Delacroix, Steen, Ribera... Na pewno kogoś pominęłam. Czy ty byłbyś w stanie wymienić ich wszystkich?

Rzecz jasna, twój brat opowiedział o gotyckiej kaplicy poświęconej Maryi Niepokalanej, z niesamowitym polichromowanym drewnianym retabulum i ośmioma wielkimi witrażami przepuszczającymi dość światła, by oświetlić trzy nawy.

I na koniec wspomniał, że cały kompleks otacza dwieście hektarów lasów z terenami łowieckimi, na których hoduje się różne gatunki zwierząt i roślin charakterystycznych dla gór środkowej Europy.

Ten opis, który Karel wygłosił jak profesor albo przewodnik, przepełniony danymi i szczegółami,

wyczerpujący i tak pozbawiony zabarwienia emocjonalnego, że chwilami wręcz nudny, zrobił na mnie zaledwie w połowie tak wielkie wrażenie jak przejmujący widok ośnieżonych lasów porastających górskie stoki oraz niknąca w oddali na horyzoncie dolina, której widok ucieszył mnie, gdy wyjrzałam z balkonu swojego pokoju. Otulona ciepłymi kocami, wiedząc, że nie zagraża mi już mróz malujący okna na biało, ciekawa tajemnic skrywanych przez to niezwykle miejsce, spróbowałam zasnąć pierwszej nocy mojego nowego życia, starając się pokonać ekscytację, jaką budziło we mnie nieznane.

17 grudnia

Pamiętam, ukochany, że chociaż od miesięcy przygotowywałam się do tej chwili, czułam się jak ryba wyjęta z wody. Co powinnam robić, kiedy służąca wchodzi do mojego pokoju, żeby dołożyć drewno do kominka i przygotować kąpiel? O której się tu wstaje? Trzeba jeść śniadanie o określonej porze? I gdzie? Jak ubiera się dama, która ma spędzić dzień w zamku u boku rodziny książęcej?

– Dzień dobry – zabrzmiał głos w głębi korytarza.

Schodzący po schodach Richard Windfield zaskoczył mnie, gdy wychodziłam z pokoju.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, zamykając drzwi. – Ogromnie się cieszę, że pana widzę.

– A mnie ogromnie miło słyszeć podobne wyznanie.

– Z pewnością może mi pan wskazać drogę do jadalni
– ciągnęłam, uznając jego komentarz za oczywisty. –
Jeszcze nie jadłam śniadania.

– Jaka szkoda, że właśnie złamała pani moje
kruchutkie serce, okazując zainteresowanie moją osobą
jedynie z tak prozaicznych powodów.

– Sam pan rozumie, najpierw obowiązek potem
przyjemność. Nie jestem w stanie myśleć z pustym
żołądkiem.

– W takim razie ma pani szczęście. Ja też jeszcze nie
jadłem i właśnie miałem taki zamiar. Z przyjemnością
dotrzymam pani towarzystwa – oznajmił, podając mi
ramię, które zdecydowanie ujęłam.

– Ja także się cieszę, że nie będę musiała jeść
samotnie.

– Och, o to proszę się nie martwić. W Brunstriechu
trudno o chwilę samotności.

23 grudnia

Pamiętam, mój ukochany, że w ciągu kilku dni
mogłam osobiście potwierdzić, że lord Windfield miał
całkowitą rację: w Brunstriechu trudno o chwilę
samotności. To miejsce jest takie jak ty: obawia się
bezruchu i spokoju, bo w ciszy słyszy wycie własnych
upiorów.

Richard Windfield poinstruował mnie także co do
rozwoju akcji tragikomedii zwanej Bożym Narodzeniem.

Nieco zbyt analitycznie przedstawił mi dwa etapy. Pierwszy trwał do 25 grudnia, a jako że Boże Narodzenie to święto rodzinne, tylko najbliżsi zasiadali przy stole wielkiego księcia. Pamiętasz najbliższych? Tę grupkę ośmiu osób, składającą się z twojej matki, Karla i ciebie, lorda Windfielda, trzeciego syna, hrabiny Marii Tatiany Niewanowicz oraz jej wnuczki, Nadii Karoliny Niewanowicz, narzeczonej Karla, za którego miała wyjść w kwietniu, oraz księcia Aloisa von Kriosrt, twojego wuja i niesfornego kuzyna nieboszczyka wielkiego księcia, niesfornego przynajmniej dla tych, którzy uważali, że zamieszkanie w Brazylii, gdzie w młodości zainwestował cały swój majątek w plantacje kakao, było ekstrawagancją; ci sami jednak, którzy określali go mianem szalonego przedsiębiorcy, ryzykanta awanturnika albo zdrajcy rodziny, w rzeczywistości zazdrościli mu znacznej fortuny zgromadzonej dzięki eksportowi cenionego owocu. Na koniec ja zajmowałam swoje krzesło przy stole i starałam się nie zwracać na siebie uwagi pośród całego tego luksusu, przepychu i stylu życia rodem z powieści.

Drugi akt miał się rozegrać po Bożym Narodzeniu, poinformował mnie lord Windfield w charakterystyczny dla siebie sposób. Wtedy dochodziło do swego rodzaju zjazdu arystokracji europejskiej i bogatej burżuazji, pojawiał się też ten czy ów modny intelektualista i z pewnością kilka budzących ciekawość postaci, uważanych za zabawne, bo inne. A zatem co rok sadzaliście przy

swoim stole sufrażystkę wielokrotnie aresztowaną za zakłócanie porządku publicznego, emigranta, który osiągnął sukces finansowy dzięki jakiemuś przedziwnemu interesowi, wynalazcę rozdrabniarki śmieci, mówcę ze *speaker's corner* w londyńskim Hyde Parku, a nawet wszystkich naraz, po prostu dlatego, że byli dla was zabawni. Muszę przyznać, że ten zwyczaj wydał mi się okrutny.

Tymczasem w ciągu pierwszych dni w Brunstriechu pośpiesznie adaptowałam się do nowego życia. Ta grupa osób służyła mi za poligon doświadczalny, gdy po latach przerwy wchodziłam do towarzystwa, wszak wszyscy rozumieli, że zamknięta tak długo w rodzinnym dworku na andaluzyjskiej wsi byłam nieco odzwyczajona od światowego życia. Musiałam popracować nad wieloma podstawowymi rzeczami, które sprowadzały się do tego, jak prowadzić wyrafinowaną rozmowę, nie mówiąc przy tym o niczym konkretnym, jak częstować się potrawami z bufetu, trzymając w jednej ręce przykrywkę półmiska, a w drugiej talerz lub jak to robić, by nigdy nie wyglądać na zmęczoną i mieć zawsze coś zabawnego do powiedzenia. Tymczasem wolne chwile poświęcałam na naukę niemieckiego, rzecz jasna z nauczycielem; często też spacerowałam w towarzystwie Richarda lub zamykałam się w bibliotece, gdzie bardzo rzadko zdarzało mi się na nikogo nie natknąć. W sumie w Brunstriechu nigdy nie byłam sama. Pomijając niezwykle cenne półtorej godziny – czas, który zarezerwowałam sobie zaraz po wschodzie

słońca na ćwiczenia w oranżerii.

Jednakże szczęście tej upragnionej samotności niedługo trwało, gdyż księżę Alois upatrzył sobie to samo miejsce i porę na lekturę porannej prasy.

– Cóż to za ćwiczenia? – dał upust swojej ciekawości, gdy tylko się pojawił.

– Joga. Trudno to wyjaśnić. Powiedzmy, że jest to dyscyplina pozwalająca kontrolować umysł i ćwiczyć ciało. Ojciec nauczył się jej podczas podróży do Indii i wpadł na wspaniały pomysł, żeby przekazać ją mnie. Fantastycznie wyrabia siłę mięśni i kości.

– Joga? Nigdy o czymś takim nie słyszałem – wyznał z błyskiem szczerzej ciekawości w oczach.

Szybko spostrzegłam, że przy śniadaniowym stole można najlepiej zaobserwować, kto dołącza do eleganckiej społeczności, która w najbliższych dniach miała zamieszkiwać zamek: nowe nakrycie, nowa twarz.

Tamtego dnia oczekiwano, że wreszcie się pojawisz, ale w końcu okazało się to niemożliwe.

– W naszej ojczyźnie – powiedziała twoja matka – mówi się, że ktoś jest jak Gwadiana: pojawia się i znika. Taki jest mój syn Lawrence, z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Masz bardzo ładny wisiorek, Isabel – zauważył księżę Alois, siedzący naprzeciwko mnie nad talerzem cynaderek i kawą.

– Ach to? – Udałam obojętność, jakbym nie przywiązywała wagi do rzeczy, które dla innych są ważne,

jednocześnie wyciągając klejnocik spośród falbanek bluzki, żeby go wyeksponować. – To *Hati*, słoń. W Indiach jest świętym zwierzęciem, czasem nawet uznawanym za boskie, przynoszącym bogactwo. To amulet. Nigdy się z nim nie rozstaję – przesadziłam.

– Tak, słyszałem coś na ten temat. Podobno tubylcy czczą nawet boga-słonia.

– Ganeśę, boga nauki, w połowie człowieka, w połowie słonia.

– Ale czy on nie powinien mieć uniesionej trąby?

– Nie, nie, to część tradycji zachodniej. W Indiach w zasadzie położenie trąby nie ma znaczenia.

– Wygląda na to, że się pani dobrze orientuje w sprawach kultury indyjskiej – zauważył, jednocześnie unosząc do ust widelec z okropnie wyglądającym kawałkiem cynaderki w sherry.

– Cóż, przyznaję, że tego właśnie bym pragnęła, ale tak naprawdę wiem tylko to, co opowiedział mi ojciec i co mogłam przeczytać w kilku książkach. To on podarował mi *Hati*. Poza tym tamten świat wydaje mi się niebywale pociągający. – Przymrużyłam powieki i odłożyłam sztucce, żeby móc swobodnie gestykulować. – To kultura bardzo uduchowiona, tak głęboko ludzka i trafna w postrzeganiu życia... Między nami mówiąc, uważam, że hinduizm, buddyzm, szintoizm jako religie, ale też kultury i sposób życia, o wiele lepiej się sprawdzają niż religie zachodnie – wyszeptałam, nachylając się do jego ucha, jakbym się zwierzała. – Mam nadzieję, że nie jest pan

zgorszony moimi poglądami.

– Och, proszę mi mówić Alois. I w żadnym razie nie jestem zgorszony. Prawdę mówiąc, bardzo mnie pani intryguje. Powinniśmy odbyć długą i spokojną rozmowę na ten temat. A zatem Ganeśa, bóg-słoń. A dlaczego jest w połowie słońem, a w połowie człowiekiem?

– Istnieje wiele legend na ten temat. Jednak najładniejsza moim zdaniem to ta, która opowiada, że Ganeśa, syn Śiwy, najwyższego boga, którego żoną jest Parwati, urodził się, kiedy Śiwa walczył na wojnie z asurami. Pewnego dnia, kiedy Parwati poszła się wykapać, nakazała Ganeśi strzec wejścia do jej komnat. Właśnie wtedy Śiwa wrócił z wojny i chciał zobaczyć się z żoną. Ganeśa, który nie poznał swojego ojca i nie został przez niego rozpoznany, zabronił mu wejścia, gotów z nim walczyć. Wściekły Śiwa uciął mu głowę. Gdy zrozumiał, że zabił własne dziecko, i widząc rozpacz jego matki, obiecał zejść na ziemię i dać chłopcu głowę pierwszego stworzenia, jakie napotka. Tym stworzeniem okazał się słoń.

– No pięknie, pięknie. Doprawdy zdumiewające. Kochana, jest pani niczym księża.

Uśmiechnęłam się do niego, on odwzajemnił mój uśmiech, a jego twarz poznać było jeszcze więcej zmarszczek podkreślonych działaniem brazylijskiego słońca. Muszę przyznać, że twój wuj, książę Alois, mimo swojego wieku był mężczyzną niezwykle atrakcyjnym. Bardzo mi się podobała jego opalona twarz, skutek życia

na świeżym powietrzu wśród kakaowców, okolona srebrzystymi włosami i ozdobiona cienkim, zgrabnie przystrzyżonym czarnym wąsikiem. Jednak nade wszystko uwielbiałam jego duże zielone oczy, które lekkie zmarszczki w kącikach czyniły niezwykle ekspresyjnymi. Nietrudno było zrozumieć, że takie atrybuty oraz, rzecz jasna, spory majątek czyniły go w tej chwili jednym z najbardziej pożądanych kawalerów, czego on zresztą nie miał zamiaru zmieniać, jak wiesz.

– A wie pani, że zastanawiałem się nad tymi ćwiczeniami, tą...

– Jogą? – pomogłam mu.

– No właśnie. Też chciałbym spróbować. Sądzi pani, że byłbym w stanie?

– Każdy może ćwiczyć jogę pod okiem dobrego nauczyciela. Ale ja bez wątpienia nie jestem na tyle biegła, żeby nim zostać – pośpieszyłam z wyjaśnieniem.

– Och, proszę nie przesadzać z tą skromnością. Na pewno będzie mogła mnie pani przynajmniej wprowadzić w tę sztukę.

Przez chwilę udawałam, że się nad tym zastanawiam, zaledwie przez kilka sekund. To jasne, że nie jestem żadnym guru, ale oczywiście mogłam go czegoś nauczyć i powinnam to zrobić.

– Cóż, może moglibyśmy spróbować podstawowych asan, które znam.

– Asan?

– Pozycji jogicznych – poinformowałam go, z trudem

skrywając nutę arogancji.

Podobało mi się, że ja, prowincjuszka bez porządnego wykształcenia, mogę czegoś nauczyć kogoś ze światowego towarzystwa twojej matki.

Pełne wyrazu oczy księcia Aloisa wyrażały sympatię.

– Ale – wróciłam do konfidencjonalnego tonu – musimy zachować dyskrecję. Gdyby ktoś się dowiedział, że panienka z wyższych sfer oddaje się takim ćwiczeniom, mógłby się zgorszyć, a ja nie chciałabym sprawić przykrości cioci Aleksandrze.

– Oczywiście, oczywiście, świetnie to rozumiem. To będzie nasz mały sekretik – zgodził się Alois, puszczając do mnie oko.

Wyznaję ci, bracie... Bracie... Zdaje się, że nigdy, a przynajmniej jak daleko sięgam pamięcią, nie nazywałem cię bratem. Tak naprawdę poza świadomością pokrewieństwa, poza zwykłym przypadkiem, który dał nam tę samą kołyskę, nigdy nie czułem, że jesteś moim bratem. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, a w dniu, kiedy w końcu to się zmieniło, wszystko się skończyło. To ciekawe, że dopiero od tamtej pory uważam cię za brata, jakbym w końcu cię zrozumiał.

Wyznaję ci więc, bracie, że choć może na to nie wygląda, zawsze byłem człowiekiem mniej rodzinnym niż ty. Brunstriech nigdy nie był dla mnie ciepłym domowym ogniskiem ani rodzinnym schronieniem, nie wzbudzał we mnie też rodowej dumy; oznaczał wyłącznie obowiązek

narzucony przez miłość naszej matki, dla mnie wtedy jedyną naprawdę szczerą.

Może dlatego wszystko w Brunstriechu wydawało mi się nie takie, jakby było wynikiem spisku przeciwko mnie. Tak naprawdę tamtego poranka dostrzegłem znamiona spisku i w tajemniczej zdolności naszej matki, która potrafiła sprawić, że wszyscy spotykali się przy śniadaniu, choć nigdy nie narzuciła jego określonej pory, a w zamku, rzecz jasna, nikt nie wstawał na sygnał pobudki. Skoro tak, to dlaczego nikt nie wylegiwał się w łóżku i wszyscy pojawiali się punktualnie, w odstępach mniej więcej pięciominutowych, żeby razem wypić kawę i sok, zjeść ciasteczka, parówki, jajka i inne smakołyki przy tym samym stole?

Zawsze mnie intrygowało to zamiłowanie do wspólnych śniadań, bo ja o poranku nie czuję się szczególnie towarzyski ani elokwentny i oddałbym wszystko, żeby móc zjeść w zaciszu swojego pokoju. A jednak takim zachowaniem sprawiłbym przykrość matce i rozczarowałbym tych, którzy częściowo byli też moimi gośćmi.

Tak więc starając się złagodzić swój zły humor mocną kawą, ze zdumieniem się przyglądałem, jak pozostali żywo konwersują od tak wczesnych godzin i są w stanie podtrzymywać rozmowę niemal bez przerwy aż do chwili udania się na spoczynek. Przodowała w tym przede wszystkim nasza matka, która miała wyjątkowy dar albo, zależnie od okoliczności, przekleństwo

niemilknięcia nigdy i w tamtej chwili dzieliła się z hrabiną Niewanowicz swoim oburzeniem spowodowanym wiadomością, że pewien nieznaczący pisarz o aspiracjach filozoficznych, którego w ubiegłym roku zaprosiła na Boże Narodzenie, mimo że jego dzieła były wręcz okropnie nudne, lecz w jej mniemaniu był bardzo dekoracyjny dzięki swojej sylwetce i słowiańskim rysom, ożenił się z bogatą mieszczką i porzucił tanią literaturę na rzecz nauczania nuworyszów dobrych manier w towarzystwie.

– Dmitrij, który był hulaką o rewolucyjnych ideach! – zakrzyknęła na poły oburzona, na poły rozbawiona.

Obok niej ona... która spiskowała z wujkiem Aloisem, złotym kawalerem, albo kokietowała go, nie potrafiłem tego jednoznacznie stwierdzić. Jeśli kiedykolwiek wątpiłem, że ty i ja naprawdę jesteśmy dziećmi tej samej matki i tego samego ojca, jeśli kiedykolwiek przyszło mi do głowy, że jesteś adoptowanym cygańskim dzieckiem, to oczywiście, że wystarczyło mi spojrzeć na wujka Aloisa, żeby odrzucić obie te możliwości. Nie bez powodu jesteście dokładnie tacy sami, nie tylko fizycznie, ale także w sposobie bycia, zwłaszcza wobec kobiet. Tak samo nieuważni na cały świat, atrakcyjni dla płci pięknej, uwodzicielscy kobieciarze. I gdyby nie to, że w odróżnieniu od wujka Aloisa, ty, jako starszy syn, powinieneś zapewnić ciągłość dynastyczną Wielkiego Księstwa Valdavii, idę o zakład, że również zostałbyś złotym kawalerem. Wydawało się,

że ona wpadła w sidła miłej pogawędki z księciem.

Patrząc na wprost, mogłem stwierdzić, że nawet Nadia, osoba z natury raczej milcząca, rozmawia z Richardem, może dlatego, że on milczkiem w żadnym razie nie jest. Nasze spojrzenia spotkały się nad krawędzią filizanki. Śliczne oczy Nadii przez chwilę spoczęły na mnie, ale natychmiast skromnie spuściła powieki, zdradzając nieśmiałość. Czasami wzruszała mnie niewinność Nadii, jej kruchość; przypominała porcelanową lalkę nieustannie narażoną na potłuczenie, jeśli nie będzie się jej traktowało z należyłą delikatnością; wzruszał mnie nawet jej niezbyt lotny umysł, ograniczający się do tego, co zdołano jej z wielkim wysiłkiem wtłoczyć do głowy. Takie słabości czyniły ją jeszcze mniej odporną, bardziej wymagającą ochrony, a zarazem bardziej pasującą do tego, do czego ją przeznaczono: do roli żony podporządkowanej wybranemu dla niej mężowi oraz królowej uległej wobec wybranego dla niej ludu. Każda inna kobieta z odrobiną charakteru stanowiłaby problem, bo by się buntowała albo, co gorsza, starała się stosować własne kryteria wyboru. Dlatego, choć trudno mi było wyobrazić sobie, że jestem mężem Nadii, wiedziałem, że nasze małżeństwo nie byłoby piekłem dla żadnego z nas. Dla niej dlatego że była wychowana w taki sposób, aby pokornie i z uśmiechem przyjmować swoje przeznaczenie. A dla mnie dlatego, że oprócz tego, że Nadia była uległa, miła i nieco ograniczona, to była też kobietą o wielkich niebieskich

oczach, jasnych włosach i gładkiej różowej skórze – ogólnie była bardzo piękna, a jej uroda, o ile mi wiadomo, nie umknęła twojej uwagi, co z kolei napełniałoby mnie dumą, że posiadam coś ładnego, czego ty nie miałeś. Byłem więc pewien, że mógłbym wzbudzić w sobie czułość dla niej. Konieczność poszukiwania gdzie indziej intelektualnych podniet, których u niej nie sposób znaleźć, nie wydała mi się wielką niedogodnością. Jeśli do tego dodać, że moim obowiązkiem było ją poślubić, wszystko inne schodziło na dalszy plan. Bo jeśli można wymienić jakąś cechę, która bezsprzecznie mnie charakteryzuje, na pewno jest to silne poczucie obowiązku.

Właśnie ta cecha sprawiła, że już przed dwoma laty cesarz Franciszek Józef powierzył mi sprawę tak delikatną. To i pełne zaufanie, jakim darzył mnie stary monarcha, bo, jak wiesz, nie tylko jesteśmy spokrewnieni, ale też byłem jego osobistym doradcą w sprawach polityki zagranicznej, więc świetnie rozumiałem, że obowiązek, który złożono na moje barki, był bardzo ważny dla bezpieczeństwa cesarstwa, a nawet Europy. Byłem świadom, że sojusz z Rosją ma żywotne znaczenie w wysiłkach dyplomatycznych mających zapobiec wojnie. Chociaż byłem przekonany, że wojna jest nieunikniona, zgodziłem się użyć wszelkich możliwych środków, aby nie stała się konfliktem na wielką skalę, angażującym wszystkie narody. A w tych szalonych czasach, w jakich przyszło nam żyć, świat zdaje się zgadzać co do tego, że wojna jest nie tylko jedynym, ale i najlepszym wyjściem.

Cesarstwo pragnęło jej, aby umocnić swoją pozycję na Bałkanach i zdusić nacjonalistyczne zagrożenie. Rosja widziała w niej sposób na odzyskanie międzynarodowego prestiżu poważnie nadwerżonego po porażkach w Japonii oraz odsunięcie groźby powszechnej rewolucji. Francja szukała zemsty za sromotną klęskę w wojnie z Prusami w 1871 roku oraz chciała odzyskać Alzację i Lotaryngię. Niemcy widzieli w niej możliwość umocnienia wpływów na arenie międzynarodowej swego nowo powołanego cesarstwa, szczególnie wobec Wielkiej Brytanii, a ta była gotowa porzucić swoją *splendid isolation*, politykę trzymania się na uboczu, widząc zagrożenie dla swojej hegemonii na morzach i w koloniach ze strony cesarstwa niemieckiego. A w tej grze interesów wszyscy pociągnęliby za sobą państwa krążące wokół nich jak satelity.

Może z racji tego, że urodziłem się w księstwie zagubionym pośrodku Europy, mając ojca Austriaka i matkę Hiszpankę, babkę Niemkę, wujka Szweda, cioteczną babkę Rosjanę i angielskie wykształcenie, nie zdołałem w sobie wyrobić silnego poczucia patriotyzmu i takie nacjonalistyczne porywy wydawały mi się niezrozumiałe. Niemniej, aż za dobrze wiesz, że sprawy tak się miały, a ja siedziałem w nich po uszy.

Wszystkie te wydarzenia pogrążyły mnie w ciągłym pesymizmie, zabiły moją pogodę ducha i w końcu uczyniły ze mnie człowieka smutnego i cierpkiego. Do tego stopnia, że perspektywa świąt Bożego Narodzenia

(tak jak rozumie je nasza matka) była dla mnie nie do zniesienia. W poprzednich latach stawiałem czoło naszym znanym i budzącym zachwyty świętom w Brunstriechu z entuzjazmem albo przynajmniej spokojem. Jako że nigdy nie byłem osobą szczególnie towarzyską, ceniącą sobie tłumne spotkania, bale tematyczne i najazdy europejskiej śmietanki na własny dom – jeśli kiedykolwiek za taki uważałem zamek w Brunstriechu – nie brylowałem też w eleganckich konwersacjach, nie byłem zawołanym tancerzem ani doskonałym gospodarzem, bo tę rolę scedowałem na ciebie, po prostu starałem się spędzać czas w możliwie najlepszy sposób, zajmując wygodny drugi plan, a to w większości wypadków pozwalało mi się dobrze bawić. Dla odmiany w tamtym roku... doskonale wiedziałem, że Boże Narodzenie będzie długą i niebywale nudną drogą krzyżową.

24 grudnia

Pamiętam, ukochany, że Richard Windfield obiecał mi wizytę w miejskiej tawernie i był przekonany, że spokojne popołudnie Bożego Narodzenia, w które większość ludzi odpoczywa w oczekiwaniu na dalszy ciąg świąt, będzie na to najlepszą porą.

To niespotykane zaproszenie, bardziej właściwe robotnikom portowym niż dystyngowanej arystokracji, wynikło z absurdalnej kłótni – właściwie takie są niemal wszystkie kłótnie – na temat mojego hiszpańskiego

dzieciństwa, kiedy to często zachowywałam się jak łobuziak. Jako dziecko rzucałam kamieniami w bezbronne żaby w sadzawce albo wspinałam się na mury ogrodu wuja Fructuosa, żeby podkraść figi, wbijałam szpilki w mydło, ukrywałam świerszcze w gramofonie... Nie byłam aniołkiem. Gdy przyznałam się do takich postępów, a zrobiłam to jedynie przez nieuwagę, jedynym wyjściem z sytuacji, jakie przyszło mi do głowy, było oskarżenie lorda Windfielda, że jest dobrze ułożonym, wydelikacowanym mieszcuchem, niezdolnym do smakowania rozkoszy wiejskiego życia, bo on ze swojego dzieciństwa pamiętał jedynie partyjki krykieta albo spacer po Saint James Park, gdy popychał kółko, prowadzony za rękę przez *nanny*. Zraniony w swojej męskiej dumie wyzwiał mnie na wypicie kilku piw w tawernie, a ja, która nigdy nie próbowałam piwa, musiałam się zgodzić, inaczej już nigdy nie potraktowałby mnie poważnie.

Z całą pewnością ty, ukochany, ze swoim charakterem i arystokratyczną, mało demokratyczną wyższością wielkiego księcia, nigdy nie odwiedziłeś tego skrawka, a raczej strzępka Wielkiego Księstwa, które powinno być utkane z jedwabiu i brokatów. Przedstawię więc wszystkie szczegóły, umożliwiając ci w ten sposób dokładne odtworzenie tej wspaniałej chwili.

Tawerna była budą z drewna i kamienia, starą i rozpadającą się, przesiąkniętą zapachem trocin, tytoniu podłej jakości i dymu z kominka, którego palenisko,

bardziej brudne niż zniszczone, prawdopodobnie nie było czyszczone przez lata, co, jak się zdaje, było zgodne z zasadami higieny, których przejawy dało się dostrzec także w reszcie lokalu: podłoga nikła pod trocinami i resztkami niewiadomego pochodzenia; stoły i sosnowe ławy pokrywały warstwy lepkiego brudu, po których z pewnością można by poznać wiek lokalu, w taki sam sposób, jak się to robi ze słojami drzewa. Nie ulega jednak wątpliwości, że komuś kiedyś przyszło do głowy uczynić z tego chlewu przyjemne miejsce, bo okna były przesłonięte firankami, na stołach stały świece, a na kominku pyszniła się świąteczna ozdoba. To prawda, że firanki były zaplamione tłuszczem i poczerniałe, lichtarzyki zalane stopionym woskiem, którego nikomu nie chciało się usuwać, w świątecznej ozdobie zaś brakowało kilku bombek, które ktoś, pewnie podochocony radosnym nastrojem panującym w tym miejscu, postanowił sobie zabrać.

Tamtego popołudnia ani na chwilę nie przestawał prosić śnieg, czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałam, więc tawerna świeciła pustkami, było w niej tylko kilku szaleńców, którzy, podobnie jak my, wyruszyli z domu na spotkanie przygody, nie bacząc na porywisty wiatr. Dwóch mężczyzn o nieprzyjemnym wyglądzie grających w karty przy ogniu i właściciel tawerny drzemiący za barem odwrócili się, żeby na nas spojrzeć, gdy usłyszeli, że wchodzimy w towarzystwie zimnego podmuchu wiatru gnającego płatki śniegu. Śledzili nas

badawczym wzrokiem, dopóki nie usiedliśmy, bo, jak przypuszczam, od dawna nie widziano w tym miejscu kobiety, przynajmniej tak gładko ogolonej, jako że była tam też dziewczyna usługująca do stołu, ale miała wyraźny ciemny cień nad górną wargą, a do tego wielkie piersi, które bez skrupowania podtykała lordowi Windfieldowi pod oczy, podając mu piwo, tak że aż zaczęłam się bać, że wciągną go jak pysk dzikiej bestii.

– Boże, Richardzie, to jest gorzkie jak cykuta! – wykrzyknęłam, krzywiąc się, spróbowałszy czarnej lury z brązową pianą.

– Oczywiście, bo to piwo. Czego się pani spodziewała? – odpowiedział swobodnie i zaraz pociągnął długi łyk, rzucając mi w ten sposób kolejne wyzwanie. – Gdzie się podziała pani odważna natura, co?

– Chyba została w Costerze – odparłam, z obawą dotykając stołu i czując, jak przylepiają mi się do niego palce – bo to bardzo czyściutkie miasteczko.

Richard się zaśmiał.

– Dobrze – zgodziłam się. – Tym razem pan wygrał. Ale proszę przyznać, że pan również nie znajduje się w swoim ulubionym miejscu.

– Nie, ale piwo mi smakuje.

– A ja nie mogę pojąć dlaczego – westchnęłam i znowu upiłam łyček. Poczułam pieczenie na czubku języka i gorzki posmak w gardle. Odstawiłam na stół ciężki kufel z postanowieniem, że już tam pozostanie. – Wie pan – spróbowałam zmienić temat rozmowy, skoro

stało się jasne, że ta brudna tawerna nie pasuje nam obojgu – zastanawiałam się nad...

Przerwałam, bo Richard uwodzicielsko przesunął kciukiem po moich ustach, ocierając z nich resztki piwnej piany, co mnie rozproszyło. Chociaż nie były mi niemiłe jego nieustanne próby flirtu, to czasem sprawiały, że trochę się denerwowałam. Cóż... nie wszyscy zostali obdarzeni łaską mistrzostwa w sztuce miłosnej.

– Dziękuję. Mówiłam, że zastanawiałam się nad tym, co się wydarzyło w Paryżu, i o tej książce z tym czymś... od niebieskich smoków. Jak to się nazywało?

– Haszysz – odpowiedział, a z racji jego brytyjskiej wymowy słowo to zabrzmiało jak kichnięcie.

Może w innej sytuacji natrząsałabym się z niego, odpowiedziałabym figlarnym „na zdrowie”. Ale nie wydało mi się to właściwe; byłam dziewczyną niewinną i skrytą, pamiętasz?

– A to jest to samo co kannabis, prawda?

– Tak – odparł zaskoczony. – Skąd pani to wie?

– Powiedział mi książę Alois.

Wydało mi się, że z niechęcią zmarszczył czoło.

– I dodał też, że nie jest nielegalny. No właśnie... pamiętam, że niania Lourdes brała to na reumatyzm i kupowała w aptece w naszym miasteczku, w postaci liści do zaparzania. A nie wydaje mi się, żeby Lourdes widywała niebieskie smoki!

Lord Windfield, ze swą ostentacyjną brytyjską flegmą, zamiast natychmiast odeprzeć moje zawoalowane

oskarżenie, oparł łokieć na stole – odważny gest, biorąc pod uwagę stan mebla – a brodę na dłoni i z lekko uniesioną brwią wpatrzył się we mnie. Uśmiechał się lekko, lecz w uśmiechu tym nie było radości, raczej wręcz przeciwnie.

– I co? – zachęciłam go.

– Sądzi pani, że kłamałem?

– A co powinnam myśleć?

– Może to, że w tamtej chwili nie zadałem sobie trudu, żeby obszernie pani wyjaśnić, że kannabis rzeczywiście jest powszechnie używany w celach medycznych, a zaledwie przed kilkoma miesiącami na konferencji w Hadze postanowiono uregulować jego stosowanie, bo w niektórych środowiskach zaczyna się go konsumować w wielkich ilościach jako środek halucynogeny, co jest szkodliwe dla zdrowia, moralności i porządku publicznego. I szkoda, że książę Alois jest cwaniaczkiem szafującym swoimi opiniami, choć nie ma pojęcia, o czym mówi, i daje pani do zrozumienia, że jestem kłamcą.

No dobrze, ale nie jest nielegalny, pomyślałam. Lecz nie upierałam się, bo uznałam, że napięcie i tak już jest zbyt silne.

– Już dobrze. Proszę się na mnie nie złościć. Chciałam tylko to wyjaśnić. Musi pan zrozumieć, że nie czułam się komfortowo, myśląc, że może ukrywa pan przede mną... prawdę.

– A dlaczego miałbym panią okłamywać? Może

mogłaby pani okazać odrobinę więcej zaufania. – Zastanowił się przez chwilę, zanim dodał: – To ciekawe, że ja dla odmiany musiałem pani bronić z powodu tej sprawy.

– Bronić mnie?

– Tak. Pani kuzyn Karel sądzi, że mogła pani wymyślić całą tę historię z zamieszaniem na dworcu i że książka tak naprawdę należała do pani.

Ach, ten Karel! To wydało mi się naprawdę dziwne, poczułam się urażona i przybita. Szeroko otworzyłam oczy.

– Że ja...? Moja? Boże! I w parku też sama próbowałam wyszarpnąć sobie torebkę, i sama przewróciłam do góry nogami pokój hotelowy. A może wynajęłam kogoś, żeby to zrobił? A w jakimż to celu, według mojego kuzyna, przywiozłam narkotyk? Terapeutycznym czy żeby zobaczyć niebieskie smoki? Jak to możliwe?! On w ogóle mnie nie zna, a ośmiela się wysuwać tak poważne oskarżenia.

W przypiływie oburzenia chwyciłam kufel i pociągnęłam solidny łyk piwa, a poczuwszy nieprzyjemny smak w ustach, musiałam pohamować mdłości.

– W porządku, w porządku – uspokajał mnie lord Windfield. – Niech się pani nie unosi. Wyjaśniłem mu, że jego podejrzenia są bezpodstawne. Karel już taki jest... czasem widzi coś, czego nie ma.

Westchnęłam głęboko i udałam, że wściekłość mi przechodzi.

– To oczywiste, że kimkolwiek jest właściciel książki, nie zamierzał zrobić nic dobrego z taką ilością narkotyku, w dodatku tak przygotowanego.

– Jak? Cóż w nim było takiego szczególnego?

– Sprasowany i przygotowany do palenia po wymieszaniu z tytoniem ma właściwości halucynogenne i prowokuje wizje, o których rozmawialiśmy.

– A skąd pan tyle wie na ten temat?

– Dzięki pracy w służbie bezpieczeństwa ambasady.

– Cóż, ja już nie mam ani narkotyku, ani tej dziwnej książki, a on, nasz przyjaciel nieudolny złodziej, ma mój wspaniały egzemplarz *Pani Bovary*, z której do końca pozostały mi tylko dwa rozdziały!

– Dama taka jak pani czyta *Panią Bovary*? – skomentował Richard nieco kpiarskim tonem. – To lektura sufrażystek.

– To korzyść z tego, że jestem sierotą: nikt się nie wtrąca do moich lektur i ich nie cenzuruje, nawet takich dla sufrażystek. W każdym razie zaczęłam ją czytać z czystej niezdrowej ciekawości.

Richard pytająco uniósł brwi.

– W szkole była to lektura zabroniona – pośpieszyłam zaspokoić jego ciekawość. – Kiedyś przyłapano na jej czytaniu uczennicę ostatniej klasy i zakonnice natychmiast zaczęły układać na patio stos dla dziewczyny i książki, niczym Święta Inkwizycja, w ramach przykładowej kary. W owej chwili moja bujna młoda wyobraźnia kazała defilować po stronicach *Pani Bovary*

wszelkiego rodzaju niewybrednym i przerysowanym obrazom, co tylko rozbudziło moją ciekawość. Czasem zakaz jest najlepszą zachętą. – Zamilkłam na chwilę, nagle zainspirowana swoją myślą. – A wie pan... może to tak jak z kannabisem?

– Kannabis i *Pani Bovary*? Nie widzę związku.

– Zaraz wyjaśnię. W dziejach zawsze zakazywano pewnych książek, tak, przede wszystkim książek, ale i innych dzieł artystycznych, bo były, jak to pan wcześniej powiedział, „szkodliwe dla zdrowia, moralności, i porządku publicznego”. Tak samo jak ten narkotyk, haszysz. A zatem to, co dla jednych jest środkiem pobudzającym umysł i zmysły, dla innych jest trucizną.

Richard się zamyślił.

– Zdumiewające... nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że istnieje związek między sztuką i narkotykami. A zatem co pani proponuje? Legalizację narkotyków czy delegalizację sztuki?

Wiedziałam, że lord Windfield zastawia na mnie sidła, i zastanawiałam się, jakiej odpowiedzi oczekuje. Na wszelki wypadek wybrałam prowokację.

– To prawda, że nie mam wyrobionego zdania na temat narkotyków. Niemniej, jeśli narkotyki, tak jak sztuka, stymulują umysł i zmysły, bardziej niebezpieczne byłoby ich zakazywanie niż legalizowanie.

– Narkotyki nie stymulują umysłu, tylko go zabijają, zapewniam panią.

– Przemawia pan jak ci wybitni mężowie, którzy

spalili bibliotekę znamienitego szlachcica Alonsa Kichana.

– Któremu eposy rycerskie zniszczyły rozum, o ile się nie mylę.

– Szaleństwo sztuki to słodkie szaleństwo – wymamrotałam pod nosem. – Nie można zakazywać tego, co stanowi najdoskonalszy wyraz wspaniałej ludzkiej natury. To sztuka czyni z nas istoty wyższe. A czy to przypadkiem nie jest silny narkotyk?

Natychmiast zdałam sobie sprawę, że Richard nie chce dalej kroczyć tą drogą: obawiał się ugrzęznąć.

– Być może... I powiem pani, że mimo iż *Pani Bovary* niszczy stary porządek, nie sędzę, żeby była narkotykiem. To tylko historia o kobiecie, która się buntuje, marzy i jest niemal tak piękna jak pani.

Zrobiło mi się przykro, że w tak frywolny sposób zakończył rozmowę, która tak znakomicie się zapowiadała. Dowiedziałam się też jednak i zrozumiałam, jakim jest człowiekiem.

– Bardzo dziękuję, lordzie Windfield, za to porównanie – odpowiedziałam z lekkim, ale i afektowanym skinieniem głowy. – A teraz czy może mi pan zamówić następne piwo?

– Ależ podobno pani nie smakuje.

– Przeraza mnie, ale jak mawiał wuj Fructuoso, odnosząc się do swej świętej małżonki: „Jeśli będę się zmuszał, na pewno dojdę do tego, że ją polubię”.

I Richard Windfield znowu się zaśmiał, wyrzucając z

siebie przy tej okazji zgoła nieangielskie salwy śmiechu.

Wyznaję ci, bracie, że jako człowiek refleksyjny działałem z rozmysłem. Ale proszę cię, uwierz mi, nigdy nie cechowała mnie premedytacja. Jeśli chodzi o nią, nigdy nie działałem zgodnie z góry ustalonym planem. Sam byłem najbardziej zaskoczony tym, jak potoczyły się wydarzenia po Bożym Narodzeniu.

Tak naprawdę, nawet nie zdając sobie sprawy, w tamte święta biernie czekałem na zbliżające się przyjęcie i w alkoholu odnalazłem cichego towarzysza refleksji.

Za każdym razem, kiedy ukazywało się dno szklanki, kierowałem się do barku, unosiłem korek karafki i z wolna przelewałem do szklanki jej zawartość, tę pyszną lśniąca ciec w kolorze bursztynu, a jednocześnie powściągliwie i badawczo przyglądałem się całej operacji, jakbym był chemikiem u progu odkrycia jakiegoś fantastycznego wzoru. Wychyliłem już czwartą whisky. Nie miałem zamiaru utopić swoich smutków w alkoholu, nie żebym nie miał na to ochoty, ale wydawało mi się to niestosowne w Boże Narodzenie. Moim jedynym celem było wymknąć się z grupy rozmówców, tworzącej się po kolacji, za każdym razem, kiedy rozmowa stawała się dla mnie nudna i nużąca, co niestety zdarzało się nazbyt często, biorąc pod uwagę moją skłonność do alkoholu.

Pociągnąłem łyk, który lekko podrażnił mi gardło, co było oznaką, że mogę dalej pić; dopiero kiedy będę odczuwał delikatną pieszczotę trunku na strunach

głosowych, powinienem przestać. Ponieważ nie miałem ochoty wdawać się w jakąś absurdalną dyskusję o rozkoszach francuskiej Riwiery wiosną, oparłem się o kominek i zapaliłem papierosa, gotów pogrążyć się w spokoju mojego odosobnienia.

Za plecami słyszałem głosy pozostałych oraz dźwięki kolędy przygrywanej przez wujka Aloisa na pianinie, przy choince, której gałązki, uginające się pod ciężarem ozdób, czekały na prezenty ułożone z dziecięcą niewinnością, którą, jak mi się zdawało, sam utraciłem zbyt dawno temu. Poprzez dźwięki muzyki o posmaku marcepanu rozpoznałem głos mamy, sztucznie wesoły i frywolny. Wiedziałem, że tak naprawdę jest trochę smutna: jej ulubieniec, pierworodny Lawrence, nie pojawił się na kolacji w wigilię Bożego Narodzenia. To w chwilach takich jak ta odczuwałem wielką czułość wobec naszej matki, kiedy widziałem ją słabą i starą, bardziej niż kiedykolwiek zasługującą na miłość i ochronę. I to właśnie w takich chwilach nienawidziłem cię za to, że jesteś bezwzględnym egoistą. Bo choć mama usiłowała traktować nas tak samo i starała się obdarzać nas taką samą czułością, ja wiedziałem, że ma swoje preferencje. „Pierwszym słowem, które wypowiedział Lawrence, było «mama»”, zwykła mawiać z dumą, która z kolei kazała jej pominąć fakt, że pierwsze słowo, jakie wypowiedział Karel, brzmiało „banan”. Ty, najstarszy syn, dziedzic, wielki książę; ty, który byłeś źrenicą jej oka, jej dumą, najmądrzejszy, najśliczniejszy, najlepszy... Właśnie ty po

raz kolejny ją zawiodłeś, Bóg jeden raczy wiedzieć z jakiegoż to niebywale ważkiego powodu, który zapewne nosił kobiece imię. Ale wiedziałeś, że jutro możesz się pojawić z byle jakim usprawiedliwieniem i z tysiącem pocałunków, które złożysz na delikatnych, pomarszczonych policzkach mamy, a może z jakimś prezentem z Paryża. I ona znowu ci wybaczy, znowu wyniesie cię na piedestał i będzie uwielbiać. Taki byłeś: ciągle jak syn marnotrawny...

– Poczęstujesz mnie papierosem?

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem znajomą twarz Richarda Windfielda, który oderwał mnie od moich rozmyślań.

– Oczywiście – przytaknąłem i ofiarowałem mu papierosa. – Powiedziałeś już wszystko, co miałeś do powiedzenia na temat francuskiej Riwiery?

Richard zapalił papierosa i zanim się odezwał, głęboko zaciągnął się dymem.

– Już dawno zostawiliśmy Riwierę, żeby odbyć podróż we wspaniałą świat kobiecych strojów. Nie chodzi o to, że nie lubię damskich fatalaszków, tyle że zwykle wolę się ich pozbywać...

Jego ironia zdołała skłonić mnie do uśmiechu.

– A ty? Przerwałem ci jakieś fantastyczne rojenia, jakie zwykle przychodzą ci do głowy?

– Dziękuję za komplement, ale nie. Myślałem, że może dziś za dużo piję – wyznałem ze spojrzeniem utkwionym w oleistych falach whisky, czekających

cierpliwie w czeskim szkle.

– Alkoholu nigdy za wiele – dalej sobie żartował.

– Tak mówisz, bo jak co roku się napijesz, pośpisz jak suseł do południa i wstaniesz jak nowy. Ale ja, też jak co roku, będę musiał wstać skoro świt, żeby pójść z matką na mszę.

– Tym razem jesteś w błędzie. Bo w tym roku ja także wstanę skoro świt i udam się na mszę – odpowiedział dość enigmatycznie.

– Nie mów, że nagle nawróciłeś się na katolicyzm, bo i tak ci nie uwierzę.

– I dobrze zrobisz – odparł, bynajmniej nie po to, żeby rozwiać moje wątpliwości, bo to zrobił już spojrzeniem, które otwarcie w nią wlepił.

– Och, nie. – Tylko na tyle było mnie stać.

– Podoba mi się twoja kuzynka, Karlu. Bardzo. To chyba najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Poza tym jest inteligentna, wykształcona i zabawna...

Richard opisywał ją z pasją, nie spuszczać z niej wzroku, jak znawca opisuje dzieło sztuki: to, co widoczne, i to, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Ja też na nią patrzyłem: dzieliła jakieś sekrety z wujkiem Aloisem, jak zwykle. Miała na sobie zieloną sukienkę z dziwnego materiału, którego nazwę, mnie obcą, znała każda kobieta. Chodziło o to, że przylegała do niej jak druga skóra, podkreślając jej sylwetkę, jak na mój gust nazbyt szczupłą, ale w sumie była smukła i proporcjonalna; moją uwagę przykuły (inaczej nie byłbym

mężczyzną) piękne piersi, ani za duże, ani za małe.

Aż za dobrze wiesz, jaka ona jest... ale opowiem ci, jak ją wtedy widziałem, jak zwróciłem uwagę na jej czarne, lśniące włosy; na oczy (jakże by je pominąć?), wielkie i lekko skośne, tak ciemne, że wydają się czarne, okolone długimi, gęstymi rzęsami; na jej wydatne usta; i wysokie kości policzkowe, wyraźnie zarysowane dzięki jej szczupłości. Poza tym wydawało mi się, że jej nos jest zbyt okazały, więc nie uznałem jej za piękność, przynajmniej według obecnych kanonów, bo daleko jej było do porcelanowej laleczki o złotych włosach i małych usteczkach. A jednak miała... to coś. Tak, ja też to dostrzegłem, mimo mojej obojętności: dostrzegłem ów egzotyczny rys, który czynił ją inną od pozostałych kobiet; trudno było oderwać od niej wzrok, przyciągany przez magnetyzm właściwy rzeczom, które nas odprężają i niepokoją zarazem, jak ogień w kominku albo spokojne morze. Czy była inteligentna, wykształcona i zabawna, tego nie potrafiłem powiedzieć, bo zamieniłem z nią zaledwie kilka słów. W każdym razie byłem przekonany, że Richard przesadza. Przecież przy całym moim doświadczeniu z płcią przeciwną, które oczywiście wcale nie może się równać z twoim, nigdy w życiu nie spotkałem kobiety, która łączyłaby w sobie te przymioty; mógłbym nawet przysiąc, że takie cudo nie istnieje, poza spojrzeniem zakochanego mężczyzny.

– Już wiesz, że mi się nie podoba – odezwałem się głośno, jakbym dokonywał suchego podsumowania

przeprowadzonego w myślach szczegółowego badania.

– To fantastycznie, bo w tych sprawach wolę nie otrzymywać zbyt wielkiego wsparcia.

– Nie o to chodzi. Chodzi o to... że jej nie wierzę.

– Och, przestań, Karel! Nie zaczynaj znowu z tą przeklętą książką! Popadasz w obsesję.

– To coś więcej – chciałem się usprawiedliwić. – Bo... no dobrze, robi rzeczy... dziwne. Zachowuje się dziwnie, inaczej niż się oczekuje od kobiety takiej jak ona, biednej sieroty bez dachu nad głową z hiszpańskiej prowincji.

– Co ty gadasz? – rzucił Richard, okazując raczej zniecierpliwienie niż ciekawość wobec tego, co uznał za moją fantazję.

Wcale nie miałem zamiaru dzielić się z Richardem swoją opinią czy podejrzeniami na jej temat, jakbym był starą plotkarą z rodzaju tych, które zwykle otaczają matkę, ale czułem się do tego zmuszony, żeby nie wyjść na intryganta rzucającego bezpodstawne oskarżenia.

– Któregoś dnia zaskoczyłem ją w oranżerii, bardzo wcześnie rano. Była ubrana na biało i przyjmowała pozycje... hm, jakby wykonywała jakieś cudaczne ćwiczenia.

Podczas gdy starałem się to opisać, nie będąc w stanie precyzyjnie się wyrazić – może dlatego, że moje możliwości ekspresji zostały już nadwreżone przez alkohol – przyszedł mi do głowy obraz tej kobiety, która wydawała się tańczyć w zwolnionym tempie, jej ruchy

przywodziły na myśl motyla, kwiat, ptaka, orientalną boginię... I chociaż muszę przyznać, że przyglądałem jej się przez dłuższą chwilę, zachwycony pięknem figur rysowanych jej ciałem, to nie chodziło o to, czy ćwiczenia były piękne i harmonijne, ale czy odpowiednie dla dobrze urodzonej kobiety.

– I co? Gimnastykowała się. Teraz wszyscy lekarze to zalecają – usprawiedliwił ją Richard. – Nie widzę nic złego w tym, że chce być w dobrej formie.

– I te dziwaczne pogańskie fetysze, które ciągle nosi na szyi – mówiłem, udając, że go nie słyszę. – Kobiety z jej klasy noszą perły albo medalik z Najświętszą Panią. Poza tym... – ciągnąłem, gotów przedstawić ostatni dowód. W głębi ducha niepokoił mnie moralizatorski ton rodem z Moliera, który zacząłem przyjmować, ale czułem się zobowiązany kontynuować w imię przyjaźni z Richardem, a także, nie ma co temu zaprzeczać, dlatego że musiałem podzielić się z kimś swoimi podejrzeniami – kiedyś widziałem, że czytała *Bhagawadgitę*, w tłumaczeniu Annie Besant gwoli ścisłości. Co, tak przy okazji, przykuło uwagę mojego wuja.

– Annie Besant? – powtórzył Richard. Wydawało się, że wreszcie rozbudziłem ciekawość mego towarzystwa, ale tylko na chwilę. – To na pewno można jakoś wytłumaczyć. Wiesz co, Karlu, chyba za bardzo poświęcasz się sprawie. Musisz odpocząć, oderwać się od tego albo oszalejesz.

Chciałem go zapytać, czy rzeczywiście tak uważa. Mnie samego niepokoiło, że ciągle wyczerpująco analizuję każdą rzecz, choćby najbardziej codzienną i zwyczajną. Wolałem jednak zachować to dla siebie, nie chciałem okazywać zmęczenia czy słabości. Nie w tej chwili.

– Dlaczego zamiast szeptać i zgadywać, nie zapytasz jej o to? Jej zachowanie z pewnością jest znacznie bardziej rozsądne, niż ci się wydaje.

No, nie jest to zły pomysł, zastanowiłem się.

– Może tak zrobię. A co do tematu, który cię interesuje – dodałem, znowu zwracając wzrok, jeśli w ogóle wcześniej go odwróciłem, na duet, jaki tworzyła z Aloisem – jeśli chcesz czegoś od mojej dziwnej kuzynki, musisz się postarać. Wygląda na to, że lubi dojrzałych mężczyzn...

25 grudnia

Pamiętam, ukochany, dzień Bożego Narodzenia; tego dnia pojawiłeś się ty.

Brunstrieck lśnił, spiżarnia była pełna, piwnice dobrze zaopatrzone; odpowiednio poinstruowana służba bardzo się starała godnie obsłużyć wszystkich zaproszonych razem i każdego z osobna; pokoje zostały należycie przygotowane; dom był bardziej niż czysty, wypucowany i przybrany zimowymi kolorami: zielenią jemióły, czerwienią jabłek, pomarańczem ognia, bielą

śniegu. Nie potrafiłam obojętnie przejść obok, nie unosząc oczu ku wierzchołkowi wielkiego świerku, największego, jaki kiedykolwiek widziałam poza lasem, który wznosił się majestatycznie ozdobiony tysiącem barw pośrodku holu, ocierając się gałęziami o poręcz schodów i przepelniając swoim zapachem, zapachem świąt, powietrze w Brunstriechu. To ty mi powiedziałaś, że w Brunstriech zawsze pachnie świątami... z powodu otaczających go lasów.

Tamtego wieczoru, przy okazji oficjalnej inauguracji sezonu karnawałowego, miałam ochotę poświęcić czas i uwagę swojej toalecie, zaspokajając w ten sposób kobiecą próżność i pragnienie, żeby żadna inna kobieta na przyjęciu nie wyglądała tak pięknie jak ja. Po obiedzie udałam się do swojego pokoju, żeby trochę się przespać (co gwarantuje świeżość cery i spojrzenia), wziąć kąpiel i na spokojnie podejść do procesu, który dla was, mężczyzn, jest niezrozumiałym i czczym rytuałem.

Wiedziałam, że moje plany wezmą w łeb, w chwili, kiedy podszedł do mnie Richard Windfield z szachownicą pod pachą, aby zaprosić mnie na partyjkę warcabów – w rzeczywistości partyjek było znacznie więcej – przy kominku w opustoszałym, cichym salonie. Przeklinając brak determinacji, który czasem mnie dopadał, i nieodpartą siłę perswazji lorda Windfielda, uległam, narażając w ten sposób na szwank boską doskonałość, jaką planowałam osiągnąć.

W końcu nadszedł czas przygotowań do przyjęcia.

Mimo że mogłam liczyć na pomoc jednej ze służących twojej matki, w moim pokoju zapanował pośpiech i zamieszanie. Niczym za kulisami w noc premiery, wszędzie był chaos. Gdy wreszcie udało mi się pokonać całą serię poważnych, typowo kobiecych problemów związanych ze stabilnością fryzury, naturalnością makijażu i niesfornością haftek, udało mi się wyjść z pokoju zaledwie kilka minut przed rozpoczęciem przedstawienia. Na wypadek gdybyś nie pamiętał albo nie zwrócił na to uwagi, miałam na sobie czerwony jedwab, obsyty srebrną nitką i skrojony przez samego Paula Poireta, najbardziej szanowanego paryskiego projektanta w tamtym czasie; na dekolcie, odważnie obnażonym, spoczywał wspaniały naszyjnik z brylantów i rubinów.

Zatrzymałam się na chwilę przed lustrem w korytarzu, okazując próżność i kokieterię, żeby sprawdzić, czy nie trzeba dokonać jeszcze ostatnich poprawek. Na piętrze poniżej słychać było gwar, który świadczył o tym, że przychodzę rzeczywiście w ostatniej chwili. Może powinnam zetrzeć trochę różu z policzków?

– Piękniejszą niż pani w tej chwili zapewne nie można być.

Przestraszyłam się, słysząc obcy głos i komplement po francusku, ale przede wszystkim poczuwszy lodowate dłonie na ramionach. Obruszona odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z mężczyzną, który mnie zaskoczył w jednej z najbardziej intymnych dla kobiety chwil: flirtującą zalotnie z własnym odbiciem; a do tego

ośmielił się mnie dotknąć bez pozwolenia.

– Przestraszył mnie pan.

– Egzotyczna, dystyngowana, zniewalająca... – ciągnął nieznajomy o słowiańskim wyglądzie i akcencie, którego spojrzenie, niemal przejrzyste błękitne, było tak świdrujące, jakby chciało się przebić przez materiał sukienki.

– Pan wybaczy – przerwałam mu obcesowo. – Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Kawaler, którego zakwalifikowałam do tego stanu tylko dlatego, że spotkałam go w domu twojej matki, ujął moją dłoń i przysunął do ust.

– Hrabia Mikołaj Iwanowicz Zagoronow ściele się do pani stóp, *mademoiselle*.

– Bardzo mi miło, hrabio Zagoronow – byłam równie zimna, jak uprzejma. – A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wrócić do pokoju, bo widzę, że zapomniałam chusteczki.

– Nie znam jeszcze pani nazwiska.

– Markiza Engracia María Ana Isabel Alsasúa Álvarez de Guillena de Vilamar – wyrecytowałam sarkastycznie, zanim znikłam za drzwiami pokoju.

Gdy znalazłam się w środku, odczekałam kilka chwil, z wielkim oburzeniem rozpamiętując bezczelność tego hrabiego... jak mu tam, tak naprawdę w ogóle mnie to nie interesowało. Kiedy uznałam, że już odszedł, ostrożnie otworzyłam drzwi i wyszłam.

– *Ah, ein neues Gesicht! Und sehr schön. Ja, sehr*

schön...

Wyprostowałam się jak struna, słysząc, że znowu ktoś mówi za moimi plecami. Zaczęło się to stawać bardzo nieprzyjemnym zwyczajem.

– Przepraszam, ale nie zrozumiałam ani słowa z tego, co... pan powiedział.

Nie uważam się za osobę, na której łatwo zrobić wrażenie; nie jestem taka. Może po prostu nigdy nie znalazłam się w obliczu czegoś, co mogłoby wywrzeć na mnie ogromne wrażenie: niespotykanego piękna, przesadnego i niemal obraźliwego w swojej doskonałości.

Dostrzegałam, jak przez mgłę snów i marzeń, księcia o oczach nasyconych kolorem zazdrości; włosy w odcieniu śmierci; pierś opancerzona orderami niczym nowoczesną zbroją zaszczytów i uznania; trucizna w uśmiechu i spojrzeniu; dworne gesty i, rzecz jasna, dusza pełna cnót oraz szlachetne serce. Jak wszyscy książęta z bajki. A jeszcze się nie upiłam.

Wiele bajek towarzyszyło mi w dzieciństwie, ponadto dorastałam pod znakiem literatury romantycznej: książczynami, którymi karmiły się moje dziewczęce marzenia w młodości, siłą przemienionej w dojrzałość, gardziłam jako prymitywnymi, żalonymi i nierealistycznymi. Czyż jednak właśnie nie przydarzała mi się scena żywcem wyjęta z takiej powieści? Przyznałam wtedy ze wstydem, że słabnę.

– To ty! – Złudzenie nabrało życia.

Nie wiem, kim konkretnie miałam być, ale byłam

absolutnie gotowa stać się tą osobą, jeśli to by zadowoliło mojego bohatera.

– Tak... – wyszeptałam, jak szepczą, bo nigdy nie mówią zwyczajnie, bohaterki tanich powieści.

– Isabel? Kuzynka Isabel?

– Tak... – wyszeptałam znowu, tym razem odruchowo.

– Cholera! Powinienem był się domyślić. Jakże się cieszę, że cię widzę! Od przyjazdu do Brunstriechu nic tylko słyszę o tobie.

Mój błękitnokrwisty książę był odrobinę nazbyt prostacki jak na moje wyśnzione marzenie: malutki szczególnie będący pikantnym dodatkiem do jego urody i sylwetki.

Tak rozmyślając, zapomniałam, że powinnam coś powiedzieć, zwłaszcza w obliczu takiego entuzjazmu.

– Jestem Lars!

– Lawrence?

– Tak nazywa mnie matka i akt chrztu: Lawrence Heinrich Maksymilian. Ale ja wolę Lars. Jesteś rozczarowana?

– Nie... nie!

Boże! Rozczarowana? W roli bohaterki tanich romansów, w jaką się wcieliłam, byłam zachwycona, oszołomiona, olśniona, otumaniona, a może nawet zakochana. Jednak dzięki przeblyskowi rozsądku postanowiłam zachować wstrzemięźliwość.

– Też się cieszę, że w końcu cię poznaję –

odpowiedziałam z chłodem zupełnie nie na miejscu.

– Świetnie. A skoro już się sobie przedstawiliśmy, powinnaś mi towarzyszyć do salonu. Na pewno jesteśmy ostatni i matka znowu się na mnie obruszy.

Na szczęście wychowanie powściąga nasze zwierzęce instynkty. Wystarczy się przyjrzeć zwyczajom godowym innych gatunków, żeby stwierdzić, że każde zwierzę rzuca się z mniejszą lub większą łatwością na przedstawiciela płci przeciwnej, nie zadając sobie niepotrzebnego trudu. I tak właśnie bym zrobiła, gdyby nie to, że zostałam dobrze wychowana, więc jedynie skromnie ujęłam ramię, które mi ofiarowałeś. Czasem żałuję, że gatunek ludzki jest tak racjonalny.

Schodząc po ogromnych schodach wspaniałego zamku, u boku wielkiego księcia, czując jego ramię, z trenem sukni spływającym po kosztownych dywanach, w klejnotach migocących pięknie w świetle kryształowych żyrandoli, bardziej niż kiedykolwiek czułam się bohaterką taniego romansu.

Gdy dotarliśmy do wielkiej sali balowej, rozświetlonej, lśniącej, barokowej, wyglądało na to, że wszyscy zgromadzeni czekają tylko na nas. Myślałam, że mnie zostawisz, aby dołączyć do tego tłumu, który pragnął cię otoczyć, pozdrowić, porozmawiać z tobą i ci nadskakiwać. A jednak wyniośle potraktowałeś zebranych i poprowadziłeś mnie, sprawiając, że ludzkie morze się rozstało, niczym wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem, do marmurowego krzyża na posadzce,

kazałeś orkiestrze grać, ująłeś mnie w talii i zaczęliśmy tańczyć. W tej chwili dotarło do mnie, że właśnie rozpoczęło się przedstawienie i że powinnam szczególnie lśnić, odgrywając swoją rolę. Na szczęście przeczytałam dość książek, żeby swobodnie stawić temu czoło.

– A zatem to ty jesteś tą malutką kuzynką Isabel, która przyjechała z Hiszpanii... – wyszeptałeś mi do ucha, prowadząc mnie, jak mi się zdawało kilka centymetrów nad podłogą.

Tak, dziewczynka z hiszpańskiej prowincji, bez grosza przy duszy, którą narzeczony zostawił przed ołtarzem – ta sama, zmusiłam się do przypomnienia sobie tego wszystkiego.

– Może teraz to ty jesteś rozczarowany... – rzuciłam, kokieteryjnie zawieszając głos; nie robiłam takich rzeczy zbyt często, teraz jednak udawało mi się znakomicie pozorować zalotność, jak tego wymagała sytuacja.

– Czyż egzotyka i uroda połączone w jednej istocie mogłyby rozczarować?

– Och, jesteś bardzo miły, drogi kuzynie.

– Mylisz się. To nie kurtuazja, lecz szczerłość i podziw.

Z każdym doskonale wyważonym zdaniem okazywałeś się prawdziwym mistrzem w sztuce uwodzenia. Do takiego poziomu na pewno dochodzi się poprzez praktykę.

– To oczywiste – kontynuowałeś – że w słońcu Hiszpanii przez te wszystkie lata dojrzał możliwie

najdoskonalszy owoc, z którego robi się najprzedniejsze wino, o bogatym, wykwinnym smaku. Nie ma nic wspanialszego, niż upić się winem z najlepszego rocznika.

– Być może. Jednak zanim się stwierdzi, czy wino jest dobre, należy go spróbować.

Sądzę, że ledwie wierzyłeś własnym uszom. Lekko się odsunąłeś, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Pragnę to zrobić.

Z wystudowanym dramatyzmem spuściłam powieki, jakbym nie była w stanie wytrzymać twojego spojrzenia. Tak jak się spodziewałam, na właściwej glebie bezwstydnie się pleniłeś. Zadowolony z siebie upajałeś się pewnością, że serce mocno mi bije, może z powodu tańca, jednak na pewno też z twojego powodu. Na pewno uważałeś się za pogromcę, który zniweczył wysiłki, jakie podejmowałam, aby z godnością odeprzeć podstępne ataki, którym żadna kobieta przy zdrowych zmysłach wcale nie chciałaby się oprzeć. A tym bardziej ja, która, mimo że udawałam obojętność typową dla dobrze urodzonych kobiet, byłam tylko dziewczyną z prowincji, którą doświadczony donżuan mógł zdemaskować z przerażającą łatwością. To właśnie moje spłoszone spojrzenie i rumieniec miały dać ci do zrozumienia, że jestem kobietą jak inne.

A uwodzenie może być fascynującą grą, zależnie od tego, z kim się gra.

– Ach, Isabel! Szukałem pani – oznajmił księżę Alois, oddzielając mnie tym samym od grupki

rozmawiających osób, do której się przyłączyłam, aby odpocząć między tańcami. – Proszę pozwolić, że przedstawię pani kogoś, kto bardzo chce ją poznać. Mówiłem mu o pani niepokojach...

Wziął mnie pod rękę i poprowadził do leciwego mężczyzny krążącego po salonie z talerzem, na którym widniały już tylko smutne okruchy. Był wysoki i postawny, z rzadkimi, krótkimi, siwymi włosami. W jego twarzy, okrągłej i puciołowatej, błyszczały żywe oczka, miał też wąsik o artystycznie podwiniętych końcówkach, zgodnie z wymogami panującej mody.

– Borysie, oto dama, o której ci opowiadałem. Isabel de Alasúa, markiza Vilamar. Isabel, przedstawiam pani dostojnego kawalera Borysa Iljicza.

– To dla mnie zaszczyt, markizo – powiedział, całując moją dłoń.

Jego akcent był bardzo wyraźny, ale mężczyzna ośmielał się mówić po hiszpańsku, jakby swobodnie posługiwał się tym językiem.

– Dla mnie również, panie Iljicz.

– Nie, nie, proszę mi mówić Borys, bo to imię okrągłe jak ja sam – zachęcił mnie, głośno uderzając się dłonią po okazałym brzuchu.

– W takim razie proszę mnie nazywać Isabel. Nie jest to imię okrągłe, ale podoba mi się bardziej niż markiza.

– Ach, Isabel! To pięknie, to pięknie. Piękne imię dla pięknej kobiety. Ciemne oczy, śniada cera, jak Cyganeczka. – Gestykulował przesadnie.

– Cóż – wtrącił się Alois – skoro już się znacie, pójdę poszukać jakiejś damy gotowej ze mną zatańczyć. Proszę uważać, Isabel, ten mężczyzna to istny Don Giovanni.

– Proszę go nie słuchać – sumitował się Borys, gdy zostaliśmy sami. – Żaden Don Juan nie był brzuchaty ani nie miał moich lat. Słabością wielkich kochanków jest to, że młodo umierają.

Zaśmiałam się, częściowo rozbawiona jego słowami, a częściowo przez grzeczność.

– Sądzę, że żaden Don Juan nie miał też pana inteligencji.

– Bardzo pani miła. Czy zechciałaby pani potowarzyszyć temu inteligentnemu brzuchaczowi w poszukiwaniu jedzenia?

Nieraz znudzone damy i kronikarze socjety bez skrupułów krytykowali twoją matkę, że podczas przyjęć uciekała się do tego, co oni uważali za ekstrawagancką i niestosowną modę dowodzącą braku szacunku dla zaproszonych, a mianowicie do bufetu. Księżna wdowa nigdy nie zwracała uwagi na takie komentarze. Wiesz przecież, że to, co pisały o niej kroniki towarzyskie, zawsze ją bawiło, a najbardziej krytyka. Dlatego tego wieczoru, jak w wiele innych, w sali rozstawiono stoły z potrawami wszelkiego rodzaju, żeby niezmordowani tancerze mogli wzmocnić nadwątlone w tańcu siły, podczas gdy gaszeniem pragnienia zajmowało się kilku kelnerów oferujących napitki.

– W Brunstriechu dobrze się jada. Czy nie uszedł

pani uwagi ten kulinarny cud? – Borys wskazał ręką na stoły. – To prawdziwe skarby. Takich *Spitzbuben* jak te nigdy nie jadłem. Już piętnaście razy odbyłem pielgrzymkę do tego stołu. Próbowwała pani?

– Jeszcze nie.

– Proszę jeść, proszę jeść.

Nieomal wetknął mi do ust ciastko i czubki swoich palców. Borys wydawał się człowiekiem spontanicznym, którego niewiele interesują takie konwenanse jak ten, który mówi: „Nie karmić kobiet”. W każdym razie był zabawny, trochę jak dziecko, więc nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się obrazić albo poczuć skrępowanie.

– Bardzo dobre – zgodziłam się, starając się, żeby okruchy nie wypadały mi z ust.

– *Magnifique!* Wezmę kilka dla pani.

A kiedy się tym zajął, ja wypiałam wino do dna, żeby spłukać resztę ciasta.

– Znam Hiszpanię. Bardzo piękny kraj! Sympatyczni ludzie, piękne pejzaże. Znakomite jedzenie! I przepiękne kobiety. Byłem w Madrycie: Cibeles, Prado, Giralda, *olé!*

– Ale... Giralda jest w Sewilli.

– Och, tak! Sewilla. Piękna, piękna... Nie znam Sewilli.

Nie potrafiłam pohamować śmiechu, a ponieważ Borys paplał bez ustanku, można powiedzieć, że zawładnął rozmową.

– Szkoda. Mam asystenta z Galicji. Ja uczyć hiszpańskiego od niego. Jest skuteczny, ale brzydki i

nudny. Nie ciemne oczy, nie śniada skóra, nie sylwetka gitary. Tak, kształt akordeonu. Teraz proszę opowiedzieć coś o sobie. Mam ochotę posłuchać ładny hiszpański. Proszę pozwolić, żeby pani śpiewny głos poszybował po salonie.

– Obawiam się, że gdy zacznę mówić, przestanę się bawić.

– Ale wtedy ja zacznę się bawić. Proszę się napić szampana i powiedzieć, co Hiszpanka robi w Brunstriechu?

Posłuchałam go. Pan Iljicz wydał mi się bardzo miły, jak też dość władczy; przypuszczałam, że zawsze otrzymuje od innych to, czego chce. I nie wątpiłam, co Borys chciałby usłyszeć z ust kobiety takiej jak ja.

– To długa historia, trochę nudnawa i całkiem banalna, która kończy się tym, że okoliczności zmuszają dziewczynę do opuszczenia rodzinnego miasteczka i wyruszenia w świat.

Pan Iljicz się uśmiechnął, pozwalając, aby na jego twarzy zagościł wyraz ojcowskiego zrozumienia.

– I jak pani znajduje świat?

– Jest wielki. Czasem myślę, że dla mnie zbyt wielki. Kiedy indziej nęci mnie myśl, że nie ma granic.

– Wie pani co? Wielka kobieta potrzebuje do życia wielkiego miejsca. Dobrze być obywatelem świata. Wyglądać poza miejsce, które widziało nasze narodziny, i wszędzie znajdować coś z nas samych. Jest pani młoda, ma pani całe życie, żeby odkrywać świat, żeby uczynić go

swoim, bez strachu, bez ograniczeń, bez uprzedzeń. Alois mi opowiadał o pani zainteresowaniu innymi kulturami...

Kiedy byliśmy o krok od tematu, który mnie interesował, pojawiłeś się ty.

– Przepraszam, że przerywam.

– *Et voilà*, oto i gospodarz. Wspaniałe przyjęcie, chłopcze. – Tylko po kimś takim jak Borys można się było spodziewać, że nazwie wielkiego księcia chłopcem. Zauważyłam, że to ci się nie spodobało. – Bardzo smaczne jedzenie. Ale nie tęskniliśmy za panem.

– Tak myślałem. Dla odmiany ja za wami owszem.

– To oczywiste: jesteśmy dwiema najzabawniejszymi osobami na tym przyjęciu.

– To prawda – zgodziłeś się, przywołując jeden ze swoich fantastycznych uśmiechów. – Dlatego przyszedłem poprosić do tańca jedną z nich.

– Ponieważ, jak sędzę, nie chce pan tańczyć ze mną, zgadzam się, żeby zabrał pan tę piękną kobietę. Proszę z nim iść, Cyganeczko, ale proszę nie pozwolić mu się za bardzo przytulać.

– Tak zrobię.

Posłałam Borysowi uśmiech wdzięczności za tę radę, ale bezwarunkowo poddałam się twojemu rozmyślnemu zbliżeniu w walcu.

Był jeden taniec, potem następny i kolejny... i tak, pomiędzy tańcami, szampanem i *Spitzbuben*, nadeszły pierwsze godziny następnego dnia.

26 grudnia

– Widziałem, że w nocy wychodziła pani ze swojego pokoju. Zaniepokoiłem się, że źle się pani poczuła.

Richard podszedł do mnie przy śniadaniu. Wydawało mi się, że w tonie jego głosu i wyrazie twarzy dostrzegam prawdziwy niepokój.

– Bardzo panu dziękuję za zainteresowanie, Richardzie – odparłam. – Choć przykro mi, że niepotrzebnie się pan martwił. W rzeczywistości powód był jak najbardziej trywialny...

I zaczęłam mu opowiadać niewielką przygodę.

Zmęczona wróciłam do pokoju. Zegar na wieży powiadomił mnie, że jest trzecia. I chociaż oczy piekły mnie z niewyspania i potrafiłam myśleć tylko o łóżku, które odbijając się w lustrze toaletki, nęciło mnie obietnicą odpoczynku, zebrałam dość siły woli, żeby rozczesać włosy i zmyć makijaż.

Leniwie zdjęłam klejnoty i z dbałością kogoś, kto nie chce ryzykować straty, zaczęłam układać je w szkatułce. Nagle zdałam sobie sprawę, że *Hati*, mój talizman, zniknął z przeznaczonej dla niego przegródki. Starając się nie wyciągać pochopnych wniosków, ale zaniepokojona, jęłam przeszukiwać inne przegródki, w których mogłam go schować przez roztargnienie. Nie znalazłszy go, zaczęłam sobie wszystko po kolei przypominać: miałam wisiołek na sobie rano, więc z pewnością musiałabym zdjąć go wieczorem, żeby włożyć naszyjnik; nie

pamiętałam jednak, żebym to robiła. Wysiłając pamięć, analizowałam każdą chwilę dnia – zobaczyłam siebie, jak się nim bawię przy obiedzie, a potem już nic... Doszłam do wniosku, że prawdopodobnie poluzowałam zapięcie i *Hati* spadł mi podczas deseru albo gdy wstawałam od stołu.

Zapomniawszy o śnie i zmęczeniu, zdecydowałam, że najlepiej będzie zejść od razu do jadalni i poszukać amuletu, zanim ktoś go nadepnie, kopnie albo zamiecie, a wtedy utracę go na zawsze.

Jako że jeszcze się nie rozebrałam, bez chwili zwłoki wyszłam z pokoju. Zamek był wyjątkowo cichy i pogrążony w półmroku. Wszyscy udali się na spoczynek i dom odpoczywał wraz ze swymi mieszkańcami. Trochę zaskoczona tym niezwykłym spokojem i ciemnością bezszelestnie udałam się po schodach i pustych korytarzach do jadalni. Otworzyłam drzwi i odniosłam wrażenie, że szcęk klamki obudzi cały dom. Gdy znalazłam się w środku, zapaliłam lampę gazową i klękłam przy stole, gotowa rozpocząć drobiazgowe poszukiwania mojego malutkiego skarbu.

– I znalazła go pani? – zainteresował się Richard.

– Tak... Był pod stołem, tak jak się spodziewałam.

Skłamałam Richardowi Windfieldowi. Skłamałam przez przemilczenie, bo nie zdradziłam, co się potem wydarzyło.

To prawda, ukochany, że pod stołem w jadalni przeszukiwałam każdy zakamarek. Nie pamiętam

dokładnie, jak długo to robiłam. Pamiętam tylko, że w pewnej chwili, obolała od klęczenia i prawie całkiem zniechęcona, oparłam rękę o zaokrągloną wystającą część stołowej nogi i nagle poczułam, że ta się porusza. Skrzypienie mechanizmu i niespodziewany ruch sprawiły, że aż podskoczyłam. Zobaczyłam, jak jedna ze ścian jadalni przesuwana się niczym rozsuwane drzwi, ukazując pustą przestrzeń, tak czarną, że bardziej niż dziurę wydawała się namalowanym farbą ludzającym obrazem.

Przez kilka sekund trwałam nieruchomo, zaskoczona, pogrążona w przejmującej ciszy. Na skórze czułam wilgoć płynącą z czeluści, jak z otwartego grobowca. Zmuszając się do przewyciężenia strachu i wahania, postanowiłam porzucić jadalnię, moje bezpieczne schronienie. Zbliżyłam się do świeżo odkrytego wejścia: z nicości dobywało się lodowate powietrze, podmuch wzbijał kurz i poruszał pajęczynami. Wsunęłam do środka ramię z lampą. Poza kręgiem światła ciemność była absolutna. Także cisza. Albo... może nie. Przez krótką chwilę wydawało mi się, że do moich uszu dociera daleki szmer, jakby powtarzająca się pieśń, bezustanna, drżąca...

Wiedziałam, że w starych zamkach pełno jest tajemnych wejść prowadzących do połączonych ze sobą tuneli. Dlaczego zbudowano je w Brunstriechu? Czy były kryjówkami, miejscami spisków, arteriami komunikacyjnymi między komnatami i budynkami? Na pewno Karel, tak dobrze poinformowany na temat zamku, doskonale zna ich historię... chociaż nie wspomniał o tym

w swojej wyczerpującej opowieści, którą mnie uraczył po przyjeździe. Jakkolwiek było, przejście sugerowało tajemnicę, sekret, okultyzm. Ten ciemny korytarz, mroczny szmer pieśni, ciekawość, nieprzeparta pokusa nieznanego, chęć zbadania... Naliczyłam dziesiątki powodów, dla których powinnam przejść przez próg. Znalazłam się w czarnym korytarzu, tak wąskim, że czułam jego szorstkie objęcia. Wycieczka to nieodpowiednia dla osób cierpiących na klaustrofobię. Po obu stronach monotonnie ciągnęły się ściany z wielkich kamieni, na których tańczyły mroczne cienie rzucane przez moją lampę. Początkowo strop z plamami wilgoci, z których czasem skapywały krople, był tak niski, że musiałam się pochylić. Potem się podniósł i to do tego stopnia, że niemal ginął mi z oczu. Echo głosów z każdą chwilą wydawało się bliższe. Nie widziałam jednak blasku światła ani śladów życia.

W mroku straciłam poczucie czasu i przestrzeni. Nie potrafiłam oszacować metrów ani minut w tym korytarzu bez wejść i wyjść, bez żadnych punktów odniesienia. Szmer głosów nie ustawał; nieprzyjemny pomruk dręczący uszy niczym brzęczenie much latem, krążący wokół mnie jak nieokreślona groźba, piekący skórę jakby pot strachu. Był to dźwięk groźny i przytłaczający. Być może nawet ustał, lecz ja go wciąż słyszałam. Doprowadzał mnie do obłędu...

Zatrzymałam się i odwróciłam. A jeśli ktoś mnie śledzi? A jeśli zaskoczą mnie w tym miejscu? A jeśli ktoś

dotknie moich pleców albo szepnie coś do ucha?

Ciemność zmieniała się w białe prześcieradło, na które mój umysł zaczął rzucać przezroczyste obrazy, okropnie wykrzywione twarze, zapomniane dusze wyciem wzywające moje imię. Odniosłam niepokojące wrażenie, że coś albo ktoś się zbliża, czułam lodowaty i wilgotny oddech na karku. Nagle przestałam słyszeć i czuć; ogarnęła mnie panika. Krew zaczęła mi łomotać w skroniach, w piersi czułam walenie serca jak uderzenia wewnętrznej pięści, skrcające i tak chrapliwy już oddech. Szmer ucichł... Musiałam jednak znowu go usłyszeć, poczuć, bo stał się punktem odniesienia wskazującym przynajmniej na obecność ludzi. Wtedy usłyszałam głos ojca: „Tylko żywych trzeba się bać”. Ruszyłam przed siebie biegiem, przerażona.

Kiedy już wydawało mi się, że jestem całkiem zgubiona, daleko przed sobą dostrzegłam błysk światła. Przyspieszyłam kroku na tyle na ile pozwalały mi nogi ciężące jak kamienie, aż na wpół oślepią wpadłam na metalowe drzwi. Przez szpary biło światło i dobiegały ludzkie głosy, które wcześniej zagłuszała moja panika. Brzmiały jasno i czysto.

Oparłam się o drzwi i poczułam szorstki i zimny metal, który zostawiał mi na palcach rdzawy proszek. Drzwi z zakratowanym okienkiem przypominały wejście do celi i wychodziły na wielkie pomieszczenie, około pięciu metrów poniżej miejsca, gdzie stałam, do którego schodziło się po kamiennych schodach przylegających do

ściany z jednej strony. Z łańcuchów przytwierdzonych do murów wywnioskowałam, że mogą to być dawne lochy albo kilka połączonych ze sobą cel, bo zauważyłam inne drzwi na różnych wysokościach. Miejsce było oświetlone świecami, pochodniami i lampami oliwnymi, a na ziemi leżała na wpeł przegniła słoma oraz kawałki drewna, pewnie z zawalonego sufitu albo dawnej podłogi.

„Tylko żywych trzeba się bać”, powtarzał ojciec.

A ci, którzy tam przebywali, wyglądali na żywych; pięć zakapturzonych postaci zebranych wokół stołu, skrywających twarze za maskami, miało na sobie tuniki w różnych kolorach: czarną, czerwoną, niebieską, brązową i białą. Przy nich, jakby przewodnicząc zebraniu, stała statuetka przypominająca mi hinduskie bóstwo: była z pokrytego patyną brązu, a liczne ramiona i nogi kreśliły taniec w powietrzu, straszliwa mina kontrastowała z elegancją członków. Chociaż było widać, że zebrani starają się mówić po cichu, akustyka tego miejsca sprawiała, że do moich uszu docierał dziwny język. Ze szczególną atencją traktowali osobę w czarnej tunice i przekazywali sobie z rąk do rąk czerwoną książkę, której poświęcali wielką uwagę. W sumie sceneria była bardzo tajemnicza. Niegościnnie miejsce, maski, spod których dobywały się poważne głosy, obcy język, przerażający posąg. Kim byli ci ludzie? Co skrywała ta książka?

Poczułam się wyczerpana. Chłód i wilgoć paraliżowały mi ciało. Bolały mnie nogi od wspinania się na palce, żeby patrzeć przez zakratowane okienko. Z

nerwów i napięcia prawie nie mogłam oddychać. Nagle zebrani wstali. Wydawało się, że modlą się na drżącą melodię, od której włosy stawały dęba. Ręce trzymali złożone na piersiach: *Namaste*.

Om... Om... Om... Kali-Kama.

Nie powinno mnie tam być. Musiałam natychmiast stamtąd odejść, zanim ktoś spostrzeże moją obecność.

„Tylko żywych trzeba się bać”.

Biegłam. Pędziłam korytarzami, uciekając sama nie wiem przed czym. Niemal dniało, kiedy w końcu znalazłam się bezpieczna w swoim pokoju, pod ciepłą kołdrą. Zamknęłam oczy i próbowałam zasnąć. Jednak bardzo bolała mnie głowa, z pewnością z powodu długotrwałego napięcia, no i szampana, więc mi się to nie udawało. Wraz ze światłem dnia, które zwykle rozprasza niepokoje i wlewa otuchę w serca, rozmywając noc w niejasne senne wspomnienie, sprawy wcale się nie poprawiły.

„W nocy widziałem, że wychodziła pani z pokoju”, zagadnął mnie Richard Windfield przy śniadaniu...

Jak to możliwe, że wiedział o moim spacerze? Może za mną chodzi? Czy to jego oddech czułam na szyi i jego ręka dotykała moich pleców? Nagle, z dnia na dzień, wszystko stało się dziwne i groźne.

Wyznaję ci, bracie, że chociaż nigdy nie uważałem się za mężczyznę zazdrosnego, ty budziłeś we mnie okropnego zielonookiego potwora. Nie wiem, czy

zdawałeś sobie z tego sprawę; nie wiem, czy kiedykolwiek zdradziłem się z tym, bo potrafiłem doskonale ukrywać moje uczucia, ale prawda jest taka, bracie, że ci zazdrościłem, odczuwałem tę chorą zazdrość, która jest jak toczący ciało trąd. Ten twój naturalny czar, interesująca osobowość. Zazdrościłem ci, bo kiedy byliśmy razem, ty mnie przyćmiewałeś i sprowadzałeś do poziomu cienia.

Chociaż rozpocząłem dzień podbudowany sukcesem, jaki osiągnąłem poprzedniej nocy, solidnie wykonując swoje zobowiązania, tamtego poranka, jak wielokrotnie wcześniej, znowu ci zazdrościłem i twoja obecność zniweczyła moją dumę.

Wrzawa przy śniadaniowym stole osiągnęła apogeum – przecież mieliśmy święta. Od samego rana gwar rozmów dominował nad szczykiem sztucców i talerzy.

Nasz ojciec mawiał, że śniadanie jest chwilą radości: dobra kawa, lektura prasy i myśl o tym, co przyniesie nowy dzień, są źródłem spokoju. To oczywiste, że to nie ojciec był inicjatorem hucznych świąt w Brunstriechu, które bez wątpienia odpowiadały jowialnemu i żywiołowemu charakterowi naszej matki.

Ponieważ noc była długa, postanowiłem zregenerować siły i solidnie się najeść. Rzecz jasna, mocna kawa, żeby złagodzić skutki braku snu, a ponadto parówki, jajecznicą, szynka, kilka croissantów i owoc. To zaskakujące, że po zaledwie trzech godzinach snu byłem głodny. Specjalnie znalazłem sobie miejsce w pobliżu

Isabel. Chciałem jej się dobrze przyjrzeć, bo chociaż byłem pewien, że dla niej noc była równie długa, potrzebowalem więcej szczegółów, żeby to potwierdzić. Siedziała obok matki, która dosyć ją polubiła jak na ten krótki czas, jaki razem spędziły. Jak należało się spodziewać, Richard pilnie strzegł drugiej flanki. Nieszczęśnik miał noc pełną zgrzyoty, bo zobaczył, że obdarzasz ją szczególnymi względami. Na nic się zdało poświęcenie większości przyjęcia na podnoszenie go na duchu i zapewnianie o jego szansach. Wiedział, że jesteś bardzo trudnym przeciwnikiem. Jeśli ci się spodobała, wojna będzie bezwzględna, bo nie przywykłeś rezygnować z realizacji swoich kaprysów.

Usiadłem naprzeciwko nich.

– Dzień dobry, Isabel. Richardzie... – pozdrowiłem ich. Resztę towarzystwa widziałem już wcześniej. – Dobrze spaliście?

Richard obrzucił mnie przygnębionym spojrzeniem.

– Tak sobie... – On był szczery.

– Dzień dobry, Karlu. Wspaniale, dziękuję – skłamała ona.

Jej twarz była blada, a makijaż z trudem to tuszował. Nic nie jadła. Niechętnymi łyżkami popijała coś, co wyglądało jak napar z rumianku. Przypominała osobę, która wstała z rana z żołądkiem wywróconym na lewą stronę. Uśmiechnąłem się do niej, dorzucając grymas niedowierzania i maskując go kęsem parówki. I niemal z całą pewnością mogłem stwierdzić, że ona, podobnie jak

ja, spała tylko trzy godziny – bo albo bardzo się myliłem, albo w nocy panienska przybyła na spotkanie, na które i ja zostałem zaproszony. Odszukałem jej oczy, półprzymknięte, ze spojrzeniem utkwionym w jakimś punkcie filizanki rumianku. Mogłem przysiąc, że te same widziałem w nocy. Te oczy, wyraziste i piękne – nie mogę temu zaprzeczyć – lśniły w półmroku korytarza i mimo pewnej odległości nie pomyliłbym ich z żadnymi innymi. Poza tym widziałem, jak opuszczała swój pokój i ostrożnie szła korytarzem. Choć mnie to zaskoczyło, początkowo nie uznałem tego za dziwne; pomyślałem, że czegoś potrzebuje albo ma sekretną schadzke z którymś ze swych licznych adoratorów... Ponieważ w żadnym razie nie miałem zamiaru być strażnikiem jej cnoty, bo zajmowały mnie sprawy o wiele bardziej istotne, nie ruszyłem za nią, żeby to potwierdzić, i po prostu o tym zapomniałem. Lecz później... Tak, ona też była w lochach zamku. Dlaczego się tam znalazła i z ukrycia obserwowwała tajne spotkanie? Oto, co mnie dręczy. To kolejna z wielu okoliczności, które wyszły na jaw w ostatnich tygodniach, wzbudzając mój niepokój oraz nieufność wobec tej kobiety. Istna wilczyca w owczej skórze.

Jedno stawało się coraz bardziej oczywiste: nie ma czasu do stracenia. Należy działać natychmiast. Stawka była wielka, a ta kuzyneczka nie była pionkiem przewidzianym przeze mnie na szachownicy.

– Dzień dobry wszystkim! – zawołałaś głosem,

którego nie można by przypisać nikomu innemu, dokonując swego zwyczajowego tryumfalnego wejścia.

– Dzień dobry – odpowiedzieliśmy wszyscy chórem pomiędzy łykami kawy; jedni z większym entuzjazmem niż inni.

Bez wahania skierowałeś się do matki i złożyłeś na jej policzku długi pocałunek.

– Dzień dobry, kochana mamó. Jak zawsze wyglądasz świeżo i pięknie.

– Pochlebca... – odpowiedziała ona z udawanym chłodem, lecz uśmiechała się i puszyła, przepełniona dumą i miłością do swojego ulubieńca, który właśnie zaszczycił ją pocałunkiem na oczach całej konkurencji.

Po odegraniu tej sceny, co natychmiast uczyniło cię głównym bohaterem reszty przedstawienia, zająłeś puste krzesło obok mnie.

– Wszyscy macie zadowolone miny, więc wnioskuję, że spaliście tak dobrze jak ja. Nawet ty, braciszku, jesteś mniej blady niż zwykle.

Byłeś na tyle uprzejmy, że zwróciłeś się do mnie bezpośrednio, a twoim słowom towarzyszyło poklepanie mnie po ramieniu – typowy dla ciebie gest, którego szczerze nienawidziłem, bo zwykle poprzedzał komentarz ośmieszający mnie w towarzystwie.

Wzięłeś cukierniczkę i wsypałeś odrobinę cukru do herbaty. Żaden z twoich gestów nie wydawał się przypadkowy. Matka, która przed chwilą przerwała rozmowę, spojrzała na ciebie z niepokojem.

– Nic nie zjesz, synu?

– Nie, mam, już jadłem: jajecznicę na boczku i tosty i kawę. Teraz mam ochotę tylko na herbatę... i na jeden z tych croissantów, bo wyglądają tak smakowicie – dodałeś i wyciągnąłeś rękę do mojego talerza, nawet nie kłopotując się pytaniem o pozwolenie.

Spojrzałem na ciebie z oburzeniem, ale nie miałem najmniejszej ochoty się odzywać. Wiedziałem, że to bez sensu.

– Ależ ty wcześnie wstajesz! I niech Bóg zawsze darzy cię takim apetytem – wycedziła ona przez zęby. To zdanie było jednym z niewielu, jakie wypowiedziała podczas śniadania, nawet nie udając, że chce, by ktoś zwrócił na nią uwagę.

– Wcześnie zniknąłeś dziś rano – zauważyła nasza matka. – Chciałam, żebyś podpisał kilka kart.

– Przygotowywałem konie w stajni. Zabiorę Isabel na krótką przejażdżkę.

Wtedy rozległo się głośnie brzęknięcie. Richard upuścił nóż na talerz. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem, że poczerwieniał od hamowanej wściekłości. Twoje słowa spadły jak bomba. Nawet ja o mały włos zakrztusiłbym się kawałkiem szynki. Co się dzieje z tymi facetami w jej obecności? Stracili poczucie piękna kobiecych wdzięków, zaślepieni blaskiem egzotycznej nowości? – pomyślałem. Nigdy bym nie przypuszczał, że ją zaprosisz. Miałeś w zwyczaju uwodzić każde stworzenie wyglądem przypominające kobietę. Sądzę, że to syciło twoją

próżność; wobec najpiękniejszych egzemplarzy okazywałeś szczególne zainteresowanie, lecz zwykle ulotne, a jedynie kilka wybranych, niespotykane pięknych i pełnych uroku, zapraszałeś na swoje... krótkie przejażdżki.

Lecz ona o tym nie wiedziała, a ty złożyłeś swego rodzaju publiczną deklarację: jego wysokość wielki książę ma zaszczyt obwieścić, że już wybrał swoją panią na okres Bożego Narodzenia w tym roku; bo tylko na tak długo zachowywałeś swoje partnerki, przynajmniej te oficjalne, choćby były najpiękniejsze i najbardziej czarujące.

– Mnie? – Jakby obudziła się z letargu na dźwięk swego imienia.

Ty zaś, patrząc na nią w sposób, w jaki tylko ty potrafisz patrzeć na kobiety, skinąłeś głową.

– Pojedziecie w taki mróz?

W tamtej chwili nie potrafiłem stwierdzić, czy sprzeciw naszej matki miał na celu uchronić cnotę dziewczyny czy może syna przed przeziębieniem.

– Ciepło się ubierzemy. Poza tym przestało padać... Umm... Uwielbiam te croissanty.

– Dokąd pojedziemy? – zapytała ona.

Wzruszyłeś ramionami i kiedy w końcu przełknąłeś mojego rogalika, odpowiedziałeś:

– Niespodzianka.

Zagryzłem usta, żeby nie wybuchnąć sarkastycznym śmiechem. Niespodzianka tylko dla niej, bo wszyscy

pozostali doskonale wiedzieli, co się składa na przejażdżkę. Co roku było to samo. Dałbym głowę, że jego wysokość przystroił konie dzwoneczkami, wyciągnął najlepsze sanie z futrzanym okryciem i zadbał o jakiś ciepły napitek. Odbędziecie romantyczną przejażdżkę do domku myśliwskiego, gdzie od samego rana służba przygotowuje nie mniej romantyczną scenerię ze świecami, kwiatami, szampanem i wykwinnym obiadem. Pająk tka idealną sieć, żeby pochwycić muszkę.

Rozległo się szurnięcie gwałtownie odsuwanego krzesła. Richard energicznie wstał, nie kończąc śniadania.

– Państwo wybaczą... – wymamrotał uprzejmą formułkę, choć było widać, że nie obchodzi go, czy ktokolwiek ma zamiar mu coś wybaczać czy też nie. Chciał jedynie uciec przed tą torturą i ukryć się w kąciku, żeby rozczulać się nad sobą albo złorzeczyć wszystkim dookoła.

Zresztą pewnie nikomu nie robiło to różnicy.

W tej chwili pojawiła się Nadia, by dołączyć do coraz liczniejszej kompanii przy śniadaniu. Sunęła majestatycznie po jadalni, niczym piękny łabędź po jeziorze. Jej wygląd przywiódł mi na myśl bajkę Hansa Christiana Andersena.

– *Bonjour* – pozdrowiła nas nienaganną francuszczyzną.

Wstałem od stołu, aby powitać moją narzeczoną i odsunąć krzesło, na którym miała usiąść.

– Co jest ta niespodzianka? – zapytała, tym razem

niedoskonałą hiszpańszczyzną.

– Dla ciebie to żadna niespodzianka, kochanie – poinformowałem. – Chodzi o jedną z przejażdżek Larsa, rozumiesz – przemówiła przeze mnie zazdrość.

Wydało mi się, że czuję na plecach sztylety twojego spojrzenia.

– Cóż, Isabel, jeśli już skończyłaś, chodźmy – rzuciłaś pośpiesznie, z pewnością się obawiając, że twoje plany zostaną pokrzyżowane.

– Och, Lars, twoja witalność jest *incroyable* – zauważyła Nadia z uśmiechem.

– A ty, kochanie, jesteś niewiarygodnie piękna – odparłaś, po czym ucałowałaś jej dłoń. – Aż żal, że zmarnujesz urodę z moim bratem.

Było oczywiste, że nie szanujesz ani mnie, ani niczego, co do mnie należy, czy chodzi o croissanty, czy o kobietę.

Pamiętam, ukochany, z wyrazistością, jaka często charakteryzuje miłe wspomnienia, kolorowe sklepienie: freski przedstawiające sielankowe sceny, przywodzące na myśl symfonię *Pastoralną*. Pamiętam, że światła ukryte za wielkimi beczkami rzucały cienie, jak wielkie jęzory liżące ściany, tworząc aurę zarazem tajemniczości i ciepła. Pamiętam kurz i wilgoć, jakby dozowane z artystycznym zamysłem, jako kolejny element dekoracji. I pamiętam zapach starości: leżakującego wina i zbutwiałego drewna. Pamiętam ciebie, ponad wszystko, zawsze tam, gdzie

błądziło moje spojrzenie, zawsze uśmiechniętego, gdy mój wzrok na ciebie natrafiał... Królowałaś w scenerii piwnic Brunstriechu, na patchworkowej kapie, gdzie zebrano skrawki imperium: tyrolskie góry, bawarskie jeziora, pszeniczne pola Węgier, dwory Czech, transylwańskie lasy... Królowałaś pośród całej tej ciżby niczym cygański król, który zamienił jedwabie na zgrzebne płótno, czyniąc z chłopskiego stroju jeszcze jeden element zabawy, a tłum w objęciach hedonistycznego boga upijał się tańcem i alkoholem.

Niesamowita była ta noc ludowych tańców i pieśni, piwa, czardasza i kwiatowych wianków, akordeonowych melodii i pachnącego drewna... Następną ekstrawagancją Brunstriechu.

Tymczasem tańczyłam z hrabią Mikołajem Iwanowiczem Zagoronowem, który dowiódł mi, że jego elokwencja i poczucie własnej wartości są tak imponujące jak jego nazwisko.

– ...i choć w czyichś oczach mój sukces może wydawać się całkiem łatwy, prawda jest zupełnie inna. Mój ojciec pragnął, żebym został oficerem gwardii carskiej, więc szybko zapisał mnie do akademii. Rozumie pani, to taki typ sfrustrowanego szlachcica, co to stale rozmyśla o tym, kim mógłby być, a kim nie jest. Przez całe życie ukrywał niezadowolenie, że jest tylko prowincjonalnym dowódcą na carskim żołdzie. Powiem pani, że posiadał mnóstwo ziemi uprawnej nad Donem, gdzie są najlepsze czarnoziemy w kraju. Pszenica ozima i

burak cukrowy. Rodzinny majątek! Duma Zagoronowów! Ech! Przez całe życie musiał się zadawać z tymi przeklętymi muzykami, co to tylko przynoszą kłopoty i przez swoją głupotę doprowadzili go do ruiny. Całą winę ponosi car i jego rząd, bo uwolnił poddanych i pozwolił, żeby się bogacili kosztem swoich panów. Nie uwierzy pani, jeśli powiem, że przeklęty chłop analfabeta kupił ziemię mojego ojca!

Nie wiedziałam, czy mam wierzyć czy nie, poza tym nie bardzo interesowała mnie historia jego życia naznaczona pychą i pogardą wobec ojca.

Melodia dobiegła końca, a wraz z nią nasz taniec. Żywiłam nadzieję, że Mikołaj uda się na poszukiwanie nowej partnerki i zostawi mnie w spokoju, pozwalając mi cieszyć się zabawą. Niestety, okazało się, że nie ma najmniejszego zamiaru pozbawić mnie możliwości wysłuchania do końca swej wspaniałej historii. Wziął mnie pod rękę, abym towarzyszyła mu w drodze po trunek, którym mógłby przepłukać gardło, z pewnością zaschnięte od ciągłego gadania.

– ...ale sprawy miały się tak – kontynuował – że uczepił się wspaniałej przeszłości i absurdałnych tradycji, wierząc w cara jak w jakiegoś boga, który go wybawi. Szczęśliwie przyszło mi do głowy porzucić akademię wojskową, która bez wątpienia była projekcją marności mojej rodziny. W tamtym czasie odziedziczyłem trochę grosza po dalekim krewnym. Oczywiście mogłem roztrwonić pieniądze w pijatykach i szaleństwach, jak się

tego oczekuje od młodego i zamożnego szlachcica, lecz ja miałem dość rozsądku, żeby zainwestować w przemysł stalowy i koleje żelazne. Och, tak! – Snuł rozważania bez chwili przerwy. – Przekłęci zagraniczni kapitaliści kupujący nasze dobra za swoje silne zachodnie waluty! Gdyby rosyjski kapitał opuścił pola i podupadłe pałace, wyszłoby nam to na zdrowie! Proszę spojrzeć na mnie. Zaledwie w kilka lat zdobyłem fortunę, o której jako oficer gwardii carskiej mógłbym co najwyżej marzyć. Wiódłbym życie pełne godności i nędzy w imię szlacheckiego rodowodu mojej rodziny. Albo, co gorsza, poległbym w wojnie japońskiej lub tłumiąc studenckie demonstracje. Podczas gdy teraz mogę obsypać panią klejnotami w hołdzie dla jej urody.

Zmroził mnie swym niebieskim spojrzeniem, godnym syberyjskiej tundry – dokąd chętnie bym go posłała. Opowieść chyba dobiegła końca. Nie mogłam zdobyć się na nic więcej ponad grymas mający być kurtuazyjnym uśmiechem, podczas gdy w myślach błagałam o ratunek, który zdawał się znikąd nie nadchodzić.

– Była pani kiedyś w Indiach? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Wyobrażałem sobie panią ubraną w szafranowe sari...

W chwili, kiedy jego głos stał się aksamitny i sugestywny, niemal tak natarczywy jak spojrzenie, nad jego ramieniem dostrzegłam swój ratunek.

– Panie Iljicz! Borysie! – zawołałam, czując nieskończoną wdzięczność za to, że zobaczyłam jego miłą

twarz.

Stał przy bufecie, jakżeby inaczej, i jak łakomy chłopiec kontemplował potrawy wystawione ku uciechu gości: kiełbaski z rusztu, pieczoną golonkę, gulasz z dzika, pieczeń z jelenia, pieczone ziemniaki i kiszoną kapustę, szarlotkę i ciasto z jeżynami...

– Ach, to pani, Cyganeczko! Dawno pani nie widziałem. Zawsze w otoczeniu przystojnych młodzieńców... – Pospieszył ku mnie, przemawiając po francusku, języku wspólnym dla nas wszystkich.

– Zna pan hrabiego? – Podświadome wyparcie nie pozwoliło mi zapamiętać jego nazwiska.

– Mikołaj Iwanowicz Zagoronow, do usług – poratował mnie hrabia.

– I nawzajem, chłopcze. Pozwólcie, że przedstawię François Dubasa, prezesa Banque Corporative de Lausanne.

Nietrudno było się domyślić, że ów człowiek jest bankierem, nawet nim zostało to potwierdzone. Nie zaprzeczysz, ukochany, że jego wygląd był typowo mieszczański: elegancki pięćdziesięciolatek, któremu ciężar odpowiedzialności i waga obowiązków przygarbiły plecy.

Szkła w cienkiej złotej oprawce skrywały oczy malutkie i zmęczone ciągłym śledzeniem liczb i rachunków. Pomyślałam wtedy, że jedną z rzeczy, które z pewnością dzieli z Borysem, jest zamiłowanie do uciech stołu, co przejawiało się w krągłościach sylwetki. I

rzeczywiście, co dostrzegłam z niejaką radością, jego malutkie stóпки (w drogich butach, prawdopodobnie robionych na miarę przez londyńskiego szewca z St Jeremy Street, kontrastujących groteskowo z góralskim strojem) niknęły pod wielkim, sterczącym brzuchem.

– François, ta panienska to markiza Isabel de Alasúa, bez wątpienia najbardziej czarująca dama na tym przyjęciu – ciągnął Borys, nie tracąc okazji, żeby jak rasowy dżentelmen obsypać mnie komplementami.

Po oficjalnej prezentacji pogrążyliśmy się w salonowej rozmowie, błahej, lecz stopniowo dzielącej nas dwie grupy. Na szczęście, a może dlatego, że robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby znowu nie wpaść w łapy Mikołaja, w końcu rozmawiałam tylko z panem Iljiczem.

– Sprytnie pozbyła się pani hrabiego Zagoronowa... – odzyskał swój hiszpański z silnym akcentem.

– Tak czytelne były moje zamiary?

– Właściwie nie. Ale wiem, że młoda kobieta nie zamieniłaby kawalera na brzuchatego starucha, gdyby nie miała po temu ważnych powodów – odpowiedział Borys z uśmiechem.

– Chyba że towarzystwo brzuchatego starucha jest przyjemniejsze, jak w tym przypadku.

Na moją szczerą uprzejmość Borys zareagował miną wyrażającą wdzięczność i zadowolenie.

– A o czym rozmawialiście z tym bogatym młodzieńcem, skoro jest pani tak zniesmaczona?

– Och, o nim. Przez cały wieczór gadał tylko o sobie.

Cóż... i zapytał mnie, czy byłam kiedyś w Indiach.

– I co mu pani odpowiedziała?

– Wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– W takim razie to rzeczywiście głupek, bo to najciekawsze w tej rozmowie. Zatem czy była pani kiedyś w Indiach, Cyganeczko?

– Nie, nigdy. Chociaż bardzo bym chciała tam pojechać. Ojciec opowiadał mi cudowne historie o tym kraju, tak że niemal mogłam go zobaczyć i poczuć.

– Pani ojciec?

– Marynarz o niespokojnym umyśle, z magicznym kufrem, który przywoził z podróży wypełniony książkami, historiami i obcą kulturą.

– A zatem proszę podążać śladem swojego niespokojnego ojca i udać się do tego pięknego kraju. Proszę wykorzystać świeżo uzyskaną wolność, żeby zrealizować marzenia.

– Świeżo uzyskaną wolność? – rzuciłam ironicznym tonem. – Nic takiego nie istnieje. Ciągle jestem słabą, lękliwą kobietą, przywiązaną do konwenansów sfery i własnego dobrego imienia. Młoda dama nie powinna podróżować sama, panie Iljicz! Wystarczy mi wyobraźnia i książki, które wykradłam z biblioteki ojca.

– No to proszę zacząć korzystać ze swojej wiedzy. Książę Alois powiedział mi, że czyta pani *Bhagawadgitę*.

– Tak. To bardzo piękna historia...

– To coś znacznie więcej! – poprawił mnie z pasją. – To cała filozofia życiowa. Jeden z najważniejszych

świętych tekstów hinduizmu. Trzeba go jednak zrozumieć w całym jego bogactwie, znacznie wykraczającym poza piękną historię.

– „Kto wolny jest od złudzenia, fałszywego prestiżu i niewłaściwych związków, kto rozumie wieczne, uwolniwszy się od materialnej żądz oraz dualizmu szczęścia i nieszczęścia, i kto – niezawiedziony – wie, w jaki sposób podporządkować się Najwyższej Osobie, osiąga wieczne królestwo”¹ – wyrecytowałam jak w natchnieniu: krótka medytacja na głos; introspekcja tak spontaniczna, jakby przemawiała dusza.

Borys stał przez kilka sekund bez słowa. Lekko zmarszczył brwi i przymknął oczy. Przez chwilę nie byłam pewna, czy trafiłam w sedno swoją prostą próbą filozofowania. Aż w końcu Borys przerwał nietypowe dla niego, zaskakujące milczenie:

– Fascynujące. Tak, z grubsza to ogólne przesłanie. A zatem kobieta tak roztropna jak pani, która jest zdolna pojąć tę prawdę, powinna przystanąć przy każdym słowie, które przekazuje nam *Bhagawadgita*. Na przykład, à propos zajmującej nas sytuacji, podczas bitwy na Polach Kuru, Ardżuna, nasz bohater, wie, że ma zabić ludzi, których kocha, przyjaciół, krewnych, swoich mistrzów... A Krysna, inkarnacja Wisznu, mówi do niego: „Powstań i walcz wytrwale”. Jakie naprawdę płynie z tego przesłanie?

– Zachęta do walki o własną chwałę? – zaryzykowałam niepewnie. – Czy to przesłanie wojenne?

– *Non*. To metafora przedstawiająca każdą chwilę życia. Wszyscy mamy swoje strachy, niepewności, kłopoty i wewnętrzne konflikty. Przechodzimy trudne sytuacje, zmiany, sprzeczne uczucia na polu bitwy... „Powstań i walcz”. Zmagaj się z nimi. Staw im czoło i pokonaj je. Pani, Cyganeczko, przechodzi w swoim życiu chwilę przemiany. Ale musi pani wykorzystać tę sytuację i przezwyciężyć strach, uprzedzenia. Proszę znaleźć swoją nieśmiertelną istotę. I wbrew wszystkiemu niech pani pojedzie do Indii bez obaw.

– Niesamowite... – wyszeptałam zdumiona. – Nigdy nie przypuszczałam, że przesłanie *Bhagawadgity* jest tak głębokie.

– Ach! Mówi mędrzec: tak samo jak człowiek może się napić z każdego brzegu sadzawki, sprawny teolog z każdego pisma może wyciągnąć coś, co posłuży jego celom – chciał zażartować, umniejszając znaczenie swojej interpretacji.

– A teraz pańskim celem jest wysłanie mnie do Indii?
– sugerowałam, jakbym odkryła pułapkę.

– Tak naprawdę moim celem jest zachęcić panią do odrzucenia uprzedzeń, żeby mogła pani rozwinąć swój potencjał. Wie pani co? Widzę w pani kobietę w czystym stanie. Otrzymała pani dar natury dla niektórych będący przekleństwem. Pani jest jak biblijna Salome albo Szekspirowska Ofelia, *femme fatale* malarzy symbolistów, prerafaelitów: zmysłową Monną Vanną Rossettiego, kobiecością pożerającą. Widzę, jak mężczyźni kłębią się

wokół pani, jak ómy nęczone światłem, nie wiedząc dlaczego przyciągane dziwną siłą. „Widzę, jak wszyscy ci ludzie wdzierają się do twych ust – zaczął recytować następny fragment *Bhagawadgity*, skierowany do boga Kryszny – niczym ómy cisnące się ku zagładzie do płonącego ognia”. Ma pani dar niewinnego uwodzenia. Cechę, która gdy będzie doskonała, stanie się niebezpieczna i zabójcza dla pożądających pani bezbronnych mężczyzn. W odróżnieniu od większości kobiet pani nie urodziła się po to, żeby zaspokajać mężczyzn, ale by mężczyzna zaspokajał panią i żeby nad nim dominować, zniszczyć go, jeśli taka będzie pani wola, jak Kali niszczy Śiwę i na nim tańczy. Proszę się nie bać mężczyzn ani kobiet, ani społeczeństwa, ani swojej pozycji, ani wychowania... Niech nie będą hamulcem dla pani rozumu, siły wolności. Proszę poszukiwać, a odnajdzie pani swoją nieśmiertelną duszę. Proszę liczyć na tę bardzo potężną broń: umiejętność słodkiego panowania nad innymi.

Pomyślałam o *Monnie Vannie*. Na pewno, ukochany, znasz ten obraz: portret kobiety o wręcz agresywnej urodzie, wielkich oczach i wydatnych ustach, o bujnych rudych włosach, spowitej w futra i ostentacyjnie kosztowne tkaniny, wplatającej dłonie w długie sznury koralu; wszystko w jej postawie i wyglądzie emanuje erotyzmem i zmysłowością. Mogła być zarówno prostytutką, jak królową, w żadnym razie świętą. Dla wielu uosabiała bardzo modny w ostatnich latach typ

kobiety, która swoją urodą i nieodpartą seksualnością sprowadza na mężczyznę nieszczęście i zatracenie. To, że pan Iljicz, przywołując ten obraz, zaliczył mnie do kategorii kobiet śmiertelnie groźnych, wzbudziło we mnie niewytłumaczalny niepokój. Nikt nigdy nie był tak wnikliwy w charakterystyce mojej osoby. I chociaż byłam pewna, że nie jest ona do końca trafna, z drugiej strony zadawałam sobie pytanie, dlaczego nagle mnie to przestraszyło. Czy Borys Iljicz naprawdę potrafi obnażyć ludzką duszę?

– Myślę, że na tej drodze skrzywdziłabym tylko siebie, panie Iljicz – odparłam dla podtrzymania rozmowy. – „Nie rozumiem, jakież dobro może wyniknąć z zabicia własnych krewnych w tej walce, ani nie mogę, mój drogi Kryszno, pragnąć zwycięstwa, królestwa ani szczęścia”, mówi Ardżuna.

Wiem, że mój cytat z *Bhagawdgity* zaskoczył Borysa. Widziałam to w jego oczach. Miałam zamiar zrobić na nim wrażenie, dlatego bez wahania zaczęłam recytować, wiedziałam też, że to najlepszy sposób, by przekazać mu moje niepokoje.

– „Okresowe pojawianie się szczęścia i niedoli i ich znikanie we właściwym czasie jest jak nadchodzenie i przemijanie zimowych i letnich pór roku. Wynikają one z percepcji zmysłowej i należy nauczyć się je znosić bez niepokoju”. Jeśli zrozumie pani tę prawdę, zapanuje nad resztą ludzi.

„Osoba, która pozostaje niewzruszona zarówno

wobec szczęścia, jak i nieszczęścia i zachowuje równowagę w obu, jest z pewnością gotowa do wyzwolenia”, ciągnęłam w myślach ten dobrze mi znany cytat.

Rzeczywiście, ciężkim próbom poddają nas bogowie, aby dać nam później najwyższą nagrodę.

Po tej rozmowie, która celnie trafiła do mojej duszy, gdy zupełnie się tego nie spodziewałam, poczułam się niezręcznie. Po tym wychwalaniu pod niebiosa moich cnót, które dla mnie były okropnymi wadami, czułam się obnażona, zmęczona i zmieszana. Musiałam oczyścić umysł z wszelkich poważniejszych myśli, odnoszących się do czegoś innego niż ludowe przyśpiewki i kiełbasy, których trywialność przynosiła mi ulgę. Borys by powiedział, że ruszyłam w drogę niewłaściwą nogą. A poza tym prawda była taka, że miałam ochotę tylko „tańczyć, skakać, bawić się i wirować w powietrzu”, jak mówiła pewna piosenka z mojego dzieciństwa. W Richardzie znalazłam partnera chętnego i gotowego mi towarzyszyć, mojego pierwszego i prawdopodobnie najbardziej światowego przyjaciela w Brunstriechu. Nieustannie wirowałam w jego ramionach, niemal do zawrotu głowy. Wiem, że przyglądałeś nam się z drugiej strony parkietu, wypełniając obowiązki gospodarza i rozmawiając z ludźmi, których nie widziałam, bo to ty przyciągałeś mój wzrok.

Kiedy kwartet, odpowiednio, choć *ad hoc* przystrojony na zabawę z ludową muzyką, postanowił dać

odpocząć tańczącym i zagrał walca Chopina, dyszałam niemal bez tchu i czułam, że policzki mi płoną.

– Chce pani dalej tańczyć czy usiadziemy? – zapytał Richard.

– Odpocznijmy chwilę. Jestem wyczerpana.

Lord Windfield podjął mi szklaneczkę ponczu i usadowiliśmy się na ławce przy ogniu. Kiedy ja łapałam oddech, trwał obok mnie, ze zwieszoną głową, obracając szkło w rękach i nie pijąc.

– Bardzo pan dziś milczący.

– Tak? Tak się pani wydaje? Możliwe... – zgodził się, nawet nie drgnąwszy.

Wbiłam w niego spojrzenie. Intensywne. Jakbym chciała, żeby poczuł ukłucie między żebrami.

– Dobrze! Na pewno wybuchnę, jeśli pani o to nie zapytam – odezwał się w końcu. – Lars zabrał panią do domku myśliwskiego, prawda?

Przytaknęłam.

– Co roku jest to samo! Sanie z dzwoneczkami, przejażdżka i obiad dla dwojga, ze świecami, szampanem i truskawkami w grudniu!

– Pana też zaprosił? – zażartowałam.

– Bardzo śmieszne.

– A skąd pan zna te wszystkie szczegóły?

– Och, bo to taka mała tradycja Larsa. Wielki książę przybył i wybrał sobie damę na święta! Ech!

– Richardzie Windfield, zaryzykuję, że wydam się próżna, i powiem, że jest pan zazdrosny – wytknęłam mu.

– A jeśli tak jest w istocie? – odważnie stawił mi czoło, jakby bardziej był zły na mnie niż na Larsa.

– Ma pan do tego prawo. Ale oburza się pan bez powodu. Przyjęłam tylko zaproszenie kuzyna na obiad. Decyzja, czy będę jego damą, należy do mnie, nie do Larsa.

– Nic pani nie rozumie. Nie zna pani Larsa.

– To prawda, nie znam go. Ale nie jestem głupia i doskonale orientuję się w sytuacji. Dlatego też nie będę się tym przejmować bardziej, niż to konieczne. Sam pan mówił, że to tradycja. A ja lubię tradycje, no i oczywiście szampana i truskawki w grudniu. To wszystko.

Richard nie odpowiedział, tylko patrzył mi w oczy, a wyraz jego twarzy zmieniał się z wściekłego na przebiegły.

– A więc lubi pani tradycje, tak? No to ja też mam jedną tradycję.

I nic więcej nie mówiąc, zabrał mi szklaneczkę ponczu, wziął mnie za rękę i pociągnął w kąt, jeden z wielu w tym pomieszczeniu o nieregularnych kształtach.

– Jesteśmy pod jemiolą – oświadczył, stając przede mną.

Uniosłam wzrok: rzeczywiście, gałązka biało-zielonej jemioli zwieszała się z belki. Kolejna ozdoba.

– I co?

Nie miał zamiaru mi odpowiedzieć, przynajmniej nie słowami. Objął mnie ramionami, jakby były to okowy, które nie pozwolą mi uciec, i przytknął usta do moich

warg. Zaskoczył mnie, ale nie stawiałam oporu. Właśnie nawet nie zdążyłam, bo zaraz się odsunął, pozostawiając mnie z wrażeniem, że prawie nie poczułam jego nieśmiałego pocałunku, tak niewinnego, że niemal dziecięcego. Niektórzy uczniowie potrafią całować z większą pasją.

– Musi pan wiedzieć, lordzie Windfield, że pańska tradycja wydaje się zdecydowanie bardziej śmiała niż zwyczaje jego wysokości – wyszeptałam zmysłowo, po czym ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam go, jak Pan Bóg przykazał.

– Proszę o wybaczenie, jeśli przerywam coś ważnego.
– Zabrzmiało koło nas zuchwały głos, gdy tylko rozpoczęliśmy tę wyjątkową wyprawę w głąb naszych ust.
– Domagam się tańca.

Nie zaskoczyło mnie, że przerwałeś naszą scenę ze swą zwykłą arogancją i impertynencją. Widziałam, jak na mnie patrzysz, i czułam, że wcześniej czy później po mnie przyjdiesz.

– Ponieważ, jak przypuszczam, nie chcesz tańczyć z Richardem, uczynię ci zaszczyt zatańczenia ze mną, kochany kuzynie – odpowiedziałam, biorąc sprawy w swoje ręce, nie bez pewnej ironii skrywającej przyganę.

Odchodząc, posłałam Richardowi, którego twarz zdradzała pożądanie, porozumiewawcze spojrzenie. Lecz właściwie, ukochany, ono było przeznaczone dla ciebie. Łatwo było odgadnąć, że taniec tak naprawdę wcale cię nie interesuje. Nawet nie zadałeś sobie trudu, żeby obrócić

się ze mną choć kilka razy na parkiecie, choćby z szacunku dla Richarda. Nie czując potrzeby uwiarygodnienia pretekstu, prowadziłeś mnie na drugi koniec sali, by zjeść ze mną kawałek szarlotki. Nie miałam zamiaru się obrażać. Bawiła mnie twoja postawa niegrzecznego chłopca i do głowy przyszedł mi obraz typowego szkolnego zabijaki, co to udając silnego, zawsze zabiera jabłko najmniejszemu z klasy.

– Widzę, że jesz z większym apetytem niż w południe. Lepiej się czujesz? – zauważyłeś, gdy połykałam ostatni kęs ciasta.

Rzeczywiście, ledwie zdołałam spróbować świetnego obiadu, przygotowanego z takim rozmysłem jak przynęta, którą wędkarz nabija na haczyk. Nie chodzi o to, że bażant był suchy albo wino kwaśne, nawet grudniowe truskawki wyglądały na czerwcowe. Problemem nie było menu, tylko ja, bo po nużącej nocy wstałam ze ściśniętym żołądkiem. Brak snu, nadmiar szampan i nadmiar emocji bez wątplenia zrobiły swoje. Z przyjemnością wspominałam przejażdżkę saniami. Kołysanie niemal mnie uspiło, a na policzkach czułam mroźne powietrze i śnieg, choć wcale nie zmarzłam, owinięta szczelnie futrzanym okryciem. Oczywiście nie bez znaczenia było towarzystwo fantastycznego mężczyzny: usłużnego, miłego, nadskakującego. Było mi jednak trochę przykro, że nie mogłam się cieszyć wyśmienitym jedzeniem, jako zwieńczeniem idealnego przedpołudnia.

– Przepraszam, że nie byłam najlepszym

towarzystwem. Tak bardzo się starałeś wszystko idealnie przygotować.

– Jesteś najlepszym towarzystwem, jakiego może pragnąć mężczyzna w każdej sytuacji. A jeśli tak nie uważasz, pomyśl o tych wszystkich, którzy dzisiaj starali się z tobą porozmawiać, zatańczyć, a nawet... cię pocałować.

Nie chciałam ulec twojej prowokacji. Byłam już zmęczona widokiem mężczyzn zazdrosnych jak pozbawieni tronu książęta. Po prostu się odwróciłam, żeby odłożyć talerzyk na stół.

– Mówiłem ci już, że ślicznie wyglądasz w tych warkoczach?

– Dziękuję. Ale przypuszczam, że nie wyciągnąłeś mnie z ramion Richarda Windfielda pod fałszywym pretekstem tylko po to, żeby tylko zjeść szarlotkę i pochwalić moje warkocze – zauważyłam bez pretensji, uśmiechając się szeroko, żeby tego dowieść.

– Masz rację. To małe porwanie to zwykły fortel: ja też staram się o to, żeby z tobą porozmawiać, no i oczywiście o pocałunki.

– Wszystko w swoim czasie, kochany – drażniłam się z tobą, bo wiedziałam, że to lubisz. – Jeśli taki był twój zamiar, to szkoda, że nie porwałeś mnie, kiedy musiałam znosić hrabiego Zagoronowa.

– Mikołaja? To niegroźny nudziarz – zapewniłeś lekceważąco. – Zwykle zanudza kobiety historią swojego życia. Oczywiście podkolorowaną.

– Ach tak? Zatem nie będzie mógł „mnie obsypać klejnotami w hołdzie dla mojej cudownej urody”? Jaka szkoda.

– Cóż, to akurat mógłby zrobić. To prawda, że miał szczęście w interesach. Ale pewnie powiedział ci, że sam porzucił karierę wojskową, podczas gdy w rzeczywistości wyrzucili go przez jakiś skandal: niejasną sprawę mającą związek z córką przełożonego. Zdarzenie to okryło hańbą całą rodzinę, dotąd szanowaną w Rosji w kręgach zbliżonych do cara. Mimo wszystko jego ojciec, zamiast odwrócić się od niego, ofiarował mu pomoc, którą ten odrzucił. Teraz, kiedy fortuna opuściła starego, Mikołaj traktuje go z pogardą. Nie wiem, dlaczego ma do niego żal. W każdym razie uważam, że jego umysł, choć bystry, nie jest całkiem zdrowy. Chodzi mi o Mikołaja, rzecz jasna.

Słuchałam rewelacji na temat hrabiego Zagoronowa z zainteresowaniem, ale nie ze zdumieniem – ten mężczyzna od pierwszej chwili budził we mnie antypatię.

– I ma czelność puszyć się jak paw! – zauważyłam z rozczarowaniem. – Co za bezwstydnik!

– Jeszcze odkryjesz hipokryzję znakomitej części tego dystyngowanego towarzystwa, które wynosi się ponad resztę świata jako wzór etyczny i moralny. Każdy z nich skrywa jakąś skazę. Na przykład monsieur François Dubas, którego z pewnością przedstawiono ci dziś wieczorem jako znakomitego bankiera i którego powierzchowność tak bardzo świadczy na jego korzyść,

jest... jakby to powiedzieć... W swojej sypialni, do której rzecz jasna nie ma wstępu madame Dubas, będąca jedynie przykrywką, woli przyjmować raczej mężczyzn niż kobiety.

W końcu udało ci się mnie zaskoczyć.

– Co ty mówisz? A wygląda na szacownego mieszczanina!

– Ach, każdy odgrywa swoją rolę najlepiej jak potrafi. A im lepiej to robi, tym więcej ma do ukrycia.

– „Wielki teatr świata”, mówił Calderon de la Barca.

– Tak jest. To właśnie Brunstreich. Ale też dlatego jest to takie zabawne.

– A tobie? Jaką rolę tobie przypadło odgrywać? – chciałam cię sprowokować.

– Co każe ci przypuszczać, że odgrywam jakąś rolę?

– Och, przestań! Przynajmniej w mojej obecności to robisz. Jeśli nie, to dlaczego wszyscy oprócz mnie wiedzieli, na czym polegała twoja poranna propozycja? Wygląda na to, że zostałam oficjalnie naznaczona na wielką księżną tego roku.

Uśmiechnąłeś się szelmowsko. Nie zdawałeś się przejmować tym, że przejrzałam twoją grę.

– Tak bardzo ci to przeszkadza?

Na tym etapie wojny inteligencji i charakteru, którą z tobą prowadziłam, znalazłam się w rozterce. Mogłam przyjąć postawę ofiary i okazać ci, jak mnie boli, że wszyscy wzięli mnie na języki, że dowiedziałam się o tradycji dorocznego wyboru wielkiej księżnej, że w

następnym roku ktoś mnie zastąpi i że gdy dla mnie gra się skończy, dla ciebie będzie dalej trwać. Ale mogłam też... użyć twojej własnej broni.

– Nie mówiłam, że mi to przeszkadza.

Wydawałeś się zaintrygowany.

– Co więcej, powiem ci, że ja też odgrywam pewną rolę.

Nagle stałeś się niespokojny, jakbyś spodziewał się usłyszeć coś, czego wolałbyś nie wiedzieć. Podczas gdy ja nabierałam znaczenia na scenie.

– Tak jest. Jak wiesz, przed kilkoma miesiącami zostałam porzucona przed ołtarzem. – Skinąłeś głową w oczekiwaniu na ciąg dalszy. – Mam zatem doskonały powód, żeby się mścić na mężczyznach.

Twoja mina z każdą chwilą zdradzała coraz większy niepokój.

– A na czym ma polegać ta zemsta?

– Tego, kochany kuzynie, nie zamierzam ci wyjawiać... przynajmniej chwilowo. Żaden generał nie wyprowadza od razu wszystkich swoich wojsk na pole bitwy. A ja jestem na wojnie z płcią przeciwną.

Jak Monna Vanna pewnie przyglądała swą zmysłową rudą fryzurę, ja pogłodziłam tyrolskie warkocze, które rzekomo tak ci się podobały, czując, że wspólnie odprawiamy wyszukany rytuał zalotów, który dla ciebie był podniętą, a dla mnie zabawą.

Tymczasem napięcie znikło z twojej twarzy. W kilka sekund odzyskałeś swoją pewność siebie.

– Będę zaszczycony, jeśli stanę się pierwszą ofiarą na tej wojnie – oświadczyłeś z taką pasją w głosie, że moje całkowite zwycięstwo w tej pierwszej bitwie okazało się bezdyskusyjne.

– Czy byłabyś tak miła i poświęciła mi chwilę?

Czybym była? Kiedy kończyła się noc, a wraz z nią dogasało przyjęcie, udało mi się znaleźć wreszcie upragnioną samotność. Ukryta w kącie, z przyjemnością smakowałam tę chwilę i pozwalałam odpocząć zmysłom, wystawianym na próbę przez ostatnie godziny. Nie unosząc wzroku, żeby sprawdzić, kto zwraca się do mnie z taką galanterią, skończyłam nalewać sobie zimnej wody. Zostało już tylko kilka świateł, pomieszczenie spowijał półmrok i pianista samotnie grał jakiś powolny utwór Brahmsa. Ty zniknąłeś... Nie patrzyłeś już na mnie z drugiej strony sali.

– Karel? – zapytałam, nie mogąc ukryć zdumienia. Twój brat był ostatnią osobą, której bym się spodziewała.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że jego widok sprawił mi ulgę. Obojętność, z jaką od pierwszego dnia się traktowaliśmy, pozwoliła mi uspokoić ducha – nie oczekiwaliśmy niczego od siebie nawzajem. Ale rozbudził też moją ciekawość. O co mu chodziło?

– Witaj, Isabel – wymamrotał.

Jego głos wydał mi się wtedy ciepły i niski, jak głos wyszkolonego mówcy; może to dlatego, że szeptał, a może przez akustykę sklepionego pomieszczenia.

– Witaj...

Przypuszczałam, że zaraz przełamie lody jakimś przemyślanym zdaniem. Lecz on przeciwnie – przez dłuższą chwilę tylko przyglądał mi się w ciszy, niczym uosobienie spokoju. To mnie zmieszało.

– Zacznijmy od usuwania barier. – W końcu ocknął się z zamyślenia.

Rozdzielał nas wielki stół, z którego jeszcze nie sprzątnięto. Spełniając swoją zapowiedź, Karel przeszedł pod nim i wynurzywszy się, rozprostował swe długie nogi, rosnąc jak łodyga zaczarowanej fasoli. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu był nie tylko imieniem wypowiedzanym przez twoją matkę, głosem towarzyszącym mojemu przybyciu do Brunstriechu, cieniem samotnie snującym się po domu. Po raz pierwszy stał się osobą.

– Jeszcze raz, witaj – powtórzył.

I wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Masz coś przeciwko temu, żebym zapalił? – zapytał kurtuazyjnie, wyciągając papierośnicę z wewnętrznej kieszeni kaftana z szarej łosiowej skóry.

– W żadnym razie.

Od płomienia pobliskiej świecy zapalił papierosa. Cienka strużka dymu popłynęła w kierunku sufitu. Zaciągnął się głęboko i głośno wypuścił powietrze: strużka zmieniła się w szary obłok skrywający jego oczy... A może to jego oczy były szare? Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Wsparł się na stole. Wydawał się spokojny, nieobecny, jakby rozkoszował się tą

szczególną chwilą wyciszenia. Dziwiło mnie jednak, że to właśnie mnie wybrał, żebym z nim tę chwilę dzieliła. Patrzyłam na niego i... po raz pierwszy go zobaczyłam: tak, jego oczy były szare, a włosy w kolorze ochry... Jak to możliwe, że jako bracia byliście tak różni? Jak jego atrakcyjność mogła pozostawać tak niezauważalna, podczas gdy twoja była tak spektakularna? Jak to możliwe, że on, będąc od ciebie wyższy, przy tobie wydawał się niższy? Jak jego ciało, bardziej krzepkie, przy tobie wydawało się cherlawe? Jego oczy, większe od twoich, w twojej obecności wydawały się mniejsze?

Patrzył na mnie teraz, bo pewnie poczuł, że go obserwuję. Odpowiedziałam uśmiechem, na który on nie zareagował. Jak bracia mogą się tak różnić?

Znowu skoncentrował się na papierosie; przedłużał tę chwilę. Przeczuwałam, że nie będzie ze mną rozmawiał długo i mądrze na poważne tematy. Nie będzie mnie uwodził ani zasypywał pustymi komplementami, żeby zyskać moją przychylność. Na pewno nie będzie próbował mnie całować, zabierając mnie pod jemiolę. Może dlatego udzielił mi się jego spokój i też miałam ochotę cieszyć się tą dziwną chwilą, która z pewnością nie zajmie ważnego miejsca w moich wspomnieniach.

Westchnęłam. Właśnie wtedy pożałowałam, że nie jestem mężczyzną i nie mogę także zapalić papierosa i swobodnie oprzeć się na stole.

– Poświęcisz mi jeden dzień? – rzucił nagle tak od niechcienia, jak strzepywał popiół z papierosa.

Szarawy pyłek opadł na podłogę.

– Dzień? Tak, chyba tak – odpowiedziałam z wahaniem na to tak zaskakujące pytanie, którego znaczenia nie potrafiłam zrozumieć.

– Muszę pojechać do Wiednia załatwić kilka spraw. Pomyślałem, że może chciałabyś poznać miasto. Wybierzesz się ze mną?

Moja odpowiedź była natychmiastowa. I wyglądało na to, że wcale go nie zaskoczyła. Przypuszczam, że był świadomy zmieszania, w jakie mnie wprowadził swoją propozycją. Ostatnią rzeczą, jakiej mogłam się spodziewać, było to, że Karel zaprosi mnie na wycieczkę do Wiednia, i nie byłabym kobietą, gdybym nie zadała sobie pytania o prawdziwy powód tego szczególnego zaproszenia. A do głowy przyszedł mi tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

– Oczywiście. Z przyjemnością – zgodziłam się bardziej ze względu na dobre wychowanie niż z prawdziwym entuzjazmem.

27 grudnia

Pamiętam, ukochany, smagnięcia wiatru na policzkach – bolesne i dziwnie przyjemne zarazem. Wiatr był lodowaty, jak samotność w towarzystwie. Gęsty szpaler nagich, przetykanych srebrną nicią drzew przesuwiał się tak szybko, że niemal nie potrafiłam ich rozróżnić w tym białym tle. Zamknęłam oczy pod

naporem ostrych podmuchów i nagle poczułam się kompletne osamotniona: oślepiąca, ogłuszona, wydana na pastwę doznań.

Jechaliśmy wzdłuż szerokiej rzeki. Fale nieustannie lizały śnieg na brzegu, aż obejmowały go w posiadanie; woda, lód, dwa różne stany skupienia w doskonałej harmonii. Ciepleszy żywioł zwyciężał zimniejszy... Tak powinno być. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że Karel zrobił dziwną minę, którą ja, wieczna optymistka, uznałam za uśmiech.

– Przeziębisz się! Lepiej usiądź! – zawołał, przekrzykując szum wiatru.

Ciężko opadłam na siedzenie i niemal całkowicie zagrzebałam się w kocach. Zrobiło mi się przyjemnie ciepło. Czułam się pełna energii: *prana* przepelniała moje płuca i rozpływała się w żyłach jak woda deszczowa nasączająca ziemię i spływająca kanałami melioracyjnymi.

Przyglądałam mu się, gdy prowadził, i wyraz jego twarzy był tak samo zimny jak otaczający nas pejzaż. Znowu pomyślałam, jak jest od ciebie różny, ukochany; znacznie bardziej milczący i melancholijny, mniej dowcipny i miły, nazbyt rozsądny i znacznie nudniejszy. Ty bez wątpienia zabrałbyś kierowcę, żeby móc bez przeszkód uwodzić swoją towarzyszkę. On zdawał się cieszyć kontaktem z maszyną: wzrok utkwiony przed siebie, jedna ręka na kierownicy, druga na dźwigni biegów. Miał ładne dłonie... Śmiejąc się sama z siebie,

pomyślałam, że to ręce nowego bohatera: nie ściskają już maczugi albo miecza; pewne i silne, pieszczą stery skomplikowanych maszyn stworzonych potęgą ludzkiego umysłu: automobilu, aeroplanu. Przyjemność, którą on czerpał z prowadzenia pojazdu, intrygowała mnie przez całą podróż. Pomyślałam, że chwila i osoba są właściwe, żeby zaprezentować dziecięcą naiwność oraz odrobinę kobiecej ignorancji, tak zdumiewająco atrakcyjnej dla mężczyzn. No i żeby poznać tego enigmatycznego mężczyznę, jakim był twój brat.

– Mogę cię o coś prosić?

– Możesz. Inna sprawa, w jaki sposób odniosę się do twojej prośby – odpowiedział z charakterystyczną dla siebie oschłą szczerością, do której powoli się przyzwyczajałam.

– Nauczysz mnie prowadzić?

– Chyba nie chodzi ci o automobil? – zapytał przestraszony własną sugestią.

– Właśnie że tak. Wydaje mi się, że bardzo cię cieszy jego prowadzenie. Nigdy nie znałam nikogo, kto by to umiał. Przyznaję, że mnie to intryguje.

Nie przestając wpatrywać się w drogę, zdawał się rozważać moją prośbę i prawdopodobnie przeklinał chwilę, w której mnie zaprosił. W końcu pozwolił, by uprzejmość i próżność wzięły górę.

– Dobrze – zgodził się, zatrzymując automobil na skraju drogi. – Ale nie możemy tracić zbyt wiele czasu. Za godzinę muszę być w Wiedniu.

– Och, oczywiście! Tylko tyle, ile uznasz za stosowne.

– Chyba zwariowałem – wymamrotał, kiedy zamienialiśmy się miejscami.

Usadowiłam się wygodnie na swoim nowym miejscu: wyprostowane plecy, spojrzenie skierowane przed siebie i ręce na kierownicy.

– Jak szybko on może jechać? – zapytałam z niewinnością osoby, która nie potrafi wybrać stosownej chwili na zaspokojenie swej ciekawości.

– Boże! Ledwie siadłaś za kierownicą, a już chcesz wiedzieć, jak szybko się jeździ? Wystarczająco szybko, żeby to było niebezpieczne! To chyba nie był dobry pomysł.

– Nie, nie! Już o nic więcej nie będę pytać. Obiecuję.

– W porządku... – westchnął. – Masz robić to, co ci powiem.

– Dobrze.

– To jest kierownica, a to...

– Och, przestań!

– Albo mnie słuchasz albo nie ma zabawy.

Potulnie spuściłam wzrok.

– Idźmy dalej: to jest dźwignia zmiany biegów, a to hamulec ręczny. Pedał z prawej to hamulec, a ten z lewej gaz.

– A do czego on służy?

– Do przyspieszania oraz do ruszania. Najpierw naciśnij pedał hamulca... Teraz zwolnij hamulec ręczny,

popychając dźwignię... Dobrze... Musisz wrzucić bieg, pociągnij dźwignię do siebie i opuść... Do siebie, nie do przodu. Dobrze... Podnieś nogę z hamulca i powoli wciśnij gaz.

Słuchałam poleceń i automobil skoczył do przodu.

– Delikatniej. Spokojnie.

– Jedzie! – wykrzyknęłam z infantylną radością kogoś, kto nie potrafi opanować emocji nawet w obliczu błahostek.

– O to chodzi – podsumował on, jak zawsze germański do szpiku kości.

Przejechaliśmy kilka metrów po prostej, równej i monotonnej drodze.

– A teraz?

– A teraz, jeśli pojawi się zakręt, skreć kierownicę.

– To wszystko? To łatwe.

– To zależy... Uważaj, teraz droga będzie prowadzić w dół. Zdejmij nogę z gazu, żeby utrzymać prędkość, w przeciwnym razie będziesz jechać za szybko.

Jak się należało spodziewać, automobil przyspieszył, gdy tylko zaczęliśmy zjeżdżać.

– Lekko wciśnij hamulec.

Hamulec, jasne, pedał z lewej. I tak zrobiłam: nadepnęłam pedał z lewej, ale nie hamulec. Nie wcisnęłam go trochę, tak jak nakazywał Karel, tylko do końca. Automobil zaczął mknąć w dół z zawrotną prędkością.

– Co robisz?! Hamulec! Wciśnij hamulec!

Nagle zawiodły mnie nerwy, odniosłam wrażenie, że straciłam kontrolę nad samochodem, i nie byłam w stanie w ogóle zareagować. Po prostu patrzyłam, jak szosa znika pod kołami.

– Isabel! Hamulec!

– A gdzie on jest?! – zapiszczałam zdesperowana, puszczając kierownicę i odwracając się do niego.

Przerażony, rzucił się na mnie, żeby przejąć kierownicę.

– Prawy! Prawy pedał to hamulec! – krzyknął, uderzając mnie mocno w prawe kolano. – Wciśnij go wreszcie, do jasnej cholery!

Mocno nadepnęłam pedał, rozległ się przeszywający pisk i samochód stanął. Gwałtownie zarzuciło nas do przodu. Zatrzymaliśmy się parę centymetrów od wielkiego wiekowego świerka, o grubym groźnym pniu.

– *Mein Gott* – wyszeptał Karel ciekawym głosem, odchylając się na oparcie. – Prawie się zabiliśmy.

– Chyba... chyba lepiej, żebyś ty prowadził.

– No coś ty!

W jego tonie brzmiały taki sarkazm i wyrzut, a ja byłam tak zdenerwowana, że wyskoczyłam jak korek z butelki szampana.

– Chwileczkę! To wszystko twoja wina!

– Że co?!

– Naciśnij hamulec, naciśnij hamulec! Dlaczego mi nie powiedziałaś, żebym nacisnęła prawy pedał?! Prawy pedał!

Oczy twojego brata szeroko się otworzyły.

– Dlaczego ci nie powiedziałem...?! Uch! – starał się uspokoić, chociaż na jego twarzy cały czas malowała się furia. – Lepiej będzie, jeśli wrócisz na swoje miejsce – nakazał mi, wysiadając.

Zrobiłam to z wielką godnością, ale nie odmówiłam sobie trzaśnięcia drzwiami z całej siły. A wtedy, na naszych zdumionych oczach, ten grat przejechał sam, samiuśki, te kilka centymetrów dzielących go od drzewa. Powolutku uderzył w pień. Rozległ się suchy trzask, a następnie brzęk tłuczonego szkła. Cudowny, niebywale drogi rolls-royce silver ghost miał jeden reflektor mniej.

Przez kilka sekund staliśmy w bezruchu, nawet się nie odzywaliśmy. Oszołomieni, przyglądaliśmy się tej scenie, każde po swojej stronie wozu. Karel powoli zrobił kilka kroków, pochylił się, wyprostował i kopnąwszy smutno kawałek szkła, szczątek ślicznego reflektora, zaczął lamentować:

– Nie wierzę. Nie zaciągnęłaś ręcznego hamulca?

– A ty zaciągnęłaś?! Poza tym co, do cholery, robi tutaj drzewo?! – zaklęłam i kopnęłam w pień.

Kupa mokrego śniegu z gałęzi spadła prosto na twojego brata.

W pierwszej chwili nie zareagował. Przypuszczam, że w zaskoczeniu nie był w stanie wykrztusić słowa, poza tym śnieg wpadł mu za kołnierzą płaszcza i spływał po plecach lodowatą strużką. Po kilku sekundach otrząsnął się jak niedźwiedź. Ja, całkiem obojętna na to zdarzenie,

obeszłam automobil i wróciłam na swoje miejsce, unikając komentarza. Karel z godnością otworzył drzwi, siadł za kierownicą i wstrząsany dreszczami zapalił silnik. Miał zmarszczone czoło i mroczne spojrzenie, niemal czarne.

Minęliśmy kościół, trzy domy i most, nie odzywając się do siebie ani słowem. Naprawdę za daleko się posunęłam w swojej dziecięcej naiwności i kobiecej ignorancji; zresztą nie odniosłam wrażenia, żeby cechy te były szczególnie atrakcyjne dla twojego brata. Jeśli taką żalosną sceną chciałam rozluźnić atmosferę, rozładować napięcie i nieufność, za którą chowaliśmy się jak za tarczą... strzeliłam sobie w stopę. Postanowiłam podjąć nowy, bardziej rozsądny wysiłek, nie mając już na względzie naszej przyszłej przyjaźni (na której mi specjalnie nie zależało), ale perspektywę spędzenia długiego dnia w jego towarzystwie.

– Dobrze. Przepraszam. Byłam okropna, przyznaję. Wszystko zrobiłam źle. Już nigdy nie zbliżę się do automobilu! Przysięgam.

Przez jakiś czas nie odpowiadał. Zbyt długo. Spojrzałam na niego kątem oka, zabrakło mi odwagi na więcej. I zobaczyłam, że na jego twarzy rysuje się uśmiech, jego na więcej też nie było stać.

– Cóż, nie było tak źle... jak na pierwszy raz. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem.

– A ja przepraszam, że wcisnęłam gaz zamiast hamulca, że stłukłam reflektor, że zakopałam cię w śniegu

i do tego za wszystko cię obwiniłam.

Twój brat zagwizdał z teatralnym uznaniem.

– Naprawdę sama to wszystko zrobiłaś? Jesteś naprawdę niebezpieczna.

Wtedy się dowiedziałam, że Karel przynajmniej nie jest mściwy i w głębi duszy, pod warstwą chłodu i oschłością ukrywa coś w rodzaju poczucia humoru.

Dojechaliśmy do miasta. Nie potrafię opisać bardziej przygnębiającego kontrastu. Przejście od zieleni do szarości, od ciszy do zgiełku, od powietrza do dymu. Dzielnice przemysłowe, przedmieścia z byle jak skleconymi chatami, biedne zaułki, nieużytki przekształcone w śmietniska... Nie przychodzi mi do głowy nic bardziej przygnębiającego. I nie oceniaj mnie źle: ja nie jestem z miasta. A miasto z początku nie pokazuje nam swego piękniejszego oblicza, zazdrośnie skrywa swoje skarby pod niechlujnym opakowaniem.

Automobil z otwartym dachem brnął przez brud, błoto, sadzę i końskie odchody. Na rogach ulic leżały kupy śmieci, ścieki płynęły wzdłuż chodników, a na ulicach bawiły się zawszone dzieci w łachmanach. Niemal przejechaliśmy parchatego kota goniącego szczura, a omijając go, usłyszeliśmy stek przekleństw węglarza, bo przejechaliśmy zbyt blisko jego fury. To też był Wiedeń.

– Ringstrasse. – Wskazał mi twój brat. – Już możesz oddychać.

Mówi się, że wielcy teoretycy nowoczesnej miejskiej architektury, wspierani przez liberalnych filantropów,

obalili te pozostałości dawnych, bardziej prymitywnych czasów, jakimi były mury Wiednia, i w ich miejscu zbudowali Ringstrasse. Zapomnieli jednak, że mury to nie tylko kupa kamieni. Ale bezpieczeństwo, czystość, oświetlenie ulic, parki i ogrody, architektoniczna uroda dalej były zarezerwowane dla tych samych co zawsze – z murami czy bez nich.

Jedno było pewne – już mogłam oddychać. A zapach zbytku, nawet jeśli jest bardziej szkodliwy od zapachu biedy, przynajmniej jest przyjemniejszy.

Zupełnie nie orientując się co do drogi, którą twój brat pokonywał z obojętnością stałego bywalca, ograniczałam się do podziwiania widoków, nie pytając o powód ani cel naszej podróży. Zaparkował przed pięknym budynkiem, jednym z wielu, obok wielkiego gmachu Opery Wiedeńskiej, której renesansowy styl wyróżniał się dyskretnie na tle barokowych gmachów, barokowych bardziej ze względu na rozmiary niż architekturę. Wysiedliśmy przed drzwiami z kolumnami po bokach. Pilnował ich portier w liberii. Nad nimi na czarnym tle złotymi literami wypisano: HOTEL SACHER.

Hotel?

W środku nasze stopy zanurzyły się w czerwonym dywanie prowadzącym do kontuaru recepcji, w hallu udekorowanym ze spodziewanym przepychem. Karel i pracownik hotelu wymienili serdeczne pozdrowienia. Ten ostatni zerknął na mnie kątem oka i uśmiechnął się kurtuazyjnie. Ubrany zgodnie z hotelową etykietą

mężczyzna bez wahania chwycił klucz z numerem 530. Nagle poczułam dziwny strach, jakbym znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiedniej chwili i zaraz miała zrobić coś nieodpowiedniego. Karel odwrócił się do mnie.

– Muszę się przebrać przed wizytą w pałacu.

Powstrzymałam westchnienie ulgi – pokój był tylko dla niego. W przeciwnym razie wybrnięcie z tej sytuacji byłoby naprawdę kłopotliwe.

– Do pałacu? Ach tak, oczywiście.

– Nie myśl sobie, że przywiozłem cię do Wiednia, żeby cię porzucić w hotelu. To zajmie tylko chwilę. Potem zjemy razem obiad i pokażę ci miasto.

Pomijając tę fascynującą perspektywę, jaką przede mną roztoczył, i lakoniczne deklaracje, nie silił się na wielkie wyjaśnienia czy choćby kurtuazyjne rozmowy. Absolutnie nie był człowiekiem gadatliwym, raczej milczkiem. Zdecydowanie tak.

Ponownie rzucił kilka zdań po niemiecku do niskiego portiera za kontuarem i ów znowu posłał mi uśmiech, nieustannie kiwając głową.

– Jeśli będziesz miała jakiś problem, przyjdź do Josefa, on ci pomoże we wszystkim. Muszę już iść.

Karel stał przez kilka sekund, czekając na moją reakcję, a ponieważ się nie doczekał, odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami windy. Ja zostałam przed kontuarem recepcji, otoczona nieznanymi w nieznanym sobie miejscu, z niziutkim mężczyzną wyglądającym jak

pingwin, uśmiechającym się do mnie zza książki meldunkowej i prezentującym rząd równych zębów, dobrze utrzymanych i bielutkich. Nie do końca tak wyobrażałam sobie przyjazd do Wiednia. Nie miałam jednak zamiaru tracić czasu. Wzruszyłam ramionami i zostawiwszy Josefa z jego nużącym uśmiechem, wyszłam z hotelu, gotowa wykorzystać poranek.

Wyznaję ci, bracie, że trwając w swoim pesymizmie, obojętnie lub z lekceważeniem obserwowałam twój życiowy optymizm, jak bogowie patrzą na wady śmiertelników z ołtarzy swej doskonałości. A jednak powiem ci na swoją obronę – nie żeby uspokoić sumienie, gdyż grzeszę pychą – że mój pesymizm nie był wrodzony, jak twój optymizm, lecz okolicznościowy. Nie byłem pesymistą w dzieciństwie ani w okresie dorastania, w młodości też nie. Stałem się nim, osiągnąwszy dorosłość, kiedy zaskoczyła mnie niestrawność rzeczywistości.

Ponieważ byłem pesymistą, rozparłem się ciężko na kanapie cesarskiego powozu, który po moim spotkaniu z cesarzem odwoził mnie do hotelu, i przetarłem oczy, a zwykłem to robić, kiedy miałem ciężką głowę. W tamtym okresie moje wizyty w pałacu były trudniejsze niż zwykle, jak męczące poczucie nieuiszczenia zaległych rachunków; piasek klepsydry przesypujący się na dno szklanego naczynia... aż nie zostanie już ani jedno ziarenko.

Przełożeni polecili mi spotkać się z cesarzem, wydobyć od niego informacje i przy zachowaniu

wyjatkowej dyplomacji, taktu i zasad psychologii spróbować wpłynąć na jego postawę, którą coraz bardziej usztywniał pod wpływem swych radykalnych doradców. Franciszek Józef był starszym, zmęczonym życiem i problemami, którego charakter z wiekiem osłabł do tego stopnia, że cesarz nie potrafił się przeciwstawić coraz bardziej skrajnym pangermańskim ideom swoich ministrów. A jednak dalej należał do kluczowych graczy w Europie, może nawet był najważniejszą częścią tej układanki, wszak wszystko wskazywało na to, że cesarstwo stało się wojskowym poligonem doświadczalnym, swego rodzaju laboratorium, gdzie codziennie badano coraz to nowe wzory chemiczne i wybuchowe substancje. Cesarstwo austro-węgierskie stanowiło mieszaninę narodowości współżyjących w kruchej równowadze, gdzie pleniły się nacjonalizmy. Z drugiej strony, nowe masowe ruchy, jak socjalizm i marksizm, zwiastowały rewolucję społeczną, koniec liberalizmu, tak silnie zakorzenionego w cesarsko-królewskich Austro-Węgrzech. Nacjonalizm i socjalizm, nawet będąc radykalnie odmienne co do pryncypiów, zbiegały się w jednym celu: w wojnie. Wojnie grożącej wylaniem się poza granice cesarstwa, aby przekształcić się w sprawę ponadnarodową: panslawizm i pangermanizm. Innymi słowy, Rosja przeciwko Niemcom. Może ty, z twoją niemal kosmiczną wizją rzeczywistości, nie zwróciłeś na to uwagi. Pomyliłeś się, lekceważąc ją: ta wojna, bracie, nie

dotyczyła idei; miała się zacząć w twoim domu i zagrozić twojej rodzinie, życiu, które wiodłeś, osobie, którą byłeś. Nie wiem, jak to możliwe, że nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

Pewne jest, że w takich okolicznościach doradzanie jego wysokości byłoby przejawem wielkiej zuchwałości i mogło się okazać działaniem bezowocnym. A zatem widząc, że jego czoło coraz bardziej się marszczy, a on sam staje się szorstki i małomówny, postanowiłem zmienić temat i w końcu gawędziliśmy o jego psach, polowaniach i o przygotowaniach do mojego ślubu z Nadią. Czasem najważniejsza w dyplomacji jest wiedza, kiedy przestać naciskać.

Wychodziłem z pałacu zmęczony, kiedy podszedł do mnie osobisty sekretarz arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcy tronu – jego wysokość pragnął ze mną rozmawiać. Nie sądziłem, że arcyksiężę uważa, że mam tak wielki wpływ na cesarza, że będzie kierować do mnie pretensje i liczył na to, że coś u niego wskóram. Mimo że niezbyt szanowany na dworze cieszyłem się pewnym zaufaniem Franciszka Ferdynanda i widziałem w nim sprzymierzeńca. Był on człowiekiem uступliwym i elastycznym (znacznie bardziej niż jego stryj), o konserwatywnym światopoglądzie, i nie znosił austriackich nacjonalistów, tak niebezpiecznych dla równowagi światowej, bo mogli wszak przeważać szalę polityki zagranicznej na rzecz Niemiec.

Kiedy rozmawialiśmy, patrzyłem na niego z lekkim

żalem, bo mu współczułem. Rzeczywiście nie nadawał się do wypełnienia przeznaczonego dla niego zadania. Jak sam zwykł mawiać, czuł się, jakby nosił cierniową koronę. W wielu aspektach przypominał mi cara Mikołaja; obaj byli domatorami, którzy czas na łonie rodziny cenili bardziej niż sprawy państwowe, woleli towarzystwo żony, dzieci i psów od doradców i ludzi dworu. Na dworze wiele mówiono o Franciszku Ferdynandzie, ale rzadko pochlebnie. Nazywano go żalonym, rozpieszczonym lalusiem, wiedeńska socjeta trzymała go na dystans, więc uważano go za najbardziej samotnego człowieka w mieście. Mawiano, że brakuje mu dwóch istotnych cech, żeby mógł odnieść sukces w towarzystwie: czaru i elegancji, na których tobie akurat nie zbywało. Nie można też było twierdzić, że stary cesarz darzy go sympatią i łaską. Jego wysokość wyznał mi kiedyś, że oprócz tego, że bratanek prowadził rozwiązłe życie jako młody oficer (co wyjątkowo nie podobało się człowiekowi o tak silnych zasadach moralnych), to jeszcze nie ma siły charakteru i energii nieodzownych dla monarchy. Kroplą, która przelała czarę, było jego małżeństwo z Zofią Chotek. Cesarz chciał się przeciwstawić, ale Franciszek Ferdynand, mimo rzekomego braku silnego charakteru, postawił na swoim.

Prawda zaś jest taka, że Franciszek Habsburg cierpiał na typowe schorzenie Habsburgów: pragnienie małżeństwa z miłości. Czyż sam Franciszek Józef przez to nie przeszedł, kiedy przeciwstawił się swojej autorytarnej

matce, żeby ożenić się z piękną i romantyczną, ale także upartą i cierpiącą na zaburzenia psychiczne Elżbietą? Franciszek Ferdynand poznał Zofię, córkę starszego koniuszego, na balu w Pradze. Mimo że Zofia należała do szlacheckiej czeskiej rodziny, Franciszek Ferdynand wiedział, że cesarz nie będzie przychylnie patrzył na to małżeństwo, gdyż w jej żyłach nie płynęła królewska krew. Za swój upór zapłacił wysoką cenę: nie tylko żaden z jego synów nie ma prawa do sukcesji, ale też Zofię upokarza się publicznie, bo nie może jeździć z mężem w karecie podczas oficjalnych uroczystości ani zasiadać obok niego w pałacu. Cesarz zgodził się na ślub, bo – co on uważa za międzynarodowy spisek – cesarz Wilhelm II, car Mikołaj II i papież Leon XIII interweniowali na rzecz Ferdynanda w imię stabilności i ciągłości monarchii.

Założę się, że z twojej kosmicznej perspektywy nie zwróciłeś też uwagi na te prowincjonalne plotki.

Nie dostarczam ci tej taniej kroniki towarzyskiej po to, żeby sobie poplotkować, ale żeby ci przedstawić, jakie sprawy zaprzętały mi głowę, jakie myśli mnie dręczyły oraz jakie miałem przekonania co do swojego przyszłego małżeństwa. Było dla mnie oczywiste, że nie będzie to małżeństwo z miłości, ale też nie odrzucałem możliwości, że to uczucie może się pojawić, i wiedziałem, że możemy być przynajmniej względnie szczęśliwi. Czasem zastanawiałem się, co się dzieje w głowach ludzi, którzy przedkładają własne uczucia nad rację stanu. Może nigdy nie kochałem tak mocno, by to zrozumieć. Miłość to tylko

słabość charakteru, niebezpieczne zakłócenia w naszym rozumowaniu. Ani miłości, ani nienawiści nie można polecić tym, którzy pragną sukcesu w życiu. Co do tego byłem absolutnie przekonany, bracie.

– Stój! – nakazałem stangretowi, gdy tylko minęliśmy pałacowe ogrodzenie i zagłębiliśmy się w uliczny zgiełk.

Ból głowy stawał się coraz dotkliwszy, więc zamierzałam się przejść, nim stawię czoło jej, naszej kuzynce. Chciałem, żeby powietrze mnie ożywiło, trochę ruchu wyszłoby mi na dobre. Gdy tylko wysiadłem z powozu, kupiłem od gazeciarza wykrzykującego piskliwym dziecięcym głosem tytuły dnia, egzemplarz „Neue Freie Presse”. W moim mniemaniu, choć wiem, że ty się z tym nie zgodzisz, to najważniejsza gazeta nie tylko w Wiedniu, ale też w całym cesarstwie, a także istotny opiniotwórczy dziennik na świecie. Ponadto pod względem ideologicznym prezentował poglądy burżuazyjno-liberalne: czyli dokładnie to, co chciałem czytać. Zbyt wiele wywrotowej prasy zatruwało tamte dni. Człowiek mógł polegać tylko na poważnych publikacjach.

Tak, wszystko jest takie wywrotowe – myślałem, przeglądając tytuły. Dla odmiany Wiedeń prezentuje się jako miasto beztroskiego ducha, ludzie oddają się rozrywce i przyjemnościom życia, pławią się w dobrobycie nowoczesnego społeczeństwa. Uniosłem wzrok i rozejrzałem się wokół. Tym bardziej widać to w Boże Narodzenie, gdy ulice i sklepy są pięknie przystrojone, wokół rozlegają się chóry kolędników, a na

placu przed magistratem stoi wielka choinka.

Pokręciłem głową i ponownie wróciłem do czytania. Wiedeń kłamał, to był łabędzi śpiew umierającego miasta. Bo mój Wiedeń umierał, bracie – umierało cesarstwo i jego cesarz; umierało społeczeństwo dobrych obyczajów i zasad moralnych; umierały tradycyjne wartości, dziedzictwo naszych rodziców; umierały dobry smak, piękno sztuki i estetyczna harmonia; umierały wstrzeźliwość, rozum i zdrowy rozsądek. Działo się to, odkąd dobiegł końca chwalebny wiek rozumu, nauki i liberalnej myśli. Nowy wiek wkroczył pod sztandarem nowoczesności. A nowoczesna polityka to rewolucja. Nowoczesne społeczeństwo to jednostka przed rodziną. Nowoczesna moralność to brak zasad i libertynizm.

Stojąc pośrodku Michaelerplatz, pogrążony w myślach, natrafiłem wzrokiem na salon krawiecki Goldman und Salach i uśmiechnąłem się do siebie z goryczą, która miała być sarkazmem. Oni też hołdowali nowoczesnej sztuce – sztuce transgresji i destrukcji. Zburzyć, żeby zbudować od nowa, obwieszczali intelektualiści. Co za głupota! Ten budynek sprawił, że doznałem iluminacji: sztuka jako manifestacja deterministycznych czasów i takiegoż społeczeństwa była najbardziej ewidentnym dowodem na to, że Wiedeń umiera. Budynek projektu Adolfa Loosa, następnego z tego tłumu nowoczesnych ludzi niszczących moje miasto. Czy przechodząc, zwróciłeś kiedyś uwagę, jak smutno odcina się od reszty ten gmach? Dla mnie jego

zaskakująca brzydota wyróżnia się na tle otaczającego go architektonicznego piękna: nieciekawa granitowa bryła podziurawiona małymi okienkami, o wyglądzie ogromnego kawałka sera gruyer, który spadł pośrodku placu. W jakiś sposób przypominał mi okropną wieżę Eiffla, w której ja widzę jedynie żelazny szkielet wznoszący się arogancko nad całym miastem, bezwstydnie obnażający swe puste wnętrze, jakby ktoś zapomniał go wykończyć. Usługi krawieckie Goldman und Salach czy wieża Eiffla są tylko objawami zarazy rozprzestrzeniającej się z przerażającą zjadliwością po całej Europie i w Wiedniu znajdującej szczególną pożywkę.

Ruszyłem naprzód, a myśli o sztuce transgresyjnej przyprawiały mnie o gorycz w ustach. Wystarczyło pomyśleć o Wiener Sezession! Bo kimże byli ów Klimt i jego adepci rewolucji w sztuce? Transgresorzy, amoralni niszczyciele... Doskonale ujęli przyświecające im motto przed wejściem do swojej siedziby: *Der Zeit ihre Kunst, der Kunst ihre Freiheit*. Dla każdego czasów ich sztuka, dla każdej sztuki – wolność.

Cóż to za czasy?! – oburzony zadawałem sobie pytanie. Czasy kryzysu, pęknięcia, wyniesienia jednostki ponad społeczeństwo, uczucia ponad rozum... Piękne słowa, które dla mnie oznaczały jedynie negację ojcowskiego autorytetu, podwójną moralność, osłabienie prawa i zahamowanie postępu, buntujące się kobiety; chorobliwą obsesję na punkcie seksu i erotyzmu; neurozy,

hedonizm i niepokój, tak wyraźne w kulturze, od literatury Schnitzlera z jego surową krytyką austriackiego społeczeństwa, przez przygnębiające obrazy Klimta, Kokoschki albo Schielego, aż do eklektycznej muzyki Gustava Mahlera, dyrektora wiedeńskiej opery... Ach, przecież! Zapomniałem o naukowcach, jak ten żydowski lekarz, doktor Sigmund Freud, z uporem maniaka doszukujący się zła w jednostce ograniczonej chrześcijańską moralnością i ojcowskim autorytetem. Nawet nauka zaraziła się zgubną nowoczesnością. *Schöpferische Zerstörung*... twórcza destrukcja. Przejście od racjonalizmu do psychologii. Jakże świat nie doceniał nadciągającej dramatycznej destrukcji...

I jak tu nie być pesymistą? Stałem twardo na ziemi. Tylko wy, żyjący mistycyzmem i powracający do świata śmiertelników wyłącznie w poszukiwaniu rozrywek, jak mitologiczni bogowie, mogliście sobie pozwolić na optymizm.

Wsparty na lasce, która niegdyś była atrybutem dandysa, zmęczonym krokiem, ze wzrokiem utkwionym w chodniku i z gazetą pełną złych wiadomości pod pachą, kontynuowałem swój melancholijny spacer.

Czując absolutną słusność swoich przekonań i wartości, których zawsze zaciekle broniłem, nie byłem w stanie wyobrazić sobie kryzysu osobistego, od którego znajdowałem się o krok: bo wszystko, w co wierzyłem i o co walczyłem, miało za chwilę stracić dla mnie znaczenie; bo ja, człowiek racjonalny, powściągliwy, zrównoważony,

miałem się zmienić w człowieka pozbawionego hamulców i impulsywnego, miałem się poddać swoim emocjom, obsesjom i słabościom... przecież też je miałem. Ale przysięgam ci, bracie, na wszystko, co dla ciebie najświętsze, że nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, co będzie katalizatorem podobnej przemiany.

Zatrzymałem się przed fasadą Sachera i wciągnąłem w płuca ostatni haust powietrza jako człowiek samotny i wolny, i wypuściłem jak westchnienie. W tej chwili pragnąłem być sam, kontynuować spacer bez określonego celu aż do wieczora, wrócić do domu samochodem i zasnąć, żeby zapomnieć. Ty nie byłbyś w stanie tego zrozumieć, ale ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, było towarzystwo kobiety. A zwłaszcza tej kobiety – w takim nastroju nie potrafiłem znieść agresywnego nadmiaru energii, niemal nieprzyzwoitego dobrego humoru i nieustannego potoku słów niegodnego dobrze wychowanej damy, którą, jak sądziłem, była. Niemniej uzbroiłem się w wolę, aby spełnić swój obowiązek (właściwie obowiązek nadawał sens mojemu życiu), to zaś była dziwna kobieta, zachowująca się w dziwny sposób. A ja chciałem... musiałem odgadnąć dlaczego.

Zabrałem się do realizacji swojego zadania zaraz po przyjeździe do Wiednia, gdy zostawiłem ją w hotelu. Postanowiłem poczekać i śledzić jej kroki; przeczuwałem, że nie zostanie u Sachera. I rzeczywiście, niemal natychmiast zanurzyła się w uliczny tłum, a ja podążyłem za nią. Od razu zauważyłem, że omija atrakcje, które z

pewnością zwróciłyby uwagę kobiety takiej jak ona: pałace, muzea, sklepy. Jej zachowanie stało się tym bardziej intrygujące, kiedy zobaczyłem, że pyta o konkretny adres, który miała zapisany na kartce. Przecież nie знаła w Wiedniu nikogo. Czegóż takiego poszukiwała? Szybko się dowiedziałem: sklepu ze starociami w dzielnicy robotniczej oddalonej od eleganckiej części miasta. I nie wierzyłem, że właśnie takich rzeczy poszukuje, bo nie weszła do sklepu ani nawet nie spojrzała na wystawę. Jak zawsze zachowywała się w sposób co najmniej nietypowy.

Teraz w końcu ruszyłem do drzwi hotelu, zmuszając się do okazania animuszu, szybkim krokiem i patrząc przed siebie; laska na powrót stała się atrybutem dandysa.

Pamiętam, ukochany, z absurdalną precyzją, dokładną godzinę, w której Karel pojawił się w hotelowym hallu, gdzie siedziałam na niewygodnej kanapie, prawdopodobnie niewyobrażalnie drogiej. Była dwunasta dwadzieścia siedem według cudownego zegara typu *bracket* z orzechowego drewna podpisanego Markwick Markham – mogłabym zapewnić, że z XVIII wieku – stojącego na stoliku przed lustrem w złoczonej ramie.

– Przepraszam za spóźnienie.

Tak mnie pozdrowił. Przypuszczam, że wizyta w Hofburgu nie przebiegła najlepiej, bo wyglądał na zmęczonego i przygaszonego.

Gdy zmienił bardzo elegancki strój wizytowy na coś

bardziej odpowiedniego na spacer po mieście, wyszliśmy z hotelu w poszukiwaniu restauracji.

– Co robiłaś? – zapytał pewnie po to, by podtrzymać rozmowę, a nie z autentycznego zainteresowania.

Co robiłam? Zbyt wiele rzeczy jak na tak krótki czas wolności. Chciałam poznać miasto, a ponieważ nudziły mnie przewodniki, poszłam na spacer, żeby poznać ducha Wiednia, w tym celu kupiłam też gazetę: egzemplarz „Neue Freie Presse”. Wiedziałam, że to najważniejsze pismo w mieście, a pisują do niego autorzy pokroju Teodora Herzla, Arthura Schnitzlera, Stefana Zweiga, doktora Sigmunda Freuda... nawet Karol Marks czasem pisał do „Presse” podczas swojego pobytu w Londynie, jego artykuły drukowano rzadko, bo większość jego polemicznych tekstów konserwatywny dziennik odrzucał. Gazeta zawsze pozwala świetnie uchwycić ducha kraju czy miasta. Problem w tym, że „Neue Freie Presse”, choć była pismem poważnym, była też nazbyt konwencjonalna i drobnomieszczańska. Nabyłam więc również egzemplarz „Die Flacke”, satyrycznego magazynu Karla Krausa. Podobał mi się, bo przedstawiał inny punkt widzenia, był uszczypliwy w swych atakach na cesarstwo, na niemieckich nacjonalistów, na oficjalną kulturę, mieszczańską moralność, na Żydów... Pamiętam, że któregoś dnia śmialiśmy się, ty i ja, rozmawiając o niektórych artykułach. Jeszcze mam ten egzemplarz...

Sprawy miały się tak, ukochany, że z obiema publikacjami w ręku skierowałam się do Wiener

Sezession, żeby obejrzeć najnowsze dzieła sztuki. Siedząc na ławce w jednej z sal, zachwyciłam się tym niesamowitym malarstwem, nową formą wyrazu, tak odważną i przejmującą. Przez chwilę, w otoczeniu dzieł Klimta, Schielego czy Kokoschki, odnosiłam wrażenie, że poprzez obrazy odczuwam ich emocje: ich strachy i pragnienia; że jestem w stanie wejść w ich dusze, czasem mroczne i udręczone, ale szczerze, pozbawione zahamowań i granic. Ich sztuka łamała zasady, fascynowała mnie jej transgresyjna natura.

Dzięki prasie i sztuce stopniowo zaczynałam rozumieć, że Wiedeń jest nie tylko miastem, lecz ucieleśnieniem tego, co się działo w świecie; odzwierciedlał społeczeństwo nowego wieku. Czy kiedyś spojrzę na Wiedeń takimi oczami? Sądzę, że nie... Dla ciebie był to jedynie punkt na mapie ogromnego świata. Ja spojrzałam miastu w twarz i stwierdziłam, że jest pełne napięcia. Wiedeń trwał w rozdarciu pomiędzy tym, co stare, a tym, co nowe, tym, co należało do przeszłości, i tym, czego pragnęły następne pokolenia. I z tego napięcia zrodziło się środowisko niebywale wzbogacające, w którym filozofia, nauka i kultura kwitły jak nigdy.

Po wizycie w Sezession dalej czytałam „Die Flacke”, spacerując po Stadtpark. Omiatałam park spojrzeniem i miałam wrażenie kiepskiej iluzji; kierowałam wzrok na pismo i wracałam do rzeczywistości, z którą zetknęłam się w muzeum: silny kontrast farsy i prawdy widoczny dla uważnego obserwatora. Chociaż Wiedeń pragnie udawać,

że dalej jest tym samym miastem, oddanym swojej tradycji i zwyczajom; i chociaż dalej gra się tu walca, pije kawę i odbywa przejażdżki powozem po Ringu, tak naprawdę tętni duchem rewolucji. Wiedeń jest wrzącym tygłem pasji na chwilę przed wybuchem: pasji wolności, socjalizmu i nacjonalizmu; uświęconych tradycji i transgresji; pasji niepohamowanych i powściągniętych; pasji żydowskiej i antyżydowskiej. W sumie pasje te zmieniały Wiedeń u zarania wieku w miasto fascynujące. Bo choć namiętności mogą prowadzić do rozczarowania, tragedii i frustracji, o czym doskonale wiedziałam, wyrzeczenie się ich oznacza śmierć... co też doskonale wiem.

Przykre w tej ekscytującej sytuacji jest to, że zderzenie tych pasji dało tak dramatyczny rezultat. Dlatego, mój ukochany, nikt, a może tylko niewielu mogło sobie na nie pozwolić.

– Isabel...

Karel przywrócił mnie do teraźniejszości.

– ...jesteś rozkojarzona. Nie masz zamiaru mi odpowiedzieć? Pytałem cię, co dziś robiłaś.

Nie zamierzałam opowiadać mu wszystkiego ani wyznawać, co jego miasto mi zdradziło, gdy oddałam się jego bolesnej analizie. Byliśmy przecież dwojgiem obcych sobie ludzi wcale niepragnących poznać się nawzajem. Opowiedziałam mu więc, że szukałam cukierni, którą poleciła mi Eleanor – pamiętasz młodą szkocką arystokratkę zaproszoną do Brunstriechu na

święta? Miałam tylko nazwę, bo nie byłam w stanie zapamiętać adresu, i udało mi się znaleźć jedynie jakiś zapyziały sklep ze starociami, który najwyraźniej nazywał się tak samo. Powiedziałam mu, że potem spacerowałam po centrum, aż zmęczona samotnym krążeniem po ulicach usiadłam na ławce w parku, aby podzielić się kawałkiem *Kumpelhof* z żarłocznymi kaczkami z sadzawki.

– Jeśli masz ochotę na słodczy, po obiedzie zaprowadzę cię do dobrej cukierni. – To była jego jedyna reakcja.

Oschłość, granicząca z antypatią. Nie żeby mi to przeszkadzało, ale budziło we mnie ducha przekory.

– Wiesz? Kupiłam sobie ostatni numer „Die Flacke”. Ten... Kraus to bardzo inteligentny człowiek.

Jak przypuszczałam, ten komentarz, rzucony z rozmyślną niewinnością, rozbudził jego zainteresowanie – łaskawie na mnie spojrzął z uniesionymi brwiami i grymasem niesmaku w kącikach ust.

– „Die Flacke”? A skąd ty znasz ten śmieć? Na pewno polecił ci go mój brat. Jest miłośnikiem prostackiej bezsensownej satyry.

– Niezupełnie. Na jednym z przyjęć komentowano kilka artykułów Krausa. „To, co rodzice zbudowali, dzieci powinny zniszczyć” – wyrecytowałam pompatycznie.

– Kraus jest tylko pretensjonalnym żydowskim renegatem, hochsztaplerem mającym problem z tożsamością – rzucił z pogardą.

Nie myliłam się zatem, przypuszczając, po której

stronie wiedeńskich pasji plasuje się Karel... i nie było to miejsce, które wybrałabym dla siebie.

Po pożywnym obiedzie u Ofenlocha wykorzystaliśmy te kilka pozostałych godzin światła, żeby pobieżnie obejrzeć (w stylu wycieczki z przewodnikiem) najważniejsze atrakcje Wiednia: miasto muzyki, cesarskich pałaców, gotyckiej katedry, gigantycznej karuzeli i mnóstwa kawiarni, od najbardziej frywolnych do najpoważniejszych, gdzie spotykają się intelektualiści. Właśnie w jednej z nich zakończyliśmy nasz długi dzień, wspólnie wypijając przy małym stoliku kilka kaw, tak gorących, że aż parzyły, nie za słodkich i z grubą pianką mleka gęstego jak śmietana, tak jak lubię.

– Kiedy byłem mały, przyjeżdżałem tu z ojcem, gdy udawał się na spotkanie z cesarzem. Zatrzymywaliśmy się u Sachera, brał pokój 530 i zostawiał mnie z Helgą, pokojówką, równie czułą jak grubą. Helga napełniała mi kieszenie kawałkami mydła, a w nagrodę za dobre sprawowanie zawsze obiecywała mi kilka cukierków z tych, co pod moim uważnym spojrzeniem kładła na poduszkach jako prezent od hotelu. Nauczyła mnie ścielić łóżka i układać ręczniki, a w wózku z miotłami jeździłem po wszystkich korytarzach. Potem przychodził po mnie ojciec i zabierał na obiad do Ofenlocha... Zawsze wchodził do jadalni, pogwizdując jakiegoś wojskowego marsza, siadał przy tym samym stoliku przy oknie i zamawiał szklankę mleka dla mnie, a dla siebie kufel zimnego piwa i *Bauernschmaus* dla nas obu.

Historia twojego brata, którą opowiadał z przymrużonymi oczami, częściowo z powodu zmęczenia, a częściowo po to, żeby swobodnie oddawać się wspomnieniom, miała wiele wspólnego z naszą wycieczką tamtego dnia: nawet jedliśmy to samo na obiad. Pomyślałam, że to przywiązanie, równie nostalgiczne, jak obsesyjne, do przeszłości, której nie da się już odzyskać, jest jedynie ucieczką od rzeczywistości. Można było odnieść wrażenie, że Karel cierpi codzienne tortury, którym mogły ulżyć tylko wspomnienia: przyjemne i bolesne zarazem, jak wiatr, który tego ranka chłostał moje policzki. Zadałam sobie pytanie, co takiego może dręczyć człowieka, do którego życie zdawało się uśmiechać.

– Nawet dzisiaj, gdy wchodzę do Sachera, wydaje mi się, że widzę Helgę drepczącą korytarzami, z tymi mydlami i cukierkami, zostawiającą za sobą niemożliwy do pomylenia z niczym innym zapach środka dezynfekującego i cytrynowej wody kolońskiej. A u Ofenlocha natychmiast przychodzi mi na myśl dziesiątki wojskowych marszów...

– Ta choroba nazywa się nostalgia.

– Być może. Dzieciństwo to cudowny okres. Nie ma przeszłości, nie ma przyszłości. – Delikatnie chwycił uszko filiżanki i zakręcił nią, nie unosząc ze spodeczka. – A ty? Co ty pamiętasz z dzieciństwa?

Zaskoczyło mnie jego nagłe zainteresowanie i chociaż wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć,

zastanowiłam się przez chwilę, zanim to zrobiłam, bo nie byłam pewna, czy tego chcę.

– Ojca. Pamiętam go, jakbym go widziała. Był wysokim, postawnym mężczyzną. Przynajmniej w dzieciństwie tak go idealizowałam. Miał gęstą, czarną brodę, jak prawdziwy wilk morski. Kiedy nie pływał na statku, wracał do domu o zmierzchu, siadał w fotelu i rozpoczynał rytuał zapalania fajki: wyciągał ostrożnie trochę tytoniu z drewnianej skrzyneczki stojącej na kominku, delikatnie wkładał go do fajki, ubijał i kilka razy ją zapalał, z charakterystycznym cmokaniem wciągając aromatyczny dym. „Odrobiliście, majtku, lekcje?“, pytał mnie, głaszcząc Rumpla, naszego wielkiego owczarka śpiącego u jego stóp. „Tak jest“, odpowiadałam bardzo poważnie, jakbym naprawdę była majtkiem. „Zjedliście kolację?“, „Tak jest“, „Wszystko?“ „Wszystko“, „No to możecie wejść na pokład“. A ja wskakiwałam mu na kolana i przytulałam się do niego. A potem ojciec gładził mnie po włosach, opowiadając mi historie o dalekich morzach z przejrzystymi wodami, o krajach, gdzie drzewa rodzą ogromne owoce o egzotycznych smakach i słońce zawsze świeci. Co wieczór obiecywał, że mnie tam zabierze, ale umarł, nie spełniwszy swojej obietnicy. Zostawił mi historie, których słuchałam, aż zasnęłam, i książki z pięknymi litografiami. To on sprawił, że zaczęłam się interesować innymi kulturami i narodami, innymi krajobrazami. Poza naszym światem jest wiele rzeczy, których można się nauczyć,

trzeba tylko odrobinę otworzyć oczy i umysł.

To był skrawek mojego dzieciństwa, mój ukochany. Wszystko, co opowiedziałam twojemu bratu, było żywymi, plastycznymi wspomnieniami. Podobnie jak Karel, byłam do nich nostalgicznie przywiązana, lecz każdy dzień zmuszał mnie do wyrzekania się ich. W moim życiu nie było miejsca na nostalgię. Lecz to, że tamtego popołudnia wyciągnęłam je na światło dzienne, dowodziło, że są integralną częścią mnie, że nikt nie jest w stanie mi ich odebrać ani sprawić, by zniknęły. Istniały, żebym pamiętała o swojej tożsamości. Wspomnienia przynosiły mi ulgę, jak twojemu bratu.

Uśmiechnęłam się. Pozwoliłam sobie na to, bo doznałam niemal fizycznej ulgi, była jak ciepło, które wypędza chłód. Miałam wrażenie wielkiej intymności i prawie zapomniałam, że nie jestem sama.

– Gdybym była mężczyzną – ciągnęłam – chciałabym być marynarzem, jak mój ojciec. Pływać po morzach i mieć cały świat w zasięgu ręki, bez ograniczeń. Czuć wolność...

– Nie sądzę, żeby wolność sprowadzała się do czegoś tak prostego jak pływanie statkiem.

Tępy pragmatyzm twojego brata przywołał mnie do rzeczywistości. Odzyskałam świadomość, gdzie jestem i po co.

– A ja uważam, że jest to coś tak skomplikowanego albo tak prostego, jak zechce człowiek. – Zobaczywszy jego minę, postanowiłam to wyjaśnić: – To tak jak ze

szczęściem. To pojęcia subiektywne, uczucia, które zależą od danego człowieka. To, czy mamy je w swoim zasięgu czy nie, to nasza sprawa i to w nas trzeba tego szukać, a nie na zewnątrz. To, co dla mnie oznacza wolność albo szczęście, nie musi oznaczać tego samego dla ciebie.

– A co to znaczy dla ciebie?

Westchnęłam, unosząc oczy ku niebu w obliczu wielkości pytania. Ogarnęło mnie poczucie, że jestem poddawana próbie. A może była to tylko obawa.

– Jestem przekonana, że jeśli będę szukać wolności i szczęścia w rzeczach prostych i bliskich życia, zawsze będę wolna i zawsze będę szczęśliwa. Jestem wolna, kiedy spaceruję boso po plaży, ze spódnicą uniesioną do kolan; kiedy czytam dobrą książkę wyciągniętą na wiosennej trawie; kiedy co noc rozplątam włosy i czuję, jak swobodnie spływają mi na plecy; kiedy zostawiam gorset w szafie i mogę głęboko oddychać...

Uśmiechnęłam się i Karel też. To wyglądało na grę. Nie mogło być inaczej, skoro snułam rozważania o szczęściu i wolności nad kawą z prawie nieznanym mężczyzną. Musiałam strywializować sytuację, w ten sposób mogłam się pozbyć pewnej odpowiedzialności. Nadal z uśmiechem mówiłam dalej:

– A wiesz, kiedy jestem szczęśliwa?

Twój brat pokręcił głową. On też ciągle się uśmiechał, a właściwie śmiał, i jestem pewna, że w jego oczach błyszczało prawdziwe zainteresowanie.

– Jestem szczęśliwa, kiedy jest mi ciepło w zimny

dzień, kiedy mogę spać, gdy jestem senna, jeśli mogę jeść, kiedy jestem głodna... przede wszystkim czekoladę. – Postawiłam na swoją najbardziej frywolną cechę. – I jestem szczęśliwa, kiedy się śmieję pełną piersią, nawet jeśli to trwa kilka sekund. – Zrobiłam przerwę, żeby pomieszać już pomieszaną kawę. Tak naprawdę była to dramatyczna pauza. Przejście od zabawy do powagi. – Wolność i szczęście to rzeczy ulotne. Udawanie, że mogą być trwałe, przysparza nam tylko rozczarowania i cierpienia. Dlatego ja staram się splatać poczucie szczęścia z drobnymi codziennymi zdarzeniami.

Wyglądało na to, że Karel medytuje nad moimi teoriami, wahając się pomiędzy sceptycyzmem i satysfakcją, że być może stoi w obliczu nowego odkrycia.

– Na przykład teraz będę się cieszyć chwilą szczęścia, kiedy skosztuję tego smakowicie wyglądającego ciastka – obwieściłam, pragnąc rozluźnić nieco atmosferę. – I ty powinieneś zrobić to samo.

Posłuchał mnie niczym pilny uczeń postępujący ściśle według zaleceń mistrza. Spojrzał w zamyśleniu na rzędy lśniących i apetycznych ciast – istna orgia kolorów i smaków. W końcu zdecydował się na ciastko z porzeczkami: wybór słodko-kwaśny, zgodny z jego sposobem bycia.

– Twój ojciec musiał być wyjątkowym człowiekiem, skoro cię tego wszystkiego nauczył – zauważył, przełknąwszy kęs, bez przyjemności, bo trudno dzięki jednemu zdaniu zmienić stosunek do życia.

– Właśnie taki był.

– Mogę ci zadać pytanie?

Lekko skinęłam głową.

– Co to za ćwiczenia, które codziennie wykonujesz w oranżerii?

– Och, Boże! Nie mów, że ty też mnie widziałeś! A ja chciałam, żeby nikt mnie nie zobaczył!

– Tak są wyuzdane, że chcesz się z nimi kryć?

– Nie chodzi o to, że same w sobie są złe, ale o to, że mogłabym kogoś zgorszyć. To joga, kolejna nauka, jaką ojciec zostawił mi w spadku. Te ćwiczenia pozwalają zachować sprawność ciała i spokój umysłu. To starodawna hinduska dyscyplina, której mój ojciec nauczył się podczas podróży do Indii. Ćwiczyłam już jako mała dziewczynka i teraz byłoby mi trudno się bez tego obejść. Co za wstyd! Mam nadzieję, że twoja matka się o tym nie dowiedziała.

Karla bawił mój niepokój.

– Nie sądzę. Wyznam ci coś, twoje ćwiczenia nie tylko mnie nie zgorszyły, ale wydały mi się bardzo piękne i harmonijne. Jeśli dodatkowo są dobre dla zdrowia, nie widzę powodu, żebyś miała się wstydzić.

– Zdaję sobie sprawę, że pod wieloma względami mogę wydawać się dziwna: pogańskie rytuały, zakazane lektury, niepokładane życie...

– Przyznaję, że ja także uznałem cię za kobietę co najmniej nietypową.

– Nie winię cię. Joga, *Bhagawadgita* i kilka innych

rzeczy nie przystoi dziewczynie z najstarszej hiszpańskiej szlachty. Ale sam widzisz, że wina leży po stronie ojca marynarza o szerokich horyzontach.

– Tak, *Bhagawadgita* – powtórzył, jakbym uprzedziła jego następne słowa. – To rzeczywiście nie jest zwyczajna lektura.

– Ale ty, rzecz jasna, ją znasz.

– Kiedyś w Londynie wysłuchałem odczytu na temat religii Wschodu. Ale nie zaskakuje mnie, że czytasz tę książkę, tylko, że wybrałaś wersję Annie Besant. Przypuszczam, że wiesz, kto to taki...

– Tak, wiem. Zatwardziała sufrażystka, ateistka, odrzuca chrześcijaństwo, żyje rozwiązle i cieszy się wątpliwą reputacją. A jednak jest też wykształcona i mądra. Tego nikt jej nie może odmówić. Wiesz? Sądzę, że dobrze jest znać wszystkie punkty widzenia, żeby móc wyrażać własną opinię. Poza tym *Bhagawadgita* nie traci na wartości z powodu tego, kto ją przetłumaczył.

– Rozumiem – zakończył i zdawało się to odnosić do wielu rzeczy.

Dopiliśmy kawę. Karel zamówił następną. Czas mijał niepostrzeżenie w tym przytulnym miejscu, gdzie wszystko sprzyjało rozmowie: przytłumione światło, miękkie siedzenia, zapach świeżo mielonej kawy i właśnie wyjętych z pieca ciast. Na zewnątrz wiedeńska noc była zimna i nie zachęcała do opuszczenia ciepłego schronienia.

– Chciałam ci podziękować za to, że mnie zaprosiłeś i

z godnością stawieś czoło zadaniu zabawiania „krewnej mamusi”. To był wspaniały dzień – powiedziałam, żeby wyrazić swą wdzięczność, zanim pójdzie w całkowite zapomnienie.

– Nie mów tak. Sama wiesz najlepiej, że wcale nie trzeba cię zabawiać. Wielu chce spędzić z tobą dzień. Właściwie pozbawiłem ich dzisiaj tej przyjemności.

W takim razie dlaczego to zrobił? Miałam ochotę go zapytać. Dlaczego, Karlu, poddałeś mnie sprytnemu przesłuchaniu pod pretekstem pogawędki przy kawie? Po co panu wiedza, że wolę wino od piwa, niedosmażone mięso, bardzo słodką kawę i chodzenie po wewnętrznej stronie chodnika? Ale się powstrzymałam; wywołałoby to tylko niepotrzebne napięcie, bo on na pewno nie byłby szczery. Te pytania, o mój ukochany, poszły ze mną do łóżka, a z nimi enigmatyczna osobowość twojego brata.

Wyznaję ci, bracie, że czasami nawet rozumiałem tę twoją nieustanną potrzebę towarzystwa kobiet. Czy to dlatego, że jedne są oszałamiające, inne działają uspokajająco, a te, które należą do największej rzadkości, potrafią inspirować? Pewne jest, że kobiety sprawiają, iż zapominasz o wszystkim, co nie odnosi się do nich samych, a pośród rzeczy puszczonej w niepamięć znajdują się też te transcendentalne.

Właśnie zapomnienie pozwoliło mi cieszyć się powrotem do Brunstriechu: ręce na kierownicy, warkot silnika zagłuszał wszystkie inne dźwięki, krzywe światło

jedynego reflektora oświetlało drogę... Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu przestałem odczuwać ten wieczny niepokój.

Obok mnie, skulona wygodnie na siedzeniu, spała ona i wzdychała przez sen. A ja myślałem, że jest niesamowita. Nie była taką kobietą jak inne. Była córką ciekawskiego marynarza o niespokojnym umyśle, miłośnika obcych kultur i odmiennych obyczajów. W jej oczach było tyle prawdy, kiedy mówiła mi o ojcu; tyle nostalgii było w jej słowach; tyle słodczy w jej uśmiechu... że kiedy wchodziłem w zakręty, martwiłem się tylko, żeby się nie zbudziła; kiedy automobil gnał naprzód, pozerając noc, myślałem tylko o tym, że ona lubi czerwone wino, niedosmażone mięso, bardzo słodką kawę; że jest łasuchem, bo zaczęła czytać menu od deserów; że lubi chodzić po wewnętrznej stronie chodnika i często się bawi malutkim słonikiem wiszącym na szyi. Myślałem, że potrafi czuć się wolna i szczęśliwa – to najdziwniejsze, najbardziej witalne i pełne nadziei wyznanie, jakie kiedykolwiek słyszałem; myślałem, że wiozę na siedzeniu pasażera kobietę niesamowitą, więc dlatego powinienem uważać na zakrętach.

Nie zastanawiałem się nad tym, czy była szczera; nie analizowałem szczegółów jej historii ani nie doszukiwałem się gestów, które by ją zdradziły; nie zadawałem sobie pytania, dlaczego nie powiedziała mi nic o swojej bytności w lochach Brunstriechu. Żadna obawa nie powstała w mojej głowie.

Jak długo trwał ten urok, który mnie otumaniał? Nie jestem pewien. Pewne natomiast jest to, bracie, że przeciągnął się przynajmniej na całą noc.

28 grudnia

Pamiętam, o ukochany, domek myśliwski. Pamiętam jak wprowadzałeś mnie przez łukowate drzwi z granitowymi kolumnami po bokach, jak usadowiłeś mnie w fotelu przy kominku w angielskim stylu: tapicerka w kwiaty, szlachetne drewno i ręcznie malowana porcelana. Pamiętam surowe spojrzenie szabli, puste oczy antylop; martwe spojrzenie bawołów; puszystą pieszczotę niedźwiedzia u naszych stóp i znajome czuwanie jelenia nad naszymi głowami; niemych świadków twojej galanterii. W mojej pamięci zawsze będzie zajmować szczególne miejsce ten romantyczny obrazek, chatka w otoczeniu gęstego, bajkowego lasu, gdzie przytulna atmosfera i wygodne sprzęty skłaniają do intymności w ciepłe kominka, tam, gdzie ty i ja zbliżyliśmy się do siebie podczas naszej głośno komentowanej i najwyraźniej uświęconej tradycją eskapady, tej z truskawkami w grudniu. Nie pamiętam, ukochany, żebyśmy rozmawiali o wolności czy szczęściu, ale to nie miało dla mnie znaczenia: podobałeś mi się.

Domek myśliwski oferował prywatność i samotność, których nie sposób było znaleźć w Brunstriechu w okresie świąt. Jednakże tamtego poranka, kilka dni po tym, jak

spędziliśmy tam kilka chwil sam na sam, domek myśliwski stracił część swego uroku magicznego odludzia, bo całe towarzystwo z zamku wybrało się na polowanie. Przemawiające w różnych językach głosy mieszały się ze szczękiem sztucców przy śniadaniu; zapach kawy i smażonego boczku, zmieszany z wieloma innymi aromatami, unosił się w powietrzu.

– ...i ci rządowi biurokraci nie zdają sobie sprawy, że w tym kraju ludzie aż się gotują z niezadowolenia.

A już szczytem było to, że musiałam znosić towarzystwo Mikołaja Zagoronowa.

Kiedy odbywało się losowanie miejsc, grupa myśliwych, rozochociona zbliżającym się wydarzeniem, stoicko znosiła mróz poranka, wciskający się ostrymi igiełkami przez szpary w drzwiach. Lufy strzelb w pokrowcach były im beznamiętnymi towarzyszami, chociaż i tak podziwianymi, kochanymi i szanowanymi bardziej niż damy; psy obwąchiwały buty zebranych, nie rozróżniając klas społecznych; rasowe konie parskwały białymi obłokami pary; służba i naganiacze, wszyscy w jednakowych eleganckich strojach, odcinali się od reszty tylko dyskretnym i unizonym zachowaniem. Pachniało lasem, smarem do broni i zwierzętami, zarówno żywymi, jak i martwymi – nie za bardzo wiem dlaczego, wszak nie padł jeszcze ani jeden strzał. Scena nieodparcie przywodziła mi na myśl obraz Oudry’ego.

Z rezygnacją przyjąłem do wiadomości, że będę musiała zjeść śniadanie w towarzystwie Mikołaja, ale

myśl o tym, że trzeba go będzie znosić również później, napełniała mnie zniechęceniem. On zaś pewnie czuł się zobowiązany dalej perorować na swój ulubiony temat, który rozpoczął już przy kawie i teraz kontynuował, oczekując na karteczkę z numerem swojego miejsca.

– Wojny i głód to pożywka dla intelektualistów i idei rewolucyjnych. A mimo to car i jego szlachecka klika przywiązana do ziemi i wystawnego życia siedzą w tych swoich kryształowych pałacach, nieświadomi bomby, co ma im właśnie pod nosem wybuchnąć. Represje, represje i jeszcze raz represje. To jedyne wyjście. Reformy są słabe, niezdecydowane, bojaźliwe i niewystarczające. Najrozsądniejsze, co im przyszło do głowy, to pozwolić Ochranie zrobić porządek z paroma wywrotowcami. A jeśli nie będą w stanie powstrzymać tej hołoty o wielkich aspiracjach, my, kapitaliści, nie przetrwamy...

Jak zawsze, Mikołaj odmalowywał obraz społeczny i polityczny swej ukochanej Mateczki Rosji, przeprowadzając zażartą krytykę z pozycji pogardy i pychy, co wcale nie czyniło jej konstruktywną, za to sprawiało, że rozmowa z nim była ohydna, a poza tym śmiertelnie nudna. Nie zwracając na niego większej uwagi, przyglądałam się, jak prześlizgujesz się pomiędzy zebranymi, niosąc aksamitny woreczek z karteczkami, na których wypisano nazwy i numery stanowisk strzeleckich. Zrobiło mi się miło, gdy zacząłeś się do nas zbliżać; chciałam, żebyś podszedł do mnie. I przyjemność twojej bliskości zmieniła się w rozkosz, kiedy wyszeptałeś do

mnie:

– Dowiedziałem się, że to twoje pierwsze polowanie. Będę zachwycony, jeśli będziesz mi towarzyszyć.

– Bardzo dziękuję, ale już obiecałam Richardowi Windfieldowi, że z nim pójdę. – Byłeś rozczarowany, mimo że szepcząc ci na ucho, musnęłam cię ustami.

– To przykre, bo z nim się wynudzisz.

– Nie wątpię. Ale jestem przekonana, że on się będzie bawił dwa razy lepiej, niż gdyby poszedł sam...

Odszedłeś więc z figlarnym uśmiechem, nie komentując mojej odważnej i lekko wyzywającej uwagi.

Do naszego stanowiska, położonego w najwyższej części wzgórza, prowadziła stroma ścieżka, która zdawała się przecinać cały las. Marsz, długi i mozolny, dodatkowo utrudniały wyboje i ostre głązy. Jeśli doliczyć jeszcze ciężar broni i oporządzenia, wspinaczka była po prostu wyczerpująca, odpowiednia tylko dla ludzi młodych i w dobrej formie.

Richard, ty i ja razem wdrapywaliśmy się na wzgórze wraz z mieszaną grupą tworzoną przez dyszącego i spoconego Borysa Iljicza, Mikołaja, jakiegoś węgierskiego kapitana, pewną szkocką damę, którą poprzedzała sława wyczynów łowieckich na afrykańskich sawannach, naganiacza oraz nerwowego szczeniaka, który wszystko i wszystkich obwąchiwał. Przez całą drogę zadreślałeś Richarda Windfielda swoją usłużnością i mistrzowskim flirtowaniem ze mną; niosłeś mi strzelbę, osłaniałeś mnie, szeptałeś na ucho, śmiałeś się blisko

mojej szyi; oddzielałeś mnie od reszty towarzystwa, zabawiając mnie i czyniąc różne uprzejmości.

Aż w pewnej chwili pan Iljicz przerwał twoją grę. Biedak, na skraju wyczerpania, musiał się zatrzymać i oprzeć o pień drzewa swoje ciężkie, postawne ciało.

– Dobrze się pan czuje?

Dyszząc i starając się złapać oddech, zdołał mi odpowiedzieć słabym głosem:

– Tak... tylko... tylko... jestem za ciężki na taką... na taką wspinaczkę.

Grupka zebrała się wokół Borysa i przyglądała mu się bezradnie, czekając, aż odzyska siły, pociągnąwszy ożywczej wody z bukłaka.

Wtedy Mikołaj złożył wspaniałomyślną propozycję – naprawdę szczerze mnie to zdumiało, nawet nie dlatego, że taki pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy, ale że zachował się tak wielkodusznie.

– Borysie Iljiczu, zaraz dojdziemy do mojego stanowiska. To jeszcze tylko kilka metrów. – Chłopak z nagonki skinął głową na potwierdzenie. – Chętnie się z panem zamienię.

– Och, nie, chłopcze! Bardzo ci dziękuję, ale to nie jest konieczne. Odpocznię kilka minut, po czym spokojnie pójdę dalej. Wy możecie już ruszać.

– Uważam, że rozsądniej będzie, jeśli przyjmie pan ofertę tego młodego człowieka – zauważyła Szkotka i wszyscy poparliśmy ją chórem.

– Nalegam, Borysie Iljiczu – dodał Mikołaj.

– Niech pan się zgodzi, Borysie. To najlepsze, co można zrobić – zachęciłam go ze słodyczą.

– W porządku – skapitulował w końcu. – Bardzo dziękuję, chłopcze. Moje stare serce będzie panu dozgonnie wdzięczne.

Gdy to powiedział, Węgier wziął jego strzelbę i poszliśmy dalej, już bez żadnych dalszych przygód. No, poza twoją zmianą nastroju: już nie szeptałeś mi na uszko ani nie śmiałeś się przy mojej szyi, może dlatego, że Richard Windfield wykorzystał sytuację, żeby wziąć mnie pod rękę i odciągnąć od ciebie. Byłam przekonana, że właśnie to ci się nie spodobało.

Niewielka blaszka oznaczała stanowisko. Miejsce przeznaczone dla Richarda i dla mnie było ostatnie na zboczu, na samym szczycie wzgórza, gdzie wiał lodowaty, bardzo nieprzyjemny wiatr, choć wśród drzew nie było to tak mocno odczuwalne. Czułam się nieco zmęczona marszem, więc rzuciłam wszystko na ziemię i przysiadłam na kamieniu, wydając z siebie długie westchnienie ulgi. W ciszy lasu pokrytego śniegiem, tłumiącego wszelkie hałasy, zaczęłam rozpoznawać otaczające nas dźwięki: szmer wiatru w koronach drzew, tajemniczy szelest zarośli, szuranie Richarda przyjmującego pozycję i przygotowującego się do oczekiwania, dalekie ujadanie psów... Wiedziałam, że muszę zachować ciszę, żeby nie spłoszyć zwierzyny.

– Wie pani, jak złożyć strzelbę? – wyszeptał do mnie Richard, wskazując opartą o drzewo broń w skórzanym

pokrowcu.

– Ach, więc nie jest złożona?

Richard omal nie wybuchnął śmiechem, udało mu się jednak go stłumić.

– Oczywiście, że nie. Pokażę pani.

Starając się nie hałasować, ostrożnie wyciągnął z pokrowca trzy części z metalu i drewna.

– Lufę łączy się z kolbą i zaciska. O tak. Z dołu przesuwa się ten mały element i gotowe.

Szybko i zdecydowanie, klik-klak, broń została złożona i Richard z dumą mi ją zaprezentował.

– Fantastycznie, Richardzie! Udało się panu zrobić na mnie wrażenie! – wyszeptałam ironicznie.

On ceremonialnie mi się uklonił i podchwycił mój żartobliwy ton:

– Teraz, jeśli pani pozwoli, pokażę jej, jak się strzela.

– To będzie wielka przyjemność – zgodziłam się, wstając.

Richard stanął za moimi plecami i objął mnie, żeby ułożyć broń w moich rękach.

– Najpierw trzeba załadować: otwiera się w taki sposób i wprowadza dwa naboje... Teraz kolba porządnie oparta na ramieniu. Tak... żeby nie dopuścić do tego, by siła odrzutu pchnęła panią do tyłu.

– Czuję się wtedy okropnie żałosna.

Uśmiechnął się do mnie.

– Palec prawej ręki na spuście – ciągnął – a lewa trzyma lufę. W ten sposób może pani celować. Na chwilę

przed oddaniem strzału proszę odbezpieczyć...

Bez żadnego wyraźnego powodu Richard nagle przerwał lekcję. Kiedy spojrzałam na niego, spodziewając się wyjaśnienia tego nagłego zamilknięcia, zobaczyłam jego oczy utkwione we mnie. Dopiero wtedy poczułam przez ubranie, jak ściskają mnie jego ręce.

– Co się dzieje?

– Znowu trzymam panią w ramionach – powiedział już mniej nauczycielskim tonem – i... pamiętam, że poprzednim razem nie dane mi było dokończyć...

Opuściłam strzelbę i odwróciłam się, żeby mieć jego twarz przed sobą. Jego ręce objęły mnie w pasie.

– Ach, te pańskie szkolne sztuczki. Dziecinne, ale skuteczne.

Ledwie udało mi się skończyć zdanie, a już zamknął mi usta, dowodząc, że potrafi całować znacznie lepiej, niż to pokazał poprzednim razem; szczególne doznanie, przy tej jego bliźnie, podniecającej, gdy dotyka się jej językiem...

Nagle suchy trzask gałęzi przestraszył Richarda. Odsunął się, obrócił i chwycił strzelbę, żeby stawić czoło zagrożeniu, a wszystko to niemal jednym ruchem.

Krzaki się zatrzęsły i rozległo się głucho chrząknięcie. Chciałam się poruszyć, lecz Richard uniósł rękę, pokazując, że bym tego nie robiła. Wszystkie zmysły wyczulone, gotowe na każdy znak. Nagle nieokreślony ciemny kształt wyskoczył z krzaków i przeciął szybko ścieżkę, chrząkając głośno. Psy szczekały jak oszalałe od

zapachu bliskiej zwierzyny. Richard pociągnął za spust, ale chybił, a przerażone zwierzę rzuciło się do ucieczki. Kiedy echo wystrzału jeszcze odbijało się od okolicznych szczytów, następny strzał przeszył powietrze. Około dwustukilogramowy odyniec, czarny i włochaty, padł jak długi w śnieg.

Richard Windfield odwrócił się w moją stronę, jego mina wyrażała najwyższe zdumienie. Ja nadal trzymałam uniesioną strzelbę. W ramieniu czułam silny ból po uderzeniu kolby.

– Wcale mi się nie spodobało, że znowu ktoś nam przerywa. – Tylko tyle przyszło mi do głowy w tamtej chwili.

Znowu kilka strzałów w oddali przerwało leśną ciszę. Gdzieś bliżej rozbrzmiał dźwięk rogów myśliwskich i szczekanie psów gotowych rzucić się na zwierzynę. Zaczęło się polowanie.

Wyznaję ci, bracie, że zdradziłem cię z rozmysłem; zrzuciłem na ciebie winę, chociaż byłem przekonany o twojej niewinności. Współczucie, które wtedy wobec ciebie odczuwałem – dziwne uczucie, bo nie zasłużyłeś na nie – wystarczyło, żeby osłodzić wyrok. To prawda, że chęć uniknięcia większego zła częściowo usprawiedliwiała moje działanie, ale prawda jest taka, że nie mogłem przepuścić okazji zemstczenia się na tobie za te wszystkie chwile, kiedy mnie upokarzałeś i mną pogardzałeś. Skoro ty z taką łatwością wykorzystywałeś

moje poczucie niższości, to ja tak samo wykorzystałem twoją słabość.

To było w dzień polowania. Znużony zimnem i bezczynnością postanowiłem oprzeć strzelbę o drzewo. I tak nie miałem sobie wiele postrzelać, przypadło mi kiepskie stanowisko. Potwierdziło się to, kiedy po godzinie oczekiwania zobaczyłem tylko dwie łanie, krótkie różki jelonka i zagubionego zająca. Wykorzystując znajdujące się w moim zasięgu suche gałęzie, rozpałem niewielkie ognisko, żeby ogrzać ręce, i postanowiłem napić się kawy.

Ledwie zdążyłem odkręcić termos, kiedy zaniepokoiła mnie niespotykana wrzawa i dźwięk myśliwskich rogów. Ostrożnie się wychyliłem i zobaczyłem w oddali grupę ludzi z nagonki.

– Wypadek na wzgórzu! Na wzgórzu był wypadek!

– Co się dzieje? – zagadnąłem jednego z nich.

– Trzeba przerwać polowanie, wasza wysokość. Na wzgórzu zdarzył się wypadek.

Natychmiast pomyślałem o Richardzie i o niej, bo to oni byli na samej górze. Ty też tam miałeś stanowisko. Ale ona była niedoświadczona i wcale bym się nie zdziwił, biorąc pod uwagę jej lekkomyślność, gdyby popełniła jakieś głupstwo.

– Powinien pan wrócić do domu, wasza wysokość. Wszyscy opuszczamy stanowiska.

Nie miałem zamiaru słuchać rady gorliwego służącego.

Nie byłem daleko od wzgórza, idąc przez las na zachód, zaraz bym się tam znalazł.

– Co się stało?

Gdy tylko dotarłem do pierwszego stanowiska, natychmiast się uspokoiłem. Ty siedziałeś na kamieniu, byłeś blady i roztrzęsiony; trzymałeś piersiówkę, jej zawartość miała ci pomóc odzyskać spokój, łyk za łykiem. Ona trzymała w rękach zaplamioną krwią chusteczkę i próbowała opatrywać ranę z boku głowy nie mniej roztrzęsionego Borysa Iljicza. Mikołaj Zagoronow i kapitan Derhazy przyglądali się temu bez słowa, podczas gdy Richard zdawał się prowadzić śledztwo niczym detektyw ze Scotland Yardu.

– Pan Iljicz został postrzelony – wyjaśnił ten ostatni.

– Miał szczęście, że kula tylko drasnęła go w ucho. Najwyraźniej Larsowi wyszedł krzyżowy strzał...

– Najwyraźniej? – zapytałem, wiedząc, że Windfield dokładnie zbadał sprawę, a jednak nie był pewien tego, co wydawało się oczywiste.

Richard ściągnął kapelusz i z zastanowieniem podrapał się po głowie.

– No zobacz, jeśli spojrzysz na ten ślad na drzewie...

Pokazał mi najeżony drzazgami rowek biegnący w poprzek pnia, jakby kula się po nim prześliznęła. Powiodłem po nim palcem.

– To ślad po kuli – zawyrokowałem.

– Tak. Ale to niemożliwe, żeby strzał padł ze stanowiska Larsa. On się zarzeka i przysięga, że nie

strzelał poza swoim obszarem. To doświadczony myśliwy. Poza tym jeszcze nie znalazłem kuli, a ten rowek jest za mały, żeby mogła pochodzić ze strzelby Larsa; gdyby tak było, oderwałaby kawał pnia.

Zaniepokojony przesunąłem dłonią po brodzie. Sprawa była bardziej skomplikowana, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka. Richard sugerował, że biorąc pod uwagę ślady, to nie ty niechcący postrzeliłeś Borysa Iljicza, ale że ktoś celowo nastawał na jego życie.

– Sugerujesz, że to nie był wypadek?

– Wolałbym, żeby jednak był.

Spojrzałem na ciebie. Twoje przygnębienie mocno odbiegało od zwyczajowej arogancji. Ale to nie był stan fizyczny, raczej moralny. Z pustym spojrzeniem i zmienioną twarzą wyglądałeś na przytłoczonego rzeczywistością. Zasługiwałeś na współczucie, po raz pierwszy w życiu. Ale nie zawahałem się, żeby cię zdradzić.

– I to na pewno był wypadek... – zdecydowałem stanowczo. – Przynajmniej oficjalnie.

Pamiętam, ukochany, że wielka sala balowa aż huczała. Znowu. Znajdowała się w lewym skrzydle zamku, wychodziła na najładniejszą część ogrodów i była bez wątpienia najbardziej barokowa, co znakomicie pasowało do jej przeznaczenia: zabawy.

Uniosłam wzrok, nie poruszając przy tym głową, aby ukradkiem przyjrzeć się sklepieniu pokrytemu pięknymi

freskami, na których postaci mitologiczne i herosi mienili się wszystkimi odcieniami pastelii. Były nimfy, fauny i skrzydlate konie; centaury, jednorożce, wiecznie młode zwierzęta o nieprzemijającym pięknie. Pulchne aniołki z małutkimi skrzydełkami rzucały wyzwanie prawu grawitacji, a pasterze swawolili z pasterkami na usianych kwiatami zielonych łąkach. Tymczasem na zewnątrz panował mróz...

Przeniosłam wzrok z sufitu na podłogę i uprzyjemniałam sobie czas oglądaniem posadzki błyszczącej w świetle ogromnych kryształowych żyrandoli; marmur zdawał się pulsować własnym życiem, a od jego powierzchni odbijała się feeria barw zalewających pomieszczenie.

Później szukałam wzrokiem ciebie, chociaż wiedziałam, że cię nie ma. Nie mogłam się jednak przyzwyczaić do twojej nieobecności: brakowało mi wpatrzonych we mnie szmaragdowych oczu, wymiany uśmiechów ponad ramieniem, bezgłośnych słów, które tylko ja potrafiłam zrozumieć... brakowało mi ciebie. I dręczył mnie obraz twojego przygnębienia: arogancję na twojej twarzy zastąpił mroczny cień rozmywający rysy, dumna sylwetka przygarbiła się, oczy zapadły... Polowanie zostawiło mi gorzki posmak: ujrzałam twoją słabą stronę. Ale to właśnie słabość silnych mężczyzn najbardziej porusza kobiety.

Westchnęłam. Może tę gorycz w ustach spowodowało ciasto z kasztanami i pomarańczami?

Wydawało mi się, że będzie smakować tak dobrze, jak pachniało, lecz pachniało Bożym Narodzeniem, a smakowało Wielkim Piątkiem. Pograżona we własnych myślach nieuważnie śledziłam rozmowę prowadzoną w mieszanej grupie składającej się z intelektualistów, polityków, pasożytów, zarozumiałych dam, delikatnych panienek, no i mnie, jeszcze niezaklasyfikowanej.

– Ach, to postrzeleniec! Zawsze lubił uganiać się za spódniczkami, w czym nie ma nic złego, dopóki chodzi o kobiety na poziomie. Ale jemu strzeliło do głowy zrobić dziecko służącej w domu rodziców, a najgorsze jest to, że wbił sobie do głowy, żeby się z nią ożenić! Nie znajduję słów na opisanie rozpaczki lorda Tremoutha, który, co oczywiste, natychmiast go wydziedziczył. Teraz podobno kręci się gdzieś w koloniach, inwestując swoje marne grosze w dziwną brązową lurę... cola loca², czy coś podobnego. Coś o tak paskudnej nazwie musi być grzeszne, a co najmniej skazane na porażkę. Cóż za wstyd dla rodziny!

Przymrużyłam powieki, z trudem kryjąc zażenowanie, gdy przyglądałam się wydłużonej, kostycznej postaci lady Camilli Banister-Tomkinson. To ona sama czy raczej jej słowa napawały mnie odrazą? Czy może jej ciemne, najwyraźniej przethuszczone włosy zebrane w kok, który – byłam przekonana – nie był rozczesywany przez lata, i jej oblicze niczym z roztopionego wosku ponownie zastygłego w tysiącu zmarszczek, albo wieczny dumny i cierpki grymas? To

była ona w całej okazałości. Poza tym lady Camilla pachniała dziwnie... być może ty tego nie zauważyłeś, bo nie miałeś zwyczaju zbliżać się do takich kobiet jak ona, ale zalatywała jakby naftaliną, spalonym chlebem i zjełczalym tłuszczem, wszystkim naraz.

– Z pewnością – wtrącił się wąsaty generał, przerywając jej okrutną wypowiedź – to przykre. Młody lord Tremouth zawsze był dobrym chłopcem i znakomitym myśliwym.

Ta rozmowa doprowadzała mnie do granic wytrzymałości, więc nie oczekując aprobaty z niczyjej strony, oświadczyłam oficjalnie:

– Państwo wybaczą, pójdę po poncz.

– Pozwoli pani, że będę jej towarzyszył? – Ofiarowała się chyba jedyna osoba, która posłyszała moje słowa.

– Oczywiście, Hervé, z największą przyjemnością.

Wziąwszy mnie dyskretnie pod ramię, Hervé Dussaud pośpieszył ze mną w kierunku stołu z trunkami. Bardzo prawdopodobne, że nigdy nie zwróciłeś uwagi na Hervégo Dussauda, bo był to młodzian bardzo dyskretny. Chudzielec, o cerze niezwykle bladej, liczył niewiele ponad dwadzieścia lat. Był też bardzo dobrze wychowany, uprzejmy i przyjemny w obyciu, co z pewnością podkreślały jego dziecięce rysy, dzięki którym wyglądałby jak uczeń, gdyby nie porządnie utrzymany wąsik czerniejący nad górną wargą, mający przydawać jego twarzy nieco dojrzałości. Monsieur Dussaud

pochodził ze słynnej rodziny szwajcarskich zegarmistrzów. Gdy towarzyszył mi przy kolacji, opowiadał, że jego ojciec, Louis, prowadził niewielki zakład zegarmistrzowski w centrum Genewy, nie mając innych aspiracji jak tylko kontynuowanie rodzinnego interesu istniejącego od niemal dwóch wieków. Niemniej pewnego pięknego dnia jego precyzyjne czasomierze przypadły do gustu cesarzowi i jego sława rozeszła się po innych dworach Europy. Wszyscy, królowie i królowe, księżęta i księżniczki, a nawet papież, chcieli mieć na ścianach swoich pałaców albo wyciągać z kieszeni kamizelek ręcznie robiony zegarek z zakładu Dussaud założonego w 1726 roku. A zatem niewielki rodzinny interes, zmienił się w wielki zakład na przedmieściach Genewy, w którym setki rzemieślników pracują, aby zaspokoić oczekiwania wymagającej klienteli. I Louis Dussaud jest teraz człowiekiem majątnym, obracającym się w najlepszym towarzystwie, podczas gdy jego syn Hervé studiuje inżynierię w Cambridge, mówi pięcioma językami i gra w krykieta, polo albo tenisa z przedstawicielami europejskiej arystokracji. Biorąc to wszystko pod uwagę, wydawało się dziwne, że Hervé jest sympatyczną osobą, co pewnie należy przypisywać wrodzonej prostocie jego ojca, który w głębi ducha nadal uważał się za skromnego szwajcarskiego zegarmistrza. Kilka razy zdarzyło mi się szukać towarzystwa Hervého, z którym lubiłam rozmawiać o zegarkach – był ich wielkim znawcą i kolekcjonerem.

Przy stole z trunkami podeszliśmy do ładnej młodej dziewczyny, opierającej się niedbale o blat z kompletnym lekceważeniem zasad dobrego wychowania, które z wysiłkiem wpajano jej od najmłodszych lat.

– Eleanor, nie tańczysz? – zagadnęłam, odstawiając na stół kieliszek pusty i lepki, bo długo się nim bawiłam.

– Obserwuję...

Wywrotowa szkocka arystokratka uśmiechnęła się szeroko, nie spuszczając oka z przystojnego kelnera, który nie zdając sobie sprawy, że jest obserwowany, zręcznie lawirował z przekąskami pośród gości. Nigdy nie zwracałeś uwagi na Eleanor, choć to bardzo atrakcyjna dziewczyna. Dopiero poznawszy ją, mogę odpowiedzieć sobie na pytanie dlaczego. Ty dla niej byłeś zbyt konwencjonalny, a ona dla ciebie zbyt ekstrawagancka. Prawdopodobnie nie poznałeś się na jej naturze: wychowano ją według najsurowszych zasad epoki wiktoriańskiej, a jednak jakiś diabełek opętał jej wolną duszę, więc w całkowitej negacji wszystkiego, co jej wpajano, odczuwała niemal chorobliwą skłonność do zakazanej miłości, wykraczając poza swoją klasę społeczną, a czasem nawet poza zwyczajowo przyjętą płęć męską, jak pewnego dnia sama mi oświadczyła, nie bez pewnej dumy, gdy zaskoczyłam ją na pocałunkach z córką księcia Queensend. Takie inklinacje córki sprawiły mnóstwo przykrości jej delikatnej matce oraz wywołały niejednen wybuch gniewu nadpobudliwego ojca.

– Śliczny, prawda? – westchnęła. – Chyba

zemdleję...

Czy to z racji jej postawy, czy może bladości Hervé nazbyt poważnie potraktował jej słowa.

– Ach nie, na Boga, lady Eleanor! Proszę nie mdleć!

– Och, przestań Hervé, ile razy mam ci mówić, żebyś nie nazywał mnie lady Eleanor? Przypominasz mi majordomusa.

Po tej krótkiej reprimendzie wróciła do swojej postawy *femme fatale*.

– Ma na imię Franz, jest Węgrem i, jak zrozumiałam, wirtuozem skrzypiec, który z jakichś niejasnych powodów popadł w kłopoty. Uwielbiam mężczyzn z burzliwą przeszłością. Zwykle mają udręczoną duszę i są kochliwi. Doskonale się nadają na jedną noc szaleństwa... – wyznała, przeciągając się zmysłowo.

– A zatem masz zamiar sprawdzić wirtuozerię jego palców – wtrąciłam, dopasowując się do tonu rozmowy.

– Oczywiście! Długie i silne na moim ciele, jak wtedy, gdy przyciskają struny skrzypiec; miękkie i delikatne, jak wtedy, gdy pieszczą smyczek...

A kiedy obie otwarcie się śmiałyśmy, kątem oka rzuciłam na biednego Hervégo, który od kilku chwil stał czerwony jak burak.

– A skoro już mowa o długich palcach... – rzuciła Eleanor, spoglądając ponad moim ramieniem.

Poczułam czyjeś bezwstydną rękę na swojej talii.

– *Mademoiselle la latine*, w końcu panią znalazłem. Gdyby nie to, że przecież to niemożliwe, przysięgłbym, że

przez cały wieczór pani przede mną ucieka.

Tą niemiłą niespodzianką był Mikołaj, uwieszony na mnie jak małpa na gałęzi. Bez pardonowo strząsnęłam jego szorstkie, spocone łapy i zrobiłam krok do tyłu, uciekając od nieprzyjemnego, przesiąkniętego alkoholem oddechu oraz zapachu perfum, które jednoznacznie z nim kojarzyłam.

– Obiecała pani zarezerwować dla mnie jeden taniec. A może już pani zapomniała?

– Och, nie, jakżebym mogła. Czekałam tylko, aż pan sobie o tym przypomni. Przecież nie chcę, aby pan pomyślał, że mu się narzucam.

Na twarzy Mikołaja pojawił się głupkowaty uśmiech zadowolenia, który mnie wydał się żaloszny.

– A więc jestem tu, u pani stóp.

– W takim razie lepiej niech pan wstanie, żebyśmy mogli zatańczyć.

Idąc na parkiet z entuzjazmem skazańca, po raz ostatni rzuciłam okiem na swoich rozmówców: Eleanor uśmiechnęła się do mnie wrednie, jednocześnie kiwając mi palcami na pożegnanie.

Taniec był istną torturą. Mikołaj zdążył się już upić, co zaczynało być widoczne. Jego usta były wilgotne i lepkie, gdyż bardzo się ślinił, a słowami powłóczył tak samo jak nogami. Miał zaczerwienione oczy, cuchnący oddech i nie odstawił kieliszka nawet na czas tańca. Poza tym cały czas się do mnie obscenicznie lepił.

Szczęśliwie w naszym niezgrabnym tańcu wpadliśmy

na inną parę, kieliszek wypadł Mikołajowi z ręki i roztrzaskał się na kawałki, które rozsypały się po marmurze jak fajerwerki na niebie.

Z twarzą bez wyrazu, ignorując pary odsuwające się ze spojrzeniami dezaprobaty, hrabia Zagoronow beznamiętnie wpatrywał się w kałużę szampana.

– Pójdę po następny kieliszek. Proszę tu na mnie poczekać.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, kołysząc się jak wańka-wstańka.

Wykorzystałam sytuację i pośpiesznie czmychnęłam w poszukiwaniu towarzystwa, które posłużyłoby mi za ratunek. Przebiegłam całą salę badawczym, lunatycznym spojrzeniem, starając się wypatrzeć jakąś znajomą twarz, ale nie znalazłam żadnej. Przeciwnie – udało mi się trafić tylko na Mikołaja, który wracał zaskakująco szybko. Dreszcz mnie przebiegł na myśl o jego lepkiem dotyku. Znowu, ukochany, pożałowałam, że cię nie ma. Ty byś nie pozwolił, żeby ten natręt mnie dotykał.

Nagle, osaczona jak zwierz przez myśliwego, uwięziona pomiędzy Mikołajem a ścianą, przysięgłam na swych przodków, że nie wrócę z nim do tego przeklętego tańca. Mogłam uciec tylko przez drzwi na wpół ukryte za wielkimi draperiami. Napałam na klamkę z brązu i z ulgą stwierdziłam, że ustąpiła. Manewr był szybki, więc po prostu znikłam.

Ucieczka była krótka, ale wyczerpująca. Westchnęłam, poprawiłam opadające ramiączko i

otrzepałam suknię, jakbym chciała się pozbyć śladów Mikołaja.

Przede mną otwierał się wielki korytarz z drzwiami po obu stronach i symetrycznie rozwieszonymi lustrami. Zwalisty i brodaty mężczyzna w imponującym mundurze śledził mnie badawczym spojrzeniem, gdziekolwiek się ruszyłam, nieruchomy na swoim portrecie. Pomyślałam, że znajdę drugie drzwi prowadzące do sali i wrócę na parkiet. Z takimi zamiarami kroczyłam korytarzem.

Jednak coś się wiło po dywanie, jakieś dalekie dźwięki, jakby wymykające się przez zamknięte drzwi. Ostrożnie za nimi podążyłam, na paluszkach, żeby ich nie nadepnąć. Za rogiem przestały pełzać po dywanie, a zaczęły się unosić i zaciągnęły mnie za ucho aż do drzwi. „Tutaj” – szeptały. – „Tutaj chciano nas zamknąć, ale nikt nie może zamknąć muzyki na klucz”.

W ciemnym i opuszczonym korytarzu muzyka wydała mi się nadprzyrodzona.

Wyznaję ci, bracie, że choć nie miałem takiego zamiaru, nie mogłem przestać o tobie myśleć przez całą noc. Dręczyło mnie coś więcej niż tylko wyrzuty sumienia. Niemniej chciałem to złożyć na karb nieszczęśliwego wypadku podczas polowania. Chciałem zanegować to głupie oskarżenie, byłem przecież przyzwyczajony do beznamiętnego obserwowania zdarzeń tysiąc razy bardziej nieprzyjemnych. Moim zadaniem było przejść nad tym do porządku dziennego i sprawnie

zaadaptować się do zmienionej sytuacji.

Wtedy nie chciałem tego przyznać, ale mnie zaniepokoiłeś. Nigdy nie widziałem, żebyś był tak roztrzęsiony. Zawsze byłeś silny i spokojny. Wiesz, że nigdy nie widziałem cię pijanego, ani razu w całym życiu? Zawsze prezentowałeś niezłomną wolę. Ta twoja doskonałość mnie męczyła, to już wiesz.

A jednak wspomnienie tego, jak wyglądałeś tamtego ranka – samotny, przytłoczony, ze zwieszoną głową i nieobecny spojrzeniem, zadręczający się myślą, że mogłeś kogoś zabić – poruszało mnie, tak jak porusza płacz dziecka. W końcu odkryłem twój słaby punkt: ty, uważający się za wolnego od wszelkiego zła, pełnego cnót, nagle odkryłeś, że możesz się stać ofiarą diabelskich knowań. Taki był powód twojego rozbicia. Sądziłem, że nagle otworzyły ci się oczy na rzeczywistość tego bezlitosnego świata. A ja, choć sądziłem, że mam dowody twojej niewinności, nie chciałem wyprowadzać cię z błędu; nie chciałem ulżyć twoim bezpodstawnym wyrzutom sumienia; nie chciałem ci powiedzieć: Spokojnie, bracie, nie miałeś z tym nic wspólnego. Nigdy nie nazywałem cię bratem.

Dręczony tym niepokojem uciekłem, schroniłem się we własnych myślach. To moja terapia, środek uspokajający na nieustanne pobudzenie zmuszające mnie do kontrolowania wszystkiego wokół i niepozwalające mi nigdy zaznać ukojenia: zaszywać się w odosobnieniu fizycznym i duchowym, jakie zapewniały mi muzyka i

lektura w samotności mojego gabinetu.

Dlatego bardzo mi się nie spodobało, kiedy ona przyszła sprofanować moje sanktuarium. Zerwałem się przestraszony, gdy huknęły te miarowe oklaski: impertynenckie wtargnięcie do mojego gabinetu, mojej muzyki i mojej intymności. To nie mógł być nikt inny, tylko ona.

– Nie słyszałem, jak weszłaś.

– To, co grałeś... Jest piękne. Nigdy wcześniej tego nie słyszałam.

Stałem, patrząc na nią, a ona zdawała się czekać na moją odpowiedź. Musiała się domyślić, że nie jestem skory do rozmowy.

– Przepraszam, że ci przerwałam. Powinnam wrócić na przyjęcie.

Z jakiegoś powodu pożałowałem swojego nieeleganckiego zachowania. Gestem zaprosiłem ją, żeby została.

– Chodź. Podejdź tu.

Nie protestowała. Obeszła meble i wyminęła Ruma, basseta, który wiecznie wylegiwał się przy kominku. Mimo jej dyskrecji zobaczyłem, że nie umknął jej żaden detal, zniszczona tapicerka kanap, rozłożona gazeta na fotelu, do połowy opróżniona szklaneczka whisky i stos papierów na biurku... Moja nora.

Klepnąłem obite aksamitem siedzenie, co miało ją zachęcić, by usiadła. Znowu mnie usłuchała.

– Drugi koncert fortepianowy Siergieja

Rachmaninowa, rosyjskiego kompozytora i pianisty – odpowiedziałem na jej niewypowiedziane pytanie, wskazując nuty.

– Nie znam go.

– Kiedy byłem nastolatkiem, zdarzało mi się spędzać latem kilka tygodni w pałacu mojej ciotki Olgi nad brzegami Newy. Z kuzynami pływaliśmy albo bawiliśmy się w Robin Hooda. To wtedy poznałem Siergieja, który był młodym nauczycielem fortepianu. Nie znosił udzielać lekcji zarozumiałym arystokratom, a przypuszczam, że my podpadaliśmy pod tę kategorię, robił to tylko dla pieniędzy. Mimo to szybko się zaprzyjaźniliśmy i od tamtego czasu pisujemy do siebie. Teraz porzucił nauczanie i poświęca się komponowaniu. Zwykle wysyła mi swoje utwory. Jego muzyka jest cudowna...

– To prawda.

Przesunęła palcami po lśniących klawiszach fortepianu, nie dobywając z niego żadnego dźwięku.

– Chcesz zagrać?

– Nie odważyłabym się. – Uśmiechnęła się. – Moją nauczycielką była siostra Catalina, gruba zakonnica, która z większym entuzjazmem niż biegłością kierowała szkolnym chórem. Grała na gitarze, flecie i pianinie, chociaż twierdziła, że jest wielką miłośniczką organów, z pewnością z racji tego, że jest to instrument kościelny. Siostra Catalina godnie wypełniała swoje zadania w eleganckiej szkole dla panien: uczyła nas muzyki po to, żebyśmy potem mogły błyszczeć w salonach podczas

wykwintnych spotkań organizowanych przez nasze mamusie.

– Znakomicie – powiedziałem, przerzucając nuty. – Zaraz zobaczymy, czego nauczyła cię siostra Catalina. Zagramy na cztery ręce.

Myślałem, że będzie oponować, a jednak kiedy zobaczyłem, że ściąga rękawiczki, wiedziałem, że nie będę musiał nalegać.

Kiedy zapis nutowy przeobraził się w muzykę, a ja patrzyłem, jak jej dłonie sprawnie pływają nad klawiaturą obok moich, nigdy się z nimi nie spotykając, pomyślałem, że świetnie ją wyuczyli w tej szkole. Albo że jej historia nie do końca jest prawdziwa. Nie chodzi o to, że chciałem ją wypróbować, chciałem tylko posłuchać tego utworu, dla którego wykonania potrzeba dwóch osób.

– Brawo dla siostry Cataliny! – wykrzyknąłem, kiedy skończyliśmy. – Musiałaś być bardzo dobrą uczennicą.

– W żadnym razie. Przypadkiem bardzo lubię ten utwór Schuberta i jego romantyczną historię.

– *Fantazja na cztery ręce*. Skomponował ją na krótko przed śmiercią dla Karoliny Esterhazy, uczennicy, w której zakochał się do szaleństwa – dodałem, aby pokazać, że też znam tę historię.

– I której nigdy nie wyznał miłości, jako że chorował na syfilis – dodała ona. – Któregoś razu córka księcia Esterhazyego poprosiła, żeby coś jej zadedykował...

– Niczego nie muszę dedykować – przerwałem jej, wcielając się w rolę Schuberta – gdyż wszystko piszę z

myślą o pani.

Czy Schubert miał zamiar dotknąć rąk Karoliny Esterhazy na klawiaturze? Jej ręce nie dotknęły moich.

Uśmiechnęła się i nic już więcej nie powiedziała. Wyglądało na to, że zmęczyła ją ta kulturalna pogawędka. Wstała, gotowa porzucić mnie i fortepian.

– Dlaczego wyszłaś z przyjęcia? – zapytałem, patrząc, jak krąży po gabinecie i przygląda się wszystkiemu, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół.

– Uciekłam przed Mikołajem i jego spoconymi łapami.

– Ciągłe cię niepokoi, prawda?

– Tak, bez ustanku i bezwstydnie. Ale uczę się go unikać. Mogę się poczęstować? – spytała, wskazując na kryształową paterę pełną czekoladek, o których ciągle zapominam.

– Możesz zjeść wszystkie.

– Dziękuję. – Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnęła się bezpośrednio do mnie. – Jedna mi wystarczy... może dwie. Są marcepanowe?

– Te kwadratowe.

Z niemal dziecięcą radością w oczach sięgnęła po kwadratową czekoladkę. Włożywszy ją do ust, rozkoszowała się rozpływającą się słodyczą wykonaną przez najlepszego wiedeńskiego cukiernika.

– Właściwie trochę mi go żal – stwierdziła, jeszcze smakując czekoladkę. – Chodzi mi o Mikołaja. Po tym, co mu się rano przytrafiło...

– Słucham? – rzuciłem znowu zaalarmowany. O co jej chodziło?

– No, po tym... wypadku – wyjaśniła, znacząco akcentując słowo „wypadek”.

Wspomnienie tego zdarzenia znowu przywiodło mi na myśl ciebie, przygarbionego, przybitego; dzięki muzyce i romantycznym anegdotom omal udało mi się wyrzucić ten widok. Nieświadomie potrząsnąłem głową, jakbym chciał odegrać od siebie ten nieprzyjemny i ciągle powracający obraz.

– Nie rozumiem cię. Co Mikołaj ma z tym wspólnego?

Znowu skupiła się na paterze, żeby wybrać sobie następną czekoladkę.

– Powiedziałeś, że mogę zjeść trzy, prawda?

– A ty powiedziałaś, że wezmiesz dwie – rzuciłem. Ta kobieta przejawiała szczególną biegłość w arcytrudnej sztuce wyprowadzania mnie z równowagi. – Co miałaś na myśli?

– Och, przestań! Nie mów, że Richard ci nie powiedział...

– Widzę, że tobie to wyznał.

Wyglądało na to, że Richard rozpuścił język. Trudno mi było w to uwierzyć w jego przypadku, ale nigdy nie przestało mnie zadziwiać, do czego jest zdolny zakochany mężczyzna. Musiałem z nim poważnie porozmawiać.

– Chyba palnęłam głupstwo...

Jakby czytała w moich myślach, zagryzła usta w

zaniepokojeniu.

– Nie. Chodzi o to, że... – zacząłem się wahać, a nie powinienem. – Tak, to prawda, Richard uważa, że być może ktoś zrobił to celowo, ale przecież jest oczywiste, że to był wypadek. Takie rzeczy się zdarzają na polowaniach, nie ma co tego roztrząsać. Kto mógłby chcieć zastrzelić biednego Borysa Iljicza?

Rzuciłem to pytanie, żeby podkreślić absurdalność tej sytuacji. Powinienem jednak być ostrożny.

– Borysa Iljicza? Chciałeś chyba powiedzieć Mikołaja?

Usłyszawszy to, zamarłem. Spojrzałem na nią, nie potrafiąc ukryć zmieszania.

– Oni zamienili się miejscami, zanim zaczęło się polowanie – wyjaśniła, uprzedzając moje pytania. – Borys był tam, gdzie powinien być Mikołaj. Strzelający nie mógł o tym wiedzieć.

Szczęśliwie nie byłem na tyle oszołomiony, żeby nie wyczuć, że wciąga mnie w pułapkę, chcąc, żebym przyznał, iż ktoś strzelał celowo i że to nie byłeś ty. Richard pewnie by powiedział, że znowu wpadam w paranoję, ale nie chciałem dodawać już ani słowa więcej. Ta rozmowa powinna się zakończyć, a ja podczas tego polowania już zdobyłem swoje trofeum, choć wcale na nie nie liczyłem: odkryłem ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, że strzał prawdopodobnie nie był przeznaczony dla Borysa Iljicza, lecz dla Mikołaja Zagoronowa.

– Cóż, sądzę, że powinniśmy przestać się bawić w

detektywów – uciałem. – To bardzo niesmaczny żart i jeśli pociągniemy go dalej, jedynie zepsujemy matce święta tymi bzdurami.

– Och... nawet nie pomyślałam o cioci Aleksandrze.

Wyglądało na to, że moja reprimenda była skuteczna. Ona się wycofała. Może to prawda, że w jej mniemaniu była to tylko niewinna sugestia. Czego innego można się spodziewać po dziewczynie, która pochłania czekoladki z dziecięcą rozkoszą? Jej wszystko wydawało się zabawą, chwila szczęścia goni następną chwilę.

Rozmowa utknęła, ona miała w ustach czekoladkę, a ja myślałem o wiedeńskiej kawiarni.

Ramięczko jej sukienki powoli się zsunęło, obnażając zasinienie na ramieniu.

– Widzę, że miałaś okazję sobie postrzelać.

Uniosła rękę do zdradzieckiego sińca i zakryła go.

– Tak. Jeszcze się nie nauczyłam dobrze trzymać strzelby. Przez cały wieczór staram się ukryć ten ślad pod sukienką, ale ramięczko ciągle opada.

– Boli?

– Tylko przy dotyku Najgorsze jest to, że źle wygląda.

– Nie powinnaś się tym martwić. Masz przecież śliczne ramiona. – Zaskoczyło mnie, że wypowiadam taki komplement, zabrzmiał tak trywialnie, że zawstydził mnie brak biegłości w tej dziedzinie.

– Och, dziękuję! Skoro ty tak mówisz, to musi tak być, w przeciwnym razie byś milczał.

– To prawda. Nie mam zwyczaju oddawać się pochlebstwom. Zatańczymy?

Tę nieprawdopodobną propozycję chciałem znowu złożyć na karb mojego pilnego i niezmordowanego wypełniania obowiązków, ich lekceważenia nie powinna usprawiedliwiać nawet moja niechęć do tańca. Sprawilem tym, że ona osłupiała.

– Tańczyć? Przecież nie gra muzyka.

– Oczywiście, że gra. Posłuchaj.

Z odległej sali balowej dobiegał, szmer orkiestry umiłającej wieczór.

Ona nadstawiła uszu.

– To chyba walc.

– Tak, *Geschichten aus dem Wiener Wald*.

– *Opowieści Lasu Wiedeńskiego*... Moje lekcje niemieckiego przynoszą owoce, a poza tym – wyszeptała tonem zwierzenia – znam tytuł tego walca.

– No dobrze, a jaka jest twoja odpowiedź?

– Ledwie słyhać muzykę. Chyba nie uda mi się utrzymać rytmu.

Podbiegłem i otworzyłem na oścież drzwi na taras. Mroźna noc jak sztylet wdarła się do gabinetu. Rum, wlokąc uszy po ziemi, pobiegł schować się za kanapą.

– Zatańczymy na tarasie. Tam świetnie słyhać.

– Oszalałeś? Zamarzniemy!

– Twoja odmowa zaczyna być obraźliwa. Nie wiesz jeszcze, że jak coś sobie wbiję do głowy, potrafię być bardzo uparty.

Wziąłem koc z fotela i otuliłem jej ramiona: ekstrawagancki szal w kratę na jej eleganckiej sukni. Pociągnąłem ją na taras, nie dopuszczając do następnych protestów.

– Taniec nas rozgrzeje.

– Moje rękawiczki! Nie powinnam tańczyć bez nich.

– Chodź już, chodź... Zostaw tę etykietę.

I ja, który uciekłem z balu w poszukiwaniu odrobiny spokoju, w końcu tańczyłem w rytmie raz, dwa, trzy, w zaskakującym miejscu, z najbardziej zaskakującą osobą. Muszę ci jednak wyznać, bracie, że to też sposób na odcięcie się od wszystkiego: wtedy udało mi się wyrzucić cię z głowy; powoli pogrążyłeś się w czarnej, głębokiej studni, jaką były jej oczy.

W podziemnych korytarzach Brunstriechu znowu zobaczyłem te oczy. Przez całą noc (szczególnie w tańcu, kiedy byliśmy blisko) starałem się dobrze im przyjrzeć, aby móc je później rozpoznać wszędzie. Utrwaliłem sobie ich niesamowitą wyrazistość; lekko skośny kształt, nieznacznie uniesienie kącików, jakby zawsze się śmiały; długie, gęste rzęsy unoszące się i opadające w zmysłowym rytmie jak wachlarz z piór; ich intensywnie czarny kolor, aż źrenica nikła w tęczęwce.

Mógłbym przysiąc, że te same oczy skrywały się za zakratowanym okienkiem drzwi celi w najgłębszych zakamarkach zamku, gdzie przypadek nie mógł jej zaprowadzić dwa razy.

Coś tak pięknego i delikatnego wydawało się

zupełnie nie pasować do tej plugawości i zgnilizny. Ona nie przystawała do tego mrocznego otoczenia odbywającego się tam zebrania; jej obecność oznaczała niebezpieczeństwo, groźbę i, rzecz jasna, tajemnicę, której choćbym nie wiem jak się starał, nie byłem w stanie przeniknąć. Zdecydowałem, że najlepiej będzie zaczekać, obserwować jej ruchy i reakcje i ufać, że tamci jej nie odkryją, bo bardziej użyteczne dla mnie było, żeby działała swobodnie pod moją obserwacją.

Podjąłem tę decyzję, nie odrywając wzroku od tych oczu, które odwodziły moje myśli od spotkania i rozpraszały mnie w tańcu. Nagle z siłą wybuchu rozległo się metaliczne skrzypnięcie: grzmot w ciszy lochu, który poniósł się echem w okolicznych tunelach.

– *Scheisse!* – nie mogłem nie wymamrotać, kiedy zdałem sobie sprawę, co się stało.

Pamiętam, ukochany, zawrót głowy i pustkę; pamiętam, że starałam się zdusić okrzyk przerażenia, gdy poczułam, że straciłam oparcie. Metalowe drzwi, przeżarte rdzą, z rumorem ustąpiły pod moim ciężarem, zdradzając moją obecność. Spadłam pięć metrów w dół i byłam wydana na łaskę zebranych tam osób.

Przerażona z wielkim wysiłkiem próbowałam zogniskować spojrzenie, żeby zupełnie nie stracić kontroli nad tym, co się dzieje. Oszołomiona upadkiem widziałam, że pięć zamaskowanych postaci nagle przerywa zebranie. Piwnica wypełniła się okrzykami paniki. Zebrani

pokazywali sobie miejsce, gdzie leżałam pośród resztek drzwi. Pełzłam jak wąż na brzuchu, tak że czułam w ustach smak ziemi i rdzy. Chciałam wydostać się na światło, chciałam wstać, żeby pognać korytarzem, nie oglądając się za siebie. Byłaby to szaleńcza ucieczka na oślep, bo lampa gazowa się rozbiła. Odrzuciłam myśli, które mogły mnie sparaliżować: strach przed ciemnością albo zgubieniem się w gąszczu ciemnych korytarzy. Pozwoliłam nieść się jedną myślą – o ucieczce. A miałam niewiele czasu, nim mnie dopadną. Przywarłam do ściany i czując pod palcami oślizłą pleśń i wilgoć, starałam się znaleźć wyjście.

Ale jak miałam się zorientować w tych kompletnych ciemnościach? Powodował mną jednak instynkt przetrwania, równie przemożny, jak beznadziejny.

Nie widziałam, gdzie stawiam kroki i czego dotykam. Musiałam przyznać, że bez światła nie mam żadnych szans, albo mnie dopadną, albo się zgubię i nie dotrę do wyjścia. Obie te możliwości mnie przerażały. Strach znowu wziął mnie w posiadanie, spętał mi nogi, nie pozwolił biec. Zatrzymałam się bez tchu.

Coraz bliżej słyszałam odgłos kroków. Kołyszący się poblask przesuwający się w moim kierunku stał się jedynym punktem odniesienia.

Osaczyli mnie. To koniec.

Podeszłam jeszcze kawałek i moje ręce natrafiły na krawędź narożnika. Znalazłam wnękę w ścianie, niewielki boczny korytarzyk, w którego głębi słyszałam szum

strumienia. Dłoni szaleńczo obmacujących ściany czepiały się tysiące lepkich nitek. Tunel był zasnuty pajęczynami, co oznaczało, że dawno nikt tamtędy nie przechodził. Wśliznęłam się do niszy, w której z trudem się mieściłam. Nie miałam wyjścia, nie mogłam nawet zanurzyć się w strumieniu: rękami natrafiłam na kratę, której nie dałam rady ruszyć, więc woda była poza moim zasięgiem. Mogłam się jedynie schować we wnęce, ufając, że pościg przejdzie obok, nie zauważywszy mnie. Albo tak się stanie, albo będą mnie mieli jak kota na dnie studni.

Wciskając się w wąską wnękę, spłoszyłam szczura, który czmychnął mi spod nóg. Uniosłam ręce do ust, żeby zdusić krzyk, i z trudem zapanowałam nad nerwami. Gdy już ułożyłam się w kryjówce, skuliłam się, objęłam kolana ramionami i twarz ukryłam między nimi, starając się uspokoić chrapliwy oddech spowodowany nieprawdopodobnym napięciem: w ciszy, w której słyhać było tylko odgłosy zbliżającej się pogoni, wydawał się nadto głośny.

Zobaczyłam światło omiatające ściany. Uchyliłam się, żeby nie znaleźć się w jego zasięgu, i zobaczyłam lśniące w ciemności oczy szczura. Wstrzymałam oddech i modliłam się... Z zaciśniętymi powiekami czułam pulsowanie krwi jak uderzenia młota w skroniach.

Trudno powiedzieć, ile czasu minęło, mnie wydawał się wiecznością. W końcu usłyszałam, że kroki się oddalają i cichną na końcu korytarza. Siedziałam jeszcze

przez kilka chwil w bezruchu, bardziej ze strachu niż z przezorności, aż się upewniłam, że zostałam sama, i ponownie usłyszałam szemranie strumienia, które wcześniej zagłuszał strach. Ostrożnie opuściłam kryjówkę, znowu w całkowitej ciemności – nie miało znaczenia, czy miałam oczy otwarte czy zamknięte. Przerazona nie wiedziałam, w którym kierunku iść ani gdzie się znajduje wyjście z tego koszmaru. Szłam przyklejona do ściany, ślizgałam się po niej jak kropla deszczu po szybie.

Nagle ujrzałam jakiś kształt na tle ściany i poczułam dotyk ciepłej skóry na palcach. Z muru wyrosły ramiona, pochwyciły mnie i unieruchomiły w uścisku. Nie zdążyłam zareagować. Mój krzyk odbił się od ścian, jakby mnóstwo innych kobiet wrzasnęło równocześnie w sąsiednich korytarzach.

Wierzgałam, starając się uwolnić, bezskutecznie. Ktoś dyszał mi w ucho, zagłuszając wszelkie hałasy, ale nie wypowiedział choćby jednego słowa. W ciemności nie byłam w stanie zobaczyć, kto mnie trzyma z taką siłą. Nie wiem też, w jaki sposób zdołał zapalić lampę, a kiedy przybliżył mi ją do twarzy, żeby mi się przyjrzeć, oczy zabolowały mnie od nagłego blasku. A jednak przez mrugające powieki zobaczyłam straszliwy grymas jednej z tych hinduskich masek... twarz mojego prześladowcy stanowiła feerię jaskrawych barw, w których odcinały się wytrzeszczone oczy i ostre zęby. Wydało mi się, że demon, kiedy na mnie spojrzał, osłupiał, bo lekko zwolnił

uścisk.

Wiedziałam, że to moja szansa. Jedyna. Wykorzystałam sytuację, żeby mocno kopnąć lampę, która upadła do stóp mojego oprawcy. Nafta oblała jego tunikę i materiał szybko zajął się ogniem, jak zapalona zapałka.

Puścił mnie, żeby zdusić płomień. Przez kilka sekund stałam przy nim, przyglądając się masce w świetle płomieni, zastanawiając się, jak przekroczyć barierę ognia, który pochłaniał jego życie i moje też mógł pochłonąć, jeśli ulegnę pokusie odkrycia jego twarzy. Od żaru paliły mnie policzki, a dym gryzł w oczy i gardło. W końcu odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Gnając, obejrzałam się za siebie i widziałam, jak on się wije, walcząc z wszechogarniającymi płomieniami. Wydawało mi się, że słyszę krzyki bólu i rozpacz.

29 grudnia

Pamiętam, ukochany, że widok kostki angielskiego mydła firmy Woods of Windsor, które pachniało talkiem, kojarzy mi się ze starannym myciem rąk.

To nieistotne, wiem. Ale w jaki sposób rozpocząć historię, której nigdy nikomu nie opowiadałam?

Nie było cię w Brunstriechu tego ranka, który wstał jasny, ze słońcem lśniącym na bezchmurnym, błękitnym niebie. Pogoda zachęcała do wyjścia na dwór. Grupka odważnej i niespokojnej młodzieży, wedle oceny twojej

matki, postanowiła pojeździć na łyżwach na jeziorze, a następnie zjeść coś w pobliskim domku.

Nigdy w życiu nie miałam na nogach łyżew, ale trzymana za ręce przez Richarda Windfielda – wykorzystującego twoją nieobecność, żeby się mną zaopiekować – z łatwością sunęłam po lodzie, ciesząc się tym ruchem niewymagającym wysiłku, podczas którego trzeba było tylko pozwolić się prowadzić. Dopiero kiedy postanowiłam ruszyć sama, skończyłam w zaspie na brzegu, w dość żałosnej pozycji. Zmęczona, spocona i z duszą obolałą od gromkiego śmiechu, którym lady Eleanor zdołała skupić na mnie uwagę wszystkich nieświadomych mojej niezdarności, postanowiłam wycofać się do domku i poczekać na obiad. Ponadto groźne szare chmury, które do tej pory były zatrzymywane przez górskie szczyty, zaczęły uwalniać się z pułapki i zbliżać do doliny. Inni też za długo się nie pobawią, złośliwie cieszyłam się w duchu.

Lustro w łazience odbiło moją zaczerwienioną od mrozu twarz, ale na szczęście nie było na niej śladów brutalnego lądowania w śniegu. Myjąc ręce, raz za razem gładziłam je z przyjemnością, tak były gładkie od mydlanej piany. W samotności, jakby wyłaniały się z owej piany, jeły dręczyć mnie obrazy z poprzedniej nocy: skracająca się postać jak ludzka pochodnia, spowita płomieniami... Dobiegające moich uszu wycie rozpacz i przerażenia człowieka, który wie, że nie zdoła uciec przed straszną śmiercią. Ta dantejska scena prześladowała mnie

przez całą noc i sporą część dnia. Nie uwolniłam się też od zapachu: od wzbudzającego mdłości swądu palonego ciała i gęstego dymu: wydawało mi się, że przyłgnał do mojej skóry na zawsze. Tarłam i tarłam, ale zapach się nie rozwiewał ani obraz nie znikał, nie cichły wrzaski...

Usłyszałam szcęk klamki. Już wrócili.

Wyjrzałam z łazienki do pomieszczenia, gdzie mieliśmy zjeść obiad i skąd wychodziło się bezpośrednio na zewnątrz.

– Jak dobrze, że...

– Jak dobrze, że się tu spotykamy? Niestety, nie sądzę, żeby właśnie to chciała pani powiedzieć. Nie jest pani wylewna, kiedy mnie widzi, a ja nie potrafię zrozumieć dlaczego. – Mikołaj patrzył na mnie kpiąco, jednocześnie zdejmując czapkę i słynny astrachański płaszcz. – Mnie dla odmiany cieszy, że znowu mogę panią zobaczyć. Szczególnie mnie raduje, że jest pani sama.

Przez chwilę się obawiałam, że do mnie podejdzie. Lecz on skierował swoje kroki do barku.

– Przyszedłem się napić. Ma pani ochotę?

– Nie, dziękuję.

Podeszłam do fotela przed kominkiem, na którym rozłożyłam wilgotne okrycie, żeby wyschło. Sprawdzałam, czy już można je włożyć i natychmiast stamtąd wyjść.

– Zaręczam pani, że na mrozie nie ma nic lepszego na rozgrzewkę niż porządny łyk wódki.

Stojąc obrócona do niego plecami, usłyszałam, że

opiera szyjkę butelki o brzeg kieliszka, po czym dobiegło mnie bulgotanie płynu.

– Porządny ogień też pomaga.

Nie chciałam na niego patrzeć, ale on stanął obok mnie, tak że poczułam jego znajomy zapach.

– Nie ma pan ochoty pojeździć na łyżwach? – zapytałam sucho.

– Teraz wolę... robić co innego. Na przykład porozmawiać z panią. Mamy sobie wiele do opowiedzenia – zauważył enigmatycznie.

– Ach tak? Nie sądzę.

Uśmiechnął się, a następnie zgasił ten uśmiech solidnym łykiem wódki, jednym haustem opróżniając kieliszek. Odwróciłam się, żeby uciec od jego obrzydliwej obecności.

– Dokąd się pani tak spieszy? – Przytrzymał mnie za łokieć.

Gwałtownym szarpnięciem wyrwałam się jego palców przypominających szpony.

– Chciałabym usiąść.

Mikołaj pokręcił głową, jednocześnie irytująco cmokając.

– Będzie pani zimno tak daleko od ognia. Jest pani tak lekko ubrana...

– Nie, nie będzie mi zimno – rzuciłam cierpko.

– Ależ tak. – Znowu mnie przytrzymał. – Lepiej niech się pani stąd nie rusza, chciałem pani coś pokazać

Zaczął zdejmować rękawiczki. Do tej pory nie

zwróciłam uwagi, że cały czas miał je na rękach. Kiedy odsłonił dłonie, zobaczyłam, że są zabandażowane. Odwinął bandaż na jednej i ujrzałam żywe mięso, spuchnięte, krwiste, ze strzępami skóry, jak podarty papier, z pęcherzami, z których sączyła się jakaś ciecz. Obrzydzenie ścisnęło mnie w dołku.

– Nie jest pani ciekawa, w jaki sposób to się stało?

– Prawdę mówiąc nie – odpowiedziałam, siląc się na obojętność.

Byłam zbита z tropu, zaintrygowana i zniesmaczona.

– To się stało wczoraj w nocy. Ktoś rzucił we mnie lampą naftową.

W tej chwili mój skurczony żołądek się przewrócił. To był on! To on chował się pod maską! Gonił mnie podziemnymi korytarzami! To był Mikołaj! I jest żywy... Wyraz mojej twarzy musiał mówić sam za siebie.

– Niespodzianka, prawda? Ja też się zdziwiłem wczoraj w nocy, ujrzawszy panią. Nigdy bym się nie spodziewał... Co też młoda dama, piękna i delikatna, robiła w takim miejscu? Czy pani obecność była przypadkowa czy może zamierzona? Kto panią przysłał? Dla kogo pani pracuje? To oczywiście niepokoi także pozostałych. Wyznam pani, że mnie nie. Ja jestem znacznie bardziej pragmatyczny...

Zamknąwszy drzwi na klucz, podszedł do mnie i popchnął mnie na ścianę. Domek leżał na uboczu, więc mogłam liczyć tylko na siebie. Miałam nadzieję, że pozostali już tu idą.

– Zawsze otrzymuję odpowiedzi na moje pytania. Zawsze.

Czułam się tak, jak on chciał, żebym się czuła: psychicznie osaczona, zagrożona.

Nie spuszczał ze mnie oczu, Mikołaj wziął pogrzebacz z kominka i włożył go w żar – pomarańczowy, ostry blask, dźwięk żelaza szorującego po kamieniu, iskry lecące w powietrze... wstrząsnęło mnie przerażenie. A on dalej tortuował mój bezbronny umysł.

– Wszystko sprowadza się do skutecznej metody. Nie należy niczego pozostawiać przypadkowi. Technika musi być precyzyjna, żeby ból był nie tylko dotkliwy, ale także nieustająco narastał. To jedyny sposób na złamanie czyjejś woli. W końcu wszyscy się poddają.

Wyciągnął pogrzebacz z ognia; pod cienką warstwą popiołu można było dostrzec rozżarzone żelazo. Spojrzał na nie z satysfakcją i znowu włożył do kominka.

– Nie ma to jak ogień. Prosty, acz skuteczny: pali jak kwas, tnie jak brzytwa, kłuje jak ostrze... Doskonale to wiem – podsumował, podsuwając mi pod oczy poparzoną rękę. Kiedy opuściłam powieki, uciekając od okropnego widoku, chciał mnie wziąć pod brodę i unieść mi twarz. Wywinęłam się i spojrzałam na niego z obrzydzeniem. – Nie podoba się pani? Zapewniam, że jak już się człowiek przyzwyczai, ból sprawia przyjemność, wręcz perwersyjną, jak zakazana cielesna rozkosz. Mnie ogień pozwala opanować umysł, jak Ludziom Światła: pochodnie w ustach i droga żaru, nic nie stoi na

przeszkodzie silnemu umysłowi. Proszę sobie wyobrazić powolne odrywanie tych strzępów skóry... unoszenie zasłony ciała. Brocząca krew, ropiejące pęcherze. Żywe mięso... Całe ciało... Pogrzebacz przepala powieki i sięga oczu; usta, wargi pokryte pęcherzami, zwęglony język, żelazo w gardle... w środku.

Gładził mnie po twarzy, zostawiając na niej lepki, krwisty ślad: dotyk jego poparzonego ciała, strzępy skóry na mojej skórze, czułam muskanie miękkich, wypełnionych płynem pęcherzy. Gdy doszedł do ust, myślałam, że zwymiotuję.

– Chociaż żał by było oszpeciść taką ładną twarz. Czasem lubię gryzmolić rozżarzonym żelazem wersy *Jadźurwedy*. Zostają naprawdę interesujące wzory na skórze: mistyczne rany. Ale szkoda by też było niszczyć tak delikatną skórę. Może potem...

Zacisnęłam powieki, żeby go nie widzieć, żeby osłabić efekt, jaki wywierał na mnie jego sadyzm. Bezskutecznie: cios został zadany, złamał mnie. Drżałam, pociałam się, mdłości ledwie pozwalały mi oddychać. Stałam przyparta do ściany. On odcinał mi drogę ucieczki. Pogrzebacz tkwił w żarze, w mojej wzburzonej wyobraźni był jeszcze bardziej czerwony i gorący, jeszcze groźniejszy.

– Dla kogo pani pracuje? To interesuje wszystkich. Kiedy się tego dowiedzą, będą chcieli, żebym się pani pozbył. Nigdy nie miałem litości... Ale pani jest taka piękna. A piękny trup jest zupełnie bezużyteczny, to

smutne marnotrawstwo. Wyznam coś pani: jeszcze nikomu nie zdradziłem naszego malutkiego sekreciku.

Otworzyłam oczy. To wyznanie wcale nie przyniosło mi ulgi. W jego twarzy nie było już sadyzmu, tylko żądza. Zaczęłam się domyślać, do czego zmierza.

Chwycił mnie za ramiona i omiótł spojrzeniem całe moje ciało, spojrzeniem brudnym jak robaczywe myśli lęgnące się w jego głowie.

– I jestem przekonany, że możemy dojść do porozumienia satysfakcjonującego obie strony.

– Proszę mnie puścić – rozkazałam cienkim, szorstkim głosem, na jaki było stać moje zduszone napięciem struny głosowe. – Nic pan nie wskóra. Zaraz przyjdą inni, jak im pan to wytłumaczy?

Jego uścisk stawał się coraz bardziej natarczywy. Zadawałam sobie pytanie, czy jego poparzone ciało jest w stanie wytrzymać ból; przypuszczam, że stosował tę samą technikę co Ludzie Światła, żeby utrzymać pochodnię w ustach i przejść ścieżkę żaru... wykorzystywał siłę umysłu.

– Inni? Cha, cha! – zaśmiał się fałszywie, bo wcale nie było mu do śmiechu. – Właśnie idą do zamku. Nadciąga zawieja, więc odwołano obiad. Sama pani widzi, że raczej nie może wydawać mi rozkazów... – Cedził słowa przez zęby. Niemal nimi zgrzytał, gdy pochylił się, tak że nasze usta prawie się dotykały. – Przeciwnie, powinna mi pani ofiarować pocałunek szczerzej wdzięczności w zamian za moją łaskę. Gdyby

tamci się dowiedzieli... Po torturach poćwiartowali by panią i ofiarowali bogini najcenniejsze narządy: mózg, oczy, serce...

– Proszę się odsunąć. – Wciągnęłam powietrze w płuca.

„Właśnie idą do zamku”. Boże.

– Jest pani bardzo uparta. A jednak w pani oczach widzę strach, tak jak wczoraj.

Zamknął oczy. Na czoło wystąpił mu pot. Westchnął, a powieki uniosły mu się jakby bez udziału jego woli i ukazały niemal same białka oczu.

– Nie powinna pani czuć strachu, tylko rozkosz... – wyszeptał szorstkim głosem nabrzmiętym żądzą. Rozkoszował się wizją tego, co podpowiadał mu jego zaślepiony umysł. – Będę się z tobą kochał aż do omdlenia...

– Proszę mnie puścić! Proszę mnie nie dotykać!

Nie miało sensu krzyczeć i wiedziałam o tym. Ale krzyk jest niepohamowanym wyrazem przerażenia i rozpacz. Musiałam krzyczeć.

Mocniej przycisnął mnie do ściany i przywarł do mnie całym ciałem. Rękami unieruchomił mi głowę, zmuszając mnie, żebym na niego patrzyła. Wionął mi w twarz cuchnącym oddechem.

– Nie! Nie! Nie!

Suche gardło zdusiło moje krzyki. Lepki strumień o smaku wódki zalał mi usta. Poczułam, jak jego język siłą stara mi się wcisnąć między zęby. Zacisnęłam powieki i

łyzy zaczęły palić mi policzki. Nie miałam wyjścia.

– Au! – Gwałtownie odsunął się ode mnie. – Ty suko!!! Użarłaś mnie jak jakaś wściekła suka! – splunął i dotknął wierzchem dłoni wargi, na której zostawiłam bolesny ślad ukąszenia.

Gdy już wydawało mi się, że wygrałam, uniósł rękę i wymierzył mi siarczysty policzek. Uderzenie było tak silne, że gwałtownie odrzuciło mi głowę; usłyszałam suchy trzask w uchu i pomyślałam, że pękł mi bębenek. Na kilka sekund przesywający ból zamglił mi wzrok. Usta pulsowały mi boleśnie – ciepła strużka popłynęła mi po brodzie i na języku poczułam metaliczny smak krwi.

Zanim zdołałam zareagować, Mikołaj uniósł mnie i brutalnie pchnął na kanapę. Rzuciwszy się na mnie, przygniótł mnie swoim ciężarem, tak że nie mogłam się ruszyć.

– Dla kogo?! Gadaj! Dla którego z tych, których tak jak mnie podniecasz, chowasz swoje ciało?! Jesteś tylko tanią dziwką! A ja wiem, jak traktować takie jak ty!

– Proszę mnie zostawić! Proszę sobie iść!

– Ja jestem bardziej gorący niż oni wszyscy. Nikt nie da ci tyle rozkoszy co ja.

– Proszę... Nie! Nie! – wrzeszczałam, starając się uwolnić, ale im bardziej się szamotałam, tym mocniej mnie przyciskał.

– Zabawimy się! A ty będziesz się dobrze zachowywać! Rozumiesz, kurwo?! Będę cię rznął, aż zdechniesz!

Rozpiął pasek i spodnie, jednym silnym szarpnięciem rozłożył mi nogi, a potem brutalnie poszarpał mi ubranie. Wcisnął twarz w moje półnagie ciało i szaleńczo przebiegając po nim ustami i językiem, wyciągnął członek i pieścił się, żeby jeszcze bardziej się podniecić.

Waliłam go pięściami, drapałam i gryzłam, wierzgając i piszcząc w desperacji. Udało mi się jedynie spotęgować jego brutalność. Spadliśmy na podłogę. Jego ciało mnie przygniatało, twardy członek boleśnie wciskał się między nogi. Zrozumiałam, że wejdzie we mnie, a ja nie jestem w stanie temu zapobiec, moje wściekłe krzyki mieszały się z jego dyszeniem i jęczeniem.

Wtedy dostrzegłam butelkę wódki na stole. Podczas gdy on poruszał się we mnie, a okropny ból rozrywał mi wnętrzności, wyciągnęłam rękę i z wielkim trudem udało mi się jej dosięgnąć. Z całych sił, jakie w tamtej chwili zdołałam zebrać, rozbiłam ją na jego głowie; roztrzaskałam ją w prawdziwej furii. Natychmiast znieruchomiał i legł na mnie jak trup.

Zapadła cisza.

Leżałam bez ruchu, przywalona jego ciałem. Łzy płynęły mi po skroniach i wpadały do uszu. Nie mogłam tego znieść ani sekundy dłużej. Zapominając o bólu i szkle wbijającym mi się w dłoń, zdołałam się uwolnić.

Na dworze rozpętała się zawieja, więc ziemia zlewała się z niebem. Nie mogłam znaleźć drogi, przedzierałam się na oślep przez jakieś kolczaste krzaki, które czepiały się mojego ubrania. Przy każdym kroku zapadałam się po

kolana w śniegu. Wiele razy upadałam. Plamy krwi skalają biel śniegu, niczym czerwony atrament dziewicze płótno. Kręciło mi się w głowie, obrzydzenie skręcało żołądek. Mdłości ścisnęły gardło. Po gwałtownym ataku kaszlu zaczęłam wymiotować, wyrzucać z siebie całą obmierzłość, brud i strach.

Nie byłam w stanie iść dalej; leżałam w śniegu, czekając, aż zamarznę. Chciałam zamknąć tylko oczy i na zawsze zapomnieć o tym, co mnie spotkało.

Nagle usłyszałam z daleka jakiś głos, ginący w ryku wiatru i szumie drzew. Jakby ktoś mnie wołał... Gdybym chociaż mogła wstać i biec dalej. Ale nogi miałam zdrętwiałe i niemal nie czułam stóp.

Na tle spowijającej mnie bieli zamajaczyła zamazana postać. Zbliżała się jak duch, bez twarzy i tożsamości. Znowu usłyszałam swoje imię, tym razem wyraźnie i blisko.

Zemdlałam.

Wyznam ci, bracie, że nie byłem dobrym człowiekiem o nieskazitelnej moralności – na tym etapie moich zwierzeń pewnie już się tego domyśliłeś. Przeciwnie, miałem na koncie mnóstwo uczynków, które jeśli nie skazą mnie na smażenie się w piekielnym ogniu po wsze czasy, to przynajmniej wyślą na długo do czyśćca. Ale jeśli było coś, co mnie naprawdę oburzało i wzbudzało we mnie największe obrzydzenie, był to gwałt i nadużywanie władzy.

Tamtego dnia doświadczyłem niezwykłej wściekłości, rozpaczliwej niemocy, niepohamowanego pragnienia zemsty, bezwzględnej i okrutnej. Nigdy wcześniej nie czułem czegoś podobnego tak intensywnie, niemal do bólu. I to ona ponosiła winę za moje rozchwianie emocjonalne.

Burza emocji rozpętała się w chwili, kiedy starałem się ją podnieść, a ona zemdląła mi w ramionach. Jej ubranie było mokre i podarte, miała krew na rękach i twarzy, jej ciało było zimne jak śnieg. Otuliłem ją płaszczem i zaniósłem do sań. Tam odzyskała świadomość, otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Co się stało?

Ale zamknęła powieki i nie otrzymałem odpowiedzi.

Strzeliłem z bata nad końskimi zadami, żeby gnały najszybciej jak się da. Mknęły jak szalone po wąskiej drodze. Chłostanie zamieci, strzelanie z bata i stukot kopyt drażniły mi zmysły. Bałem, że ona zamarźnie w moich ramionach.

Kiedy dojechaliśmy do zamku, szybko wniosłem ją do środka. Ciepło przywróciło ją do życia, bo po chwili uciekła do swojego pokoju, zostawiwszy mnie na schodach, tak jak się zostawia obcych po drugiej stronie furtki.

Nie spodziewałem się, że tak szybko ją zobaczę. W drzwiach mojego gabinetu. Umyła się i przebrała, ale ciągle była blada i miała nietęgą minę.

– Muszę... możesz mi nalać kieliszek? Proszę.

Zaproponowałem jej miejsce przy kominku.

– Koniak?

– Tak, dziękuję.

Nalałem jej i podałem kieliszek. Ona wzięła go z moich rąk, ale zaledwie umoczyła usta.

– Masz lodowate ręce. Dołożę drew do kominka.

Położyłem polano w żarze i patrzyłem na nie, aż zajęło się ogniem. Tak naprawdę zastanawiałem się, co robić albo co powiedzieć.

W końcu usiadłem obok niej, chociaż zachowywałem dystans narzucony zresztą przez jej wycofanie i milczenie.

Nie bacząc na mnie, dalej siedziała w ciszy, ze wzrokiem utkwionym w płomieniach i z niemal nietkniętym kieliszkiem w ręku. Jej żywy temperament, umiejętność prowadzenia zajmującej rozmowy i zdumiewająca zdolność wypełniania swoją obecnością każdego miejsca rozwiały się niczym dym na wietrze. Wydawała się zupełnie innym człowiekiem.

– Wargę nie wygląda najlepiej. Może powinniśmy wezwać lekarza?

– Nie. Nie trzeba.

– Powinnaś przyłożyć lód, żeby nie spuchła.

– Tak...

Najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę. A jednak byłem pewien, że nie przyszła do mojego gabinetu tylko po to, żeby sobie posiedzieć na kanapie.

– Chcesz porozmawiać? – odważyłem się w końcu nieśmiało wyszeptać.

Zdawało się, że nic nie jest w stanie wyrwać jej z odrętwienia. Miałem jednak asa w rękawie.

– To Mikołaj, prawda?

Tak jak się spodziewałem, słowa te przyniosły skutek – odwróciła się od ognia i spojrzała na mnie ponuro. W jej oczach czaił się głęboki smutek i wielki strach.

– Skąd wiesz? – zapytała ostrożnie.

Poprzedniej nocy postanowiłem ją obserwować. Ale z rana straciłem ją z oczu, kiedy zeszła z lodowiska, zaraz po tym, jak upadła twarzą w śnieg. A banalna rozmowa, jaką akurat prowadziłem z Nadią i jej siostrami, Borianą i Iwaną, nie pozwoliły mi za nią pójść bez okazania nieuprzejmości mojej przyszłej rodzinie. Kiedy wreszcie się ich pozbyłem, poszedłem do domku, w przekonaniu, że ją tam zastanę. Domek był jednak pusty. Kilka szczegółów w środku zwróciło jednak moją uwagę. Zauważyłem, że Mikołaj zapomniał swojego charakterystycznego astrachańskiego płaszcza, na fotelu zaś leżało równiutko złożone jej okrycie. Po podłodze walało się szkło z rozbitej butelki i ktoś wcisnął pogrzebacz w żar kominka.

– Byłem w domku.

– Boże! Zabiłam go! – przerwała mi rozpaczliwie, po raz pierwszy okazując emocje. – Ja... ja rozbiłam mu butelkę na głowie i... on upadł. Zabiłam go...

Od początku wyobrażałem sobie, co mogło się tam wydarzyć. Skoro chodziło o Mikołaja i sądząc po tym, jak ona wyglądała, nie trzeba było wielkiej przenikliwości,

żeby się domyślić, że on próbował – i prawdopodobnie dopiął swego – ją zgwałcić.

Wizja Mikołaja, tego niezrównoważonego, sadystycznego zwyrodnialca, zmuszającego ją do stosunku, do takiego stanu doprowadzała mój głodny seksu umysł, że wyobrażanie sobie, jak ona się boi, jak zostaje zniewolona i upokorzona niemal wywoływało mdłości.

– Nie, nie zabiłaś tego gnoja. Ale zapewniam cię, że jak tylko go spotkam, osobiście to zrobię gołymi rękami – odpowiedziałem. Wyobraziłem sobie, jak moje dłonie obejmują jego szyję i zaciskają się na niej, aż jego twarz sinieje, a język zwisa z ust. Ta wizja przyniosła mi niejaką ulgę.

– Ale on... on... padł bez życia... Leżał na mnie, był martwy... To okropne! – upierała się, ponownie przeżywając tamten koszmar.

– Słuchaj. Posłuchaj mnie, Isabel. – Ująłem ją za ramiona, starając się ją uspokoić. – Kiedy wszedłem do domku, jego już tam nie było. Ta menda uciekła, nie czekając, aż ktoś się zjawi.

Wybuchnęła płaczem, zwiotczała i opadła niczym szmaciana lalka. Przyciągnąłem ją do siebie, ofiarowując jej dodający otuchy uścisk, który ona przyjęła bez żadnych obiekcji. Pozwoliłem, żeby wypłakała całe napięcie.

– To okropne... okropne... – powtarzała wśród łez.

Nadeszła noc, zaczął padać gęsty śnieg. W

korytarzach było słyszeć przedkolacyjną krzątaninę, a z kuchni napływała smakowita woń pieczonego mięsa i gorącego chleba. W złotym świetle stołowej lampy ona zasnęła na moich kolanach, podczas gdy ja opowiadałem jakąś błahą historię, żeby rozwiać dręczące ją wspomnienia. Gdybyś się jej wtedy przyjrzał, bracie... Gdybyś ją widział, tak jak ja ją widziałem, piękną, skrzywdzoną, śpiącą z twarzą ściągniętą z bólu... Czułość przepełniłaby cię na równi z wściekłością. Ty i ja różniliśmy się bardzo, bracie, ale jestem przekonany, że wtedy poczułbyś to samo co ja.

30 grudnia

Pamiętam, ukochany, że obudziłam się o świcie i od razu zdałam sobie sprawę, że boli mnie całe ciało i mam spuchnięte usta. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do mnie, co się wydarzyło, i byłam w stanie odróżnić sen od jawy. To było gorzkie przebudzenie po nocy, która nie przyniosła odpoczynku.

Przeciągnąwszy się, wyszłam z pościeli. W kominku pozostały resztki dogasającego żaru. Patrzyłam na pogrzebacz, stojąc bez ruchu i bez tchu. Nie byłam w stanie rozgarnąć popiołu, nie mogłam go dotknąć. Strach i smutek był niemal namacalne.

Odwróciłam się i podeszłam do balkonu, żeby rozsunać zasłony i wpuścić do pokoju słabe światło wstającego dnia. Na horyzoncie rysowały się pierwsze

promienie słońca, przyjemnymi odcieniami barwiąc zupełnie czyste niebo. Powoli otworzyłam okno i pozwoliłam, żeby owionęło mnie mroźne powietrze. Wszystko było spokojne i ciche, zaspane...

Zamknęłam okno i usiadłam przy toalecie, przez kilka sekund przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze. Dotknęłam warg i poczułam przeszywający ból. Na chwilę skupiłam uwagę na dziesiątkach kremów i pomad zamkniętych w ozdobnych słoiczkach; potem zwróciłam spojrzenie na wytworne suknie wiszące w garderobie, na pudła na kapelusze piętrzące się obok wielu par butów, na szale, chustki, bieliznę, biżuterię... na wszystkie te rzeczy, które pomagały mi być piękną. Cena była zbyt wysoka. Zdecydowanie zbyt wysoka.

Zwróciwszy znowu wzrok na okno, postanowiłam odbyć samotny spacer.

Gdy wyszłam z pokoju, usłyszałam, że dom się budzi. Korytarze pachniały pastą do podłóg i śniadaniem: świeżym ciastem i kawą. Powinnam się pospieszyć, jeśli nie chciałam zostać zatrzymana przez wir, który za chwilę miał się rozkręcić jak co dnia. Pokonawszy grubą warstwę lodu, która zmieniła stopnie schodów w ślizgawkę, postanowiłam pójść główną drogą prowadzącą do ogrodu i dalej do lasu. Wtedy z góry ktoś mnie zawołał. Byłoby cudem, gdyby nikt mnie nie zauważył, pomyślałam, odwracając się.

Karel stał na tarasie swojego pokoju. Po ruchu ust poznałam, że mówi: „Dzień dobry” i odpowiedziałam

skinieniem głowy. Machnął ręką, żebym poczekała.

Wyznaję ci, bracie, że poczułem się szlachetny i czysty, jak nowo narodzony. Znowu zacząłem spoglądać na świat z podziwem i ufnością, oczami dziecka. Zauroczyło mnie odkrycie nie tyle tego, co na zewnątrz, ile raczej tego, co, jak sądziłem, już we mnie umarło.

Tragiczne było to, że śmierć ponownie splamiła bezchmurne niebo i bielutki śnieg; że brutalnym ciosem wyrwała mnie z mego snu, żeby przypomnieć mi, gdzie jestem i komu służę.

Wstałem wcześniej i wsparty na balustradzie tarasu rozkoszowałem się zimowym krajobrazem, korzystając z wolnych chwil, które jeszcze pozostały do śniadania. Właściwie patrzyłem na pejzaż, lecz nic nie widziałem, jak zawsze skupiony na własnych myślach. Wtedy ją zaskoczyłem na jednej z jej samotnych eskapad. Machnąłem do niej, żeby na mnie poczekała, i natychmiast do niej dołączyłem.

Nie wyglądała najlepiej z mocno podkrążonymi oczami, opuchniętą, posiniaczoną i bardzo bladą twarzą. Po raz pierwszy dostrzegłem w niej kruchość, która wcześniej mi umknęła. Jawiła się bezbronna jak każda kobieta. „Nawet jeśli oberwiesz płatki kwiatu, nie zniszczysz jego piękna”. Nie czytywałem Tagorego – mój znieczulony umysł nie rozumiał ani nie cenił jego słów. Poezja objawia się tylko wtedy, gdy człowiek ją przywołuje: wtedy staje się harmonijną ekspresją i

doświadczeniem osobistym. Wspomniałem jednak tamten wers, patrząc na jej podkrążone oczy.

Powiedziała, że wybiera się na spacer, a ja z chęcią zaofiarowałem jej swoje towarzystwo, choć wiedziałem, że się zgodzi powodowana jedynie dobrym wychowaniem i że jestem tylko złodziejem jej samotności. Nie uważałem jednak za słuszne pozwolić jej spacerować samej, zważywszy na jej stan. Poprzedzani przez mojego labradora ruszyliśmy drogą w stronę lasu.

Spacer sam w sobie zawsze wydawał mi się czynnością niebywale banalną i zbędną, niewartą poświęcanego jej czasu. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć przyjemności czerpanej z chodzenia bez celu, rozkoszowania się trywialnym faktem, że się stawia jedną nogę za drugą. W moim odczuciu takiej rozrywce mogli się oddawać ludzie niemający nic lepszego do roboty; była odpowiednia dla kobiet, dzieci, zakochanych i starców. Tamtego dnia odkryłem, w jak wielkim byłem błędzie.

Niemal bezwiednie, z wolna, jałem wkraczać w świat drobnych szczegółów, zdumiewających odkryć, krajobrazów mogących się rozpaść na tysiące historii, zmysłowych doznań. Przekonałem się, że podczas spaceru można patrzeć, wąchać, słuchać i czuć; pozwolić, żeby świat zewnętrzny wniknął w nas jak cudowne lekarstwo.

Odruchowo ruszyłem ocienioną stroną drogi, lecz ona pociągnęła mnie na tę nasłonecznioną; poczułem delikatną pieśczętę zimowego słońca na policzkach. Szedłem z

oczami utkwionymi w ziemię, a ona nakłoniła mnie do uniesienia wzroku i podziwiania lotu królewskich orłów, które wykonywały na niebie niebywałe akrobacje. Trzymałem ręce w kieszeni, ona zaś wsunęła w jedną z nich gałązkę srebrnej jodły i roztarła ją w palcach: jodła zostawiła na mojej skórze świeży leśny zapach.

Zachwycające było spostrzeżenie, że chociaż w zimie przyroda śpi, to budzi się przy każdym naszym kroku. Że można zobaczyć gila albo pełzacza leśnego, usłyszeć miarowe stukanie dzięcioła. Ona zwróciła mi uwagę, że powietrze pachnie zimą. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że pory roku mogą pachnieć, aż poczułem, że powietrze jest przesycone wonią dymu i śniegu. Gdy schylała się, żeby zerwać jagody jałowca, zdałem sobie sprawę z ich istnienia pod śniegiem. Zwyczajna jemiola uczepiona gałęzi klonu przywodziła na myśl magiczne przesady: przymocowuje się ją do dziecięcej kołyski, żeby czarownice nie ukradły dziecka; będzie się miało pecha, jeśli się pozwoli, żeby upadła na ziemię przy zbieraniu, bo jemiola nie jest ani z nieba, ani z ziemi, nie ma korzeni ani nie może wisieć w powietrzu. Ożywiony przypomniałem sobie celtycką legendę, którą opowiadał nam ojciec, o królu Ostrokrzewie panującym w ciemnej i zimnej połowie roku oraz o królu Dębie rządzącym w świetlistej i ciepłej jego części. Tyle razy patrzyłem na ten las, lecz go nie widziałem. Teraz wyglądał jak zrobiony z malutkich gwiazdek, jak cekiny na sukni pięknej kobiety, które skrzyły srebrzyście w promieniach słońca.

Gdy zadałem sobie pytanie, dlaczego nagle objawiło się tyle cudowności do tej pory ukrytych przed moimi zmysłami, z zaskoczeniem stwierdziłem, że patrzę jej oczami, słyszę jej uszami i dotykam jej rękami...

Ten moment wydał mi się nierealny, niemal magiczny. Jednak żadna magia nie może trwać wiecznie, więc i ta chwila szybko się rozwiała, niczym w bajce z wybiciem północy.

Bach, labrador zawdzięczający swoje imię sztapłowi bakelitowych płyt z utworami genialnego kompozytora, buszował beztrosko w przydrożnych krzakach. W pewnej chwili wyskoczył z nich i podbiegł do mnie, niosąc coś w pysku.

Schyliłem się po to.

– No dobrze, mały. Co mi przyniosłeś?

Bach upuścił mi na ręce brązową skórzaną rękawiczkę. Przyjrzałem się jej uważnie. Była to elegancka męska rękawiczka, z dobrej skóry, znakomitej jakości, godna dystyngowanych gości Brunstriechu.

– Poczekaj tu na mnie – nakazałem jej, po czym wiedziony strasznym przeczuciem wszedłem w gąszcz za niespokojnym psem.

Starając się nie stracić z oczu Bacha, który stale ginał w krzakach, torowałem sobie drogę przez gałęzie i kopny śnieg. Kiedy znalazłem się na małej polance pośród świerków, pies zatrzymał się przy zaspie i zaczął szarpać coś zębami. W kilka sekund odkopał but.

– *Mein Gott...*

Opadłem na kolana i pośpiesznymi ruchami zacząłem odgarniać śnieg. Z przerażeniem stwierdziłem, że widzę męskie nogi. Z niepokojem szukałem oblicza, które nadałoby zwłokom tożsamość, dręczony strachem przed tym, kogo mogę odnaleźć. Człowiek leżał na brzuchu, z twarzą w śniegu. Udało mi się go odwrócić. Szeroko rozwarte oczy, zamarznęte i puste, okolone oszronionymi rzęsami, jak szklane kulki wciśnięte w siną twarz, wpatrywały się we mnie, zmrażając mnie do szpiku kości. Z makabrycznym grymasem na ustach hrabia Mikołaj Zagoronow spoglądał na mnie ze świata umarłych.

Odgarnąłem śnieg zakrywający jego ciało, sypki i czysty, który pewnie spadł poprzedniej nocy. Hrabia miał na sobie tylko spodnie z rozpiętym paskiem i koszulę. Na rękach bandaż. Głęboka rana pokryta zakrzepłą krwią przecinała mu czoło. Ale nie ona była przyczyną śmierci, bo w lewej skroni widniał otwór po kuli, czysta mała ranka, która na jasnej skórze wyglądała jak ciemne znamię. Został zastrzelony, prawdopodobnie nawet w tym miejscu. Kiedy chciałem rozpiąć mu koszulę w poszukiwaniu znaku, usłyszałem za plecami skrzypienie kroków na śniegu.

– O mój Boże!

Zapomniałem o niej! Widziałem, że z przerażeniem wlepia oczy w trupa Mikołaja, jakby nie była w stanie oderwać od niego spojrzenia. Rozzłościłem się na siebie za to, że pozwoliłem, by stała się świadkiem tej sceny.

Jednym skokiem znalazłem się przy niej i otoczywszy

ją ramionami, zabrałem stamtąd. Zupełnie jakbym obejmował posąg, jej ciało było sztywne, skamieniałe.

– Nie żyje... – wyszeptała. Nic nie mówiłem, a ona kontynuowała: – On... on leżał na podłodze... W domku. Ja...

Wydawało mi się, że rozumiem, co chce powiedzieć.

– To nie ty go zabiłaś.

W końcu na mnie spojrzała.

– Ty?

To mnie zaskoczyło. Co kazało jej tak sądzić? Wtedy przypomniałem sobie, co powiedziałem poprzedniej nocy i to, co przebiegło mi przez głowę.

– Nie! Wczoraj nawet miałbym ochotę, ale ktoś mnie ubiegł. Może nawet on sam.

– Popełnił samobójstwo?

– Nie wiem – przyznałem, myśląc, że gdyby tak było, pistolet powinien leżeć w pobliżu.

– I co teraz zrobimy?

Dobre pytanie, ale to nie był stosowny moment, aby się nad tym zastanawiać. Wiedziałem tylko, że chwilowo potrzebuję dwóch rzeczy: czasu i dyskrecji.

– Przede wszystkim musimy utrzymać to w tajemnicy. Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. A ja zajmę się... całą resztą.

Jak należało się spodziewać, chciała protestować.

– Ale...

– To bardzo ważne, żebyś mnie posłuchała, Isabel – przerwałem jej, ucinając wszelkie dyskusje.

31 grudnia

Pamiętam, ukochany, niepokój dręczący mnie tamtej nocy. Nie rozumiałam motywów działania twojego brata. Nie rozumiałam nic z tego, co się działo.

Poza tajemniczymi spotkaniami w podziemiach zamku, pozornie przypadkowym strzałem na polowaniu i śmiercią Mikołaja, wszystkimi tymi tragicznymi wydarzeniami w pięknym świątecznym entourage'u Brunstriechu, najbardziej zaskakujące i niepojęte były beztroska i spokój, z jakimi podchodzono do tych spraw.

Dwukrotnie kazano mi trzymać język za zębami w imię tego, co zdawało się priorytetem i największą świętością: świąt w Brunstriechu. Nic, nawet śmierć, nie powinno sprawić przykrości wielkiej księżnej wdowie ani zmącić zabawy zaproszonym gościom. Mogłabym nie tylko zrozumieć, ale też pochwalać zachowanie syna, który chce chronić matkę, ale nie do tego stopnia, by ukrywać śmierć Mikołaja, jakby jego ciało po prostu znikło niezauważone przez nikogo. Jak w cyrku: nieważne, że treser siedzi w pysku lwa, przedstawienie musi trwać, nic nie powinno przerywać aplauzu i śmiechu publiczności.

Dobre samopoczucie matki jest ważne i warte starań, ale to było podejrzenie przesadzone. Zaczęłam więc myśleć, że prawdopodobnie istnieją inne motywy skłaniające Karla do zatajenia tych wydarzeń. Jeśli za

zasłoną świąt w murach Brunstriechu rozgrywała się jakaś niezbyt fortunna, lecz starannie zaplanowana historia, jedynym elementem, którego nie przewidziano, byłam ja, i martwiło mnie, że Karel zdał sobie z tego sprawę.

I rzeczywiście, obecność i postępowanie twojego brata niektórych momentach wzbudzało we mnie wiele wątpliwości. Już samo zaproszenie mnie do Wiednia wydało mi się dziwne. Od tamtej chwili łańcuch tajemnic wydawał się nie kończyć: dlaczego tak się interesował mną i moimi dziwnymi praktykami, poczynając od porannych ćwiczeń, a kończąc na lekturach? Dlaczego pojawił się na scenie, wychodząc z drugiej strony lasu zaraz po tym, jak strzelano do Borysa? Dlaczego to właśnie on, a nie ktoś inny znalazł mnie po strasznym zdarzeniu z Mikołajem? Dlaczego unikał towarzystwa? Dlaczego pojawiał się i znikał? Dlaczego wiecznie pozował na samotnika, ponurego i tajemniczego? Dlaczego nasze drogi w tym malutkim świecie, jakim był Brunstrieck, przecinały się w najbardziej mrocznych chwilach? Nie uważałam, żeby to wszystko było dziełem przypadku.

Wszystko to mnie dręczyło, więc czułam się całkowicie wyobcowana na trwającym nieprzerwanie przyjęciu. Wydawało mi się nierealne i nie na miejscu; cała ta zabawa, ten zgiełk, kontrastował z moim nastrojem, był niemal obraźliwy. W ciemnym kącie salonu, gdzie stałam z kieliszkiem, z którego nie miałam ochoty pić, i słuchając muzyki, której nie miałam ochoty

słuchać, oddawałam się tym rozmyślaniom. Przez matową szybę mojego nastroju obserwowałam kulminacyjny punkt świąt: bal sylwestrowy, tłumny bal przebierańców, głośny i wystawny, maskaradę w pełnym tego słowa znaczeniu.

Może to zauważyłeś, ukochany, może zdałeś sobie sprawę, że nie jestem taka sama... Może właśnie dlatego tamtej nocy, kiedy cię unikałam, ty mi na to pozwalałeś; wiedziałeś, że chowam przed tobą posiniaczoną twarz i przygnębienie. Uszanowałeś moje wycofanie i wstyd. I tamtej nocy, kiedy nie poszukiwałam twojego spojrzenia ani uśmiechu... nie poprosiłeś do tańca żadnej innej kobiety.

– „Przystrojona była boskimi szatami i girlandami, a ciało namaszczone było boskimi wonnościami...”

Gdy się odwróciłam, żeby odpowiedzieć na tak wyrafinowaną zaczepkę, wiedziałam już, że to Borys Iljicz, pompatycznie recytujący nieco dostosowany do sytuacji opis Kryszny z *Bhagawadgity*.

– „...i gdyby setki tysięcy słońc nagle rozbłysły na niebie, może dałyby one blask podobny światłości Najwyższej Osoby”. Cudownie pani wygląda w szatach odaliski. Nie mogła pani wybrać nic bardziej odpowiedniego dla swej egzotycznej urody.

Dzięki niemu przypominałam sobie, że też biorę udział w tej maskaradzie, spowita orientalnymi jedwabiami i z twarzą ukrytą za sugestywnym woalem zasłaniającym mi poranione usta.

– Dziękuję, Borysie. Jak zawsze pańska galanteria jest najbardziej oryginalna i wyszukana. Do pana też świetnie pasuje strój weneckiego doży.

Borys uśmiechnął się z satysfakcją i wdzięcznością, po czym zapytał:

– Dlaczego stoi pani na uboczu? To bardzo okrutne odmawiać swego towarzystwa tylu adoratorom.

– Powiedzmy, że dzisiaj mój duch nie rozsiewa takiej światłości. Czuje się raczej nieco przygaszony – wyznałam, nawiązując do jego słów.

– Ach, smutek nas zaskakuje w najmniej spodziewanych chwilach! Czasem nadmiar hałasu i zabawy jest kontrapunktem sprzyjającym melancholii. Ciekawe jest obserwować, jak piękno i radość świata zarówno wywyższają ducha, jak i umniejszają oraz deprymują, przyćmiewając swym splendorem.

– To splendor wyczerpuje. Piękno i radość rzeczy prostych dają nam pokój.

– Och, oczywista rzecz. Może tęskni pani za domem...

– Teraz tutaj jest mój dom – odpowiedziałam, uciekając wzrokiem, bez przekonania.

– Proszę zatem pozwolić, że nieco rozproszę pani smutek prostym prezentem.

Zaintrygowana spojrzałam na niego. W jego wielkiej dłoni mieściły się bez trudu dwie książki. Wręczając mi je, jął wyjaśniać:

– To dwie pozycje, które pozwolą pani oddawać się

refleksji. Może powinna pani poszukać swojego miejsca gdzie indziej, wszak nie posłuży orłowi wróble gniazdo.

Przerzuciłam książki Borysa: egzemplarz po francusku *Poza dobrem i złem* Nietzschego i druga, również po francusku, podpisana A. Kasha.

– Moim zdaniem ta praca Nietzschego należy do najbardziej interesujących. I ma bardzo sugestywny początek: „Gdyby prawda była kobietą...” Sądzę, że się pani spodoba. Druga zawiera rozmyślenia na ten sam temat.

Nie odrywałam oczu od książek, dając mu tym do zrozumienia, że czuję się zaszczycona i zachwycona prezentem.

– No cóż... dziękuję, Borysie. Właśnie pobudził pan mojego przygaszonego ducha. Zapewniam pana, że przeczytam je z wielkim zainteresowaniem.

– A wtedy chętnie poznam pani wrażenia. W ten sposób podtrzymamy naszą świeżą przyjaźń, gdy skończą się święta.

– Zapewniam pana, Borysie, że będę zaszczycona, jeśli będziemy mogli kontynuować nasze rozmowy, które tak bardzo mnie inspirują i są mi światłem przewodnim. Uznałabym za wielkie szczęście, gdybyśmy mogli nadal się przyjaźnić.

– Drogi Borysie Iljczu! Do twarzy panu z tym pięknem!

Twój wuj, książę Alois, wkroczył na scenę ze swym zniewalającym urokiem i serdeczną osobowością,

przerywając moje zachwyty i pozbawiając mnie możliwości zebrania owoców tej pogawędki, na które już się łąsałam. Przyszedł wbity w mundur pruskiego huzara, podkreślający jego atrakcyjność, czego był doskonale świadomy.

– A pani, kochana Isabel... – rzekł, ujawniwszy moją rękę, aby ją ucałować z wielką ceremonialnością – wprost brak mi słów. Najpiękniejsza w haremie, sułtańska faworyta, kwiat z ogrodu tysiąca i jednej nocy.

Z uśmiechem na ustach lekkim skłonieniem głowy okazałam wdzięczność za poetyckie komplementy.

Alois skierował spojrzenie na książki, które trzymałam.

– Widzę, że dzielicie zamiłowanie do tych samych lektur – zauważył. – Pewnie pani odkryła, Isabel, jak wielką wiedzę i obycie posiada Borys Iljicz.

– Mam wrażenie, że odkryłam zaledwie jej cząstkę.

– Spasowieję – wyszeptał Borys z fałszywą skromnością.

– Jak rozumiem, prowadzi pan niebywale interesujące wykłady we wszystkich zakątkach Europy. Nie powinien pan przegapić okazji zaproszenia tak pięknej i inteligentnej osoby, jeśli jeszcze pan tego nie zrobił – zwrócił się do Borysa. – Mógłbym jej towarzyszyć. Jesteśmy przecież rodziną. We trójkę możemy stworzyć ekskluzywny klub.

– Cha! Szczególne trio: dwóch brzydkich dziadków i piękna młoda kobieta.

Ta aluzja do wieku Aloisa najwyraźniej nie przypadła do gustu jego wysokości.

– Dziadków? Jestem w kwiecie wieku, drogi przyjacielu!

Musisz przyznać, ukochany, że „brzydki dziadek” to nie było odpowiednie określenie księcia. Mnie wydawał się raczej mężczyzną o wielkiej energii, wiecznie poprzedzany swoją sławą casanovy, z umiejętności prowadzenia rozmów zarówno interesujących, jak banalnych i z wrodzoną wyższością wynikającą z arystokratycznego pochodzenia. Wyraźnie różnił się od Borysa, wyważonego, skromnego i serdecznego, którego cechowała głębia myśli wynikająca z obycia, wiedzy i bogatego doświadczenia życiowego. Zadałam sobie pytanie, co też oni mogą mieć ze sobą wspólnego.

Wyznam ci, bracie, że oglądanie przez lata makabrycznych i okrutnych widoków nie zdołało całkowicie stępić mojej wrażliwości. Widok zwłok i śmierci, zwłaszcza gwałtownej, dalej wzbudzał we mnie niepokój. Nie wymiotowałem już, tak jak na początku, ale w obecności nieboszczyka skręcał mi się żołądek.

Ale śmierć tej kanalii w ogóle mnie nie poruszyła, raczej ucieszyła. Żałowałem tylko, że sam nie strzelił sobie w łeb, bo jego zabójstwo, choć osobiście mnie radowało, z punktu widzenia spraw zawodowych wcale nie było mi na rękę.

– A więc jesteś pewien, że to nie samobójstwo?

Bezwiednie ją obserwowałem. Po czym, jakbym chciał sam sobie dowieść, że tak naprawdę wcale nie pragnę na nią patrzeć, odwróciłem się, żeby oprzeć się o granitową balustradę zamykającą wielki taras od strony zamkowego podwórca. Teraz miałem przed oczami odbywający się poniżej festiwal. Jak co roku na sylwestra matka zatrudniła grupę Cyganów dających cyrkowe przedstawienie w sercu zamku: Mikołaj, tresowany niedźwiedź; madame Anuszką, wróżbitka; Pino i Bebo, klauni akrobaci; Bałkan, człowiek zionący ogniem; bracia Klawińscy, ekwilibryści; Petra, brodata kobieta... i dźwięki tamburynu, kastanietów, cymbałów i akordeonu.

– Absolutnie – potwierdził Richard Windfield. – Rzeczywiście zastrzelono go z pistoletu, który znalazłeś obok ciała, ale rana była w lewej skroni, a Mikołaj był praworęczny. Poza tym cechy rany nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

– Na śniegu nie było żadnych śladów, nikt nie słyszał strzału... Człowiek, który go zabił, nie jest amatorem.

Znowu żałowałem, że nic nie jest proste i że nie można zamknąć całej sprawy samobójstwem – co nikogo by nie zdziwiło, z uwagi na pokręcony umysł Mikołaja – a Richard zdawał się żywić także inne wątpliwości:

– Są jeszcze dwie rzeczy, których nie mogę zrozumieć. Wiemy już, że Mikołaj poparzył sobie ręce, kiedy w lochach spadła mu lampa, ale dlaczego ściągał sobie bandaż albo też zdejmował mu je zabójca, chyba że kierowała nim niezdrowa ciekawość...

- Albo chciał coś potwierdzić.
- Potwierdzić?
- Tak, na przykład to, że to Mikołaj był na spotkaniu tamtej nocy i że to on uległ wypadkowi, goniąc intruza.
- Insynuujesz, że ktoś jeszcze tam był?
- Poza moją kuzynką? Wszystko możliwe. Ostatnie dni nauczyły mnie, że przy tym rozwoju wydarzeń nie powinniśmy odrzucać absolutnie niczego.

Richard zdawał się z tym zgadzać i dalej analizował:

- Poza tym ta rana głowy, którą zadano mu przed śmiercią, w przeciwnym razie by nie krwawiła. Czy był to wypadek czy wynik wcześniejszej walki z zabójcą? Czy ktoś najpierw próbował zabić go ciosem, a gdy to się nie udało, sięgnął po pistolet?

Przypomniałem sobie rozbitą butelkę, kawałki szkła ostre jak noże, rozrzucone po podłodze... Miałem wyjaśnienie, które rozwiałoby wątpliwości Richarda. A jednak zdecydowałem się zachować je dla siebie; podzielenie się tą wiedzą zmusiłoby mnie do wmieszania jej w tę ciemną sprawę, do opowiedzenia o strasznym zdarzeniu, którego stała się ofiarą. Skoro ona wolała zataić je przed Richardem, ja nie miałem zamiaru wyjawiać jej intymnych spraw. Jeszcze skręcał mi się żołądek i krew burzyła z wściekłości, gdy wspominałem jego nikczemność i jej cierpienie. Nie, musiałem ją uszanować; taki był mój obowiązek i... pragnienie. Zresztą wiedziałem, że nie ma to znaczenia dla wyjaśnienia zagadki śmierci Mikołaja.

Wbiłem wzrok w Richarda. Stroju muszkietera dopełniał żalosny sztuczny wąsik wyginający się nad ustami w rytm słów, co nadawało mu komicznego wyglądu, ni to żartobliwego, ni to smutnego. Nagle zrozumiałem, że coś mi tu nie pasuje: albo nasza nieprzyjemna rozmowa, albo jego przylepiony wąsik.

– Do cholery, Richardzie! Nie mogę cię brać poważnie z tymi wąsem!

– Och, Karlu, to tylko część przebrania – odparł zawstydzony i uniósł rękę, żeby go zerwać.

Wydawało mi się, że znam Richarda, lecz czasem zaskakiwały mnie jego reakcje. Był inteligentny, czasem błyskotliwy; rozsądny, miał niesamowitą intuicję i zdolności analityczne, potrafił łączyć dane i podejmować trafną i szybką decyzję; w działaniu okazywał się chłodny i stanowczy. A jednak te wspaniałe cechy mąciła pewna niedojrzałość i chwiejność osobowości, poddawanie się ludziom, którzy chcieli nim manipulować, dotyczyło to przede wszystkim tych, których podziwiał.

– Jakkolwiek było – uciałem, wracając do tematu – jego zabójstwo nie było przypadkowe. Ktoś je zaplanował i dopiął swego.

– A zatem sądzisz, że zabiła go ta sama osoba, która na polowaniu strzelała do Borysa Iljicza?

Teraz w oczy rzucała się zaczerwieniona skóra nad ustami, tam, gdzie wcześniej były wąsy.

– Zajmował miejsce przeznaczone dla Mikołaja.

– Tak... – Ściągnął usta w dziwnym grymasie. – Ale

coś mi tu zupełnie nie pasuje.

Spojrzałem na niego zaintrygowany.

– Borys i Mikołaj nie mają podobnych sylwetek – ciągnął. – Trudno ich pomylić, nawet z daleka. Poza tym człowiek, który zabił Mikołaja, jest dobrym strzelcem. Widać to wyraźnie: strzał padł z dużej odległości i był precyzyjny. Gdyby chciał zabić na polowaniu, nie spudłowałby.

Na te słowa Richarda mogłem zareagować tylko westchnieniem. Tyle hipotez i wątpliwości sprawiało, że czułem się skołowany. Znowu oparłem się o balustradę, wracając do przedstawienia odbywającego się u naszych stóp. Niedźwiedź Mikołaj zbierał wyrazy uznania publiki w formie oklasków i kostek cukru od tresera; zdołał wspiąć się na tylnych łapach na swój stołek w żywych kolorach i przednimi kręcić piłkę. Tymczasem Bałkan, człowiek zionący ogniem, wyrzucił z siebie długi płomień w ciemną noc; przypominał chińskiego smoka z okropną zgagą po pikantnym sosie. Powietrze napełniło się słodkawym zapachem, który dotarł do moich nozdrzy. Z grymasem niezadowolenia znowu zwróciłem się do Richarda:

– No właśnie, to ty uświadomiłeś mojej kuzynce tę zamianę miejsc i to, że strzał mógł nie być przypadkowy?

Wyglądało na to, że pytanie go zaskoczyło.

– No cóż. Tak naprawdę to ona zwróciła mi na to uwagę. Potem zaczęliśmy rozmawiać na ten temat i... sam nie wiem. Nie bardzo pamiętam. Na pewno nie

wprost, ale mogła to wywnioskować.

– No tak.

– Ciągłe jej nie ufasz? Nie rozumiem, dlaczego jej tak nie lubisz.

Słowa Richarda sprawiły, że się zastanowiłem. Jednak czując, że musiałbym się zapuścić na niebezpieczny teren uczuć, których wolałem nie analizować, a już na pewno nie przy Richardzie, odłożyłem tę wycieczkę w świat emocji.

– Jest dziwna.

Richard nie nalegał.

– Więc co? Działamy zgodnie z planem? – zapytał.

– Tak. I to tej nocy. Wydarzenia nabierają rozpędu, nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu.

– Co z nią zrobimy? Nie możemy dopuścić, żeby się pojawiła na kolejnym zebraniu.

– Nie martw się. Już się zająłem... tą niedogodnością.

Pamiętam, ukochany, że wróciłam do pokoju zmęczona. Przyjęcie nie zdołało podnieść mnie na duchu, wręcz przeciwnie: urosło do rangi bolesnego symbolu, nie wiedziałam jeszcze – hipokryzji czy głupoty, ale w każdym razie było przykrym dysonansem, jak rozstrojony instrument w orkiestrze, który zaczyna nagle grać marsz pogrzebowy.

Zaspana i zmartwiona nie dostrzegłam kartki na podłodze, dopóki nie usłyszałam szelestu pod stopami, gdy wdeptywałam ją w dywan. Schyliłam się po nią.

PROSZĘ NIE SCHODZIĆ DO LOCHÓW.
PANI ŻYCIE JEST
W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

Wiadomość była po hiszpańsku, z liter powycinanych z gazety, w najczystszy powieściowym stylu. Ta groźba była zwięzłym rozkazem, bez owijania w bawełnę.

Z westchnieniem, powłócząc nogami, udałam się do toaletki i opadłam na krzesło. Pieczołowicie złożyłam kartkę, schowałam w szufladzie, wsparłam się łokciami na stoliku i ukryłam twarz w dłoniach.

Mikołaj przysyłał mi wiadomość ze świata umarłych. Ktoś jeszcze znał nasz sekret...

Położyłam się do łóżka, wcale nie mając ochoty na sen, powodowana jedynie rutyną. Zmęczenie sprawiło, że pogrążyłam się w półśnie, w którym rzeczywistość ciemnego pokoju mieszała się z fantazją chaotycznych, przytłaczających koszmarów. Czasem noc była lodowata, a czasem stawała się gorąca i duszna. Trzęsłam się i pociałam, nogi zaplątywały mi się w pościel, która unieruchamiała mnie jak długie i silne ramiona i rozdzierająco trzeszczała pod wpływem mych konwulsyjnych ruchów. Wydawało mi się, że widzę szereg zamaskowanych mężczyzn wchodzących do pokoju i otaczających łóżko. Grobowymi głosami intonowali pogrzebową pieśń; dziwny język i przeszywające dreszczem tony. Wydawało mi się, że zobaczyłam niemal przezroczyste oczy Mikołaja, błyszczące jak u szczura w podziemiach. Czułam, jak jego

zimne ręce przebiegają po moim ciele i rozpalony do czerwoności pogrzebacz pali mi skórę. W jego skroni otwierała się dymiąca, krwawiąca dziura po kuli, jak czarna studnia. I śmiał się... złośliwie, ukazując rząd białych zębów. Szepcząc moje imię, gonił za mną po korytarzach lochów Brunstriechu, które coraz bardziej się zwężały, aż uwięziły mnie w swoich galaretowatych ścianach. Na ziemi setki poćwiartowanych ciał utrudniały mi ucieczkę. Oto, co robili z ciekawskimi; co wcześniej zrobili z innymi.

Kim jesteście? Kto się skrywa pod maskami? Płaczę mi za to, żebym się dowiedziała. Moje życie ma tylko taką cenę... Stawką jest moje życie. Doskonale o tym wiem. Wiedziałam od samego początku. A teraz jest za późno.

Obudziłam się zrana potem. Byłam tak wzburzona koszmarnymi wizjami, że nie mogłam znieść ciemności, więc zapaliłam lampę, żeby przegonić zjawy. Powrót do rzeczywistości wcale mnie nie uspokoił. Wyskoczyłam z pościeli, jakbym uciekała z łóżka madejowego, i udałam się do łazienki. Odkręciłam kran nad wanną, który zapiszczał boleściwie. Rury także wyraziły swoją niechęć, zanim wypluły wodę. Pozwoliłam jej płynąć, zahipnotyzowana jej strumieniem, nie bardzo wiedząc, ku czemu skierować swoje myśli. W końcu zanurzyłam ręce i ochlapałam sobie na twarz. Woda była zimna aż do bólu, ale przyniosła ulgę.

Gdy się wycierałam, ciesząc się szorstkim dotykiem ręcznika na skórze, wydało mi się, że słyszę głuchy

odgłos, jakby trzaśnięcie drzwiami. Wyszłam z łazienki z ręcznikiem w ręku. Podeszłam do drzwi, nadstawiając uszu, ale po drugiej stronie słyszałam tylko ciszę. Kiedy już miałam odejść, usłyszałam szybkie kroki, ktoś biegł korytarzem, potem znowu jakby trzaśnięcie drzwiami, a może zamykanie okna i brzęk szyb; znowu zapadła cisza, później rozległo się niepewne kilkakrotne kliknięcie klamki i zaraz potem szmer rozmowy. Lekko nacisnęłam klamkę i uchyliłam drzwi, żeby ostrożnie wyjrzeć z pokoju. Dwóch mężczyzn odwróciło się w głębi korytarza. Jednym z nich był marszałek Combel, prawie członek rodziny, połączony z wami przyjaźnią trwającą od dzieciństwa waszego ojca. Jako człowiek starej daty był groteskowo odziany w długą koszulę nocną i szlafmycę z kutasikiem. Był też uzbrojony w myśliwską strzelbę. Mrużył oczy, starając się mnie rozpoznać bez okularów, więc sprawiał wrażenie, jakby węszył, poruszając pruskimi wąsiskami, niczym królik wypłoszony z nory. Drugim mężczyzną byłeś ty. Dwa susy wystarczyły, żebyś znalazł się pod moimi drzwiami.

– Nic ci nie jest?

W twoim głosie słysząc było wzburzenie.

– Nie. Usłyszałam hałasy, więc...

– Ty też to słyszałaś? Ktoś się kręci po domu.

– Może jakiś spóźniony gość – zauważyłam.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto za dużo wypije i zaśnie w zapomnianym kącie sali balowej.

– Nie. Bal dawno się skończył. Służba już posprzątała

i udała się na spoczynek.

– *Voleurs! Délinquants!* – wykrzykiwał marszałek Combel, energicznie kiwając głową, chociaż hiszpańskiego nie rozumiał ni w ząb.

Spojrzałam w obie strony korytarza, jakbym oczekiwała, że zamknięte drzwi nagle zaczną się otwierać, i ukążą się w nich goście tak samo podenerwowani jak ja. Ale tak się nie stało. Zrozumiałam, że głęboki sen, spowodowany nadmiarem szampana lub tabletkami, oraz wstyd przed pojawieniem się w papilotach albo z maseczką na twarzy sprawia, że nikt oprócz nas raczej nie wyściubi nosa na korytarz.

– Rozejrzę się. Dopóki będą tu złodzieje, nie zaznam spokoju.

Nie mając nic do powiedzenia, kiwnęłam tylko głową, jak marszałek Combel, który dopiero gdy zobaczył, że kierujesz się w stronę schodów, zrozumiał twoje zamiary i postanowił do ciebie dołączyć.

– *Oui, oui, allons. J'emporte mon fusil à tout hasard...* – obwieścił, idąc za tobą po schodach.

Zostałam na progu pokoju, czekając na wasz powrót, i niemal zaraz po waszym odejściu drzwi naprzeciwno ostrożnie się otworzyły, a zza nich z wahaniem wychyliła się pulchna postać baronowej von Wacher we flanelowym szlafroku, bardzo mało arystokratycznym, ale otulającym ją w sposób godny pozazdrosczenia. Przypuszczam, że ten szlafrok świadczył o jej pochodzeniu, bo mawiano, że jest siódmą córką jakichś chłopów z Cloppenbuga, którą

baron uwiódł w kurniku, kiedy zajmowała się swoimi obowiązkami. Miała też czepek z falbankami, spod którego wystawały dwa warkoczyki, i tak jak przewidywałam, twarz grubo wymazaną białym kremem.

– Skąd to całe zamieszanie? Czy coś się stało?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie jestem pewna. Było słychać dziwne hałasy.

– Tak, ja też słyszałam. Czytałam. Jak nie mogę spać, to czytam. Zazwyczaj coś bardzo nudnego, żeby się przekonać, czy Morfeusz się zlituje... Nie lubię środków nasennych. Leki nie są dobre, o nie.

– Tak – zgodziłam się; nie miałam wiele do dodania do jej komentarza. – Poszli sprawdzić.

– Baron śpi – zauważyła ona, jakby chciała usprawiedliwić jego nieobecność na niebezpiecznej wyprawie. – Ma bardzo twardy sen, wie pani?

Przez chwilę pomyślałam, jak absurdalna musi być taka rozmowa o tak niezwykłej porze, w korytarzu, pomiędzy dwiema osobami, które ledwie się znają. Wtedy, jakby wysłuchując niemej prośby, żeby nie przedłużać tej sytuacji bardziej, niż to konieczne, na dole rozległ się brzęk tłuczonego szkła. A zaraz potem rozbrzmiały niewyraźne okrzyki w archaicznym francuszczyźnie marszałka Combela. Baronowa von Wacher, przeczuwając niebezpieczeństwo, pośpiesznie zatrzasnęła drzwi, skrywając się bezpiecznie w swoim pokoju, ja zaś pognałam w dół po schodach, z bosymi stopami i w nieprzyzwoicie rozchełstanym dezabilu.

Parter zamku był ciemny i pusty. W oddali po lewej dostrzegłam światło – to stamtąd dochodziły głosy. Scena wyglądała groteskowo: siedziałś na podłodze, oparty o ścianę, z głową zalaną krwią, wśród szczątków chińskiej wazy z czasów jakiejś szacownej dynastii, z pewnością bardzo cennej; obok marszałek Combel, ciągle ściskający w rękach strzelbę, trzymał w prawej dłoni kawałek wazy, a jego spojrzenie wędrowało od twojej głowy do skorupy – pewnie się zastanawiał, czego bardziej żałować: zniszczonego antyku czy zranionego szlachetnego czoła.

– Wielki Boże! Co się stało? – Przyklęłam obok ciebie, gotowa służyć pomocą.

Bezskutecznie starałś się zatamować rękami krwawienie, lecz zebrałś dość sił, żeby odpowiedzieć mi słabym, łamiącym się głosem:

– Ktoś mnie walnął w głowę wazą, kiedy wychodziłem z za rogu. Pewnie czekał na nas... Zniknął jak cień.

– *Il s'est échappé par là! Je l'ai vu courir et il a disparu comme un fantôme!* – Marszałek przedstawił swoją wersję wydarzeń, pokazując że jest w tej chwili bardziej ożywiony niż ty.

Obejrzałam twoje czoło i pod lepłą warstwą krwi dostrzegłam dość głębokie rozcięcie. Tymczasem pojawił się majordomus zaalarmowany zamieszaniem. Mimo że miał na sobie nocną koszulę oraz był nieco rozczochrany, nie stracił nic ze swej surowości i godności. Wymieniliście kilka zdań po niemiecku, z których

wywnioskowałam, że został wysłany po zamkowego strażnika.

– Odprowadzę cię do pokoju – zaproponowałam. – Trzeba opatrzyć tę ranę. Niech mi pan pomoże go podnieść, proszę.

– Sam mogę wstać.

Nie chciałam ci się przeciwstawiać. Jak się spodziewałam, sam się poddałeś, po tym jak się zatoczyłeś na skutek zawrotów głowy.

Marszałek Combel wziął cię pod jedno ramię, ja pod drugie i razem pomogliśmy ci pokonać schody. Na górze zaprowadziliśmy cię do twojego pokoju. Gdy szliśmy korytarzem, znowu odemknęły się drzwi baronowej von Wacher. Kiedy ujrzała pikantną scenę, niezdrowa ciekawość kazała jej zapomnieć o wstydzie i o różowym flanelowym szlafroku; baronowa, opuściwszy bezpieczną twierdzę swojego pokoju, dołączyła do naszej grupki, wzywając cały niebieski panteon i wypytyując, co też się przytrafiło jego wysokości.

– Proszę się nie martwić. To tylko niewielki wypadek, książę się potknął – skłamałam ciekawskiej kobiecie, która kątem oka z niepokojem łypała na strzelbę marszałka, zapewne zadając sobie pytanie, czy powaga zdarzenia nie wymaga przerwania snu baronowi. – Wystarczy trochę jodyny i opatrunek.

Gdy leżałeś już wygodnie na kanapie w swojej przestronnej komnacie, wypchnęłam za drzwi oboje staruszków razem z ich nieustającym potokiem słów.

– Lepiej będzie, jak wrócimy do swoich pokoi i pozwolimy jego wysokości odpocząć. Dobranoc państwu.

Wszelki opór zdławiłam trzaśnięciem drzwi niezbyt mocnym, lecz zdecydowanym, a jeśli nawet naszły mnie obawy, że na korytarzu rozpęta się plotkarska burza, to trwało to jedynie chwilę – gdy tylko baronowa przypomniała sobie o swoim niefortunnym szlafroku, to jako dama tak wielkiego (rzekomo) rodu i wyższych cnót poczuła się jakby naga w obliczu marszałka, więc czym prędzej wróciła do swojego pokoju.

Z ulgą przyjąłam ciszę. Oparłam się plecami o zamknięte drzwi i westchnęłam.

– Pozbyłaś się ich bez skrępowań – wyszeptałeś z drugiego końca pokoju, jakbyś chciał mi przypomnieć o swojej obecności.

– Pewnie zgodzisz się ze mną, że ostatecznie, czego teraz potrzebujesz, to dwoje starych plotkarzy ciosających ci kołki na głowie, do tego po francusku.

– Zgadzałam się w całej rozciągłości.

– Opatrzę ci ranę i sama też pójdę, żebyś mógł odpocząć. Na dzisiaj dosyć zabawy.

– No to już się nie zgodzę – odpowiedziałeś. Mimo oszołomienia nie przestawałeś mnie uwodzić swoimi zielonymi oczami. – Teraz, skoro mam cię już na swoim terytorium, nie pozwolę ci tak po prostu odejść.

Chciałam pominąć milczeniem ten twój niepoprawny, lecz bardzo przyjemny sposób bycia, żeby skupić się na oglądaniu rany. Na wszelki wypadek zapięłam się, zanim

do ciebie podeszłam.

– Nie wygląda to najlepiej – zawyrokowałam. Rana wydawała się głęboka i nie przestawała krwawić. Bez wątplenia wymagała szycia. – Trzeba wezwać lekarza.

– Daj spokój, jestem pewien, że Fritz już się tym zajmuje – zapewniłeś. – Najgorsze jednak jest to, że o tej porze w Nowy Rok można liczyć jedynie na lekarza z miasteczka, który bardziej nadawałby się na weterynarza i pewnie w dodatku jest pijany. Włosy stają mi dęba na samą myśl o tym, że miałyby mnie dotykać...

Delikatne stukanie w drzwi przerwało twoją diatrybę.

– Proszę!

W jednej chwili pojawił się Fritz, nadal w koszuli nocnej. Za nim przyszedł dowódca straży zamkowej, dla odmiany nienagannie ubrany w operetkowy mundur, nieco groteskowy strój, który wasza matka uparcie zachowywała jako sentymentalną pamiątkę po czasach świetności książęcego domu, choć teraz był zaledwie własnym cieniem. Po stuknięciu obcasami i salucie, który w zamierzeniu miał być wojskowy, z szacunkiem wymienił z tobą kilka zdań po niemiecku.

Straż nie zauważyła niczego podejrzanego, co mogłoby zburzyć nocny spokój. Według niej nikt nie wchodził ani nie wychodził z zamku. Niemniej wysłano patrol, który miał przeczesać okolicę, oraz podwojono strażę. Majordomus zaś, tak jak przewidywałeś, pozwolił sobie wezwać lekarza z miasteczka i poinformował, że wszystko zostało już posprzątane, że może obudzić

pokojówkę jego wysokości i że będzie do dyspozycji, na wypadek gdyby czegoś było trzeba. Wyjaśniwszy, że nie ma powodu, by budzić pokojówkę, jego wysokość pozwolił im odejść, co oni uczynili z ogromnym szacunkiem.

– Nie mówiłem? – zwróciłeś się do mnie, kiedy znikli za drzwiami. – Fritz posłał po lekarza.

– I dobrze zrobił. Trzeba będzie szyć, a ja tego nie potrafię. Na razie przemyję ci ranę. – I wstałam, żeby udać się do łazienki po wodę i ręczniki.

Mocno chwyciłeś mnie za rękę.

– Zostaniesz ze mną do przyjścia lekarza, prawda?

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się.

– Przypuszczam, że mojej reputacji i tak nic już nie zaszkodzi. Rano przy śniadaniu wszyscy się dowiedzą, że zostałam sam na sam z wielkim księciem w jego komnacie, bezwstydnie ubrana. Teraz, kiedy widziałeś już kolor mojego dezabilu i obejrzałeś sobie moje gołe nogi, nie ma już sensu przestrzegać konwenansów.

Nie byłabym taka pewna, że przy śniadaniu będę na ustach wszystkich, gdybym przewidziała, że moja osobista odwaga okaże się ostatnim tematem do rozmów. Wtedy jednak nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak okropne wydarzenie przyćmi tę przygodę.

Ty zaś wydawałeś się rozbawiony moim humorystycznym podejściem do sytuacji.

– Żał mi tylko, że nie jestem w pełni sił w obliczu tak kuszącej okazji – oznajmiłeś.

Widząc cię rozpartego na kanapie, z zaplamioną krwią rozpiętą białą koszulą odsłaniającą silny tors, ze skrzącym spojrzeniem – mimo rany, którą odniosłeś, okazując tak wielką odwagę – ja także tego pożałowałam, choć zmusiłam się do okazania chłodu.

– Nie bądź bezczelny. Jeśli mnie obrazisz, będę musiała sobie pójść – zagroziłam, umykając twoim rękami, aby ukryć własne pragnienia za drzwiami łazienki.

Miałam ochotę złagodzić żar zimnym prysznicem, ale porzuciłam tę myśl na rzecz pielęgniarских zabiegów. Szybko wróciłam do pokoju z niezbędnymi rzeczami. Przywołując ducha Florence Nightingale, stanęłam nad tobą i zdecydowanie zaczęłam zmywać krew, delikatnie przykładając do skóry zamoczone w ciepłej wodzie ręczniki. Nie protestowałeś już, oparty na poduszkach.

– Boli?

– Boli mnie to, że jesteś tak blisko – wyszeptałeś z prawdziwym cierpieniem w głosie, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

Ja niewzruszenie kontynuowałam swoje zabiegi.

– Zachowaj tę galanterię na salę balową. Ja o to nie dbam, a w twoim stanie w ogóle nie ma o czym mówić.

– Jesteś bezwzględna wobec rannego.

– Staram się bronić. Teraz będzie szczypało – przestrzegłam go i wylałam na ranę kilka kropel spirytusu.

Zadrzałeś i wydałeś dźwięk, który miał być lamentem. Podmuchałam trochę na ranę, po czym spojrzałam ci w oczy, którym nie potrafiłam się oprzeć.

– Boli mnie głowa. – Poddałeś się w końcu.

– Tak przypuszczam. A zatem nie zmuszaj jej do wymyślania przemyślnych uwodzicielskich conceptów, a jak się będziesz dobrze zachowywał, to przyniosę ci środek przeciwbólowy. Trzymaj – powiedziałam, unosząc ci rękę do rącznika przytkniętego do rany, z której krew ciągle nie przestawała płynąć. – Pójdę do siebie po aspirynę. Uśmierzy ból.

– Aspiryna?

– Twoje wątpliwości świadczą o tym, że rzadko coś cię boli.

– Widzisz, że jestem zdrowy i silny jak tur. Kiedy chorowałem jako dziecko, matka dawała mi kwas salicylowy.

– To coś podobnego, ale lepiej smakuje i nie zaszkodzi twojemu żołądkowi.

– W takim razie wracaj szybko.

Korytarz był pogrążony w półmroku i panował na nim spokój właściwy tak wczesnej porze. Mój pokój znajdował się ledwie cztery czy pięć drzwi od twojego, zaraz za narożnikiem. Szybko znalazłam aspirynę pośród tych niewielu lekarstw, które zwykłam ze sobą wozić, raczej na wszelki wypadek niż z potrzeby. Miałam słoiczek proszku i pudełko tabletek. Wzięłam tabletki, bo łatwiej było dobrać odpowiednią dawkę. Wykorzystałam sytuację, żeby włożyć pantofle, bo zaczynało mi być zimno w stopy. Bezszelestnie opuściłam pokój, żeby po tak niespokojnej nocy nie alarmować podejrzliwych uszu.

Wtedy nagle za plecami, zaraz po minięciu narożnika, usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi. Było tak ciche i delikatne, że ktokolwiek je otwierał, starał się, tak jak ja, pozostać niezauważony. Lecz w ciszy nawet najlżejszy dźwięk brzmiał hałaśliwie. Ostrożnie się wychyliłam: jakiś cień przeszedł przez drzwi na końcu korytarza i zamknawszy je za sobą, ukradkiem ruszył w stronę schodów. Mimo że starałam się go rozpoznać, światło było tak słabe, a jego ruchy tak szybkie, że nie byłam w stanie dostrzec twarzy. Kiedy duch dotarł do pierwszego stopnia, a ja zaczynałam się godzić z myślą, że nie dowiem się, kto przedsięwzięje tę eskapadę, coś, może poczucie, że jest obserwowany, sprawiło, że odwrócił głowę i na jego twarz padło słabe, białawe światło księżyca mżące przez okno na końcu korytarza; ledwie poblask wywołujący jedynie zamazane cienie, a jednak wystarczający, żebym rozpoznała Karla, twojego brata. Znieruchomiał na kilka sekund, zaniepokojony, a ja w tej chwili wstrzymałam oddech, żeby mnie nie odkrył. W końcu ruszył w górę schodów.

Zatem to nie koniec niespodzianek! Co tu robił Karel, kiedy wszystko, jak się zdawało, wróciło już do normy? Ścigał kogoś, tak jak ty, czy może sam był ścigany? Nie wiedziałam, kto zajmuje pokój, który on opuścił w takiej tajemnicy, ale przypuszczałam, że to sprawy alkowy. Zanim różowawe światło brzasku zacznie pieścić ciało kochanki, porzucal jej łoże, z duszą i ciałem nasyconymi rozkoszą – przypomniałam sobie wiersze miłosne i kpiąco

zacytowałam je w duchu, bo byłam niemal pewna, że pokój Nadii znajduje się w innej części zamku.

W końcu dotarłam do twojego pokoju. Gdy podeszłam do ciebie na palcach, okazało się, że zasnąłeś. Zatrzymałam się, żeby na ciebie popatrzeć. Nigdy nie widziałam bardziej atrakcyjnego mężczyzny. Miałeś tego rodzaju idealną urodę, która powinna być zarezerwowana wyłącznie dla kobiet, wszak piękność nie jest męską cnotą, mężczyznom wystarczy, że są proporcjonalni, bez wyraźnych defektów, a także dobrze zbudowani. Ponieważ więc piękno jest uważane za cechę typowo kobiecą, nikt nie oczekuje od mężczyzny, żeby jego rysy zachowywały niemal architektoniczną symetrię, żeby gesty były harmonijne niczym dobrze skomponowana melodia albo żeby wszystko razem cechowała tajemnica, która czyni dzieło sztuki nieśmiertelnym. Ale ty byłeś właśnie taki. Nawet siniaki i bladość nie odbierały ci tej atrakcyjności. Byłeś mężczyzną, w którym nie sposób nie zakochać się od pierwszego wejrzenia. Jednak niebezpieczeństwo kryło się w tym, że po tym pierwszym upojnym wrażeniu niewinna rana zadana strzałą Kupidyna mogła zacząć się jątrzyć i stać nieuleczalna. Poznanie ciebie było przekleństwem dla takiej kobiety jak ja, którą koleje losu doprowadziły do świadomego odrzucenia miłości i która uważała, że ulotna romantyczna miłość wynosi duszę do nieba tylko po to, żeby potem pozwolić jej spaść – najpierw szczyty irracjonalnej namiętności, później bolesne poczucie zależności i bezbronności.

Doszłam do przekonania, że romantyczne uczucie jest egoistycznym oszustwem. W dodatku uzależnia i działa jak narkotyk: tworzy iluzję szczęścia, lecz na dłuższą metę prowadzi do śmierci duszy. Najmniejsze poruszenie serca świadomie zamkniętego wywołuje w człowieku strach i odruch obronny, a zarazem poczucie konieczności odpierania pokusy: czegoś takiego doświadcza człowiek uzależniony od narkotyków wobec perspektywy narkotyku rozkosznie krążącego w żyłach, lecz zatrującego mózg. A jednak odrzucenie mężczyzny takiego jak ty równało się samounicestwieniu... o czym doskonale wiedziałam.

Kiedy snułam takie refleksje, moje ciało działało jakby powodowane własną mądrością: pochyliłam się, żeby pocałować cię w czoło, w nadziei, że będzie to impuls czysto erotyczny, a nie objaw czułości.

Uniosłeś powieki, spojrzawsz na mnie i uśmiechnąłeś się.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie przyszedł mi do głowy lepszy sposób, żeby cię obudzić.

– A ja bym powiedział, że to dlatego, że się we mnie zakochałaś – odrzekłeś z próżnością, która u każdego innego mężczyzny byłaby godna politowania.

Wydało mi się, że podsłuchiwałaś moje myśli, przez chwilę nawet byłam skłonna przypuszczać, że wypowiedziałam je na głos. Zmroziło mnie.

– Gdybyś mnie nie kochała – ciągnąłeś –

pocałowałaś mnie w usta, jak Richarda Windfielda.

Mój niepokój się nasilił. To prawda, całowałam tylko mężczyzn, o których wiedziałam z całą pewnością, że nie mogę się w nich zakochać. Ale ty nie mogłeś o tym wiedzieć, nie powinieneś.

Odwróciłam się i zdenerwowana wyciągnęłam tabletkę aspiryny. Musiałam odzyskać panowanie nad sobą i nad sytuacją, która stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

– Przestań opowiadać bzdury. Ten cios w głowę ci zaszkodził – podsumowałam, nie patrząc na ciebie i nalewając wody do szklanki. – Teraz to zażyj i odpocznij. Lekarz pewnie zaraz tu będzie.

Twoje oczy wbiły mi się w pierś niczym zatruta strzała.

– Co takiego jest w twojej twarzy, że nie mogę przestać na nią patrzeć? Że nie jestem w stanie zamknąć oczu nawet po to, żeby zasnąć? Dlaczego wpadam w zachwyty, gdy ukradkiem zerkam na ciebie, kiedy nie patrzysz? Co to za słodka trucizna?

Jakże mnie przestraszyły twoje słowa, ukochany! Jakże mnie poruszyły, jakbyś pogładził mnie po plecach lodowatymi rękami! O mały włos upuściłabym szklankę. A w twoim głosie nie było nawet cienia frywolności ani zwykłej ironii, twoje słowa były przepełnione rozpaczą i smutkiem człowieka, który wie, że padł ofiarą przekleństwa.

Fortuna chciała, żeby te pytania zawisły w powietrzu.

Ewentualną odpowiedź uniemożliwił nagły hałas – cud, który powstrzymał mnie przed gestem i słowami, których później mogłam żałować. Przenikliwy dźwięk, który przeszył powietrze, rozbrzmiewając echem w całym zamku, był niewątpliwie strzałem z broni palnej. Huk wstrząsnął moim ciałem, sprawił, że zacisnęłam powieki i wtuliłam głowę w ramiona, a nerwy miałam napięte do granic możliwości. Nie zdążyłam zareagować, podczas gdy ty zerwałeś się z kanapy i jak błyskawica wypadłeś z pokoju. Biegając twoim śladem, skręciłam za róg, i wpadłam do pokoju na końcu korytarza. Stałam jak wryta. W obliczu przerażającej sceny z trudem powstrzymałam krzyk.

Na łóżku leżał Borys Iljicz z dziurą w głowie, z której sączyła się strużka krwi, czarna na szarej i obrzękłej twarzy. Palce prawej ręki miał zakrzywione jak krogulcze szpony – wyglądało na to, że leżący na podłodze pistolet wypadł właśnie z nich. Kiedy udało mi się oderwać wzrok od ciała, w które wpatrywałam się jak zahipnotyzowana, odwróciłam się w twoją stronę: stałeś skamieniały obok mnie. Miałeś woskową twarz i wyglądałeś jak transie, z którego wyrwał cię atak mdłości. Uniosłeś ręce do ust i pobiegłeś w stronę łazienki.

Świadoma powagi sytuacji wyostrzyłam zmysły, żeby wychwycić nawet najdrobniejsze szczegóły: pokój doskonale uporządkowany, okno zamknięte, szklanka wody i fiolka Veronalu oraz inne lekarstwa na nocnej szafce, silny zapach prochu, delikatna woń tytoniu i białe

piórko na perskim dywanie. Chciałam podejść i obejrzeć trupa, ale za moimi plecami już się kłębili ludzie. Nawet najsilniejszy środek nasenny ani największe pijaństwo czy wstyd nie zdołałyby zatrzymać ich w pokojach. Panował różnojęzyczny gwar, który wybuchł po dłuższej chwili zaskoczenia.

Dopiero kiedy tłum się rozstał, żeby zrobić miejsce właścicielom domu, reprezentowanym przez księcia Karla (bo wszak ty nie byłeś w stanie nic zrobić), zdałam sobie sprawę, że to właśnie z tego pokoju on wyszedł ukradkiem zaledwie kilka minut wcześniej.

Wyznaję ci, bracie, że jako człowieka o chłodnym umyśle trudno mnie było zaskoczyć, bywałem beznamietnym świadkiem rzeczy, które na innych wywierały silne wrażenie i nimi wstrząsały, a jednak w tamtej chwili jej uroda uderzyła mnie z taką siłą, że zmała mi zmysły. Było to jak śmierć gwiazdy: potężny wybuch, po którym na miliony lat pozostaje chmura pyłu.

Wyszedłem stamtąd, bracie, obsypany gwiazdowym pyłem...

Wszystko się zaczęło, gdy usłyszałem zamieszanie na korytarzu. Doskonale wiedziałem, co zaalarmowało gości i zmusiło ich do opuszczenia pokoi o tak wczesnej porze. Nie wyobrażałem sobie jednak, że odkrycie nastąpi tak szybko: zaledwie kilka minut po moim wyjściu z pokoju Borysa Iljicza, gdy dotarłem do siebie na górne piętro.

Nie miałem nawet czasu, by włożyć piżamę,

narzućm szlafrok na ubranie i wsunąłem kapcie, zanim dołączyłem do ludzi, których odpoczynek został gwałtownie przerwany wystrzałem. Kiedy dotarłem na miejsce, licznie zgromadzeni goście tarasowali wejście, z tłumu zaś wyskakiwały, niczym bąbelki na gotującej się wodzie, okrzyki zdumienia i przerażenia. Przedarłem się przez ciżbę, gotów odkryć – rzekomo – znaną mi już scenę: Borys Iljicz leżący w łóżku, martwy, z dziurą po kuli w głowie.

Gdy tylko znalazłem się w pierwszym rzędzie, natknąłem się na jej podejrzliwe spojrzenie. Może dlatego, że wszystko to widziałem już wcześniej, w tamtej chwili przykuła moją uwagę, z mocą niemal magnetyczną, smukła sylwetka pośrodku tej strasznej scenerii: niczym rosnący na śmietniku kwiat, wspaniale rozkwitły. Miała na sobie lekki biały peniuar, który rozpałił moją wyobraźnię. Czarne rozpuszczone włosy spływały w nieładzie na ramiona, a pozbawiona makijażu twarz prezentowała cały splendor naturalnej urody. Wbijiała we mnie swe niesamowite oczy jak dwa agaty, wyzywająco nie spuszczać wzroku, bez śladu rumieńca. Wyprostowana. Pełna godności. Była boginią... tysiącem bogiń jednocześnie: rzymską Wenus, grecką Afrodytą, egipską Izydą, babilońską Isztar, fenicką Asztarte... hinduską Kali.

Dopiero twoje pojawienie się zdołało oderwać mnie od tej wizji. Wyszedeś z łazienki: blady jak ściana, z wykrzywioną twarzą, zapadniętymi oczami, niemal

ginącymi w głowie, krwawiąca rana przecinała ci czoło. Wyglądałeś naprawdę kiepsko, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział cię w takim stanie. Podchodząc do niej, słaniałeś się na skraju omdlenia. Gdy przyglądałem się, jak bogini znowu staje się śmiertelniczką, żeby podtrzymać cię w ramionach, dziwne uczucie sprawiło, że moje opanowane żądzą ciało zadrżało i postanowiłem zapanować nad sytuacją. Gdy tylko zobaczyłem majordomusa, kazałem mu zadzwonić po policję.

1914

1 stycznia

Pamiętam, ukochany, że po dramatycznej nocy sylwestrowej zamek w Brunstriechu przeżywał swego rodzaju brutalne katharsis, gdy przerażenie, histeria i niepokój przytłoczyły zwyczajowy hedonizm. Jakby w greckiej tragedii, tragiczna śmierć Borysa wywołała całą debatę o fatalnym przeznaczeniu człowieka; o władzy, bohaterstwie, religii i śmierci. Na swój sposób ta dekadencja i próżna społeczność znowu stworzyła własny krąg, tym razem nieszczęść, i przekształciła całe zdarzenie w kolejny akt sztuki.

Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej w zamku aż wrzało. W licznych salach rozlokowały się grupy płaczków i dyskutantów, podczas gdy cały gmach wypełnił się

policją, prokuratorami i innymi przedstawicielami władzy.

– Boże, co za tragedia!

Na kanapie twoja matka zasłaniała twarz dłonią, z której zwieszała się prześlicznie haftowana chustka, i lamentowała otoczona wianuszkiem dam czujących się w obowiązku towarzyszyć jej w straszliwym nieszczęściu.

– W Brunstriechu nigdy nic podobnego się nie wydarzyło! Przynajmniej od czasu, kiedy wielki książę Konstanty ukatrupił żonę, a sam się powiesił w północnej wieży. Ale to przecież było średniowiecze, wiadomo, że wtedy wszyscy byli nieokrzesani i prymitywni – jęczała.

Chórek współczujących duszyczek przytaknął gorliwie. Ja zaś podsunęłam jej filiżankę herbaty, z której niechętnie upiła kilka łyków, po czym wróciła do swojej boleściwej przemowy:

– I co my teraz zrobimy? Z policją kręcącą się po domu... Zamknięci tutaj, jakbyśmy wszyscy byli pospolitymi rabusiami. Co za brak szacunku! Jaki dyshonor! Będę musiała powiedzieć klucznicy, żeby kazała przygotować kucharce więcej posiłków... A ta jest wściekła jak osa, gdy trzeba zmienić menu! Służba nie jest już taka jak kiedyś...

Współczujące damy zgodziły się chórem i to był ich jedyny wkład w ten absurdalny monolog. Jedyne hrabina Maria Tatiana Niewanowicz, babka Nadii, która uznawała się już praktycznie za członka rodziny, odważyła się pójść o krok dalej i skierowała do twojej matki kilka słów pocieszenia, którym towarzyszyło dodające otuchy lekkie

poklepywanie dłoni.

– Nie zadręczaj się, Aleksandro, dzięki Bogu, jesteśmy tu wszyscy, żeby pomóc ci przez to przejść. A w razie potrzeby każę wezwać swoją kucharkę.

– Oczywiście! I ja swoją.

– Oczywiście, że tak! I kilka służących.

– Powiedz tylko jedno słowo, przecież wiesz...

Wykorzystałam tę chwilę egzaltacji, żeby dyskretnie opuścić salonik japoński, w którym rozgrywała się ta wzruszająca scena, przekonana, że z braku własnej służby, którą mogłabym użyć wielkiej księżnej wdowie, nic nie mogę jej ofiarować.

Poranek był niespokojny i ciągnął się w nieskończoność. Przy całej tej wrzawie nie sposób było wrócić do łóżka, więc zaczynałam czuć zmęczenie. Postanowiłam pójść do pokoju i chwilę odpocząć. Później chciałam odwiedzić ciebie, bo byłeś w znacznie gorszym stanie niż ja: twój żołądek nie wytrzymał, jak to u osoby, która po raz pierwszy widzi miejsce zbrodni, miałeś trochę mniej krwi w żyłach oraz osiem szwów na czole cudem założonych przez lekarza z miasteczka, starającego się złagodzić gigantycznego kaca za pomocą kilku szklanic piwa.

Na pierwszym piętrze krzątała się policja. Gdy znalazłam się w wejściu do korytarza prowadzącego do mojego pokoju, zatrzymałam się na chwilę, z ciekawością obserwując tę niespotykaną scenę. Kilku policjantów kręciło się pomiędzy korytarzem i pokojem Borysa

Iljicza; zdejmowali odciski palców, oglądali różne przedmioty, sprawdzali wejścia i wyjścia z korytarza, zdawali się zbierać paprochy z podłogi... Niczym mrówki robotnice pracowicie skupiali się na kolejnych centymetrach kwadratowych powierzchni, zaaferowani, niebaczni na nic poza swoimi obowiązkami.

Stałam tam zaledwie przez kilka minut, kiedy z pokoju Borysa Iljicza wyszły trzy osoby, rozmawiające w bardzo poufny sposób: inspektor policji Franke w towarzystwie Richarda Windfielda i twojego brata, ci dwaj byli nierozłączni, zupełnie jak komiczny duet z wodewilu. Zauważywszy mnie, Karel łypnął na mnie kątem oka, nie przerywając rozmowy. Dla odmiany Richard, ledwie mnie spostrzegł, pozdrowił mnie i odłączył się od pozostałych, żeby do mnie podejść.

– Jak tam śledztwo?

– Cóż... robią swoje – odrzekł powściągliwie.

– Jeszcze nic nie ustalili?

Richard wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że czuje się nieswojo, rozmawiając o sprawie.

– Zdaje się, że mógł popełnić samobójstwo... Na broni są tylko jego odciski palców, nie ma śladów walki, okna były zamknięte, przez drzwi nikt nie mógł uciec, no i jest list pożegnalny.

– List pożegnalny? – powtórzyłam zaskoczona. – Nie zauważyłam go...

Richard podrapał się po głowie, okazując niejakie zaniepokojenie, i spróbował wybełkotać jakieś

wyjaśnienie:

– No... oni go mają. Może nie za dobrze się pani przyjrzała. W takim szoku i... rozumie pani.

Odniosłam wrażenie, że Richard bardzo się stara coś przede mną ukryć. Postanowiłam zarzucić jeszcze jeden haczyk.

– Ale zwróciło moją uwagę, mimo szoku, rozumie pan – ironicznie powtórzyłam jego słowa – białe piórko leżące na podłodze. Oczywiście policji nie umknął ten detal?

– Tak, możliwe... W sumie nic o tym nie wiem. Nie podają zbyt wielu informacji.

– Taaa...

– Właśnie szedłem się napić herbaty, ma pani ochotę?
– Richard przerwał w ten sposób rozmowę, która wydawała się dla niego krępująca.

Wyczułam, że niewiele się dowiem od zamkniętego w sobie i robiącego uniki Richarda Windfielda, a nie miałam ochoty pić z nim herbaty jak dobra przyjaciółka; tak nie mogło być. Richard Windfield był jedyną osobą w całym Brunstriechu, która oprócz tego, że była poruszona śmiercią Borysa Iljicza, czuła się zdradzona przez kobietę, która go całuje, a następnie spędza noc w sypialni wielkiego księcia. Jego bóstwo spadło z piedestału – albo raczej on sam je stracił, zanim mogło uczynić mu jeszcze większą krzywdę.

– Richardzie, ja... – chciałam wyjaśnić to, czego on i tak wcale nie pragnął zrozumieć.

– Nie, w porządku. Może kiedy indziej.

Richard odszedł, chłodny i uprzejmy, jakbym była daleką znajomą przypadkiem spotkaną w korytarzu. Patrzyłam, jak się oddalała, żałując, że czasem mężczyźni bardzo się starają, żeby miłością zniszczyć piękną przyjaźń.

Zanim poszłam w swoją stronę, rzuciłam okiem na Karla i inspektora Frankego. Dalej byli pochłonięci rozmową. Może policjant dyskretnie i ostrożnie udzielał Karlowi jakichś wyjaśnień, ale równie dobrze mogli spiskować, bo coś w ich zachowaniu kazało mi pomyśleć, że widzą się nie po raz pierwszy.

W wyglądzie inspektora Heinricha Frankego, szefa policji, nic nie rzucało się w oczy: pięćdziesięciolatek, dość niskiego wzrostu i zwalistej postury, o małych, ale bystrych oczach, którym pewnie nie umykał żaden szczegół, oraz ustach lekko przysłoniętych cienkim wąsem. W ustach zaś, niczym przedłużenie własnego ciała, trzymał cygaro (dla niego luksus, z którego nieczęsto mógł korzystać). Nic szczególnego, poza jednym detalem, na który ty natychmiast wskazałeś: nazbyt ciemna skóra i włosy (albo ich resztki, bo miał ich niewiele tylko nad uszami) czarne jak smoła. Później mi powiedziałaś, że te cechy były powodem spekulacji na temat jego cygańskiego pochodzenia, które – choć nigdy nie zostało dowiedzione – oznaczało dla niego przeszkodę w karierze zawodowej i w codziennej pracy starał się on zawsze dowieść swej wartości. Ja ze swej strony doszłam

do wniosku, że jest samotny. Wystarczyło spojrzeć na jego ubranie: nie tylko odbiegało od regulaminowego munduru i wspaniałych, szytych na miarę garniturów arystokratycznych mieszkańców Brunstriechu, ale także wydawało się nieco zaniedbane i wyświechtane, co dowodziło, że inspektor Franke nie ma kochającej kobiety, która byłaby gotowa przyszyć mu obluzowany guzik kamizelki albo wyprać i nakrochmalić pognieciony i poczerniały kołnierzyk koszuli.

Po południu inspektor przyszedł do mnie z rozkazem skrytym pod pełną szacunku prośbą – miano mnie przesłuchać w charakterze świadka. Poprowadził mnie do zbrojowni, gdzie zaimprovizowano kwaterę policji, poprosił, żebym usiadła w wygodnym fotelu, i rozpoczął to, co na pierwszy rzut oka wydawało się dla niego działaniem rutynowym.

– Proszę notować, sierżancie – nakazał młodemu policjantowi, który nam towarzyszył i walczył ze sobą, czy skupić spojrzenie na notesie czy na kształtach, których domyślał się pod moją sukienką. – Dobrze, czy mogłaby pani mi opowiedzieć o zdarzeniach poprzedniej nocy?

– Oczywiście. Po przyjęciu wróciłam do pokoju i nagle w środku nocy...

– Przepraszam – przerwał mi – czy mogłaby pani nieco precyzyjniej określić godzinę?

– Chyba tak. Położyłam się do łóżka między drugą a drugą trzydzieści, a około wpół do piątej albo piątej

usłyszałam hałasy.

– Jakiego typu hałasy?

– Odgłosy uderzeń i bieganie po korytarzach. Jakby trzaskały drzwi albo spadały ciężkie przedmioty.

– Dobrze, proszę kontynuować.

– Uchyliłam drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zastałam na korytarzu jego wysokość wielkiego księcia i marszałka Combela. Oni także usłyszeli hałasy i w obawie przed złodziejami chcieli to sprawdzić.

– Dlaczego nie powiadomili straży zamkowej?

– Nie wiem. Może oni będą w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

Gestem nakazał mi mówić dalej.

– Zeszli niżej i po jakichś pięciu czy dziesięciu minutach znowu usłyszałam hałas... No, wcześniej z pokoju wyszła baronowa von Wacher, także zaalarmowana. Zbiegłam na dół i zastałam księcia Larsa pod drzwiami zbrojowni z rozbitą głową. Dostał w głowę wazą, wszędzie wałały się odłamki.

– Czy widziała pani kogoś?

– Nie, nikogo, pewnie uciekł w drugą stronę.

– Dobrze, proszę mówić dalej.

– Po chwili zjawił się majordomus i jego wysokość wysłał go po dowódcę straży. Następnie odprowadziliśmy wielkiego księcia do jego pokoju, żeby go opatrzyć.

– Pani i marszałek?

– Tak. Później marszałek sobie poszedł, a ja zostałam, żeby zająć się jego wysokością, nim przyjedzie

lekarz. Po krótkim czasie usłyszeliśmy strzał.

– Pamięta pani dokładną godzinę?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Około wpół do szóstej, najpóźniej o szóstej. Aha, na chwilę przedtem musiałam pójść do swojego pokoju po środek uśmierzający ból. Na korytarzu zobaczyłam księcia Karla wychodzącego z pokoju pana Iljicza.

– Jest pani absolutnie pewna, że to był ten pokój i ta osoba?

– Absolutnie.

– Skoro jednak to było przed wystrzałem, on nie mógł strzelać.

– Nie mówiłam, że to zrobił, tylko, że widziałam, jak wychodzi z pokoju.

– Tak. I co się później stało?

– Nic. Wróciłam do pokoju wielkiego księcia i po kilku minutach rozległ się strzał. Kiedy wpadliśmy do pokoju pana Iljicza, odkryliśmy, że został zamordowany – oświadczyłam rozmyślnie, uznając, że nadeszła chwila, by zapanować nad przebiegiem przesłuchania.

Moja uwaga sprowokowała oczekiwaną reakcję. Po raz pierwszy inspektor Franke usłyszał coś, co zburzyło jego rutynę.

– Wydaje się pani bardzo przekonana co do tego, że został zamordowany.

– Jestem przekonana. Nie było listu pożegnalnego, za to była otwarta fiolka Veronalu na stoliku przy łóżku. Ktoś, kto zamierza się zabić, nie bierze najpierw pigułki

na sen.

– A jednak ofiara miała w ręku pistolet.

– Nie – zaprzeczyłam stanowczo, jednocześnie się zastanawiając, dlaczego inspektor podaje jako pewnik coś, o czym wie, że nie jest prawdą, jakby chciał mnie wypróbować. – Pistolet leżał na podłodze, jakby wypadł z jego ręki. Każdy mógł go tam położyć.

Inspektor Franke zmierzył mnie wzrokiem z niejakim zaniepokojeniem. Najwyraźniej wyrobił sobie zdanie na mój temat, jeszcze zanim zaczął mnie przesłuchiwać, a tymczasem wymyślałam się schematowi, który on dla mnie przewidział. Zaczynałam go intrygować, ale był dobrym policjantem: ostrożnym, powściągliwym, lakonicznym, zawsze zmierzał prosto do celu. Jego praca polegała na zadawaniu pytań, a nie na udzielaniu informacji. Nie dał się zapędzić w moją pułapkę. Przeciwnie, znowu skierował przesłuchanie na swoje tory, a poza tym próbował mnie nastraszyć.

– Kiedy przyszła pani do pokoju Borysa Iljicza, okno było otwarte czy zamknięte?

– Zamknięte.

– Tak jest: zamknięte od środka. Jak zatem pani myśli, czy zabójca mógł uciec i przy tym na panią nie wpaść?

– Tego nie wiem. Rozwiązanie tej zagadki to zadanie policji.

– Oczywiście. Dlatego policja sądzi, że zabójca czy zabójcy nie musieli uciekać. Można by pomyśleć, że

wielki księżę i pani, który rzekomo jako pierwsi odkryliście ciało, oddaliście śmiertelny strzał. Zeznania wszystkich świadków są zgodne co do tego, że kiedy przybyli na miejsce zbrodni, państwo już tam byli.

Przedstawiwszy tę prowokacyjną teorię, inspektor Franke dramatycznie zawiesił głos, żeby sprawdzić moją reakcję. Siedziałam niewzruszona, z wyzywającym spojrzeniem, dając mu do zrozumienia, że nie jestem typem kobiety, którą można łatwo przestraszyć władzą i mosiężną blaszką.

– A jednak – ciągnął – na szczęście dla pani policja znalazła list pożegnalny. W takiej sytuacji na pani miejscu nie upierałbym się przy teorii o morderstwie. Ryzykuje pani, że zwróci się to przeciwko niej.

Tak jak się spodziewałam, uzyskałam oficjalne potwierdzenie tego, co powiedział mi Richard, wraz z zawołowaną groźbą: proszę nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Zadałam sobie pytanie, kogo stara się chronić inspektor Franke; dla kogo jest gotów nie dopełnić swoich policyjnych obowiązków... I dlaczego?

– Dobrze, jeśli nie ma pani nic więcej do dodania, nie ma potrzeby, żebyśmy dłużej panią niepokoiли. Dziękuję pani za pomoc.

Po emocjonującym przesłuchaniu przez inspektora Frankego chciałam odpocząć. Znalazłszy się w zaciszu swojego pokoju nie mogłam przestać zadrećcać się śmiercią Borysa. Pomyślałam, że dobrze by było cię odwiedzić. A oprócz tego, że spełniłabym w ten sposób

religijny nakaz, by chorych nawiedzać, prawda jest taka, że tęskniłam za tobą. Byłam pewna, że twoja beztroska natura uwodziciela przepędzi moje czarne myśli.

– Przeklęty policjant z bożej łaski!

Kiedy po drodze do twojego pokoju wpadłam na inspektora Frankego, domyśliłam się, że chyba nie wybrałam najlepszej chwili, żeby cię wykorzystywać do rozpędzania złych myśli. Policjant niedawno cię przesłuchiwał, o czym świadczyła twoja wściekłość. Stojąc pośrodku gabinetu, głośno złorzeczyłeś przedstawicielowi władzy.

W żadnym razie nie spodziewałam się zastać cię użalającego się nad sobą w łóżku. Mimo to ten wybuch energii mnie zaskoczył.

– Co za głupek, pajac, zuchwała menda... Świnia! Jak on śmie mnie obrażać w moim własnym domu! Wyobrażasz sobie, że on oskarżył mnie, mnie!, że zabiłem tego człowieka... Nie wytrzymam!

Twoje oburzenie jasno wskazywało, że inspektor Franke rzucił pod twoim adresem te same oskarżenia i groźby co wobec mnie. A ty nie przyjąłeś ich z takim spokojem jak ja.

– Spokojnie... – Chciałam do ciebie podejść, ale miotaleś się, niemal nie zwracając uwagi na moją obecność. – Jeśli się nie uspokoisz, nadwerężysz szwy.

– Uspokoić się?! Jak mam się uspokoić po tym, co właśnie usłyszałem?! Ja przecież nawet nie wiem, kim był ten cholerny...!

– Borys Iljicz.

– Może i Borys! Nawet nie wiem, skąd się wziął w moim domu!

Jak to możliwe, że gospodarz nie zna swoich gości?

– Nie zaprosiłeś go?

– Nie – odpowiedział stanowczo, jakby to było oczywiste.

– W takim razie kto to zrobił?

Wzruszyłeś ramionami, okazując nie tylko niewiedzę, ale też obojętność.

– Nie matka. Ona zawsze wysyła mi listę gości, żebym ją przejrzał. Może Karel. A może został dołączony w ostatniej chwili na czyjąś prośbę. Brunstriech zaczyna przypominać bur... lupanar – poprawiłeś się, nim wzburzenie sprawiło, że całkiem zapomniałeś o manierach i wyszukanym języku. – Każdy tu wchodzi i wychodzi, kiedy mu się żywnie podoba.

Ja jednak nie zwróciłam większej uwagi na to językowe potknięcie, bo dostrzegłam rzecz znacznie ważniejszą: Karel zaprosił Borysa Iljicza na święta do Brunstriechu. Dlaczego?

– I oczywiście – ciągnąłeś – w życiu nie zgodziłbym się go przyjąć, gdybym wiedział, że temu staremu grubasowi wpadnie do łba umrzeć pod moim dachem podczas Bożego Narodzenia i wszystko zniszczyć.

Przyjęłam te gorzkie, ironiczne słowa, bynajmniej niewyszukane, bo pragnęłam, żeby odzyskał swe zwykłe poczucie humoru.

– Nie bądź okrutny. To był dobry człowiek.

Nagle się uspokoiłeś. Znieruchomiałeś naprzeciwko mnie i spojrzałeś na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Na pewno był... Może czegoś od ciebie chciał? A może nie zauważyłaś, że wszyscy mężczyźni starają się być dla ciebie dobrzy?

Ten komentarz mi się nie spodobał. Wyglądało to tak, jakbyś z jakichś niewiadomych przyczyn szukał ulgi w oskarżaniu mnie, choć nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego.

– Tak – odparłam sucho. – Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.

Odwróciłam się na pięcie, ale ty natychmiast udaremniłeś moje zamiary.

– Zaczekaj. Nie obraziłaś się, prawda?

Zwlekałam z odpowiedzią, pokazując ci, że niechętnie ulegam, lecz w końcu odwróciłam się, by na ciebie spojrzeć.

– Nie – odpowiedziałam ze zwieszoną głową. – Nie. Chodzi o to... Jestem po prostu zmęczona – wyznałam, jednocześnie dając do zrozumienia, że czuję się dotknięta.

– Przepraszam, księżniczko. Jestem tak wściekły, że nie wiem, co mówię! I jestem kompletnym idiotą!

W końcu ofiarowałam ci uśmiech i litościwe spojrzenie.

– Wiem.

– Jeszcze ci nie podziękowałam, bo byłaś najlepszą pielęgniarką, jakiej może sobie życzyć mężczyzna.

– Ty dla odmiany byłeś najbardziej nieposłusznym i bezczelnym pacjentem, jakiego pielęgniarka może... pragnąć. Powinieneś teraz leżeć w łóżku.

Zmrużyłeś oczy i z uśmiechem postąpiłeś kilka kroków w moją stronę i ująłeś mnie za rękę.

– Tak, wiem, ale nie znoszę leżeć sam.

Może twoje słowa zawierały szczere zaproszenie, a może był to tylko taki sobie banał bez znaczenia jak większość twoich wypowiedzi. Jakkolwiek by było, nie miałam zamiaru się nad tym zastanawiać.

Stając na palcach, żeby sięgnąć twojej twarzy, złożyłam pocałunek tuż przy twoich ustach, pocałunek, który bardziej miał cię zranić, niż sprawić ci przyjemność. Zamknęłaś oczy, jednocześnie przełykając ślinę. Zrozumiałam wtedy, że wygrałam.

– Dobranoc, wasza wysokość. Proszę odpocząć – szepnęłam ci na ucho, po czym znikłam za drzwiami.

7 stycznia

Pamiętam, ukochany, że po dokładnych oględzinach i badaniach ciało Borysa Iljicza zostało pogrzebane według laickiego obrządku na głównym cmentarzu w Wiedniu, za co skrytykowali nieboszczyka ci, którzy dzielili z nim kilka chwil życia i ostentacyjnie obnosili się ze swoją religijnością, a teraz poczuli się obrażeni świecką ceremonią. Ja zaś odniosłam wrażenie, że wszyscy przyszli tam wyłącznie dlatego, że było to pewne

wydarzenie; nie było przecież wdowy, której można by towarzyszyć, przyjaciół, z którymi można by płakać, rodziny, z którą można by cierpieć.

Borys Iljicz, za życia mieniący się obywatelem świata i prowadzący własną działalność apostolską godną tej nazwy, w chwili śmierci okazał się człowiekiem bez ojczyzny, w której mogłyby spocząć jego kości. Przypadek sprawił, że właśnie na tej ziemi wydał ostatnie tchnienie, a teraz ta sama ziemia miała przyjąć jego ciało. Miejsce, gdzie jego cielesna powłoka rozsypie się w proch, prawdopodobnie było całkowicie obojętne samemu Borysowi, bo jego dusza była już daleko.

Drobny, nieustannie padający śnieg, jak podmuch boskiego pyłu, był naszym kompanem, oprószał na białą głowę i ramiona, podczas gdy w bezruchu przyglądaliśmy się przejmującemu rytuałowi, chłostani wilgotnym lodowatym wiatrem wciskającym się zdradziecko pod ubrania i mrozącym do szpiku kości. Obok teutońskie posągi (wspomnienie po tych, którzy wyprzedzili nas w podróży przez Styks), nagie gałęzie drzew, jak artretyczne ramiona wyciągnięte w błagalnym geście, zwiędłe kwiaty na zimnym granicie i surowe spojrzenie starego cyprysa potęgowały mroczność i samotność tego miejsca; niczym teatralne dekoracje, wyglądały tak, jakby ktoś rozstawił je specjalnie po to, żeby zrobić na widzu większe wrażenie. Bo czymże jest cmentarz, jeśli nie dekoracją na scenie śmierci?

Żadnego płaczu, łkania, spazmów w tej żałobnej

ciszy. Żadnych modlitw. Ani litanii. Żadnych łez, nawet takich zwyczajowych i konwencjonalnych, jak oklaski po spektaklu, bez względu na to, czy się podobał czy nie. Twarze były mroczne i poważne, lecz skamieniałe i bez wyrazu, jakby wiatr je przemienił w lodowe sfinksy. Także enigmatyczny służący, który zawsze towarzyszył panu Iljiczowi, a którego rasa i pochodzenie nieraz bywały przedmiotem dyskusji, nie okazywał emocji.

Z nieruchomym, spuszczonej spojrzeniem kontemplowałam czarne plamy ziemi kalające śnieżną biel, jakby chciały narzucić surową żałobę otoczeniu grobu. Poczulałam ogromne przygnębienie.

Nie pierwszy raz miałam do czynienia ze śmiercią, ale nigdy nie widziałam śmierci tak szczególnej, gdy człowiek żył wśród ludzi, a umierał sam; kształtował opinie wielu, a w końcu został porzucony; żył w blasku, a umarł w cieniu.

Śmierć w samotności. Mój smutek się nasilał.

Nigdy nie wyobrażałam sobie końca drogi. Byłam za bardzo zajęta walką o przetrwanie. Prowadząc życie pełne goryczy i rozczarowań, skupiałam się, może w ramach rewanżu albo z rozpacz, na poszukiwaniu i korzystaniu z wolności, będącej jedynie iluzją, ideałem bez treści. Wierząc, że wolność leży wyłącznie w zasięgu dusz niezależnych, stałam się wyspą pośrodku morza, którym zdarzało mi się gardzić; chełpiłam się swym wyniosłym indywidualizmem, a zarazem obawiałam się otaczającego mnie bezmiaru, bo wiedziałam, że jest niebezpieczny.

Wybrałam samotność jako swe schronienie i tarczę. Jak to możliwe, że zostałam w niej uwięziona, tak jak Borysa więziła teraz ziemia? Widok ziemi spadającej na trumnę tak mnie przygnębił, że miałam wrażenie, jakby spadała na moje ciało, żeby całkowicie mnie pogrzebać.

W noc, kiedy czarna dama nadejdzie, żeby zabrać cię ze sobą... może o poranku... zastanie cię samą. Nie będzie testamentu, bo nie będzie komu go zostawić. Umrze z tobą pamięć o tobie, bo nie będzie miał kto jej przechowywać. Nic z ciebie nie pozostanie na tym świecie, kiedy już przeminiesz. Oto ostateczna śmierć, śmierć samotnej duszy... mojej. Takie przytłaczały mnie smutne myśli.

Był też strach. Milczący i powściągany, niewidzialny, rozgrywający się we wnętrzu. Strach, który przyprawił mnie o gęsią skórę pod grubym ubraniem. Bałam się. Spojrzałam na ciebie. Stałeś w pierwszym rzędzie, na skraju grobu; spojrzenie utkwione w dal, wyniośle uniesiona głowa. Wiatr szarpał ci płaszcz i targał włosy... Bałam się.

Zmarznięte grudy nadal spadały na trumnę Borysa – jedyny dźwięk ożywiający tę martwą scenę. Rytmiczny odgłos łopat rzucających ziemię potęgował moje przygnębenie.

Chciałam podbiec, żebyś mnie przytulił, żebyś zabrał mnie z tego pełnego grozy miejsca, żebyś ukoił mój strach słowami pocieszenia. Ale ty nawet na mnie nie patrzyłeś...

– Dobrze się czujesz?

Coś jednak mnie zdradziło. Strach ze mnie wyzierał. Karel powtórzył:

– Dobrze się czujesz?

Kiwnęłam głową, starając się opanować. Zdałam sobie sprawę, że się skuliłam, więc się wyprostowałam. Otarłam zimny pot z czoła drżącymi rękami. Musiałam się zachwiać, bo twój brat mnie podtrzymawał.

– Możesz chcesz usiąść?

Spojrzałam na niego surowo i wyniośle. Wobec mężczyzn nigdy nie okazywałam słabości.

– Nie, dziękuję.

I odsunęłam się od niego na krok.

Ze wzrokiem znowu utkwionym w zasypyany już grób wyszeptałam w myślach z gwałtownością bliską wściekłości, którą chciałam zabić strach:

Nie chcę zawodzenia płaczek na moim pogrzebie ani udawanego smutku! Nie chcę, żeby ludzie ubrali się na czarno! Nie chcę żałobnych śpiewów ani trąb anioła śmierci! Nie chcę wytartych frazesów ani pustych pochwał nad moim grobem, ani wieńców wysyłanych przez ludzi, których nie znałam! Nie chcę!

Mój gniew osłabł.

– Chcę tylko, żeby ktoś zostawił kwiat na mojej trumnie i wrócił do domu z milionem wdzięcznych wspomnień! – powiedziałam szeptem, niemal nie poruszając ustami.

Może nie powinnam była tego robić, ale postąpiłam

krok do przodu i położyłam kwiat na grobie Borysa. Gdy się schylałam, odniosłam wrażenie, że dziesiątki oczu jak szpilki wbijają mi się w plecy.

– To było takie przygnębiające... – wyszeptałam, przyjmując z rąk księcia Aloisa filiżankę herbaty.

W ciepłe jednego z saloników zamku Brunstrich, Aleksandra, Alois, ty i ja dochodziliśmy do siebie, zmarznięci i zmęczeni; próbowaliśmy spłukać gorzki posmak, jaki pozostaje po pogrzebach, nawet tak szczególnych jak ten Borysa Iljicza.

– Tak, kochana. Nie ma porównania z uroczystym pogrzebem kościelnym, jak Pan Bóg przykazał. Jak tak dalej pójdzie, przy tych wszystkich ateistach i anarchistach pętających się po świecie, sama nie wiem, dokąd to wszystko zaprowadzi – zaczęła wyrzekać twoja matka, przepędzając z kolan puszystego szarego persa, który się tam wdrapał, domagając się pieśczoł.

Nikt więcej się nie odezwał; niepotrzebny był żaden komentarz. Szybkimi łykami twoja matka dopiła herbatę i ciężko wstała.

– Cóż, idę do siebie i spróbuję się zdrzemnąć przed kolacją. Jestem wykończona.

– Pójdę z tobą, Aleksandro. Mnie też nie zaszkodzi chwila odpoczynku – obwieścił twój wujek, pozostawiając na stole nietkniętą filiżankę.

Ucałowałam wielką księżną wdowę w miękkie policzki pokryte pudrem i wróciłam na swój fotel przy kominku. Ty także pożegnałeś się z matką pocałunkiem,

żeby na powrót zacząć kontemplować pejzaż za oknem.

W przyjemnej ciszy, jaka nas otoczyła, podświadomie rozkoszowałam się delikatnymi dźwiękami, których często się nie słyszy: tykaniem zegara, strzelaniem ognia na kominku, szumem wiatru za oknami... przerywanym szmerem powolnego oddechu. Niemal zapomniałam, że nie jestem sama.

– Lars – zawołałam cicho, obawiając się zniszczyć magię chwili.

– Uhm?

– O czym myślisz?

Przez chwilę nie odpowiadałeś, jakby wyrwano cię ze snu i teraz starałeś się zrozumieć sens pytania.

– O niczym.

O niczym, o czym mógłbym ci powiedzieć. O niczym, o czym ty mogłabyś wiedzieć. Takie rzeczy zwykle się skrywają za tą prostą odpowiedzią.

– Napijesz się jeszcze herbaty?

W końcu się odwróciłeś i rzuciłeś okiem na zegar na kominku. Ja też to zrobiłam, lecz o ile ty chciałeś sprawdzić, która godzina, o tyle ja patrzyłam na niego jak na piękny przedmiot: był to zegar francuski z pozłacanego brązu, w stylu Ludwika XVI, z elementami z porcelany biskwitowej w kolorach białym i niebieskim, sygnowany przez firmę Gavelle z Paryża, prawdopodobnie z końca XVIII wieku.

– Nie, dziękuję. Za kilka minut muszę się spotkać z administratorem.

– Biedny bogacz!

Lekkim uśmiechem przyjąłeś z elegancją moją kpinę. Oderwałeś się od okna, zostawiłeś pustą filiżankę na stoliku i podszedłeś do mnie. Nie usiadłeś, co oznaczało, że twoja obecność jest chwilowa. Z perspektywy fotela twoja sylwetka wydawała mi się jeszcze bardziej imponująca niż zwykle.

– A ty co będziesz robić?

Zdałam sobie sprawę, że nie zaplanowałam nic na ten poranek.

– Nooo... mogłabym haftować przy kominku... gdybym umiała. Albo pisać melancholijne wiersze, raz po raz unosząc wzrok za okno... ale w życiu nie napisałam ani jednego wersu. Mogłabym ułożyć pasjansa... ale pasjans okropnie mnie nudzą. Nie wiem, może pójde odpocząć. Albo wykorzystam czas i napiszę kilka listów.

Kiedy przyznałam, że brak mi kwalifikacji do tego, żeby być panienką z towarzystwa, obrzuciłeś mnie enigmatycznym spojrzeniem, które mogło wyrażać podziw, ale z jakichś niewyjaśnionych przyczyn uznałam, że nie możesz czuć podziwu wobec mojego braku dystygowania.

Wydawało mi się, że chcesz coś powiedzieć, lecz ty nachyliłeś się i bez zbędnych wstępów złożyłeś na moich ustach długi pocałunek, który swym zniewalającym aksamitnym dotykiem oraz przyjemnym wiosennym ciepłem mnie ujarzmił. Gdy się odsunąłeś, poczułam chłód i opuszczenie; bolało mnie to, że chwila rozkoszy

była tak krótka.

– Muszę iść – westchnąłeś, prostując się.

Musisz iść. Ale dlaczego...? Dlaczego gasisz moje pragnienie, a zaraz potem odrywasz mi kielich od ust? Dlaczego zaspokajasz mój głód, a zaraz potem wyrywasz mi jedzenie? Dlaczego przynosisz ulgę moim ranom, a zaraz potem usuwasz balsam z mojej skóry? Dlaczego ogrzewasz moją zlodowaciałą duszę, a zaraz potem zabierasz ogień?

– I pamiętaj: to nie ty mnie pocałowałaś, lecz ja pocałowałem ciebie. – Chciałeś, żeby nie było co do tego wątpliwości, zanim znikłeś za drzwiami, zabierając ze sobą cząstkę mnie.

9 stycznia

Samobójstwo.

Pamiętam, ukochany, tę chwilę wściekłości. Wstrzymywana przez długi czas niczym lawa w uśpionym wulkanie, wybuchła, kiedy w moje ręce wpadł protokół policyjny na temat śmierci Borysa Iljicza. Groteskowy dokument, w którym roiło się od błędów śledczych oraz ewidentnych manipulacji i fałszerstw, z dołączonym protokołem sekcji zwłok przypominającym raczej uczniowski opis wiwisekcji jaszczurki. Nie ustalono, kto był właścicielem broni, nie policzono kul w magazynku ani nie stwierdzono, czy ma to jakiś związek z liczbą strzałów, nie wspomniano o braku przebarwienia czy

obwódki wokół otworu wlotowego kuli, nie zmierzono odległości ani trajektorii pocisku; najwyraźniej w organizmie nie znaleziono śladów barbituranów ani też dowodów, że denat często je przyjmował, mimo że na stoliku przy łóżku znajdował się Veronal, i tak dalej. Wszystko zrobiono tak po łebkach, że nie sposób było uwierzyć, że nie przyświecały temu złe intencje.

Wyprowadzona z równowagi, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, przebiegłam zamkowe korytarze, udając się w konkretne miejsce i w bardzo konkretnym celu.

Wyznaję ci, bracie... a właściwie zapewniam cię, że tamtego dnia ją znienawidziłem. Sprawiała, że poczułem się słaby i bezbronny. Ja, który z wiekiem wysiłkiem woli zdołałem wzmocnić swego ducha, poskromić emocje i stępić ostrze temperamentu, uważałem się za człowieka silnego, powściągliwego, niezniszczalnego. A ona zburzyła tę równowagę: powodowała, że nie wytrzymałem, wpadałem we wściekłość... Ona otwierała sejf mojego wnętrza z przebiegłością złodzieja w białych rękawiczkach.

– Co tu się, u diabła, dzieje?!

Bezczelna i zuchwała, wpadła do mojego gabinetu jak furia. Ani nie zapukała, ani nie zamknęła za sobą drzwi, tylko stanęła nade mną i rzuciła te słowa tonem świętego oburzenia, za nic mając dobre maniery.

Zaskoczony podczas pracy uniosłem wzrok, w

którym chciałem zawrzeć swoje niezadowolenie. Pomyślałem, że najlepiej będzie zachować spokój wobec jej wybuchu, więc z celową powściągliwością wstałem, podszedłem do drzwi, żeby je zamknąć, i wskazując jej krzesło, powiedziałem z ironiczną uprzejmością:

– Dzień dobry, Isabel. Czy zechcesz usiąść?

Nie zwróciła uwagi na to zawołane skarcenie jej za grubiaństwo, tylko ciągnęła swoją płomienną przemowę:

– Co to za maskarada?! Kogo chcecie oszukać?! Każdy średnio rozgarnięty czytelnik tanich kryminałów widzi, że to ma tyle wspólnego z samobójstwem, ile ja z biskupem Kalkuty! Nawet zabójca nie chciał, żeby to wyglądało na samobójstwo, Matko Boska!

Zarówno Richard, jak i inspektor Franke już mnie przestrzegali, że ona węszy wokół śmierci Borysa Iljicza i że w końcu przysporzy nam sporo problemów. Powzięłem mocne postanowienie, by nie dać się wyprowadzić z równowagi jej oskarżeniami.

– Nie jestem pewien, czy wiem, o co ci chodzi, ale jeśli masz na myśli śmierć pana Iljicza, sądzę, że powinnaś porozmawiać z policją. Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

– Bzdury! – przerwała mi. Najwyraźniej zamiast mnie słuchać, wołała wykrzykiwać swoje teorie. – Ty za tym wszystkim stoisz, nie zaprzeczaj! Ty zatuszowałeś śmierć Mikołaja, a teraz kłamiesz co do śmierci Borysa! Dlaczego tak ci zależy na ukryciu prawdy?!

Nie tracąc spokoju, podjąłem grę i rzuciłem zaczepnie:

– A ty? Dlaczego tak ci zależy na jej wyjawieniu?

Moje zręczne pytanie sprawiło, że umilkła w pół słowa. Zauważyłem, że coraz bardziej się czerwieni. A gdy już myślałem, że ją zaszachowałem, pokazała mi, że nie ma zamiaru pozwolić, żebym to ja miał ostatnie słowo.

– Ostrzegam cię, że tak tego nie zostawię. Na pewno jest ktoś, oprócz twoich skorumpowanych policjantów, kogo będzie interesowało, co robiłeś w pokoju Borysa w noc jego śmierci.

I w ten sposób pociągnęła odpowiednią sprężynę, żebym podskoczył. Zaczynała posuwać się za daleko w swoich groźbach. Z nią nie warto było silić się na umiar albo dobre maniery. Potrzebowała solidnej demonstracji siły i autorytetu. Z celowo surową miną i ponurym spojrzeniem zrobiłem krok do przodu, żeby stawić jej czoło i załatwić sprawę.

– A ja cię ostrzegam, że nie będę tolerował, żeby jakaś panienka z pretensjami wchodziła mi do gabinetu, krzyczała na mnie jak przekupka i groziła mi we własnym domu. A zatem dla twojego dobra radzę ci, żebyś wróciła do salonu plotkować z kobietami i zapomniała o sprawach, które cię nie dotyczą. – Rzuciwszy te twarde słowa, podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wskazałem jej wyjście. – A teraz proszę cię, żebyś wyszła. Mam dużo pracy.

Nie dałem jej szansy na odpowiedź, więc posłuchała mojego polecenia, wcześniej posławszy mi ostatnie wściekłe spojrzenie. Zamknąłem drzwi i wróciłem do swoich papierów. Nie mogłem się już jednak na nich skupić. Byłem strasznie wzburzony, ręce mi się trzęsły. Zawsze panowałem nad swoim życiem, a teraz wymknęło mi się spod kontroli. Czy kobieta z prowincjonalnej hiszpańskiej szlachty, która nigdy nie widziała niczego poza swoim miasteczkiem, potrafi odróżnić zabójstwo od samobójstwa? Richard by powiedział, że znowu widzę duchy ale coś – albo raczej ktoś – tu nie pasował: ona była częścią ponadplanową, zbędną, zaburzającą działanie mojej, jak sądziłem, dobrze przygotowanej maszyny. Nie mogłem na to pozwolić.

Pamiętam, ukochany, że wróciłam do swojego pokoju ze ściśniętym sercem i łzami wściekłości palącymi mi oczy. Powoli docierało do mnie, co właśnie robiłam – pozwoliłam się ponieść emocjom, pozwoliłam, żeby zdradził mnie temperament. Może wbrew temu, co sądzili inni, nie byłam odpowiednią osobą do powierzonego mi zadania. Może nie potrafiłam znieść napięcia i zaczęłam tracić panowanie nad sobą, narażając całą misję.

Usiadłam przed lustrem toaletki, w swoim odbiciu szukając pocieszenia jak u zaufanej osoby. Nie chciałam płakać, nie mogłam dopuścić do tego, żeby natura znowu mnie zawiodła. Może nie mam zimnej krwi ani stalowych nerwów, tak jak się po mnie spodziewano, ale mam

godność i determinację – i robotę do wykonania. Zamierzam doprowadzić ją do końca.

Z szuflady komody wyciągnęłam kopertę z hiszpańskimi stemplami. Zawierała notkę znaną w książce, którą próbowano mi ukraść w Paryżu. Kiedy przeczytałam ją po raz pierwszy, banalna treść sprawiła, że uznałam ją za szyfr. Przesłałam ją do rozszyfrowania i teraz nadeszła odpowiedź pod pozorem zwyczajnego listu wysłanego przez nieistniejącą przyjaciółkę z Hiszpanii. Wbiłam wzrok w pismo, to był mój punkt oparcia, dzięki któremu mogłam odzyskać panowanie nad sobą, więc skoncentrowałam się na następnym kroku.

10 stycznia

DIE KLEINE SPIELDOSE

Wien

10 Januar 1914

9.00 abends

Pamiętam, ukochany, że uniosłam wzrok znad kartki, którą trzymałam w rękach, na brudny szyld z tymi samymi słowami chłostanymi wiatrem: DIE KLEINE SPIELDOSE.

Trochę się denerwowałam, więc przez kilka chwil stałam, przypominając sobie, kiedy pierwszy raz się tam znalazłam: 27 grudnia, kiedy przyjechałam do Wiednia z Karlem i wykorzystałam sytuację, że zostawił mnie samą. Już wtedy, w obawie, że ktoś będzie mnie śledził,

wymyśliłam, że interesuje mnie cukiernia o tej nazwie, i tak też powiedziałam później Karlowi. Ciągle musiałam przewidywać i wymyślać odpowiedzi na jego ewentualne pytania. Podczas tej drugiej podróży zdecydowałam, że lepiej będzie się uciec do pomocy niewinnego współnika: wybranką została lady Eleanor. Ona doskonale rozumiała gorące pragnienie udania się na potajemną schadzke z kochankiem. I właśnie tak jej przedstawiłam sprawę, a ona zgodziła się mnie kryć. W towarzystwie jej matki miałyśmy się udać na przedstawienie do Opery Wiedeńskiej. Po przyjeździe miałam się wymknąć na spotkanie z rzekomym kochankiem. Przed powrotem lady Eleanor miała powiedzieć matce, że przypadkiem spotkałam się z jednym z was i ofiarny kuzyn odwiózł mnie do Brunstriechu. Lady Eleanor była zachwycona tym pomysłem. Zatem jak powiedziałyśmy, tak zrobiłyśmy. Ponadto na moją korzyść przemawiało to, że lady Jane Stantton, matka Eleanor, miała zwyczaj zapijania przed snem swoich życiowych rozczarowań przynajmniej połową butelki dzinu. Bardzo możliwe, że rano nie będzie pamiętać nic z tego, co się wydarzyło, i że nie wróciłam do Brunstriechu z żadnym z was.

Plan się powiódł i bez trudu dotarłam do Die Kleine Spieldose, zwykłej rupieciarni z pretensjami do wielkiego antykwariatu, przy jednej z najwęższych uliczek Ottakringu, robotniczej dzielnicy Wiednia. Lokal był wciśnięty pomiędzy dwa zrujnowane domy, z fasadami odrapanymi i poczerniałymi od wilgoci. Na całej ulicy

unosił się swąd dymu z węglowych pieców i smród kociego moczu: śmierdzący oddech bram, brudnych i czarnych jak twarze pijaków. W końcu zdecydowałam się przejść przez pustą i słabo oświetloną brukowaną ulicę, a skrzypienie moich kroków na śniegu rozbrzmiewało w wieczornej ciszy. Rozejrzałam się, poruszał się tylko drobny śnieg wirujący na wietrze. Sklep był zamknięty. Przetarłam szybę i choć szkło było nadal brudne, widziałam sterty przedmiotów, których z pewnością nikt nie chciałby kupić. Nie były to antyki, raczej stare, bezwartościowe rupiecie: meble o brudnych, zjedzonych przez mole obiciach, zardzewiałe, pogięte sztucce, obrazy o wątpliwej wartości artystycznej, poobijane mosiężne szkatuły, poobtłukiwana i posklejana porcelana, na której krawędziach zostały zaschnięte odciski palców...

Zadawałam sobie pytanie, jakie spotkanie może się odbywać w tym zapomnianym zakątku. Zaczęłam rozważać możliwość, że źle zrozumiałam sens wiadomości. Może nie chodzi o tajne spotkanie, jak sądziłam, a może Die Kleine Spieldose nie jest tym zapyziałym sklepikiem, przed którym się znajdowałam, lecz jakimś innym miejscem albo kolejnym szyfrem. Z drugiej strony, pewne było, że jeśli chodzi o tajne spotkanie, to nie można po prostu przypadkiem na nie wpaść... Skupiłam uwagę na bramach domów obok sklepu – może przez którąś z nich wchodzi się na zaplecze. Na początek wybrałam tę z prawej strony, a gdy naparłam na wrota, te natychmiast ustąpiły. W środku

mdlący smród stał się jeszcze bardziej nieprzyjemny, mieszając się z zapachem gotowanych kartofli i kapusty. Przede mną znajdowały się drewniane schody, wąskie i popękane; po mojej prawej ręce kilka pogiętych skrzynek na listy, wszystkie z wyłamanyymi zamkami, a po lewej – drzwi. Spojrzałam uważniej na skrzynki i ucieszyłam się, widząc na jednej z nich napisane: „Die Kleine Spieldose. Parter na lewo”. Wskazane drzwi były zamknięte na łańcuch z kłódką, ale łatwo pokonałam tę przeszkodę za pomocą kombinerek, które przezornie zabrałam ze sobą, poza tym łańcuch był zardzewiały i słaby.

Za drzwiami otwierał się ciemny korytarz, którego końca nie było widać. Zapaliłam latarkę i postanowiłam tam pójść. W miarę jak posuwałam się naprzód, czułam wilgotne ciepło, coraz bardziej duszące, lecz miejsce było czyste i zadbane, bez żadnych pajęczyn i kurzu, jakby było częściej odwiedzane niż lichy sklepik na ulicy. A jednak zwisające z sufitu żarówki były zimne, a na ziemi nie było mokrych śladów zaśnieżonych butów. Najwyraźniej od dawna nikt tamtędy nie przechodził, tylko z jakiegoś powodu ktoś starał się utrzymać korytarz w czystości, co jeszcze bardziej rozbudziło moją ciekawość.

Nagle lekki szmer, niby szelest ubrania, wzbudził moją czujność; wydawało mi się, że zdradza czyjąś skrywaną obecność...

Zgasłam latarkę.

Nadstawiłam uszu i wstrzymałam oddech.

Staralam się wychwycić kolejny dźwięk.

Panowała jednak absolutna cisza. Nie docierały już do mnie nawet odgłosy otoczenia, które słyszałam w bramie. Doszłam do wniosku, że nie ma tu nikogo poza mną i może jeszcze jakimś szczurem, więc zapaliwszy latarkę, ruszyłam dalej.

W końcu zauważyłam, że korytarz kończy się przestronnym pomieszczeniem. Gdy się zbliżyłam, serce podeszło mi do gardła. W mroku rysowały się dwie fantasmagoryczne ludzkie postacie. Stały pośrodku pomieszczenia i zdawały się spiskować cicho, tak że nie byłam w stanie ich usłyszeć. Natychmiast zgasiałam latarkę, choć wiedziałam, że jest już za późno. Z duszą na ramieniu czekałam, aż zaalarmowane świetlistymi strzałami postacie odwrócą się i mnie zobaczą. Instynktownie sięgnęłam do kieszeni, by poczuć zimną i uspokajającą stal pistoletu. Przygotowałam się do obrony.

Jednak nic się nie wydarzyło.

Postaci pozostały nieruchome, obojętne na moją obecność. Ostrożnie, na oślep podeszłam jeszcze kilka kroków. Nie wypuszczając z ręki pistoletu, czekałam na ruch, który nie następował. Było tak, jakby scena, która powinna być żywa, nagle zastygła ścięta mrozem. Było to równie niepokojące, jak nierealne. W końcu zdecydowałam się znowu zapalić latarkę. W kole żółtego światła zobaczyłam dwa krawieckie manekiny. Odetchnęłam, zwolniłam uścisk na broni i... poczułam się jak kompletna idiotka.

Gdy nerwy mi się uspokoiły, obejrzałam sobie to miejsce. Bez kłopotu ustaliłam, że znajduję się w magazynie Die Kleine Spieldose. Wielkie skrzynki i inne rzeczy stały jedne na drugich pod ścianami. Stosy książek ułożone w wieże rzucające wyzwanie sile grawitacji, rzędy starych powykręcanych lalek, patrzących na mnie z diabelskim uśmiechem, podziurawione i zżarte przez mole płótna z portretami nieznanymi ludźmi, potłuczone lustra odbijające mój czarny i załamujący się obraz, rupiecie... Przeciągając palcem po tych wszystkich zakurzonych przedmiotach, doznawałam przedziwnego uczucia: jakby ich anonimowi właściciele przyglądali się, jak profanuję pozostałości ich życia; część ich samych, porzuconą tam wydaną na pastwę zapomnienia w brudnym magazynie.

Przez chwilę myślałam, że znalazłam się w ślepej uliczce, podjęłam fałszywy trop. A jednak, powodowana intuicją, grzebałam pośród tych resztek czasu i mój upór w końcu został nagrodzony. Niektóre skrzynki znajdujące się na dole sterty, ukryte przed oczami postronnych, były nowsze od pozostałych i zapieczętowane. Wyciągnęłam jedną z nich spośród gratów i za pomocą jakiegoś kuchennego narzędzia odbiłam wieko. W środku trafiłam na dziesiątki małych prostokątnych paczuszek, solidnie opakowanych i ułożonych tak, żeby maksymalnie wykorzystać przestrzeń. Wzięłam jedną do rąk, ważyła około dwustu, może trzystu gramów. Zdarłam papier i zobaczyłam niemożliwą do pomylenia z niczym innym brązową pastę, tłustą i lepłą: haszysz. Zmagazynowano tu

wielkie ilości tego narkotyku, gotowego do użycia. Znajdowałam się blisko celu.

Wstałam i obrzuciłam uważnym spojrzeniem całe pomieszczenie. Przesunęłam latarką po ścianach, żeby znaleźć drugie wejście. Mimo że na pierwszy rzut oka nie ujrzałam żadnego otworu, szybko spostrzegłam, że jedna ze ścian jest inna od pozostałych; cegły były całe i lśniące, a zaprawa odrobinę bielsza. Poza tym rzucono pod nią znacznie mniej gratów. Odsunęłam rupiecie i zaczęłam macać w poszukiwaniu jakiejś szczeliny, dziury albo sprężyny. W pewnej chwili natrafiłam na luźną cegłę: pchnęłam ją z całej siły. Usłyszałam zgrzyt, jakby kamieni młyńskich, skrzypienie mechanizmu i piszczenie zawiasów wypełniło pomieszczenie, a następnie kawałek ściany jął się przesuwać, odsłaniając schody, które spiralnie schodziły w dół. Najpierw poczułam chłodny podmuch, który wpadł do dusznego i śmierdzącego pleśnią magazynu. Później dotarł do mnie monotony, niski pomruk zbiorowej pieśni; nieustanny szmer podobny do szumu morza albo wiatru w koronach drzew, bez modulacji ani przerw. Oznaka ludzkiego życia.

Zdecydowana dotrzeć do końca tej przygody, która zdawała się go nie mieć, postawiłam stopę na pierwszym stopniu i zaczęłam schodzić, prowadzona hipnotycznym śpiewem. Gdy dotarłam do ostatniego schodka, natrafiłam na niszę, w której lśniły dwa kręgi światła, każdy o jakichś trzydziestu centymetrach średnicy, co wyglądało jak bulaje na statku. Wyjrzałam przez jeden z nich i moim

zdzumionym oczom ukazało się ogromne pomieszczenie, przestronne i wysokie, wyłożone złotymi panelami, oślepiająco lśniące w świetle pochodni przymocowanych do ścian. Sufit był przesłonięty płachtami zwiewnej gazy w kolorze jaskrawoczerwonym. Z posadzki z czarnego marmuru wznosiły się, niczym wielkie pnie sekwoi, dwa rzędy kolumn, szczerze zdobionych freskami i inskrypcjami w złocie i szkarłacie, dzielących prostokątne pomieszczenie na trzy nawy, środkowa była najszersza. W głębi, nad schodami strzeżonymi przez dwie ogromne czarne kobry, wznosiło się coś, co wyglądało na ołtarz, którego środek został zaznaczony misą płomieni bijących na około metr w górę. Z tyłu, przydując niesamowitej scenerii, wielki posąg, w połowie kobieta, w połowie wąż, z dwiema parami rąk sterczących z tułowia niczym gałęzie drzewa, zdawał się posyłać patrzącym przerażający grymas. Niebieska skóra, szeroki język zwisający z ust, naszyjnik z czaszek. To była jakaś dziwna wersja bogini Kali.

Przed posągiem klęczał tłum ludzi. Mieli na sobie tuniki w szafranowym kolorze, a ich twarze były zasłonięte maskami o hinduistycznym pochodzeniu. U stóp schodów stało w rzędzie około tuzina osób w purpurowych tunikach, a na ołtarzu następne cztery postacie, także w maskach i tunikach, lecz każda w innym kolorze – brązowym, białym, niebieskim i czerwonym – otaczały piątą osobę odzianą w czerń. Natychmiast przyszły mi do głowy obrazy tajnych spotkań w

Brunstriechu.

Monumentalna świątynia i obrzędy religijne. A wszystko to w samym sercu Wiednia! To odkrycie sprawiło, że włosy stanęły mi dęba, przeniosłam się do indyjskiej dżungli, do śpiewów braminów, dźwięków gongu, duszącego upału, zapachu *sadus*... A jednak znajdowałam się w Wiedniu.

Z mojego miejsca, górującego nad pomieszczeniem, spowita specyficzną słodkawą wonią haszyszu płonącego w paleniskach, wypełniającego przestrzeń gęstym białym dymem, zobaczyłam, że wierni wstają na nogi, zgodnie z nakazami kapłana. Śpiewy się nasiliły i tłumem zaczęły wstrząsać frenetyczne konwulsje, w rytm tego upajającego dźwięku. Ja także poczułam się oszołomiona narkotykiem i monotonnym pomrukiem pieśni, mantry, która zdawała się rozsadzać mi skronie. Uczyniłam wielki wysiłek, żeby się skoncentrować i nie pozwolić, by umknął mi żaden szczegół. Wtedy na scenę wkroczyło dwóch kolejnych wiernych, którzy pchali przed sobą stół ze skrzynią wyglądającą na trumnę. Ustawili ją na środku ołtarza, przed pierwszym kapłanem, i unieśli wieko, a wtedy ściany opadły na boki, jakby za sprawą magicznego zaklęcia, odsłaniając ludzkie ciało: kompletnie nagiego mężczyznę o wytatuowanej skórze. Kiedy kapłan do niego podszedł, rytm śpiewów przyspieszył. Spomiędzy fałd szaty wyjął sztylet i wzniosł go ponad leżącym. Tłum pogrzyżył się w pełnej wyczekiwania ciszy.

W obliczu tego obrazka, zastygłego niczym

fotografia, i w oczekiwaniu na to, co się miało właśnie wydarzyć, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Wiedziałam, że za chwilę kapłan wbije ostrze w pierś ofiary. Z napięcia ledwie mogłam oddychać. Otworzyłam usta, spazmatycznie chwytając powietrze... gdy nagle ktoś się na mnie rzucił! Unieruchomił mnie i przyłożył mi chusteczkę do nosa i ust. Kiedy poczułam w nozdrzach dziwny zapach, chciałam wstrzymać oddech, ale było już za późno. Wbrew woli pograżyłam się w głębokiej, mrocznej otchłani...

Pamiętam, że otworzyłam oczy, lecz nic nie widziałam. Miałam dziwaczne sny, w których moja nieszczęsna przeszłość przychodziła do mnie niczym złowieszcza zapowiedź przyszłości. Otaczające mnie nieznanne głosy szeptały mi na ucho słowa, których nie byłam w stanie zrozumieć. Ukłucia bólu w całym ciele, zawroty głowy i mdłości. Nic więcej.

12 stycznia

Pamiętam, ukochany, że gdy uniosłam powieki, odczułam jak ogień w źrenicach delikatne światło lampki na stole. Spróbowałam się podnieść i doznałam wrażenia, że mózg odbija mi się od czaszki, napęczniały jak gąbka, a zdrtwiałe ręce i nogi nie są posłuszne mojej woli. Z łóżka przyjrzałam się otoczeniu, starając się określić, gdzie jestem.

Znajdowałam się w przestronnym pokoju, luksusowo

urządzonym, z oknami balkonowymi zasłoniętymi sutymi zasłonami z adamaszku w kolorze musztardowym, z dwojgiem drzwi o białych framugach. Umeblowanie składało się z wielkiej szafy, biurka, łóżka, na którym leżałam, dwóch stolików, sofy i ławy z dwoma małymi fotelami przed kominkiem, wszystko wyglądało na antyki, które w nazwie na pewno miały imię francuskiego lub angielskiego króla. Choć nie jestem znawczynią antyków i myślę Ludwika XVI ze stylem cesarstwa, elżbietańskim i całą resztą, z niezbitą pewnością zidentyfikowałam od razu piękny barokowy zegar w stylu Ludwika XIV z XVIII wieku, który beznamiętnie szeptał swoje tik-tak na kominku. Zapewne już zauważyłeś, że jestem wielką entuzjastką zegarów kolekcjonerskich, które są fascynującym połączeniem artystycznego piękna i technicznej precyzji.

Nie będąc w stanie określić, gdzie właściwie się znajduję, położyłam głowę na poduszce i ze wzrokiem utkwionym w biały sufit, ozdobiony gipsową sztukaterią, starałam się uporządkować moje pomieszane wspomnienia. Jakaś ulica na Ottakringu, sklep ze starociami, Die Kleine Spieldose... Kali... hinduistyczna świątynia... tłum wiernych... pięciu kapłanów... ofiara ludzka...

Musiałam natychmiast o tym wszystkim zameldować! Gdybym mogła...

Znowu spróbowałam się podnieść, tym razem z większym sukcesem, i postanowiłam wypić odrobinę

wody ze szklanki na stoliku, aby przełknąć tę szmatę, którą zdawałam się mieć w ustach, a którą w rzeczywistości był mój język, suchy i szorstki. Łyk wody napełnił mnie nowymi siłami i mimo że kręciło mi się w głowie, wstałam z łóżka. Skupiłam się na drzwiach. Próbowałam je otworzyć; jedne natychmiast ustąpiły, ale prowadziły do łazienki, a drugie były zamknięte. Balkon, przylegający do gładkiej fasady na wysokości trzeciego piętra, wychodził na coś, co wydawało się wewnętrznym dziedzińcem pałacu. Wyglądało na to, że nie ma wielu możliwości ucieczki. Można było próbować jedynie opuścić się z balkonu na dziedziniec.

Zaczęłam sobie zdawać sprawę z mojego położenia. Byłam uwięziona w złotej klatce, moja odzież wierzchnia znikła, a wraz z nią pistolet. Nie potrafiłam określić, jak długo tu przebywam, chociaż miałam wrażenie, że byłam uśpiona i nieprzytomna przynajmniej przez kilka godzin. Było oczywiste, że ten pokój nie należy do żadnego z tych robotniczych mieszkań na Ottakringu, a możliwe, że w ogóle nie znajdowałam się w Wiedniu. Stało się jasne, że zostałam porwana. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by stracić zimną krew, jeśli chciałam się stąd wydostać. Moi dobrze sytuowani – bo bez wątpienia tacy byli – porywacze z pewnością niebawem się pojawią, więc musiałam działać szybko. Na początek przyszło mi do głowy, by otworzyć zamek szpilką do włosów, a jeśli uda mi się wyjść, po drodze zdecyduję, co dalej. Jednakże nie zdążyłam wprowadzić w życie swojego planu. Gdy

wyciągałam szpilkę z koka, klamka się poruszyła, zamek szcęknął i drzwi się otworzyły. Do środka wszedł mężczyzna.

– No proszę! Nie spodziewałem się, że wstaniesz tak szybko.

– Ty... – Tylko tyle zdołałam wykrztusić, częściowo dlatego, że targały mną zarazem zdumienie i wściekłość, a częściowo dlatego, że struny głosowe, od dawna nieużywane, zawiodły mnie.

– Przyniosłem ci kawę i środek przeciwbólowy. Przypuszczam, że boli cię głowa. To skutek chloroformu.

Właściwie głowa mnie nie bolała – wydawało mi się, że zaraz eksploduje. W szoku zapomniałam jednak o bólu.

Karel zamknął drzwi. Jakby chodziło o spotkanie przy herbatce, podszedł do niskiego stolika przy kominku i postawił tam tacę z zastawą.

– Co to znaczy? – zapytałam, siląc się na spokój.

Milczał, skupiony na nalewaniu kawy do filiżanki; pokój wypełnił się przyjemnym aromatem. W końcu, nie odwracając się do mnie, odpowiedział:

– Będzie czas na wyjaśnienia. Teraz weź to. Mdli cię?

W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, by rzucić się do drzwi i uciec. Ale odrzuciłam podszepty instynktu i polegając na rozumie, doszłam do wniosku, że nie dotarłabym daleko w tym nieznanym mi domu. Wtedy, niejako w natchnionym olśnieniu, przypomniałam sobie ważny szczegół. Korzystając z tego, że Karel nadal stał do mnie plecami, sumiennie starając się rozpuścić w wodzie

środek przeciwbólowy, dyskretnie uniosłam sukienkę i z ulgą stwierdziłam, że mój nóż ciągle jest na miejscu – za podwiązką na prawym udzie.

– Możesz mi posłodzić? Poproszę też o mleko – powiedziałam, żeby dłużej się nie odwracał. – Czy twoja matka wie o tym porwaniu?

– Moją matką się nie martw. Ona by nie powiedziała, że zostałam porwana. Wie, że jesteś ze mną, więc jest absolutnie spokojna. Była wielka śnieżycyca i droga do Brunstriechu została zasypana.

– Widzę, że wszystko sobie przemyślałeś. Skąd mam wiedzieć, że mnie nie otrujesz?

– To by było głupie. To tylko aspiryna. Chwilowo jesteś mi bardziej przydatna żywa niż martwa...

Przerwał gwałtownie, czując ukłucie noża między nerkami.

– Dobrze. Teraz stąd wyjdziemy. Ty pierwszy, jeśli łaska – poprosiłam kpiąco.

Zaczął się odwracać. Okazało się jednak, że nie uda mi się poskromić go tak łatwo. Skręciwszy się, rzucił we mnie filiżanką kawy, o której nie pamiętałam. Udało mi się uchylić i filiżanka upadła na dywan, nawet mnie musnąwszy, ale Karel wykorzystał moje rozkojarzenie. Mocowaliśmy się przez kilka sekund. Rozciął sobie wierzch dłoni, ale nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Był silniejszy i w końcu wykręcił mi rękę i unieruchomił mi ją za plecami. Z bólu wypuściłam nóż.

Z ustami tuż za moim uchem wymamrotał głosem

poważnym i wściekłym:

– Kim ty, do cholery, jesteś?

Jego gorący oddech palił mi szyję. Zrewanżowałam mu się wyzywająco:

– A kim ty jesteś?

Pociągnął mnie mocno za rękę, zmuszając, żebym na niego spojrzała. W jego szarych jak stal oczach płonął ogień. Wbijał we mnie wzrok, długo i przeciągle, jakby chciał mnie spalić nienawiścią.

Nagle położył mi rękę na karku. Bałam się, że mi go skręci. On jednak przyciągnął mnie do siebie i z furią pocałował w usta. Jakby chciał mnie ugryźć, pożreć, zrobić mi krzywdę. To nie był pocałunek, lecz czysta agresja.

Fala gorąca zalała moje ciało, zaparło mi dech w piersiach. Przyptyw rozkoszy napiął mi nerwy, a następnie je rozluźnił. Nasze urywane oddechy mieszały się, miałam wrażenie, że się dusimy. Byliśmy niczym walczące ze sobą dzikie zwierzęta. Na jego pocałunek odruchowo zareagowałam z taką pasją, jakbym chciała go zranić i przepędzić ze swego terytorium. Nie chciałam go całować ani pieścić, pragnęłam przegryźć mu gardło i rozorać plecy.

Gdy w końcu oderwał się od moich ust, wargi bolały mnie i piekły jak po smagnięciu pioruna. On zaczął obsypywać palącymi pocałunkami moją szyję i dekolt, zanurzył się między nabrzmiałe piersi, gotowe na pieszczoty. Jednym szarpnięciem rozerwał mi guziki

bluzki. Ja zdarłam z niego koszulę, palcami wodziłam po jego torsie i szczypałam sutki...

Jęknął. Nagle znieruchomiał, dysząc jak szalony. Delikatnie przytrzymał mi ręce przy swojej piersi i spojrzał mi w oczy. Serce waliło mu jak młotem. Myślałam, że coś powie, ale nie znalazł w sobie ani tchu, ani słów. Wydawało się, że zaraz zemdleje, bo zamknął oczy. Wtedy, jakby wcześniej w moich źrenicach zobaczył coś, co pozwoliło mu przejść od szaleństwa do subtelności, spokojny niczym wody przy brzegu po gwałtownym spadku z wodospadu, wyciągnął mi z włosów szpilki jedną po drugiej i zachwycał się moimi lokami spływającymi swobodnie na plecy, powoli rozczesując je palcami jak grzebieniem. A potem uniósł mnie w ramionach i zaniósł do łóżka.

Podczas gdy Karel rozbierał mnie, delikatnie całując całe moje ciało, ja wsłuchiwałam się w kompozycję niejakiego Rachmaninowa, która nieustannie rozbrzmiewała w mojej głowie.

Tak to się wydarzyło, ukochany. To było jak letnia burza, która zaskoczyła mnie bosą na trawie, gdy cieszyłam się słońcem; a jednak pozwoliłam, żeby krople deszczu odświeżyły moją spoconą skórę. A ty... ciebie tam nie było, żeby ochronić mnie przed ulewą.

Wyznaję ci bracie, że owładnęła mną obsesja. Obsesja dotykania jej, posiadania, czucia jej włosów między drżącymi palcami; kochania się z nią aż do

wyczerpania. I zapewniam cię, byłem przekonany, że gdy się zaspokoję, obsesja zniknie jak choroba, jeśli człowiek podda się odpowiedniemu leczeniu.

Wszystko zaczęło się tamtej niespokojnej nocy, kiedy zastałem ją pośrodku pokoju. Tamtej nocy jej obraz zmienił się w obsesję, która rozsadzała mi głowę; karmiła się moimi myślami na podobieństwo pasożyta. W ich centrum zawsze znajdowała się ona: jej wyniosła twarz, rozpuszczone włosy, nagie ciało. Podniecałem się, rozpalałem, czułem, że nie panuję nad sobą... Nie rozumiałem, jak doszło do tego, że całkowicie i irracjonalnie straciłem kontrolę nad pożądaniem. Ja, który z nadmiaru skrupułów nigdy nie chadzałem do lupanarów, nawet tych ekskluzywnych, leżałem w tej chwili obok kobiety właściwie obcej, a moje ciało i dusza były pijane rozkoszą, jakiej nie doświadczali żadni bogowie. Ja, który uczyniłem z władzy rozumu i samokontroli styl życia i uważałem seks za jedną z potrzeb człowieka, jaką należy systematycznie zaspokajać podobnie jak myć się czy jeść, pozwoliłem się ponieść szaleństwu w ramionach tej tajemniczej kobiety.

A potem nie mogłem zasnąć... Zapadła noc i srebrne światło wciskało się niedyskretnie przez źle zaciągnięte zasłony. Padał śnieg. Polana trzaskały w kominku, dając rozkoszne ciepło, a jej spokojny oddech sprawiał – że czułem się jak w niebie.

Podczas gdy spała, dokładnie się jej przyglądałem, dając upust mojej obsesji. Syciłem wzrok, wspominając

podróż, którą odbyły moje usta. Zyskiwałem pewność, że jej ciało osiągnęło najwyższą harmonię i geometryczną doskonałość natury: jej aksamitne pięty, i podeszwy stóp, z poduszczkami jak u kotki; jej nogi – wspaniała linia łagodnych wzniesień i spadków aż do szczytu bioder, które pragnąłbym utoczyć własnymi rękami; głęboka zatoka jej talii i krągłość piersi budziły we mnie najdziksze instynkty; prześliczne ramiona, jakby namalowane delikatnymi mięśniami pędzla, wraz z szyją tworzyły łuk wspaniałej laguny, w której spoczywa morze; doskonałe policzki; uszy, które z rozkoszą bym gryzł; tysiące miękkich wzorów rysowanych przez jej włosy rozsypane na poduszce... A pośród tych wszystkich krągłości, odnalazłem swoje ulubione miejsce, na którym pragnąłbym złożyć głowę i umrzeć – dolinkę, gdzie kończyły się plecy i zaczynały pośladki, twarde i jędrne, delikatne i ciepłe.

Sięgnąłem do nich ręką, pragnąc je znowu pieścić, i poczułem, że krew mi się burzy, a członek pulsuje, że mój umysł i ciało znowu się podniecają w przeczuciu rozkoszy. Że ogień mnie pali, alkohol upija, że coś mnie zatruwa... Ona, nagle obudzona, zwróciła na mnie swe piękne oczy wyrażające pragnienie i zmysłowość i pocałowała mnie w usta, na nowo rozpalając pasję, której istnienia wcześniej nawet bym nie podejrzewał.

Gdzie wtedy byłeś ty, bracie? Gdzie się podziewałeś, kiedy ona należała do mnie? Gdzie zniknąłeś, że cię nie czułem, że nie raniłeś mnie swoją pogardą ani nie

dręczyłeś próżnością? Gdzie byłeś, skoro nie we mnie, kiedy ona była ze mną?

Lizka to postać z bajki. Zakochałem się w Lizce jako dziecko i nigdy później nie zakochałem się w nikim innym. Lizka była kobietą idealną, bo w jej nierealnym istnieniu skupiłem wszystkie swoje pragnienia i dążenia.

Lizka to po rosyjsku Isabel.

15 stycznia

Pamiętam, ukochany, przebudzenie po dziwnej nocy. Niezbyt miłe ocknięcie się po karygodnej rozkoszy. Powoli otworzyłam oczy w niemal niedostrzegalnym przechodzeniu od snu do jawy. Pokój był spowity półmrokiem, naznaczony gąszczem cieni i zamazanych kształtów. Zastony były zaciągnięte i ledwie cieniutki promień białego światła wpływał przez szczelinę, którą ktoś zostawił. Ta strużka, lśniąca jak ostrze szpady, padała na podłogę i na łóżko i rozsiewała w powietrzu delikatną zasłonę drobinek kurzu.

Odwróciłam głowę na poduszce i potwierdziłam swoje podejrzenia: byłam sama. Zauważyłam, że pościel jest chłodna, i wyczułam pustkę za swoimi plecami. To był tylko seks, wymamrotałam do siebie, żeby uspokoić wzburzone myśli, ze wzrokiem utkwionym we wgniecioną poduszkę. Zapewniam cię, ukochany, że wtedy tego właśnie pragnęłam: żeby to był tylko seks.

Zanim zdążyłam lepiej zrozumieć swoje uczucia,

rozległo się natarczywe stukanie. Musiałam się czymś okryć. Natrafiłam dłonią na bluzkę, która przypominała raczej podartą, zmiętą szmatę, i pośpiesznie ją włożyłam.

– Proszę!

– Dzień dobry, Fräulein.

– Dzień dobry – odpowiedziałam uprzejmie nieznannej osobie, którą ledwie widziałam w półmroku.

Postać przeszła przez sypialnię pewnym krokiem, postawiła tacę na stole, dorzuciła drew do kominka i szarpnięciem rozsunała zasłony. Delikatne zimowe światło wydobyło z mroku ostre kolory sypialni. Zmrużyłam powieki. Gdy znowu je otworzyłam, zobaczyłam przed sobą wysoką i chudą kobietę o uroczyściej postawie. Nie wyglądała na służącą, raczej na urzędniczkę. Miała na sobie czarny uniform, a za jedyną ozdobę służyła jej kamea na szyi. Trudno było określić jej wiek, ale cienkie zmarszczki wokół oczu i ust, jak również szare kosmyki upięte w doskonały kok, kazały myśleć, że nie jest już taka młoda.

Zdjęła pokrywę z tacy i w pokoju rozszedł się przyjemny aromat kawy i świeżych potraw, co pobudziło mój żołądek do wydzielania soków. Od dawna nic nie jadłam. W nogach łóżka położyła szlafrok i przedstawiła się z silnym akcentem, dość ponurym głosem:

– Mam na imię Berta, Fräulein. Jestem gospodynią jego wysokości. Pomyślałam, że może pani być głodna, więc pozwoliłam sobie przynieść lekkie śniadanie.

Była rzeczowa i kompetentna. Nie miała zamiaru

mnie oceniać, bo do jej obowiązków nie należało osądzanie jego wysokości. Z drugiej strony, nie wyglądało też na to, że taka sytuacja jest dla niej niespotykana.

– Dziękuję, Berto. Która godzina? – zapytałam, dokonując cudów ekwilibrystyki, żeby włożyć szlafrok bez wychodzenia z pościeli.

– Szesnaście po dwunastej, Fräulein.

Nie skomentowałam, mimo że pora aż się o to prosiła. Ograniczyłam się do postawienia bosych stóp na podłodze, wdzięczna za to, że dywan chroni przed zimnem. Podeszłam do stołu, na którym czekało śniadanie, i z uzasadnionej sytuacją ostrożności, przyjrzałam się kawie, tostom, jajecznicy na szynce i sałatce pomidorowej oraz świeżo wyciśniętemu sokowi z pomarańczy. Dwunasta? To śniadanie będzie moim obiadem. Bez wielkich ceregieli usiadłam przy stole, gotowa pożreć wszystko.

Berta znikła w łazience, skąd po kilku chwilach dobiegł mnie szum wody.

– Na pewno chce pani się wykąpać – oświadczyła, jakby nie miała co do tego żadnych wątpliwości. – W szafie są czyste ubrania.

Gdy słuchałam Berty, rozkoszując się perspektywą ciepłej kąpieli z pianą, pod serwetką odkryłam kopertę z moim imieniem. Otworzyłam ją ostrożnie i wyjęłam liścik.

Czekam o czwartej w kawiarni Sperlhof.

K.

– Berto...

– Tak, Fräulein.

– Gdzie jest kawiarnia Sperlhof?

– Na Grosse Sperlgasse. Niedaleko stąd. Jeśli pragnie pani dokądś się udać, szofer jest na pani rozkazy.

– Proszę go powiadomić, że będę potrzebować automobilu, żeby być tam o czwartej.

– Tak, Fräulein. Za pani pozwoleniem teraz się oddalę. Jeśli będzie pani mnie potrzebować, proszę zadzwonić. – Spojrzeniem wskazała sznur obok łóżka, a następnie znikła za drzwiami.

Jej nieprecyzyjne określenie położenia kawiarni Sperlhof nie naprowadziły mnie na to, gdzie się obecnie znajduję. „Berta bardziej niż na gospodynię wygląda na dobrze poinstruowanego strażnika luksusowego więzienia”, pomyślałam, patrząc łakomie na solidne śniadanie. Było oczywiste, że Karel będzie się starał nie pozwolić, bym opuściła to miejsce sama i z własnej inicjatywy.

Pogryzając tosta, ponownie spojrzałam na liścik.

Czekam o czwartej w kawiarni Sperlhof.

K.

K jak Karel...

K jak Kali...

K jak Kali-Kama.

„Nie rób w nocy niczego, czego mogłabyś żałować o poranku”.

Matka zwykła mi to powtarzać, kiedy szłyśmy kupić

rybę w marsylskim porcie. Tam, wyładowane egzotycznymi obietnicami, drzemały wielkie okręty floty handlowej; dziś zacumowane, jutro już daleko na morzu. Może gdybym słuchała matki, moje życie potoczyłoby się inaczej.

Byłam w Wiedniu. Tylko tego byłam pewna, kiedy na tylnym siedzeniu luksusowego czarnego samochodu wyjechałam z neoklasycystycznego pałacyku przy Habsburgergasse, gdzie mieściło się moje ekskluzywne więzienie. Przejechaliśmy przez centrum Wiednia i jego bogate ulice, gdzie jedna po drugiej następowały piękne fasady, luksusowe sklepy, migąły kobiety ubrane w futra i obsypane klejnotami. Przejechawszy przez Dunaj, tę swego rodzaju granicę, mając przed sobą karuzelę na Praterze, zanurzyliśmy się w labiryncie ulic o zupełnie odmiennym wyglądzie: rzędy surowych kamienic czynszowych, pozbawionych ozdób, u których stóp tłoczyły się księgarnie, kioski, lombardy, liche zakłady krawieckie i sklepy z koszernym jedzeniem. Po ulicach kręcili się mężczyźni z gęstymi brodami, z pejsami i z jarmułkami na głowach. Na rogach handlarze oferowali jakieś drobiazgi z koszyków: mydło, sznurówki, guziki. Byliśmy w Leopoldstadt, żydowskiej dzielnicy. Automobil swoją hałaśliwą obecnością zakłócił nastrój tego miejsca.

Gdy przejeżdżaliśmy, ludzie ustępowali nam z drogi, wchodząc na chodniki, dzieci biegły za nami z wrzaskiem, a postrzępione sznurowadła zniszczonych butów fruwały

w powietrzu. Ta barwna eskorta odprowadziła nas do lokalu z dwoma dużymi oknami wystawowymi zasłoniętymi białymi firankami, które przepuszczały ciepłe światło ze środka. Wielkie zielone litery oznajmiały: CAFÉ SPERLHOF.

Szofer, który swoim okazałym uniformem i lśniącymi oficerkami natychmiast zwrócił uwagę przechodniów, otworzył mi drzwi i wyciągnął rękę, aby pomóc mi wysiąść. Gdy postawiłam nogi na ziemi, śnieg zaskrzypiał mi pod stopami, a na twarzy poczułam ukłucie mroźnego powietrza. Małeńka staruszka zdołała się do mnie zbliżyć, skutecznie wymijając szofera. Na łokciu miała zawieszony wiklinowy koszyk, w którym tańczyło pół tuzina jabłek; kościstymi palcami, pokrytymi plamami, których nie były w stanie ukryć zniszczone mitenki, podała mi czerwone jabłko, lśniące jak lampka alarmowa na tym czarno-białym tle. Przyjęłam je z uśmiechem. Szofer, którego imienia nie poznałam, szybko rzucił jej kilka monet, żeby zaraz usunąć ją z drogi jednym pchnięciem. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na nią przez ramię: wbijała wzrok w moje plecy, a jej pomarszczona twarz wykrzywiła się w czymś w rodzaju rozanielonego uśmiechu. Nie wiem dlaczego, ale cała ta scena sprawiła, że zaczęłam się denerwować.

W lokalu dominował głównie zielony aksamit, stare drewno i zaśniedziały ze starości brąz. Lecz aromat kawy i ciepło stwarzały miłą atmosferę. Klientela nie była zbyt liczna: dwóch staruszków grało w karty, mężczyzna palił

fajkę przy piwie, młoda kobieta czytała gazetę, a po sali kręcili się kelnerzy.

Przestraszyłam się, czując, że ktoś obejmuje moją kibić.

Wyznaję ci, bracie, że ta kobieta mnie fascynowała, urzekała, oszałamiała zmysły i rozum.

Przypuszczam, że zagadka jej tożsamości, tajemnicze zachowanie oraz kolejne niespodzianki, jakie intuicyjnie przeczuwałem, pobudzały moją wyobraźnię i sprawiały, że moje zainteresowanie sięgało zenitu.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie wyczekiwałem spotkania. Nigdy wcześniej czas nie zatrzymał się tak jak wtedy, gdy ona weszła, szczegóły zdawały się następować po sobie jak leniwe wspomnienia. Nigdy wcześniej nie rozkoszowałem się tak chwilą: moja ręka na jej kibici, jej wzruszający przestach i głuche uderzenie o podłogę czerwonego jabłka, które wypadło jej z rąk i potoczyło się pod stoliki. Była spięta. Ja także.

Nie tracąc czasu, zaprowadziłem ją do zarezerwowanej salki na piętrze. Kiedy się tam znaleźliśmy, zaciągnąłem zasłony, żeby zapewnić nam odrobinę prywatności. Znowu poczułem jej bliskość. Musiałem przełknąć ślinę i powściągnąć irracjonalne pragnienie kochania się z nią, które dopadało mnie w najmniej odpowiednich sytuacjach.

– Napijesz się czegoś? – spytałem, pomagając jej zdjąć płaszcz i wykorzystując sytuację, żeby skrycie

powąchać jej pachnące brzoskwiniami włosy.

Zakląłem w myślach, podenerwowany tym, że podniecają mnie takie szczegóły.

– Proszę o kawę. Z mlekiem.

Przywołałem kelnera i zamówiłem kawę dla niej i whisky dla siebie. Kiedy wrócił z zamówieniem i zostawił nas samych, poprosiłem, żeby usiadła na wyściełanej aksamitem ławce za marmurowym stołem. Nie słuchając mnie, rzuciła od razu:

– Jesteś jednym z nich? Jesteś kalikamaistą?

– Nie.

– Więc dlaczego? Dlaczego wyciągnąłeś mnie stamtąd... z ceremonii? Dlaczego zamknąłeś w swoim domu?

– Wyciągnąłem cię stamtąd, żeby cię chronić. Chciałaś krzyczeć.

– Nie! Po prostu potrzebowałam powietrza.

– Zawsze zjawiasz się nie w porę i w najbardziej niebezpiecznych miejscach! W lochach Brunstriechu, w świątyni na Ottakringu... Musiałem się dowiedzieć dlaczego.

Spojrzała na mnie; jej spojrzenie było bardziej natarczywe niż słowa. A ja, tak jak się spodziewałem, stanąłem przed dylematem, czy dalej się ukrywać, czy też, nie zważając na podstawowe zasady bezpieczeństwa obowiązujące w mojej pracy, wyjawić jej prawdę. A prawda była taka, że jeśli chciałem się dowiedzieć, kim ona jest, musiałem jej coś w zamian ofiarować. Nie

uwierzyłaby w żadną historię, którą mógłbym wymyślić na tę okoliczność. Tego byłem pewien.

– Pracuję dla Secret Intelligence Service... – wyznałem w końcu, rozmyślnie lakonicznie, żeby sprawdzić jej reakcję i zdecydować, co mówić dalej.

– Rząd brytyjski.

Skinąłem głową, ale wydało mi się, że – choć starała się zachować obojętne spojrzenie – dostrzegam w jej oczach cień ulgi. Mnie też ulżyło. Niewiele osób wiedziało, co to jest Secret Intelligence Service, a jeszcze mniej, że to agenda brytyjskiego rządu. To, że ona zaliczała się do tej wąskiej grupy, wydało mi się dobrym znakiem.

– A ty? Bo raczej nie jesteś moją kuzynką Isabel de Alsasúa, prawda?

– Nie – zaprzeczyła z lekkim uśmiechem, jakbym przyłapał ją na podkradaniu czekolady w kuchni. – Twoja kuzynka mieszka w Argentynie, szczęśliwie zameżna ze swym dawnym narzeczonym, Fernandem de Ocón. Ma dwoje dzieci i ogromną hacjendę.

Zamilkła na chwilę i wydawało się, że straciła wątek lub że nie umie, nie chce dalej opowiadać. Nadal stała na środku małej salki, obojętnie patrząc na kawę.

– Lizka... – wyszeptałem, nie wiedząc dlaczego.

Uniosła oczy, zaskoczona.

– Dlaczego tak mnie nazywasz?

„Bo chcę cię nazywać tak jak nikt inny. Bo chcę się odróżnić od innych mężczyzn”.

Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem nie do końca szczerze:

– Podoba mi się to imię. Powiedz, jak naprawdę się nazywasz – rzuciłem z największą słodyczą, na jaką było mnie stać, żeby uciec od tego suchego przesłuchania.

– Nazywam się Isabel du Faure.

– Jesteś Francuzką?

– Nie. Hiszpanką... Du Faure to nazwisko mojego męża.

Męża?! Jest zamężna?! To niemożliwe! To wyznanie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba... dla mnie oznaczało jej utratę, frustrację, cudzołóstwo.

– Jesteś zamężna? – zdołałem wybełkotać.

Spojrzała na mnie bez słowa, potem podeszła do okna i utkwiała w nim puste spojrzenie. Stała odwrócona do mnie plecami, a ja wpadałem w coraz większą rozpacz, poddany torturze jej milczenia; dławiony obojętnością i odrzuceniem, którego czułem się ofiarą. Powiedz, powiedz mi, proszę, czy jesteś zamężna... Powiedz!

Jakże byłem głupi, nie zdając sobie sprawy, w zaślepieniu i egoizmie własnych uczuć, że przyniesienie mi ulgi nie jest jej celem. Miała rozpocząć wyznanie, tak, ale nie dla mnie. Wywód, do którego zbierała siły, był opowiadaną na głos historią własnego życia, przywracania sobie tożsamości, którą przez cały ten czas z wielkim wysiłkiem ukrywała.

– Byłam. Robert zmarł prawie pięć lat temu.

Ta sucha deklaracja była jak balsam na moją duszę.

Dopiero wtedy poczułem, że się pocę i boli mnie głowa – objawy strachu. Strachu przed niemożnością jej posiadania, dotykania, pragnienia. Strachu, że zgrzeszyłem. „Nie będziesz pożądał żony bliźniego swego”.

Ona zrobiła przerwę, jakby szukała słów. Wykorzystałem to, by odzyskać równowagę po tej ciężkiej próbie, jakiej zostało poddane moje pożądliwe i obłudne ja – byłem grzesznikiem o szczególnym podejściu do grzechu; byłem grzesznikiem wiktoriańskim, który byłby raczej zabił bliźniego, niż uwiódł mu żonę.

Nie pytaj mnie, jak to się stało, że w końcu zaczęła mówić. Nie pytaj mnie, czy się poruszała, czy stała nieruchomo; czy patrzyła na mnie, czy stała do mnie tyłem; czy się uśmiechała, czy była poważna... O nic mnie nie pytaj, bo pamiętam tylko opowiadaną historię. A kiedy o niej myślę, w każdym zakamarku mojej głowy rozbrzmiewa jej głos i słowa, które ona dozowała jedno po drugim.

– Urodziłam się w małym rybackim miasteczku w Kantabrii, na północy Hiszpanii, gdzie moja matka prowadziła pensjonat dla podróżnych, którzy coraz częściej pojawiali się w okolicy, przyciągani niedawnym odkryciem malunków naskalnych w jaskini w Altamirze. Ojciec był marynarzem, spędzał w domu zaledwie kilka tygodni w roku. A jednak część tego, kim jestem, ukształtowała się w jego cieniu, wśród wspomnień o nim. Obraz ojca, wyidealizowany oczami dziecka, zrodził się z

jego książek, fotografii z podróży, szczególnych przedmiotów, które wyciągał z kufra... i to prawdopodobnie już po jego śmierci: gdy dorastałam, a wspomnienia ojca i ślady jego życia nabrały dla mnie znaczenia. Bo miałam dziesięć lat, kiedy zabrało go morze i już nie oddało. Zostawiło nam po nim tylko czapkę; przyszła do nas pewnego poranka w kopercie z logo jakiegoś greckiego armatora. Jakże wtedy płakałam, wraz z wieloma innymi ludźmi, wśród których nie było mojej matki! Ona nie płakała, bo dla niej życie było pasmem zdarzeń zsyłanych przez Boga; a Bóg jest dobry, mawiała... Ręka boża zabrała mojego ojca i przywiodła do matki francuskiego kochanka... A może było odwrotnie. Nigdy nie byłam w stanie spamiętać sekwencji wydarzeń. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy zaczęła się przyjaźń matki z Francuzem, który pojawiał się w pensjonacie niczym gorliwy amant pod pretekstem, że jest miłośnikiem prahistorycznej sztuki Altamiry. To do jego dworku na przedmieściach Marsylii pojechała moja owdowiała matka pod pretekstem znalezienia nowej pracy: walizka w jednej ręce i dłoń jedenastoletniej dziewczynki w drugiej.

Monsieur Marcel, pod którego opieką wylądowałyśmy we Francji, był dobrze sytuowanym mieszczaninem, który zbił majątek na imporcie kauczuku z Dalekiego Wschodu. Był dobrym człowiekiem, zachowuję o nim miłe wspomnienia, rodzinne, bliskie i tkliwe. Ponieważ nie miał własnych dzieci, przelał na

mnie całą swoją czułość i oddanie. Traktował mnie jak córkę. Dopóki on żył, niczego mi nie brakowało: poświęcał mi uwagę, spełniał wszystkie moje zachcianki i na moje nieszczęście wysłał mnie do najlepszej szkoły w Marsylii, gdzie stałam się ofiarą najgorszego okrucieństwa, z jakim dziewczynki z klasy wyższej traktują te, których nie uważają za równe sobie, bez względu na to, kto za mną stał, nie przestałam być córką zwykłej służącej. Dotknęło mnie też inne okrucieństwo, skrywane i wyrafinowane, ze strony zdradzanej żony monsieur Marcela. I moja matka wpadła w tę pułapkę: pograżyła się w tej grze pełnej pasji i pogardy, jaką było małżeństwo Marcela, bo on nigdy nie zostawił swojej żony. Chociaż tak naprawdę uważam, że w końcu zabiła ją, podkopując jej zdrowie, bolesna świadomość, że jest grzesznicą, ten wyimaginowany palec wskazujący na nią bez przerwy: ogrzewasz łóżko żonatego mężczyzny w jego domu. Zabiło ją to, że była zbyt dobra. Chciałabym móc ją zapytać, w czym wtedy widziała rękę dobrego Boga... Może w tym, że po kilku miesiącach Parki odwiedziły również madame, i to w sposób groteskowy: zmarła po obżarciu się ostrygami z Cancalle, za którymi przepadała. Muszę wyznać, że kolejne trzy lata wspominam jako jedne z najszcześniejszych w moim życiu. Monsieur Marcel zabrał mnie z tej okropnej szkoły i wyruszyliśmy w podróż. Zwiedziliśmy całą Francję: Bordeaux, Lyon, Paryż... Potem Italię: Wenecja, Florencja, Rzym... Wszędzie odwiedzaliśmy muzea,

chodziliśmy do teatru i opery, spacerowaliśmy po ulicach i w każdym napotkanym sklepie monsieur Marcel zasypywał mnie prezentami. Planowaliśmy udać się do Grecji i Egiptu. Niestety, pewnej nocy śmierć zaskoczyła go we śnie. Miał na brzuchu książkę, spomiędzy kartek wypadło zdjęcie matki i moje na tle pensjonatu. Uśmiechał się. Myślę, że dlatego, iż wiedział, że się z nią spotka. Nie mogłabym wyobrazić sobie lepszej śmierci dla tego dobrego człowieka...

Dopiero po odczytaniu testamentu zrozumiałam, dlaczego Marcel nigdy nie odszedł od żony, żeby zamieszkać z moją matką: cały majątek należał do madame, której spadkobiercy z radością zabrali wszystko, zaczynając od rodzinnej rezydencji, o której opuszczenie uprzejmie mnie poproszono, dając mi w charakterze rekompensaty referencje do pracy jako dama do towarzystwa w Paryżu oraz zapisując mnie na kurs maszynopisania (no bo który porządny katolik zostawiłby na ulicy dziewczynę bez zawodu, dochodów i żadnej przyszłości?). Tak wyposażona wyruszyłam do Paryża, żeby podjąć pracę u panien Claire i Beatrice Blanchard, sióstr, starych panien pod siedemdziesiątkę, żyjących samotnie, z jedną służącą i hałaśliwą papugą, w wielkim trzypiętrowym domu przy Polach Elizejskich. Czas, który dla nich przepracowałam, minął bardzo spokojnie na spacerach po Ogrodach Luksemburskich, rozmowach przy herbatce, wyjazdach do Deauville letnią porą, lekturach przy kominku w zimie i, rzecz jasna, kursie

maszynopisania, po którym nastąpił kurs angielskiego, a potem niemieckiego – te ostatnie już na mój własny rachunek.

Panny Blanchard miały krewniaka, który studiował antropologię na Sorbonie i czasami, traktując to niemal jako akt miłosierdzia wobec samotnych staruszek, odwiedzał je w porze podwieczorku. Natychmiast po moim przyjeździe rzadkie odwiedziny młodzieńca stały się bardziej systematyczne, najpierw co miesiąc, później co tydzień, aż w końcu zaczął przychodzić codziennie. Biedak zakochał się we mnie jak sztubak, którym zresztą był. Początkowo jego stała, usługna obecność była mi absolutnie obojętna. Nie można powiedzieć, że był to mężczyzna wyjątkowej urody i o zniewalającej osobowości. W sumie nie można nawet powiedzieć, że był mężczyzną, raczej niezdatnym dzieciakiem o cherlawym wyglądzie. Złote loczki przydawały mu wyglądu cherubinka, a dzięki okrągłym okularom na pierwszy rzut oka zaliczano go do intelektualistów. Poza tym był wycofany i małomówny; nawet on sam nie miał o sobie zbyt wysokiego mniemania. Z upływem czasu, wraz z kolejnymi wizytami, polubiłam go. W końcu, poza papugą, był jedyną istotą poniżej siedemdziesiątki, która bywała w tym domu. Zaczęłam się przyzwyczajać do jego nieśmiałych rozmów, poczucia humoru i pełnych oddania spojrzeń; nawet za tym tęskniłam, gdy czasem się zdarzyło, że nie przyszedł. Nigdy jednak nie czułam do niego tego, co on do mnie, nigdy nie kochałam go w taki

sposób... Pewnego pięknego dnia, gdy skończył studia, otworzyła się przed nim możliwość prowadzenia badań dla Royal Society nad jakimiś plemionami w południowo-wschodniej Azji. Miał wyjechać do Indochin i spędzić tam trzy lata. Wiedząc, że rozłąka oznacza zapomnienie, Robert zdobył się na niespotykaną odwagę i poprosił mnie o rękę. Przebywałam wtedy w Paryżu u panien Blanchard już od dwóch lat. Moje życie płynęło zgodnie z rozkładem zajęć, dietą i rytmem staruszek, a Paryż ograniczał się do ich spacerów; mogłam co prawda dalej uczyć się języków, ale to już wcale nie było ekscytujące. Kiedy Robert powiedział mi o Indochinach, mój umysł, napełniony w dzieciństwie egzotycznymi opowieściami ojca oraz karmiony później podróżami i biblioteką monsieur Marcela, ożywił się w obliczu kuszącej przygody w dalekich krajach. Przypuszczam, że przyjął propozycję Roberta bardziej z chęci ucieczki od rutyny niż z prawdziwej miłości. O świcie 23 października 1907 roku wyciągnęliśmy z łóżka proboszcza kościoła Saint-Vincent-de-Paul w Marsylii, żeby dał nam ślub, rzecz jasna za plecami rodziny Roberta, która nigdy nie zgodziłaby się na ten ożenek. Świadkami byli stróż nocny imieniem Pierre i gosposia starego proboszcza, Marie. Już jako mąż i żona wyruszyliśmy na pokładzie statku *Tonkin* pływającym na trasie Marsylia–Sajgon–Jokohama.

Podróż była fascynująca. Przebyliśmy Wietnam, Kambodżę, Laos i Syjam, badając sposób życia i

zwyczaje plemion górskich i wyżynnych. Towarzyszył nam inny antropolog, Irlandczyk James O'Connor, biolog z Niemiec Hans Kreutzer i lekarz, Anglik Ian Shutter. Stanowiliśmy różnorodną grupę, którą jednak wspólna egzystencja uczyniła bardzo zżytą. Nie byłabym w stanie wymienić kultur, języków, sposobów życia i ras, które poznałam, ani jak bardzo byłam zauroczona tym tak odmiennym światem, którym z pychą cywilizowanego społeczeństwa gardzimy jako prymitywnym. Poza tym podczas tej podróży zaznałam innych doświadczeń, nieintelektualnych... James O'Connor był egzotyczną mieszanką Irlandczyka i Hinduski. Był synem żołnierza, mężczyzną nieustraszoną, zdecydowaną, awanturnikiem, rozgadany i czarującym. Fizycznie stanowił idealne połączenie zupełnie różnych ras. Przy swojej atletycznej budowie i egzotycznym wyglądzie był absolutnym przeciwieństwem Roberta. Ponadto był wobec mnie bardzo uprzejmy i starał się mi nadskakiwać. W końcu się zakochałam, a właściwie przyznałam, że byłam zakochana od początku; wreszcie zrozumiałam, jak czuła się moja matka... ja, która stale źle ją oceniałam, jakby ona była katem, a ojciec ofiarą... Wtedy jednak nie byłam żoną, tylko córką, a ojciec uosabiał magię, niczym fale przyływu wpadał do domu, z uśmiechem, miłością, pieszczotami i prezentami. Nie potrafiłam ocenić, czy zasłużył na to, by matka nie była mu wierna, ale byłam absolutnie przekonana, że Robert nie zasługiwał na moją niewierność, a skoro nie potrafimy zwalczyć budzących

się w sercu nieproszonych uczuć, mamy obowiązek je ukryć, tak by nikomu nie zaszkodziły. Robert mnie kochał, szanował, dbał o mnie, czcił; ja mu się poświęciłam i za nic na świecie nie zrobiłabym mu krzywdy. Jego ciało i tak wystarczająco cierpiało. Robert zapadł na malarię, na którą w mniejszym lub większym stopniu chorowaliśmy wszyscy, ale u Roberta, przy jego słabowitym zdrowiu, choroba objawiła się z większą mocą i bezwzględnością. Po miesiącach gorączkowych majaczeń przestał wymawiać moje imię... Zapadł w śpiączkę. Trwał w niej trzy długie dni, aż umarł w chacie pośród birmańskiej dżungli, przy wtórze miarowego śpiewu i wśród konwulsyjnego tańca plemiennego szamana ludu Karen. Trzymałam jego głowę na kolanach i cierpliwie ocierałam mu pot z twarzy. Cóż więcej mogłam zrobić? Już prawie go nie pamiętam; ledwie mogę przywołać w pamięci jego twarz... Ale wiesz? Umarł szczęśliwy, robiąc to, co najbardziej lubił, w miejscu, które sam wybrał, i u boku ukochanej osoby. A dopóki żył, nigdy go nie zdradziłam. Nie zrobiłam tego. Jeśli coś dręczy moje sumienie, to że jego koniec miał dla mnie słodko-gorzki smak: po śmierci Roberta James i ja ruszyliśmy własną drogą, drogą miłości, pasji i seksu.

Ekspedycja dalej przemierzała Nepal, Bhutan i część Indii. Tam, prowadzona za rękę przez Jamesa i jego indyjskich przodków, cieszyłam się trzema latami intensywnych przeżyć, które zupełnie zmieniły mnie i moje postrzeganie świata: nauczyłam się sanskrytu,

zaczęłam studiować hinduizm i buddyzm, owinęłam się sari, pomalowałam ręce henną i namalowałam bindi na mojej *adźna ćakra*. Zapomniałam o istnieniu Zachodu i że stamtąd pochodzę. Wierzyłam, że moje życie rozpoczęło się na zboczach Himalajów. To jednak była iluzja – wszystko się rozwiało. Ekspedycja i praca badawcza dobiegły kresu, więc mój związek z Jamesem doszedł do zasadniczego punktu, w którym należało podjąć decyzję: kiedy James został przyciśnięty do muru i przekonał się, że musi uczynić kolejny krok, zdarzyło się coś, co nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Otóż wyznał mi, że w Irlandii czekają na niego żona i troje dzieci. Był żonaty od piętnastu lat, a jego żona, katoliczka, nigdy nie dałaby mu rozwodu. O świcie, po nocy pełnej wyrzutów i łez, obudziłam się sama w małym hoteliku w Gnagtok, po indyjskiej stronie Himalajów. James wyjechał bez słowa pożegnania, zostawiając mi na poduszce kopertę z dwustoma funtami. Poczułam się nie tylko oszukana, zdradzona i rozczarowana, ale też brudna i żałosna, jakby musiał mi zapłacić za spędzony ze mną czas. Tego ranka spaliłam kopertę wraz ze wstrętną zawartością w hinduskiej świątyni, przed posągiem Śiwy. Postanowiłam wrócić do Francji i poszukać jakiejś pracy.

W Paryżu zmieniałam posady jak rękawiczki: sprzedawczyni, maszynistka, sekretarka... Ze wszystkich musiałam odchodzić, bo właściciel mnie osaczał, właścicielka nienawidziła albo kolega czynił mi niedwuznaczne awanse. Jedyłą pociechę znajdowałam w

studiach nad azjatyckimi kulturami, które prowadziłam na uniwersytecie. Był to sposób na podtrzymanie więzi z krajami, które mnie odmieniły... Po jakichś trzech latach w Paryżu, znużona i zrozpaczona ciągłymi zmianami pracy, dostałam nową propozycję. Doktor Pinault, prowadzący na Sorbonie katedrę z dziedziny nazywanej przez Francuzów i *Indiologie* i z zainteresowaniem śledzący moje studia, zdumiony moim oddaniem i pasją, zaproponował mi posadę asystentki. Nie wiedziałam, że profesor Pinault jest członkiem komisji doradzającej rządowi w sprawach Azji. Dlatego zaskoczyło mnie, że kiedy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zażyczyło sobie trzech ekspertów w tej materii, byłam jedną z osób wybranych przez profesora. Z kolei dla pracowników ministerstwa było zaskakujące, że utalentowany student I. du Faure jest kobietą. Ciągle pamiętam ich miny, kiedy przed nimi stanęłam... ta mieszanka zaskoczenia i rozczarowania, kiedy się zastanawiali, w co wbijać oczy – w papiery czy w mój biust. I kiedy już mieli się mnie pozbyć, choć przyznali, że nie tylko moje dokumenty są najlepsze, ale do tego mówię pięcioma językami, w tym po sanskrycku i po niemiecku, jeden z mężczyzn, który wydawał się tam najstarszy, z bujną białą brodą, zauważył, że to, iż jestem kobietą, może być korzystne, biorąc pod uwagę naturę misji, do której rekrutowano. „Jej zdolność uwodzenia może się okazać potężną bronią. Panowie, sami spójrzcie, wy też znajdujecie się pod jej urokiem... Pragniecie, żeby została”, powiedział. To

ciekawe, że później Borys Iljicz zobaczył we mnie dokładnie to samo. Jakkolwiek było, zaczęłam pracować dla rządu w tajnej operacji wymierzonej przeciwko sekcji opartej na hinduistycznych podstawach, która prowadziła działalność przestępczą na terytorium Francji. Po sześciu miesiącach szkolenia moim zadaniem stało się przeniknąć do sekty i zebrać jak najwięcej informacji. Wiedziano, że jeden z jej członków będzie spędzał Boże Narodzenie w Brunstriechu, więc wymyślono i zorganizowano całą tę maskaradę. Załatwili mi tożsamość Isabel Alsasui, żeby łatwiej mi było przeniknąć do kręgu osób zaproszonych, bez wzbudzania podejrzeń.

Nagle ucichła. Pamiętam, że poczułem wtedy niepokój, jakby skończył się atrament w piórze w połowie listu albo zgasło światło w trakcie lektury.

Cisza wyrwała mnie z tego snu; wróciłem do kawiarni i do niej. Lizka dalej patrzyła przez okno. Podczas gdy ja starałem się dojść do siebie po tym, co usłyszałem, ona usiłowała wrócić do rzeczywistości ze świata marzeń. W wybranej przez nią chwili, w ciszy, której nie miałem śmiałości przerwać żadnym komentarzem, bo mógłby się okazać boleśnie banalny, podeszła do stołu i usiadła obok mnie, w ogóle na mnie nie patrząc... Stwierdziłem, że ta panorama życia, którą nakreśliła, nie tyle była skierowana do mnie, ile stanowiła dla niej próbę pozbycia się ciężaru. Ja byłem tylko słuchaczem. Lizka upiła łyk kawy, która zdążyła już wystygnąć. Podałem jej więc szklaneczkę whisky, a ona

umoczyła w niej usta. Następnie przesunęła po wargach językiem, żeby zebrać ostatnie krople złotego płynu. Zadałem sobie pytanie, czy ona jest świadoma, jakim erotyzmem emanują wszystkie gesty, które z taką naturalnością wykonuje, ze zmysłowości wypływającej przez pory jej skóry, jakby chodziło o humory ciała.

– To ty zabiłeś Borysa Iljicza, prawda? – przerwała w końcu ciszę, umożliwiając mi wejście w jej świat.

– Nie.

– Ale widziałam, jak wychodziłeś z jego pokoju...

– To prawda, tamtej nocy byłem w jego pokoju. Ale kiedy tam wszedłem, już nie żył.

Moje wyznanie zbiło ją z tropu. Coś jej nie pasowało w obrazie śmierci Borysa Iljicza.

– Przed strzałem? Nie żył już przed strzałem?

Skinąłem głową i dałem jej kilka sekund na przyswojenie sobie tej informacji, po czym dodałem:

– Borys Iljicz był...

– Ottonem Krüffnerem, wiem o tym. Założycielem sekty kalikamaistów, ich ideologiem, najwyższym kapłanem i moimi drzwiami do nich... gdyby go nie zabito.

– Miałaś wejść przez Krüffnera? Wysoko mierzysz, nie uważasz?

– Może. Ale prawie mi się udało. Nigdy nie podejrzewałby kobiety. Byłam dla niego tylko małą dziewczynką targaną niepokojami, nad którą można roztoczyć opiekę, grudką gliny, którą można

wymodelować według własnego uznania... Wielka pokusa dla mężczyzny apostoła, takiego jak on, dla Pigmaliona. Poza tym, po co zaczynać na samym dole i bezsensownie marnować czas na pięcie się w górę hierarchii? Mogłabym zostać gdzieś po drodze.

Właśnie to się przytrafiło agentom, których Intelligence Secret Service zdołała wprowadzić do sekty – zostali po drodze. Może jej strategia była lepsza i rzeczywiście mogła się powieść tylko pod warunkiem, że realizuje ją kobieta.

– W takim razie... wpłynąłeś na policję, żeby uznała to za samobójstwo. Oni są marionetkami w twoich rękach. Jeśli nie po to, żeby cię osłaniać, to po co?

– Bo sprawa jak najszybciej musiała zostać usunięta z widoku i przejść w nasze ręce. Orzeczenie samobójstwa było najprostszym i najmniej brudnym sposobem osiągnięcia tego celu. A poza tym, żeby było jasne, nie mieliśmy żadnego interesu w tym, żeby zabijać Ottona Krüffnera, przynajmniej chwilowo. Dla nas był bardziej przydatny żywy niż martwy.

– A dokądże to miał was doprowadzić żywy Krüffner?

– Do...

Rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Wszystkie normy i procedury postępowania, podstawowe zasady, które kapitan Cumming wpajał nam dopóty, dopóki nie stały się instynktowne, nie pozwoliły mi mówić dalej. Zatrzymałem się. Zawahałem. I ona to zauważyła.

– To oczywiste, że ta rozmowa nie może trwać – westchnęła, po czym opadła na oparcie. Nagle wydała się zmęczona. – Chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do Paryża.

– Nie. Nie możesz wrócić.

Byłem kategoriyczny. Gwałtowny. Nie byłem sobą. Nawet ona wydawała się zaskoczona moją reakcją. Próba skorygowania tego byłaby jak poprawianie błędu ortograficznego nieestetycznym skreśleniem: kiepską fuszerką.

– Co by powiedziała moja matka, gdybyś nagle znikła? To znaczy... to znaczy, jak wrócisz do Brunstriechu, jeśli teraz wyjedziesz?

Wiedziałem, że jeśli wyjedzie, nigdy więcej jej nie zobaczę. A przecież nie miałem nawet pewności, czy wszystko, co mi opowiedziała, było prawdą. Ale nie mogłem pozwolić jej odejść.

– Możemy pracować razem – zasugerowałem. Moja propozycja była bardziej fortelem niż szczerą ofertą współpracy.

Lizka wstała i podeszła do okna. Zdałem sobie sprawę, że robi to zawsze, kiedy zamierza ode mnie uciec, kiedy potrzebuje dystansu.

– Na to muszą się zgodzić nasi przełożeni i ty świetnie o tym wiesz. Może proponujesz mi coś innego, a nie wspólną pracę? Najważniejsza jest racja stanu i nie możemy samowolnie podejmować decyzji.

– Racja stanu... – zastanowiłem się na głos. – Wiesz? Mój szef mówi, że szpiegostwo to gra dżentelmenów.

Bardzo się zdziwi, że uczestniczy w niej kobieta.

Ramiona Lizki lekko się zakołysały – zaśmiała się cicho.

– Czy dżentelmenów, to nie wiem, ale możliwe, że to gra. W której nieufność jest główną cechą zwycięzcy. Nie możemy się winić za ostrożność. To nasz obowiązek.

– Czego chcesz? Próby zaufania? – zapytałem, w jednej chwili żałując, że moje słowa są zbyt natarczywe.

Odwróciła się. Nie wydawała się wzburzona. Raczej spokojna.

– Nie. Tak naprawdę nie chcę niczego. Nie potrzebuję żadnych dowodów. Nie musisz mi mówić, że Krüffner miał cię zaprowadzić do jakichś ważnych dokumentów, bo ja to wiem i też mi na nich zależy. Nie musisz mi mówić, że rankiem, kiedy przyłapałam cię wychodzącego z jego pokoju, właśnie ich szukałeś. Bo po co innego byś tam chodził, skoro nie ty go zabiłeś. I nie musisz mi mówić, że ich nie znalazłeś, bo gdyby było inaczej, nie ukrywałbyś przede mną, że ich szukasz. Sam widzisz, że nie potrzebuję żadnej próby zaufania, bo nie musisz mi ufać.

Jej przenikliwość wprawiała mnie w zdumienie, a słowa rozbroiły. A najbardziej zawstydzające ze wszystkiego było to, że pod zbroją okazałem się nagi i musiałem z elegancją się tym pogodzić.

– Zostań, proszę. Oboje pojedziemy do Paryża i w ten sposób nikt nie ucierpi.

– Po co? Moja misja dobiegła końca. Miałam

przeniknąć do sekty. Krüffner był moim kontaktem, a teraz nie żyje. Po co miałabym zostawać?

– Bo w Brunstriechu jest klucz.

16 stycznia

Wyznaję ci, bracie, że po raz pierwszy w życiu przedłożyłem przyjemność nad obowiązek. Zrobiłem to, nalegając, żeby została, podczas gdy jedynym powodem było moje pragnienie.

A gdybym miał być zupełnie szczery wobec siebie, nie miałem żadnego powodu, by jej ufać. Nie miałem żadnej pewności, że jest agentką francuskiego wywiadu, tylko jej słowo; nawet nie wiedziałem, czy jest po mojej stronie. Mimo to zdecydowałem się z nią pracować – oznaczało to wyjawienie jej poufnych informacji i dzielenie się wynikami śledztwa. Wszystko po to, żeby nie odeszła. Kapitan Cumming prawdopodobnie powiesiłby mnie na lampie w swoim gabinecie w Whitehall, gdyby się o tym dowiedział.

W jednej sprawie byłem absolutnie nieugięty – nie chciałem zdemaskować Richarda Windfielda. Wyjawienie tożsamości agenta narażało na niebezpieczeństwo jego życie. Mogłem więc to zrobić wyłącznie za jego zgodą.

– A zatem wywiad francuski...

Gdy tylko wróciłem do Brunstriechu, zaraz się z nim spotkałem. Musiałem się z kimś podzielić ciężącą mi odpowiedzialnością. Po obiedzie, przy kominku i kilku

szklaneczkach whisky, zrelacjonowałem mu, co się stało i jaki obrót przyjęły sprawy. W jakimś stopniu chciałem mu się też zwierzyć.

Richard wysłuchał całego raportu bez mrugnięcia okiem: jak ją wyciągnąłem ze świątyni w Ottakringu, przetrzymałem u siebie w domu, jak mi wyjawiała swoją prawdziwą tożsamość i jak naciskałem, żeby została. Resztę szczegółów wolałem pominąć.

– A więc miałeś rację, to nie była żadna paranoja. A ja już myślałem, że zaczynasz wariować.

– Prawda jest taka, że oto stoję przed dylematem, którego nie potrafię rozwiązać. Jeśli pozwolę jej odejść, a ona mnie okłamała, nigdy więcej o niej nie usłyszymy. Jeśli zostanie i wprowadzimy ją w śledztwo, będę musiał jej wyjawić więcej szczegółów.

Zwykle tego nie robiłem, ale teraz zawołałem Ruma na swoją stronę kanapy. Kiedy pies się ułożył, zacząłem go drapać za uszami.

– Zatrzymaj ją wbrew jej woli. Masz już pewne doświadczenie – zasugerował Richard półzartem, po czym upił whisky.

– Jeśli tak zrobię, a rzeczywiście pracuje dla francuskiego rządu, nici ze współpracy. Jeśli jest tą, za którą się podaje, to by oznaczało, że mi się zwierzyła. A gdy się przekona, że jej nie ufam, poczuje się okropnie oszukana. Przysięgam, że nie wiem, co zrobić.

Richard podniósł się ciężko, żeby odstawić szklanekę na stół. Potem siedział z łokciami na kolanach,

wpatrując się w podłogę.

– Powiedz mi, Karlu, zakochałeś się w niej?

Mało brakowało, a zakrztusiłbym się whisky. A może w jakiś sposób okazywałem, że jestem zakochany? Moje słowa były obojętne, profesjonalne. Jestem przekonany, że ani razu się nie zdradziłem.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Richard dalej wbijał wzrok w podłogę. W milczeniu. Wydawało się, że oczekuje ode mnie czegoś więcej.

Umiałem kłamać. Robiłem to naprawdę dobrze: zdecydowanie, pewnie, wierząc we własne słowa. Byłem świadomy, że teraz brakowało mi owego zdecydowania i pewności. Problem w tym, że nie kłamałem, tylko starałem się ukryć prawdę – bezskutecznie. Czasem wydawało mi się, że seks zostawia widoczne ślady na skórze, jak działanie promieni słońca.

– Ale się z nią przespałem. – W końcu odezwało się sumienie.

Richard wyglądał jak myśliciel Rodina. Jego bezruch doprowadzał mnie do rozpacz. No już! Na co czekasz, żeby wybić mi zęby? Zasluguję na to! Wreszcie rozparł się na kanapie. Jego mina wyrażała złośliwość: wiedział, że mnie torturuje.

– Nie winię cię. Na twoim miejscu też bym to zrobił. Ale powiem ci, że ta przyjemność nie będzie wiele warta, jeśli teraz będziesz robił sobie z tego powodu wyrzuty. Że jesteś przeklętym zdrajcą? To już wiem. Nikt nie jest doskonały, poza mną, rzecz jasna. A jeśli chodzi o

kobiety... to są zwykłe, pospolite grzeszki. Będę z tobą szczery, Karlu. Uważam, że ona jest niesamowitą kobietą, magnetyczną, fantastyczną. Ale czy potrafisz sobie wyobrazić, jak przychodzę do matki (już ją poznałeś) i mówię: „Matko, oto kobieta, którą uczynię moją żoną. Oto pani du Faure, wdowa, kochanka, szpieg”? Sam widzisz, że tak naprawdę mnie nie zdradziłeś. A teraz nalej mi następną whisky, tyle jesteś mi winien za moje zrozumienie.

Podziękowałem Richardowi za to, że wybaczył mi z taką elegancją i poczuciem humoru. Podchodząc do stolika, żeby wziąć szklanę, spojrzałem na niego i oczami powiedziałem wszystko, co ubrane w słowa wydałoby się nazbyt cukierkowe. Pomiedzy nami była nieć porozumienia, ponad piętnaście lat współpracy, więc Richard potrafił odczytać moje spojrzenie.

– Myślę, że dobrze zrobiłeś, namawiając ją do powrotu do Brunstriechu – zaczął, kiedy napełniałem szklaneczki. – I sędzę, że jeszcze dziś powinniśmy zadzwonić do Londynu, żeby umówić pilne spotkanie w Paryżu. Mogę się tym zająć, jeśli nie masz nic przeciwko. Poza tym mógłbym wykorzystać sytuację i trochę o nią wpytać. Porozmawiam z naszym kontaktem we Francji.

– Ja tymczasem spróbuję zyskać na czasie. Jest jednak jeden problem. Jeśli chcesz z nami działać, będę musiał cię ujawnić. W przeciwnym razie zostaniesz w cieniu, dopóki nie dostaniemy oficjalnego potwierdzenia z Paryża. Nie ma potrzeby, żebyśmy obaj się narażali.

– Pozostać w cieniu? Nie ma mowy! Żadne ryzyko, nawet groźba śmierci, nie odciągnie mnie od takiej zabawy.

Pamiętam, ukochany, że w tamtej chwili myślałam tylko o ucieczce. Ale to pragnienie nie miało nic wspólnego z misją. Chciałam uciec od twojego brata. Nie chciałam pracować z kimś, kto zaciągnął mnie do łóżka.

A jednak przyznałam, że miał rację: jeśli teraz wyjadę, nie będę mogła wrócić do Brunstriechu. Sama zaprzepaściłam tę grę, której przygotowanie zajęło tyle czasu.

Pewne było też to, że w Brunstriechu znajdował się klucz do wszystkiego. A w całej tej sprawie był tylko jeden pewnik: miejsce ukrycia dokumentów, morderstwa Krüffnera i serce sekty kalikamaistów były ze sobą połączone. Karel i ja byliśmy podobnego zdania.

Przez całe popołudnie siedzieliśmy w jego gabinecie, starając się dopasować elementy łamigłówki. Było tak jak w dzieciństwie, kiedy wysypywałam na stół z pudełka setki elementów: trzeba je było wszystkie odwrócić, odszukać pasujące krawędzie i kąty, uporządkować według odcieni. Problem w tym, że ukryłam w kieszeni jeden istotny element i nikt tego nie zauważył. A jeśli brakuje jednej części, nie sposób ułożyć układanki.

Wyznaję ci, bracie, że czułem się niezręcznie w tej sytuacji. Zgodziłem się z Richardem, że postaram się

zyskać na czasie, nie budząc jej podejrzeń, ale okazało się to niezwykle trudne. Świadomość, że staram się tylko odwrócić jej uwagę, kiedy patrzyłem w jej piękne oczy, które rzecz jasna przywodziły mi na myśl jej ciało, a to budziło wszechogarniające pożądanie... czułem się żałośnie i wrednie.

Początkowo wyłożyłem to, co do czego nie miałem żadnych wątpliwości, że wiemy o tym oboje: fakty, żadnych domysłów; sprawy oczywiste, żadnych sekretów.

Nasza rozmowa była chłodna i zdystansowana; suche słowa, krótkie zdania, notes z listą rzeczy, punkt po punkcie, bez westchnień, bez uśmiechów, bez spojrzeń.

– We władzach sekty jest pięciu członków, zamaskowanych, noszących szaty w różnych kolorach: brązowym, białym, niebieskim, czerwonym i czarnym.

– To pańcabhuta, pięć żywiołów tworzących naturę. Prithiwi, Waju, Ap, Agni i Akaśa – dodała ona.

– Ziemia, powietrze, woda, ogień i eter – ograniczyłem się do przetłumaczenia.

– Krüffner był liderem.

– Eterem. Akaśa.

– Czarna tunika – uzupełniła.

– Krüffner nie żyje.

– Zamordowano go. I nie zrobiliśmy tego my. Ktoś miał z nim porachunki – zawyrokowała ona, ja milczałem.

– Sprawa Mikołaja...

– On też nie żyje – chciała zamknąć sprawę, a ja dla odmiany zamierzałam ją przeanalizować.

– Tak, Mikołaj nie żyje. Samobójstwo? Morderstwo? Przypadek? Jakiś związek z sektą? Z morderstwem Krüffnera?

Nie odpowiedziała na żadne z tych pytań. Nie padły żadne domysły ani wnioski; z jej strony panowało uparte milczenie.

Popołudnie było długie i niezbyt zwawo zmierzało w stronę wieczoru. Z każdą upływającą chwilą coraz bardziej się obawiałem, że ona zda sobie sprawę z miałości moich słów. Gdy nadeszła pora kolacji, przy lekkiej przekąsce, którą kazałem podać w gabinecie, postanowiłem trochę odważniej podejść do sprawy i spróbować wyciągnąć od niej, co wie.

– Krüffner był przywódcą, tylko tyle wiemy. Gdybyśmy mogli się jakoś dowiedzieć, kim są pozostali...

Zastawiałem na nią pułapkę i gdy wypowiadałem te słowa, przyszło mi do głowy, że mój język rozdzielił się na końcu i syczę jak wąż.

– Jednego chyba znamy. To Mikołaj, prawda? – rzuciła, jakby to było oczywiste, jakby uznała, że to wiem, ale może się rozkojarzyłem.

Niewinność jej reakcji zachęciła mnie, żeby zrobić jeszcze jeden krok.

– Dlaczego sądzisz, że Mikołaj był jednym z nich? Skąd możesz to wiedzieć?

W jednej chwili stała się podejrzliwa. Z kawałkiem tosta na widelcu spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Stąd, że Mikołaj miał znak na piersi.

– Przywódcy dla bezpieczeństwa nie są naznaczeni...

Co nie wyklucza możliwości, że dostał się do władz, zastępując kogoś innego. Nie powinniśmy wykluczać niczego.

– Mikołaj był jednym z nich. I ty o tym wiesz. W co my gramy, Karlu?

– W grę dżentelmenów – rzuciłem pogodnie, żeby złagodzić jej coraz większe rozdrażnienie.

Jednak Lizka obrzuciła mnie ponurym spojrzeniem, w którym bynajmniej nie było słabości. Wstała i rzuciła serwetę na stół, sztucce brzęknęły o talerz.

– To żałosne!

– Co? Dlaczego mam coś wiedzieć o Mikołaju? – broniłem się rozpaczliwie w obliczu jej gniewu.

– Masz mnie za idiotkę? Sam przyznałeś, że widziałeś mnie w podziemiach Brunstriechu. Tak jak ja, byłeś świadkiem ich spotkań. Patrzyłeś, jak płonie brązowy Prithiwi. Widziałeś poparzone ręce Mikołaja...

Otworzyłem usta, żeby coś wyjaśnić, ale nie pozwoliła mi dojść do słowa.

– Uważasz, że się nie zorientowałam, w co ty grasz? Prowadzisz przesłuchanie w białych rękawiczkach. Proszę, nie przerywaj! Wczoraj proponowałeś mi próbę zaufania, lecz nie sądzę, żebyś był do niego zdolny.

Ja też wstałem. Odnosiłem wrażenie, że siedząc przy stole, z serwetką na kolanach, zajmuję gorszą pozycję w tym starciu, które chciałem przerwać, wymachując białą

flagą.

– To nie tak. Osobiście ci ufam. Ale musisz zrozumieć moją sytuację: nie działałam sam. Otrzymuję rozkazy, tak jak ty. I nie znoszę wypełniania poleceń wbrew swojej woli, ale tak już musi być, żeby cała machina funkcjonowała.

– Przykro mi, ale nie rozumiem. Moja machina działa inaczej. Są sprawy, w których sama podejmuję decyzję, jak na przykład powrót do Brunstriechu.

– Jeśli nie rozumiesz, to przynajmniej uwierz, że całkowicie ci ufam. Znam cię i wiem, że...

– Nie! – wybuchła. – Ty nic nie wiesz! Mówisz, że mnie znasz? Uważasz, że przespanie się ze mną daje ci do tego prawo? No więc się mylisz! Nic o mnie nie wiesz!

– Posłuchaj, Lizko. Ja...

– To ty posłuchaj! Chcesz się dowiedzieć, i tyle! Tylko to cię interesuje! Chcesz zdobyć więcej informacji?! Chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć?! No to masz swoją prawdę: To ja! Ja zabiłam Mikołaja Zagoronowa!

– Co?

Policzek nie zrobiłby na mnie większego wrażenia. Nie sparaliżowałby mi ciała i umysłu.

– Już nie musisz udawać, że nocami starasz się rozwikłać zagadkę jego śmierci! Nie musisz już zapisywać w swoim notesiku, czego nie wiesz i co wiesz! Nie musisz zastawiać na mnie pułapek! To byłam ja! Czy to dla ciebie wystarczająco jasne?! Ja wycelowałam

dokładnie w głowę tego zwyrodnialca! Ja pociągnęłam za spust i skończyłam z tym gnojem, który mnie zgwałcił! Na zawsze zamknęłam jego wredną mordę!

Gdy słuchałam, jak wrzeszczy niczym oszalała, przewijały mi się przez głowę brutalne obrazy, jak karty rzucone na dywan: ona celuje z pistoletu, może nieruchomą ręką, może drżącą; pociąga za spust, może pewnie, może z przerażeniem; patrzy na trupa, może obojętnie, może wzburzona. Mikołaj pokonany przez kobietę, której nie docenił. Mikołaj półnagi przeżywa swoją hańbę. Mikołaj klęczy, rozplęwa się w pokornych błaganiach, łka i się trzęsie; a może wyprostowany i chłodny, pyszny do samego końca, mierzy ją od stóp do głów lodowatym wzrokiem... Te obrazy były dla mnie udręką. Nie. To nie mogła być ona. Morderstwo to najgorszy grzech. Ja jestem grzesznikiem, ale ona... Lizka to moja bohaterka!

– I wiesz, co czułam?!

Nagle opadła na kanapę, jak złamane drzewo, i wybuchnęła płaczem. Histerycznym i żalonym. Oczyszczającym. Było tak, jakby wyplakiwała wszystko, co się nagromadziło w jej duszy powinna się pozbyć: konieczność ukrywania swojej tożsamości, samotne zakradanie się do ciemnych lochów, pościg w ciemności, gwałt i zagrożenie życia... konieczność zabijania.

Podszedłem do niej powoli i położyłem rękę na jej plecach wstrząsanych spazmatycznym szlochem, z delikatnością, z jaką dotykałbym bardzo kruchego

przedmiotu. Lizka przytuliła się do mnie, jakby szukała schronienia przed światem, drżała i kulila się; trzęsła się ze strachu i wstydu.

Tak. Lizka była moją bohaterką.

Echo wystrzału. Głuchy łomot upadającego ciała. Przerazająca cisza, która następuje potem. Zrozumiałem, że to będzie ją dręczyć do końca życia, tak jak mnie. Mogłem zrozumieć jej przewiny.

Prawdopodobnie Lizka mnie nie słuchała, lecz ja szeptałem do niej, gładząc ją miarowo, był to raczej masaż niż pieścizota:

– Wiem. Doskonale wiem, jak się czujesz... Już dobrze. Zrobiłaś to, co musiałaś. Zrobiłaś to, co musiałaś.

Tamtej nocy odprowadziłem ją do jej pokoju. Powolnym krokiem, ze spuszczoną głową, bez słów. Gdy stanęliśmy na progu, znowu się do mnie przytuliła; wsparła głowę na mojej piersi i gładziła ją ręką, jakby chciała coś wyczuć pod koszulą.

– Ty też nie masz znaku.

– Jak dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent ludzi na świecie – odpowiedziałem, bo musiałem coś powiedzieć.

Tak naprawdę jej uwaga nie miała dla mnie znaczenia, byłem za bardzo podniecony jej dotykiem, jak chłopak, który zaczyna odkrywać świat cielesnych przyjemności.

– Nieufność jest główną cechą zwycięzcy, nie zapominaj.

Słowa, słowa i jeszcze więcej słów rozbrzmiewało w moich uszach, nie mając żadnego sensu. Dotyk Lizki stopniowo ogarniał wszystkie moje zmysły. Było to jak krzesanie iskier.

Płonąc, pocałowałem ją w usta.

– Pozwól mi zostać z tobą dziś w nocy – poprosiłem.

Lizka odwróciła się na pięcie, weszła do pokoju i zostawiła otwarte drzwi.

Pamiętam, ukochany, że tamtej nocy sumienie przestało mi szeptać do ucha, jak zawsze gdy zamykałam oczy. Wtedy, po wielu nieprzespanych nocach, moje sumienie zasnęło razem ze mną. A jeśli się budziło, szukałam ramienia twojego brata.

– Wszystko w porządku? – pytał.

– Teraz tak – odpowiadałam i znowu zasypiałam.

17 stycznia

– Chciałabym wrócić do pokoju Krüffnera – poprosiłam twojego brata następnego dnia.

Z chłodniejszą i bardziej spokojną głową utwierdziłam się w swym przeczuciu.

W sypialni Ottona Krüffnera – alias Borysa Iljicza – w Brunstriechu wszystko wyglądało tak samo jak w noc zabójstwa: jego rzeczy nie zostały usunięte z szaf; łóżko było rozgrzebane, tak jak pozostało po zabraniu ciała; łazienka nieposprzątana, kurze niepościerane, a podłoga

niezamieciona; nawet pachniało jego wodą kolońską... Poza tym pokój był taki sam jak pozostałych gości. Przestronny, z wielkim łóżkiem przy oknie balkonowym, szafką nocną, biurkiem, szafą, toaletką, dwoma fotelami i stolikiem przy kominku. Gustownie ozdobiony, udekorowany kwiatami, wyposażony w światło elektryczne, bieżącą wodę i centralne ogrzewanie.

Wiedziałam, że Karlowi kończy się cierpliwość. Siedzieliśmy tam zamknięci od ponad godziny, którą ja spędziłam na mierzeniu, zastanawianiu się nad trajektorią kuli i odległością, z jakiej padł strzał, przeglądaniu szaf, biurka, szuflad, łazienki, zaglądaniu pod łóżko...

– Wszystkie te dane masz w raporcie policyjnym. Będzie lepiej, jeśli przejrzymy go razem z Richardem. On jest ekspertem od spraw kryminologicznych – powiedział twój brat.

Weszłam na krzesło, żeby sprawdzić szczyt szafy. Był czysty, jak cała reszta pokoju. Zeskoczyłam na podłogę, korzystając z jego pomocnej ręki. Skoncentrowałam się, żeby nie popaść w desperację, przywoływałam szczęście, szukałam inspiracji.

– Pewna starożytna indyjska legenda mówi – zaczęłam – że na początku czasów wszyscy ludzie byli bogami...

Karel patrzył na mnie zaintrygowany i sceptyczny zarazem, nie pojmując, czego się spodziewać.

– Lecz popadli w pychę. Dlatego też Brahma, pan wszystkich bogów, postanowił odebrać im boską władzę.

Problem się pojawił, gdy trzeba ją było schować. „Ukryjmy ją w najgłębszej ziemskiej otchłani”, zaproponował jeden z niższych bogów. „Nie. Człowiek będzie kopał i ją znajdzie”, sprzeciwił się Brahma. „W takim razie trzeba ją ukryć na dnie morza”, powiedział drugi. „Nie. Człowiek jest przebiegły. Wcześniej czy później zanurkuje i ją znajdzie”. Zrozpaczeni bogowie uznali wreszcie: „Nie ma miejsca na ziemi ani w morzu, gdzie moglibyśmy ją schować, bo człowiek wszędzie dotrze”. Wtedy mądry Brahma rzekł: „Jest pewne miejsce, gdzie człowiek nigdy nie będzie szukał: w samym sobie...” W samym sobie – powtórzyłam w zamyśleniu.

Przez kilka sekund, w milczeniu, które uszanował nawet Karel, rezygnując na chwilę ze swoich komentarzy, rozważałam to zdanie, mając nadzieję znaleźć w nim jakąś wskazówkę.

– Jaki jest sposób na wejrzenie w siebie zgodnie z hinduistyczną tradycją?

– Medytacja? – zauważył Karel, niezbyt przekonany.

– No właśnie, medytacja. A sposobem medytacji jest joga. „Należy udać się w odludne miejsce, położyć na ziemi trawę kuśa, przykryć ją skórą jelenia i miękkim sukniem. Siedzenie nie może być ani za wysokie, ani za niskie...” – zacytowałam *Bhagawadgitę*, krążąc po pokoju. – Ten dywan... U mnie leży przy łóżku, tutaj ktoś go przesunął pod ścianę.

– Od tamtej nocy nikt tu niczego nie ruszał.

Usiadłam na dywanie i podniosłam spódnicę, żeby

mi nie przeszkadzała, zaczęłam przyjmować pozycję kwiatu lotosu.

– To jest asana medytacji: nogi skrzyżowane w kostkach, kolana oparte o ziemię, wyprostowane plecy i broda pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do szyi. Ręce na kolanach, z dłońmi odwróconymi wewnątrz ku górze, palec wskazujący i kciuk złączone w chin, żeby poprawić koncentrację... Oczy zamknięte i spojrzenie wewnętrzne w adźna ćzakrze, pośrodku czoła – wyszeptałam, po czym pograżyłam się w milczeniu.

Po kilku sekundach powoli uniosłam powieki: mój wzrok natrafił na gładką, pustą ścianę. Przeniosłam spojrzenie w górę, tam gdzie wskazywały moje palce w mudrze: pusty, gładki sufit.

– To bez sensu! – wyrzuciłam z siebie zdesperowana.

Zwróciłam oczy na Karła, spodziewając się z jego strony skarcenia lub pogardliwego komentarza. Byłam gotowa mu na to pozwolić.

Twój brat siedział sztywno wyprostowany. Patrzył na mnie, ale wydawało się, że mnie nie widzi ani nie słyszy. Zrobił kilka kroków, bardzo powoli, stanął pomiędzy moimi kolanami, otwartymi jak skrzydła motyla. Przyglądał mi się z góry: miał niemal przymknięte oczy, moje zaś były szeroko otwarte, bo patrzyłam w górę. On wydawał się poważny, może wzburzony, ja – zaskoczona, przestraszona. Cisza sprzyjała tej wzajemnej kontemplacji, skłaniała do przeciągania tej dziwnej rozkoszy, podniecania umysłów jakby w drodze telepatii.

Karel klęknął. W moich oczach odbiły się pragnienie i żądza lśniące w jego stalowych tęczęwkach. Położył swe wielkie dłonie na moich rękach i niszcząc mudrę, splótł swoje palce z moimi. Dotknąwszy moich ust wargami, delikatnie mnie całował, rozkoszując się tym, rozpalając. Powoli przesunął ręce na moje uda, usuwając po drodze wszystkie przeszkody. Poczułam, że jego palce wsuwają się do moich *culotte*; delikatny nacisk niczym wyładowanie elektryczne wstrząsnął moim ciałem. Jęknęłam z rozkoszy, co oznaczało kapitulację: nieodwołalnie poddałam się szalonej miłosnej gorączce na podłodze pokoju, w którym popełniono zbrodnię.

Nie mam zamiaru cię torturować, ukochany. Nie chcę cię ranić, lecz uzmysłwić ci, że tamto było dla mnie grą; grą erotyczną, fizyczną przyjemnością, cielesną rozkoszą... Grą, w którą grałabym z każdym, bo zaspokajała mnie ona sama. Tak to się zaczęło, ukochany. Jako gra. Ale nie pytaj mnie, kiedy przestała nią być. Nie znam odpowiedzi.

Wyznaję ci, bracie, że nawet się przestraszyłem. Chociaż w tamtym czasie nie zdawałem sobie sprawy z siły swoich uczuć do niej, już pojawiały się pierwsze symptomy: permanentne podniecenie spowodowane samą jej obecnością, cielesne oznaki pewnego umysłowego chaosu: mrowienie, drżenie, zawroty głowy, duszności, ból... Objawy uzależnienia, których nigdy wcześniej nie miałem: pragnienie alkoholika, cierpienie morfinisty.

Bo ona była jak narkotyk, zapewniam cię. Zapadałem się w stan kojącej półświadomości; napełniała mnie szczęściem i znużeniem właściwym pierwszemu stadium pijaństwa; była balsamiczna i terapeutyczna... chociaż szkodliwa w swej uzależniającej istocie. Dlaczego stała się moją obsesją? Dlaczego przy niej nie byłem w stanie poskromić swych instynktów? Skąd ten bolesny zespół abstynencji, kiedy nie było jej w pobliżu?

Ja, który zawsze miałem przesadne skrupuły w sprawach miłosnych; planowałem spotkania, skrupulatnie wybierałem kobiety i nie dopuszczałem innej scenerii niż łóżko z czystą pościelą, trwałem wtedy zanurzony w wirze pasji, w którym wszystko, co nie było miłością z nią, gdziekolwiek, kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób, nie miało sensu. To była tortura, obłąd, niepohamowane seksualne szaleństwo, niegodne mężczyzny takiego jak ja.

Wyglądała jednak tak pięknie w pozycji kwiatu lotosu. Bardziej niż kiedykolwiek wydawała się boginią o pięknym obliczu; oczy przygaszone i twarz emanująca spokojem; dłonie elegancko ułożone i rozchylone nogi, pokazujące mi drogę... Nie mogłem się powstrzymać. Ja, ja! Nie mogłem się powstrzymać.

Jej głos przywrócił mnie do rzeczywistości; jej ciało przy moim, wyciągnięci na dywan, na wpół rozebrani. Delikatnie gładziłem jej plecy, żeby zaspokoić własne pragnienie jej skóry.

– Twoje małżeństwo z Nadią...

– To tylko interesy – rzuciłem szybko, nie czekając,

aż ona dokończy.

Nie pytała więcej, ale ja czułem potrzebę wyjaśnień.

– To fundamentalna część tajnego paktu o nieagresji pomiędzy Rosją i Austro-Węgrami. To pieczęć, dowód zaufania pomiędzy tymi narodami, które oddają na małżonków swoje ukochane dzieci. Podpisano go przed dwoma laty w Szkocji. Byłem tam. Sam to zaproponowałem...

Przypomniałem sobie tę deszczową noc w zamku Brechin, gdzie ukryty za fałszywą tożsamością byłem świadkiem, jak ministrowie składali podpisy na dokumencie, który sam zredagowałem. Wtedy byłem absolutnie pewien, że to najlepsze, co można zrobić.

– Nadia jest krewną cara Mikołaja, a ja cesarza Franciszka Józefa. Tym gestem Rosja pokazuje, że nie będzie ingerować w sprawy Austro-Węgier na Bałkanach, a Austro-Węgry ze swej strony nie będą się wypowiadać w kwestii polskiej. Gdy zawrzemy małżeństwo, zostaniemy koronowani na królów Polski w ramach rosyjskiej monarchii.

Uniosła twarz, do tej pory spokojnie spoczywającą na mojej piersi, i wbiła we mnie wzrok.

– Naprawdę uważasz, że dzięki temu uda się uniknąć nieuniknionego?

– Chodzi ci o wojnę? Nie wiem... – wyznałem.

O ile dwa lata wcześniej miałem pewność, że moje poświęcenie nie pójdzie na marne, o tyle teraz nie byłem już co do tego przekonany. Wojna stała się swego rodzaju

areną dla narodów zatrutych nacjonalizmem. Może nie było odwrotu i mój gest zawiśnie w próżni. Ale jeśli można było coś zrobić, żeby konflikt trwał tygodnie zamiast miesiące lub lata, warto było w to brnąć.

W czasach, kiedy pacyfizm był uważany za hańbę i tchórzostwo, niektórzy z pewnością przypięliby mi łątkę pacyfisty. Może i nim byłem... wiedziałem, że w moich żyłach płynie krew walecznych wojowników, ale także przebiegłych dyplomatów. Ceniłem szlachetną sztukę wojenną, kiedy widziałem mapy upstrzone malutkimi flagami w rządowych kancelariach, ale miałem też okazję spojrzeć prosto w czarne oblicze wojny: zagłodzone sieroty, wdowy, zgwałcone kobiety, mężczyźni tak okaleczonych, że śmierć byłaby dla nich lepsza. Podziwiałem waleczność i szlachetność ducha wojownika, który bez wahania chwyta za miecz, żeby walczyć o swoje ideały, ojczyznę, rodzinę, ale nie znosiłem nikczemnego najemnika, padlinożercy, który z wojny i jej nieszczęść czyni dochodowy interes. Nawet optowałem za wojną jako uczciwym działaniem obronnym, gdy zawiodą inne mechanizmy, nabrałem jednak również smutnego przekonanie, że wojna jest w większości wypadków najwyższą ceną, jaką społeczeństwo płaci za źle pojmowany honor swoich przywódców.

Pamiętam, ukochany, że chciałam mu mówić o niepotrzebnym poświęceniu. Dlaczego jednak uznałam, że ślub z Nadią będzie dla niego poświęceniem? Była piękną

kobietą, wykształconą, arystokratką, spolegliwą i dyskretną – doskonały materiał na żonę. Czy powinnam być zaskoczona, gdyby się okazało, że Karel jest w niej zakochany?

Poza tym to w ogóle nie powinno mnie interesować. Nigdy nie ciekawiło mnie życie intymne ani uczucia mężczyzn, z którymi sypiałam.

Nie chodzi o to, że nienawidzę mężczyzn, ale prawda jest taka, że od mojego powrotu z Indii przedsięwzięłam prywatną krucjatę przeciwko nim. Byłam okrutna i bezwzględna w relacjach z nimi i wywierałam swoją zemstę, patrząc na ich rozczarowane, smutne twarze. Ja tylko spędzałam z nimi noce, bawiłam się i żegnałam z nadzieją, że nigdy więcej ich już nie zobaczę. Tak powinno być. Chciałam myśleć, że tak powinno być.

Unikając introspekcji, wróciłam do banalnego przyglądania się temu, co mnie otacza, i cieszyłam się chwilą zaskakującego spokoju pośród wiru wydarzeń. Tylko we dwoje, nie mając nic lepszego do roboty, niż starać się zrównać rytm naszych oddechów; pozwalałam się kołysać jego lekko unoszącej się piersi, śledziłam w myślach pieśczętę jego palców na moich plecach...

A jednak niespokojny umysł nie wytrwa zbyt długo w stanie miłego rozkojarzenia. Nagle moje mięśnie stężyły i gwałtownie podparłam się na łokciach.

- Co się dzieje? – zapytał Karel przestraszony.
- Lustro.
- Lustro?

Wstałam i podeszłam do dużego lustra na ścianie przy szafie, jednocześnie mechanicznie zapinając guziki bluzki.

– Jak mogłam być tak głupia?! W samym sobie... To oczywiste!

Stałam przed lustrem i zobaczyłam w nim swoje odbicie, nieco nieporządne po miłosnym akcie. Karel także wstał i patrzył na mnie zbity z tropu.

– Oto ja sama; i ty sam, a także sam Krüffner, kiedy przeglądał się w lustrze. W swoim wnętrzu... – Uniosłam lustro z jednej strony, a Karel pospieszył do mnie i pomógł mi z drugiej.

Z tyłu zwierciadło było podklejone grubym papierem, jakby papirusem, bardzo niedawno przytwierdzonym do ramy. Bez wahania go zerwałam.

– W swoim wnętrzu... znajdziemy ukryty skarb boskości.

Tryumfalnie spojrzałam na książkę o czerwonej okładce przyklejoną z tyłu do lustra, pomiędzy rusztowaniem ramy.

– O cholera! – wyszeptał Karel.

– Pomóż mi je zdjąć, szybko!

Ostrożnie ściągnęliśmy lustro ze ściany, a twój brat nie posiadał się ze zdumienia.

– Setki razy przeszukiwałem ten przeklęty pokój! Sam zdejmowałem to lustro! Ale nie przyszło mi do głowy sprawdzić... pod papierem.

– Trzeba poszukiwać w swoim wnętrzu. Przewidzieli

to bogowie: człowiek nigdy tam nie zajrzy.

– Bogowie nie wzięli pod uwagę, że kobiety lubią myszkować.

Gdy położyliśmy lustro na podłodze, wyciągnęłam tę dobrze schowaną książkę. Miała twardą okładkę z czerwonej skóry, na której wytłoczono literę K i węża. Przesunęłam ręką po skórze, delikatnej, czystej i lśniącej, i spojrzałam na Karła, jakbym czekała na jego aprobatę, żeby książkę otworzyć. On ponaglił mnie niecierpliwie.

Po pierwszej pustej stronie pojawiły się rzędy ładnego pisma wydrukowanego czarnym atramentem.

– To sanskryt – powiedziałam cicho. Potem zaczęłam recytować, tłumacząc na bieżąco: – „Zebrawszy się dwudziestego dnia dziewiątego miesiąca trzydziestego roku od przyjścia Kali-Kamy, pochwalone niech będzie Twoje Boskie Imię, święty pańcabhuta...”

Zatrzymałam się, bo uznałam, że to czysta retoryka. Przed powrotem do lektury chciałam zyskać ogólną wizję, a zatem jełam kartkować tekst. Gdy dotarłam mniej więcej do połowy, coś zwróciło moją uwagę.

– Zobacz. Niektóre strony zostały wyrwane. – Przesunęłam palcami po zszyciu w wewnętrznej części stron. Widniały tam postrzępione resztki papieru. W ich miejscu ktoś zostawił kartkę starannie złożoną na pół. – Wiadomość... Też w sanskrycie.

– Co mówi?

– *Arjaman, jady apyete na paśyanti lobhopahata-cetasah, kula-kśayakritam dośam mitra-dohe*

ca patakam.

Karel spoglądał na mnie przygnębiony. Z uniesionymi brwiami czekał, aż go oświecę.

– I co?

– To zdanie z *Bhagawadgity*.

– Znasz ją na pamięć?

– Prawie – odpowiedziałam z uśmiechem próżności.

– To znaczy mniej więcej: „Ludzie ci, opanowani przez chciwość, nie widzą niczego złego w zabiciu rodziny ani w kłótni z przyjaciółmi”. To słowa skierowane do Arjamana, mojego bliskiego przyjaciela.

Karel się zamyślił.

– Borys... Krüffner lubił cytować *Bhagawadgitę*, żeby zilustrować swoje przekonania. To było dla niego typowe – dodałam.

– Przypuszczam, że to zdanie ma jakiś sens dla osoby, do której jest skierowane...

– A brakujące strony? – zapytałam, gładząc postrzępiony papier.

– Może ta osoba je wyrwała albo zrobił to sam Krüffner, zostawiając w zamian tę notkę, jako swego rodzaju żart. A może nawet jest to skierowane do nas, przecież szukałem tej książki.

– Ale mówi o kłótni... Może reszta tekstu rzuci nieco więcej światła na tę sprawę. Mamy jeszcze kilka godzin do spotkania z Richardem – powiedziałam, kątem oka zerkając na ścienny zegar. – Możemy pójść do mojego pokoju i spróbować to przetłumaczyć. Będę potrzebować

słownika.

Zebrawszy się dwudziestego dnia dziewiątego miesiąca trzydziestego roku od przyjścia Kali-Kamy, pochwalone niech będzie Twoje Boskie Imię, święty pańcabhuta. Otrzymaliśmy od Ciebie, o piękna Kali-Kamo, dawczyni życia i posłanniczko śmierci, początku i kresie wszech rzeczy, Twoje błogosławieństwo i błagamy, byś zechciała nas obdarować wiedzą, abyśmy mogli dokończyć naszą świętą misję, oraz determinacją, byśmy nie osłabli w długiej drodze.

Dzień hekatomby jest już bliski. Kalijuga dobiega kresu.

Nadchodzi chwila, gdy wypełnią się Twe boskie wskazania, ludzkość zostanie uwolniona z łańcuchów. My, twoi wybrańcy, odrodzimy się na nowy ranek czystości ducha. Gdyż nie masz życia bez śmierci ani też śmierci bez życia, oto nadszedł czas dopełnienia cyklu – życia w Tobie, ukochana bogini, życia wiecznego.

Wierni i oddani Tobie, jesteśmy przygotowani, o Kali-Kamo, na ostateczną śmierć i odrodzenie się jako w pełni oczyszczone dusze.

Ty, która posiadasz nieskończoną wiedzę i panujesz nad naturą; Ty, która rządysz wiatrami i morzami; Ty, która uciszasz burze i razisz piorunem; Ty, która rzucasz słoneczne światło i emanujesz zimnem śniegu, oświeć nas swoim boskim światłem, abyśmy pokonali przeszkody stojące nam na drodze.

Tobie poświęcamy broń hekatomby, broń odrodzenia

po śmierci; oddajemy Ci broń noszącą Twoje Święte Imię zniszczenia, o wszechpotężna Kali-Kamo. Oto owoc Twojej boskiej inspiracji, przyjmij go i wydobądź z naszych pokornych umysłów wiedzę, której potrzebujemy, aby dopełnić cyklu i wypełnić Twoją wolę.

Tobie się polecamy, bądź błogosławiona, Kali-Kamo. Zechciej przyjąć błagania Twych pokornych sług. Koniec kalijugi już nadchodzi. Niech się tak stanie.

Om, om, om... Kali-Kama!

W zaciszu gabinetu Karla, w towarzystwie Ruma, który jak zwykle drzemał przy kominku, daleki od spraw, o których się tam rozprawia, sposób czytania Richarda, przy tym jego przekomicznym brytyjskim akcencie, wydawał się raczej śmieszny niż stosownie poważny. Kiedy skończył deklamować, nie unosząc wzroku, wyszeptał:

– To kutasy... Przepraszam. – Richard sumitował się z powodu słowa, które mogło urazić moje uszy.

– Reszta tekstu gubi się w serii dywagacji na temat materii, energii, cząsteczek o zawiłych nazwach, które wzajemnie na siebie oddziałują. Wygląda to na traktat fizyczny albo chemiczny – wyjaśniłam.

– A ta broń? – zapytał Richard.

– Może jest opisana na brakujących stronach. Zapewne nie wyrwano ich na chybił trafił.

– Prawdopodobnie sam Krüffner, czując się zagrożony, postanowił je ukryć w bezpiecznym miejscu – dodał Karel, wyrażając w ten sposób hipotezę, o której

wcześniej rozmawialiśmy.

– A zatem znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Dalej nie mamy nic konkretnego – zauważył Richard zrezygnowanym tonem.

– Cóż, niezupełnie – poprawił go Karel. – Teraz wiemy, że mogą pracować nad bronią o takiej mocy niszczenia, że pozwala to mówić o unicestwieniu ludzkości. Wiemy też, że owa broń nie została ukończona, w przeciwnym razie nie błagaliby bogini o pomoc.

– Poszłabym jeszcze dalej – odważyłam się wtrącić, zawieszając dramatycznie głos.

Obaj mężczyźni odwrócili się do mnie, gotowi wysłuchać mojej teorii.

– Ta książka, tak jak ją znaleźliśmy, niekompletna i z wiadomością w środku, daje nam wiele wskazówek na temat tego, kto zabił Krüffnera. Gdyby hazard nie był domeną mężczyzn, założyłabym się, że Krüffner został zdradzony i zamordowany przez kogoś ze swoich. Zastanówcie się: Krüffner dąży do totalnej zagłady, która pewnie zakłada unicestwienie jego samego oraz resztę współwyznawców. Może ktoś się nie zgadza na taką ofiarę, ktoś bliski Krüffnerowi. Zaryzykowałabym nawet przypuszczenie, że należy do władz sekty, bo zna plany mistrza. Powiedzmy, że ten ktoś zgłosił sprzeciw, ale jego obiekcje zostały zlekceważone. Postanawia więc wziąć sprawy w swoje ręce: pozbywa się Krüffnera i narzuca własną wolę. To ktoś cieszący się autorytetem w sekcie. Krüffner, który z tego, co wiem, nie był głupcem, a poza

tym uchodził za jasnowidza, podejrzewa spisek. Ukrywa tekst, ale tak, żeby było w miarę łatwo go znaleźć, wyrywa jednak strony z rysunkami broni i chowa znacznie lepiej. Poza tym zostawia wiadomość i przestrozę: „Wiem, kim jesteś, i nie uda ci się”. W sumie zdanie z *Bhagawadgity* odnosi się do „opanowanych chciwością, którzy zabijają rodzinę”, sektę i samego Krüffnera.

– Ale nikt nie znalazł tego dokumentu, zrobiliśmy to dopiero my – sprzeciwił się Karel.

– Może nikt nie miał okazji go poszukać albo... może w ogóle go to nie interesuje. Wyobraźcie sobie, że ma już w rękach to, o czym Krüffner myślał, że będzie poszukiwane.

– Chodzi ci o broń?

– Tak.

– To mnie nie uspokaja – oświadczył Richard.

– Jeśli kluczem do wszystkiego jest zabójca Krüffnera... – Karel rozmyślał na głos – obawiam się, że sprawy wkraczają w gestię policji.

– Ale ty nie oddasz tego w ręce policji – powiedział Richard.

– Oczywiście, że nie. My musimy się tym zająć, to jest sprawa wywiadu, nie? Niech ci u góry zajmują się swoimi sporami kompetencyjnymi. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz bym chciał, jest policja z jej biurokratycznymi procedurami, wtykająca nos w naszą sprawę. Co mamy do tej pory? – Odwrócił się w stronę Richarda.

– Niewiele ponad kilka niepowiązanych ze sobą danych, które zamiast rzucić światło, komplikują całą rzecz.

Richard otworzył teczkę i wyciągnął plik papierów: raport policyjny, protokół sekcji zwłok, własne notatki... Karel przysunął sobie krzesło. Zanim zrobiłam to samo, spojrzałam na mężczyznę, którego kiedyś pocałowałam. Co on o mnie wie? Co o mnie myśli? Skoro z nim flirtowałam, co sobie myśli teraz, kiedy śpiam z jego najlepszym przyjacielem? A może o tym nie wie... Richard posłał mi uśmiech, z którego wyczytałam wiele. Nie byłam już niewinną dziewczyną, która urzekła go w Paryżu. Nie byłam kobietą, w której się zakochał. To wszystko – tak skończyła się nasza historia. To nie ja go odrzuciłam; to on odrzucił mnie... To pozwalało mu ofiarować mi swoją przyjaźń, a mnie ją przyjąć, bo uznałam, że jego reakcja jest szlachetna i bezinteresowna. Richard zaprosił mnie gestem, a ja usiadłam u jego boku.

– Co jest najbardziej szokujące w tej sprawie? Po pierwsze, kiedy ty, Karlu, wszedłeś do pokoju, Krüffner już nie żył. Zastrzelono go. A jednak strzał usłyszano później. Po drugie, ślad po kuli. – Richard na chwilę przerwał i z długopisem i kartką w rękach – należał do tych, którzy muszą gryzmolić, kiedy mówią – zabrał się do wyjaśniania: – W zależności od tego, z jakiej odległości się strzela, na ciele zostają różne ślady. Jeśli strzela się z przyłożenia, to znaczy z lufą przytkniętą do ciała, jak w przypadku samobójstwa, pojawia się zwykle

rąbek zabrudzenia: cząsteczki smaru do broni, prochu, oraz rąbek otarcia naskórka, zazwyczaj siniak, a także osmalenie. Ślady te są najbardziej widoczne, gdy kula przebija skórę na kości, na przykład głowy. W przypadku strzału z bardzo bliska, mniej niż pięciu centymetrów, widać rąbek zabrudzenia, przydymienie, oparzenie...

– A na ciele Krüffnera? – zapytał Karel nieco zniecierpliwiony, a może czując się nieswojo wobec tylu danych z zakresu medycyny sądowej.

– Nic. Tylko rąbek otarcia, siniak powstały po uderzeniu kuli.

Zamyśliłam się, starając się przyswoić informacje, które przedłożył nam Richard, i określić znaczenie tej ostatniej.

– To znaczy, że strzał oddano z bliska?

– Nie. W zasadzie wyklucza to jakikolwiek strzał.

Karel i ja spojrzeliśmy na niego. Nasze miny żądały odpowiedzi.

– W przypadku każdego strzału, czy to z przyłożenia, z bardzo bliska czy też z daleka, pojawia się rąbek zabrudzenia, a nie tylko rąbek otarcia.

– Więc o co tu chodzi? – dalej niecierpliwił się Karel.

– Są tylko trzy wyjątki. Strzał *post mortem*, gdy z braku krążenia krwi nie powstaje siniak. To nie jest nasz przypadek, bo na ciele Krüffnera był rąbek otarcia. Drugi przypadek, to kiedy broń została bardzo dokładnie wyczyszczona i kula nie miała żadnych zanieczyszczeń. I trzeci, kiedy otwór wlotowy jest wtórny, to znaczy, że

kula już wcześniej przez coś przeleciała, przez inną osobę albo przedmiot. W tych dwóch ostatnich przypadkach nie pojawia się rąbek zabrudzenia, ale siniak tak. I to się zgadza z tym, co widzieliśmy u Krüffnera.

Zaległa cisza, każdy z nas zdawał się medytować nad własnymi wnioskami.

– Policja nie znalazła żadnych śladów po kuli w całym pomieszczeniu, co wyklucza wtórny otwór wlotowy. Broń była bardzo czysta, bo nie znaleziono na niej nawet odcisków palców.

– Czy to wystarczy jako wyjaśnienie?

Richard nie wydawał się przekonany.

– Mogłoby, ale... Nie wiem, jest coś, co do mnie nie przemawia. Załóżmy, że chodzi o strzał z odległości większej niż pięćdziesiąt centymetrów. Ale to nie ma większego sensu. Pokój pewnie tonął w półmroku, a Krüffner był praktycznie nieprzytomny, spał głęboko po Veronalu, który ty sam, Karlu, mu zaaplikowałeś, a sekcja zwłok to potwierdziła. Po co ktoś miałby stawać w dość dużej odległości, żeby zabić śpiącego człowieka? Tu nie chodzi o przyjemność celowania, ale o sprawne zabicie. Poza tym strzał jest bardzo precyzyjny, w sam środek czoła, dokładnie między brwi.

To, co mówił Richard, wydawało się rozsądne, ale dowody wskazywały na to, że strzelano z odległości. Znaleźliśmy się w ślepej uliczce, więc zdecydowałam się skoncentrować na drugiej anomalii.

– Kiedy wszedłeś do pokoju tamtej nocy, co

dokładnie zobaczyłeś? – zapytałam Karla.

Twój sceptyczny brat z niechęcią podchodził do kolejnego powtarzania swoich zeznań, nie znając powodów mojej ciekawości.

– Dlaczego pytasz?

– Widziałeś, że został zastrzelony?

– No tak. Nie żył, a obok niego leżał pistolet.

– Ale czy widziałeś dziurę w jego głowie? – nalegałam celowo szorstko, żeby uzyskać precyzyjną odpowiedź.

– Tak, chyba tak – odpowiedział nieco zaniepokojony moją natarczywością. – Ale do czego zmierzasz?

– Pomyślałam, że może zaskoczyłeś zabójcę, gdy wszedłeś do pokoju. Może jeszcze nie udało mu się strzelić do Krüffnera i tylko zostawił pistolet, żeby upozorować samobójstwo, a potem się ukrył. A ty, widząc broń na podłodze, pomyślałeś, że Krüffner nie żyje.

– Sądzę, że umiałbym odróżnić trupa od człowieka śpiącego, a tym bardziej zobaczyć, czy ma dziurę w głowie czy nie – odpowiedział Karel urażony.

– W porządku, więc już do niego strzelił – przyznałam – ale nie miał czasu wyjść z pokoju. Ukrył się i widział, jak znajdujesz trupa Krüffnera. Wtedy wpadł na pomysł, jak skomplikować sprawę. Kiedy wyszedłeś, strzelił jeszcze raz, tak byśmy wszyscy to słyszeli, i uciekł stamtąd.

– Może nawet strzelił dopiero wtedy, gdy był już daleko od miejsca zbrodni, poza podejrzeniami –

zauważył Richard.

– Nie, nie sędzę – zaprzeczyłam. – Kiedy tam przyszedłam, w pokoju pachniało prochem. Strzelano tam. No i jeszcze to pióro...

– Pióro? – powtórzył Karel z lekkim zaskoczeniem w głosie, jednocześnie spoglądając na Richarda, jakby od niego oczekiwał wyjaśnienia.

– Tak. W oficjalnym raporcie nie ma o nim mowy, ale policja znalazła na miejscu zbrodni białe pióro. Nie oddano go do analizy.

Karel spojrział na mnie. I co? – zdawał się pytać. Co z tym piórem?

– Według mnie to istotny szczegół. W jaki sposób pióro znalazło się w pokoju?

– Otto nie miał żadnego ptaka – zauważył Richard kpiąco.

Karel spiorunował go spojrzeniem. Te kryminalistyczne rozważania doprowadzały go na skraj wytrzymałości, więc nie był w nastroju do żartów.

– Skoro policja nie przywiązywała do niego wagi, nie widzę powodu, żebyśmy...

– Może to być dowód na to, że zabójca przyszedł z zewnątrz – broniłam swojego zdania. – Przecież wiecie, że tamtego dnia ktoś się kręcił po korytarzach i nawet zaatakował Larsa. Pióro mogło się przyczepić do ubrania lub butów zabójcy. To było białe pióro, jakby drobiu: kury, gęsi... Może morderca był w miasteczku? Ktoś mógł go widzieć.

– A może przyniósł je sam Krüffner. Albo i ty, Karlu.

– Ja nie byłem w miasteczku – odpowiedział sucho. Następnie potarł oczy, wyglądał na zmęczonego. – Wiecie co? – Nieco podniósł głos, żeby przykuć naszą uwagę. – Uważam, że niepotrzebnie gubimy się w domysłach, mamy zbyt wiele niewiadomych, a za mało faktów. Moim zdaniem najlepiej wszystko wyjaśnia ta notka z książki Krüffnera i zawołane oskarżenie. Zabójcą jest ktoś z sekty.

– Ale kto? Organizacja liczy setki tysięcy członków – wtrąciłam się.

– Arjaman... Coś mi przychodzi do głowy. – Karel zaczął wyłuszczać swój zamysł z przebiegłym uśmiechem: – Trzeba znowu wyciągnąć sprawę na światło dzienne. Jutro z samego rana wyślę depeszę do najważniejszych gazet. Podamy do wiadomości, że policja natrafiła na nowe ślady i postanowiła wznowić śledztwo. Podamy nawet, że Borys Iljicz naprawdę nazywał się Otto Krüffner i był przywódcą pewnej groźnej sekty oraz wskażemy z jego współpracowników jako na głównego podejrzanego na jednego. A potem zobaczymy, co się wydarzy, jak zareaguje i... czy mamy rację.

Karel, który podekscytowany genialnością swojego pomysłu wstał z miejsca, kiedy to mówił, teraz patrzył na nas z góry. Richard i ja wymieniliśmy się spojrzeniami na znak zgody, na tym jednak skończył się nasz udział. Nie czekając na uwagi z naszej strony, Karel uznał rzecz za postanowioną.

– Muszę się napić. Macie ochotę?

W Brunstriechu panował spokój po świątecznym zamieszaniu i tragicznych wydarzeniach. Tylko dziesięć osób zasiadło do stołu tamtego wieczoru. Poza wielką księżną wdową, Karlem, Richardem, tobą i mną towarzystwo stanowiły dwa małżeństwa o arystokratycznym pochodzeniu i jakiś kościelny dostojnik, w randze przystającej do jego zaawansowanego wieku, purpurowych szat i pierścienia na palcu.

Przez całą kolację prowadziłam z tobą przyjemną i błahą rozmowę, całkowicie odbiegającą od mrocznych zdarzeń, których stałam się uczestniczką. Nie zważając na żywiołową dyskusję, w której pograżyli się pozostali, na temat ostatniego dzieła Schnitzlera – jednego z wielu, które wzburzyły wiedeńską publiczność celną krytyką przestarzałych już obyczajów (najbardziej rani strzała trafiająca prosto w serce) – przerzucaliśmy się nieistotnymi uwagami o codziennych sprawach, naszych gustach kulinarnych i zabawnymi anegdotami.

„Miło jest wrócić do domu, wiedząc, że ktoś tam na ciebie czeka”. Z tej rozmowy pamiętam to zdanie, które wypowiedziałeś. I pamiętam, że pomyślałam wtedy, że byłoby miło być w domu i mieć na kogo czekać. Natychmiast jednak odrzuciłam tę tak banalną myśl, niegodną kobiety, jaką zdecydowałam się stać już dawno temu. Po kolacji nadeszła pora na kawę, którą podano w saloniku japońskim przylegającym do jadalni. W ustronnym jego kącie, pośród paneli z czarnej laki z

malunkami kwitnących wiśni i słowików, dalej odbywaliśmy nasze *tête-à-tête*. Niemal nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, wiem tylko, że były śmiechy i że w pewnej chwili wyszeptałeś: „Chciałbym znowu cię pocałować”. A ja pomyślałam, że mnie też byłoby wtedy miło. Wyszliśmy na taras, cichy i wysrebrzony światłem księżycyca w pełni odbijanym przez śnieg. Było za zimno, żeby się całować na dworze. To była cena prywatności. Ty jednak jak zawsze znalazłeś na to sposób: otuliłeś mnie swoją marynarką, przygarnąłeś do piersi i pocałunkiem sprawiłeś, że zrobiło mi się gorąco. Wydawało się, że w tym pocałunku zawarłeś połowę swojej duszy.

Jeszcze go smakowałam, jakby był warstewką miodu na moich ustach, kiedy z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnąłeś małe zawiniątko i podałeś mi, szepcząc enigmatycznie: „Otwórz to, kiedy będziesz za mną tęsknić”, jednocześnie pocałowałeś mnie w ucho i w ciepłych rękach zamknąłeś moje zimne dłonie, a w nich twój prezent.

20 stycznia

Pamiętam, ukochany, że zostałam całkowicie oczyszczona z podejrzeń, kiedy ustanowiono datę spotkania pomiędzy przedstawicielami rządu Wielkiej Brytanii i Francji. Wiem, że Karłowi też ulżyło: oznaczało to oficjalne potwierdzenie mojej historii.

Spotkanie to było niezbędne. Przypadkowe zetknięcie się dwóch agentów, dążących do tego samego celu i wypełniających taką samą misję, spowodowało zatarg kompetencyjny, którego rozwiązanie musiało doprowadzić albo do współpracy, albo do wycofania się którejś ze stron. W polityce nigdy nie wiadomo, jaki obrót przybiorą sprawy, więc nie należy wykluczać nawet najbardziej absurdalnych możliwości.

Tamtego poranka Karel, Richard i ja pojechaliśmy do Paryża. Moim alibi była rzekoma wizyta u przyjaciółki, u której miałam się zatrzymać. Prawda o moim prawdziwym życiu, samotnym i niezależnym, skromnym i... zwykłym, stała się bardziej dojmująca, gdy postawiłam stopy na chodniku zaułka w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie znajdowało się moje mieszkanie. Wynajmowałam małe poddasze, bez luksusów, ale czyste i jasne, urządzone meblami kupionymi na pchlim targu, które sama odnowiłam, oraz przedmiotami przywiezionymi z egzotycznej podróży po południowo-wschodniej Azji; były tam jedwabie z Indii, rattan z Birmy, brązy z Syjamu i drewno tekowe z Indochin. Miałam malutki tarasik wypełniony doniczkami, z którego można było się cieszyć wspaniałym widokiem miasta, z wieżami Notre Dame w oddali wystającymi nad dachami Paryża. W słoneczne wiosenne dni lubiłam jadać tam śniadanie, spowita zapachem croissantów świeżo upieczonych w boulangerie Pierre'a, słysząc gwar rynku, który co rano rozkładał się na placu:

można tam było dostać owoce, warzywa i sery, a w pierwsze dni miesiąca, kiedy dostawałam pensję, zwykłam kupować też świeże kwiaty do sypialni.

Gdy przekraczałam próg, odniosłam dziwne wrażenie zarazem ulgi i niepokoju, bo czułam się obco we własnym domu. W przedpokoju walizki od najlepszego kaletnika w Paryżu, a na łóżku futro z soboli tworzyły z resztą mieszkania taki dysonans, jak ja sama. Zaczęłam czuć, że nie przynależę już do żadnego miejsca, że nigdy nie przynależałam. Byłam jak kot blakający się po dachach i zaułkach, który w jednym domu otrzymuje pieszczoty, a w drugim przegania się go miotłą, lecz on w żadnym nie zostaje. Nagle za najbardziej przygnębiający uznałam fakt, że bez względu na to, dokąd się udam, będę tam obca.

Specjalnie odmówiłam pójścia na kolację do Maxima oraz spędzenia upojonej nocy w Ritzu, gdzie zatrzymał się Karel. Nie miałam najmniejszego zamiaru pokazywać się publicznie, jako czyjaś ukochana, dzielić lokalu z panienkami fircyków oraz znosić sprośnych i porozumiewawczych spojrzeń boyów hotelowych. Moje prywatne życie, chociaż sama je wybrałam, nie było modelowe, lecz nie miałam zamiaru go zmieniać, a już na pewno nie wtedy. Zostawiłam więc Karla w barze Ritza, z perspektywą samotnej nocy, starającego się przytłumić pożądanie wytrawną whisky.

O ósmej rano, kiedy pierwsze światła dnia przeniknęły przez szpary w okiennicach, a na placu

rozszedł się już zapach pieczonego chleba, zadzwonił dzwonek u drzwi. Wstałam z łóżka i poczułam pod stopami przenikliwy chłód terakoty, a w reszcie ciała kąsające poranne zimno panujące w domu bez ogrzewania. Zastałam go na progu, z uśmiechem i suchym „cześć” na ustach. Natychmiast przyszło mi do głowy, że nie mógł wytrzymać w zimnym łóżku, więc przyszedł do mnie jak kloszard, który w zimowe noce chroni się w tunelach metra by się ogrzać. Ruszyłam prosto do sypialni, gotowa zaspokoić jego pragnienie, ale zatrzymałam się, widząc, że on zmierza do mojej małej kuchni. Postawił na stole papierową torbę, z której wyciągnął jeszcze ciepłą bagietkę, słoik brzoskwiniowej marmolady i bukiet pomarańczowych gerberów, jakie zwykłam kupować na pobliskim rynku. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i zaczął przygotowywać kawę – ku mojemu wielkiemu zdumieniu.

Razem zjedliśmy śniadanie przy węglowym piecyku i oprócz kawy, tostów i muzyki Mozarta z gramofonu dzieliliśmy trywialną rozmowę o prostych rzeczach w życiu, przeplataną chwilami ciszy i refleksji, które jednak nie wydawały się niezręczne, były raczej wynikiem atmosfery zaufania i intymności. Nie zważając na ducha Secret Intelligence Service i Brunstriechu, Karel okazał dość zabawny charakter, miły i zaskakująco przystępny. Kiedy wstał, żeby posprzątać ze stołu, i poszedł pozmywać, nie mogłam pohamować impulsu – podeszłam do niego i pocałowałam go w szyję... potem w policzki...

w usta... i na koniec zaciągnęłam go do łóżka, gdzie kochaliśmy się, zanim poszliśmy na spotkanie w ministerstwie.

Resztę dnia spędziłam, starając się odsunąć od siebie niepokojące pytania: Co powoduje mężczyznę, który zamiast seksu szuka towarzystwa? I co powoduje kobietą ofiarowującą seks po chwilach towarzystwa?

W gabinecie Hôtel de Brienne, pięknym pałacu z XVII wieku, w którym mieściło się francuskie Ministerstwo Wojny, atmosfera była ciężka: gęsty dym cygar oraz poważna polityka uciskały mi czoło: ćakra, która w tantrze symbolizuje aktywność umysłową, zaczynała się blokować. Już od ponad godziny jego ekscelencja minister wojny monsieur Joseph Noulens i jego ekscelencja brytyjski sekretarz stanu do spraw wojny sir Bernard Seely, prowadzili absurdalną dyskusję na temat założenia i głównego obszaru wpływu tajnej organizacji zwanej sektą kalikamaistów.

Tymczasem pozostali przysłuchiwali się temu w milczeniu, obawiając się zabrać głos, aby nie przeciągać tej bezsensownej gadaniny. Zarówno Roland Quercy, odpowiedzialny za misję i mój przełożony, jak i kapitan Mansfield Cumming, szef brytyjskiej SIS, oraz oczywiście Karel i ja, byliśmy pragmatycznymi ludźmi czynu. Tak naprawdę to, czy organizacja zamierza sprzedawać broń Niemcom – co z przyczyn oczywistych interesowało Francuzów – czy planuje ją wykorzystać do destabilizowania sytuacji w Indiach – kwestia niezwykle

istotna dla Anglików – nie miało wielkiego znaczenia, skoro było wiadomo, że jest to broń o takiej sile, że doprowadzi do hekatomb, a do tego można jej użyć w dowolnym miejscu i czasie, i nieważne, czy zrobią to Niemcy, hinduscy separatyści czy ktokolwiek inny, kto będzie nią dysponował.

Polityka chwilami jest niesamowicie głupia.

Spotkanie rozpoczęło się o trzeciej po południu sprawozdaniem z misji, czym zajęliśmy się Karel i ja. Gdy tylko stwierdziłam, że zainteresowanie obecnych, szczególnie ministrów, przesunęło się z przedstawianych przeze mnie zagadnień na rozmyślanie o grubości moich nóg, oddałam głos Karlowi, nie dbając o to, że zostałam zlekceważona. Nie jestem buntowniczką ani sufrażystką. Nie oburzaj się, ukochany, ale czas i doświadczenie nauczyły mnie nie przejmować się takim zachowaniem, typowym dla mężczyzn przez większość czasu zdominowanych – w myśl tantry – przez ćakrę odpowiadającą za popęd płciowy, umieszczoną u nich między nogami.

Karel mówił o rzekomej broni i o wojnie, która wydawała się martwić tylko jego. Dla pozostałych, to jest dla polityków, a także ogólnie dla społeczeństwa wojna była okazją lub obowiązkiem. Odkąd przybyłam do Paryża, nie przestawało mnie zaskakiwać nasilenie propagandy wojennej w postaci gazetowych odezw i patriotycznych plakatów na ulicach. Nadeszła godzina zemsty, cieszyli się Francuzi, upokorzeni w 1871 roku

przez Niemców, którzy odebrali im Alzację i Lotaryngię. Trzeba było tylko poczekać, aż ktoś podpali lont i francuskie wojska ruszą w pole. W kilka tygodni wszystko miało się rozstrzygnąć. Kajzer i jego pycha zostaną zmiażdżeni przez szlachetną Republikę. Przynajmniej tak sądzili Francuzi.

Anglicy obserwowali ze swej wyspy nadciągającą na kontynencie zawieruchę, wtrącając się, kiedy uznali to za stosowne, tylko w sprawach, które uważali za ważne. Groźba wojny w Europie była jak kłótnia służących: dopóki nie zaczną rzucać w siebie zastawą i nie będą zakłócać funkcjonowania domu, to ich sprawa. Pycha Brytyjczyków sprowadzała się do postawy, że dopóki nikt nie zagraża ich morskiej hegemonii, handlowi, koloniom i uświęconej herbatce, nie ma co rwać włosów z głowy. Wszystko wskazywało jednak na to, że groźba zaczyna przybierać realny kształt.

Jakkolwiek było, w podobnych okolicznościach ostatnią rzeczą, której ktokolwiek by pragnął, była przestępcza organizacja i nieznana broń.

W pewnej chwili kapitan Cumming zdecydował, że politycy dość już się nawymieniali górnolotnymi opiniami, więc przejął prowadzenie spotkania. Najbardziej korzystne dla obu państw było stworzenie wspólnej misji wywiadowczej, której celem będzie odnalezienie rzezonej broni i unieszkodliwienie przywódców sekty oraz postawienie ich przed sądem.

Podczas gdy kapitan Cumming przedstawiał

szczegóły, do pomieszczenia wśliznął się dyskretny sekretarz, podszedł do Karla i wyszeptał mu do ucha zdanie, które dotarło również do mnie, bo siedziałam obok.

– Przykro mi, proszę pana, ale to bardzo pilne.

Przeprosiwszy obecnych, Karel wstał i opuścił spotkanie.

Wrócił po kilku minutach. Poprosił o głos, a mnie się wydało, że dostrzegam błysk emocji w jego oczach, w tych szarych oczach, które były jedynym zwierciadłem jego duszy. I piętą achillesową.

– Panowie, właśnie pojawiły się bardzo istotne informacje o zajmującej nas sprawie.

21 stycznia

Pamiętam, ukochany, że pośpiesznie opuściliśmy zebranie, a tej samej nocy Karel, ja i Richard wsiedliśmy do pociągu do Lyonu, a stamtąd udaliśmy się do Genewy, gdzie oczekiwał nas, uprzedzony przez ambasadorów Francji i Anglii, inspektor Brygady Kryminalnej Policji.

Chodziło o to, że jeden z pracujących dla Karla informatorów dowiedział się o szczególnej zbrodni dokonanej w pałacyku nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Chodziło o śmierć czterech mężczyzn, z których jeden popełnił samobójstwo, a pozostali zostali brutalnie zamordowani – w sprawie nic jeszcze nie było ustalone. Uwagę informatora zwróciło to, że jeden z tych

mężczyzn spędził święta w zamku wielkiego księcia w Brunstriechu. Chodziło o bankiera François Dubasa.

Kiedy Karel mi to powiedział, bez kłopotu przypomniałam sobie twarz pana Dubasa, którego przedstawił mi Borys Iljicz, a którego zapamiętałam nie dla jego wyjątkowego uroku, ale dlatego, że przypiąłeś mu łatkę homoseksualisty, co nie pasowało do tego łysego i grubego człowieczka, o wyglądzie przedstawiciela bogatej burżuazji i ważnego finansisty.

Przez większą część drogi oddawałam się lekturze raportu na temat sekty, przekazanego nam przez wywiad brytyjski: sto pięćdziesiąt stron szczegółowych informacji na temat obszaru działania, form finansowania, filozofii i wewnętrznej organizacji kalikamaistów.

Członkowie tworzą społeczność z jasno określonymi kastami i sztywną hierarchią, opartą na ideach filozofii hinduistycznej. Sekta działa na całym świecie. Przyjmuje tylko drobiazgowo sprawdzonych kandydatów, osoby o wykształceniu średnim lub wyższym i wysokim ilorazie inteligencji. Zwykle potencjalny kandydat jest poddawany próbie, zanim stanie się, zgodnie z wewnętrzną terminologią, zaikza, czyli nawróconym i adeptem zaczynającymi okres kształcenia. Następnie, po rycie inicjacyjnym (patrz s. 89) stają się sziszja, czyli wtajemniczonymi, których lider publicznie zaakceptował, kontynuują więc naukę na wyższym poziomie. Najlepsi przechodzą też szkolenie z zakresu różnorodnej działalności kryminalnej, pomagającej w finansowaniu

sekty (więcej informacji na ten temat w dziale „Finansowanie”, na s. 51). Sziszja organizują się w podgrupy, na których czele stoi mistrz, bodhaka. Aby osiągnąć ten poziom, należy wykazać się wysokim stopniem oczyszczenia ducha oraz brać aktywny udział w akcjach na rzecz sekty. Na całym świecie obecnie jest około tysiąca bodhaków, również zorganizowanych w grupy według przynależności terytorialnej i pod nadzorem duchowego przewodnika satguru. Istnieją zatem na przykład satguru Niemiec, satguru Anglii, Stanów Zjednoczonych itd. Ostatnią kastę, najwyższą władzę, tworzą paramaguru, ci, którzy osiągnęli poziom dźńnana pada, stan wiedzy. Paramaguru, czyli najwyższym przewodnikom, przewodzi gurudewa, boski przywódca, a są wybierani poprzez naznaczenie...

Mniej więcej w połowie przerwałam lekturę pośród przeciągłych ziewnięć. Okrutnie się nudziłam. Może po prostu byłam zmęczona, więc schowałam go na lepszą okazję i oparłszy głowę na siedzeniu, spróbowałam się przespać.

W spartańskim pokoju Najwyższego Dowództwa Policji w Genewie słuchaliśmy szczegółów na temat zdarzenia, które przedstawiał inspektor Lescaut. Siedząc na niewygodnym drewnianym krześle, które po dwunastu godzinach w pociągu i nieprzespanej nocy wydawało mi się pewnie jeszcze bardziej niewygodne, oglądałam kolejne fotografie z miejsca zbrodni, starając się zachować dystans wobec tak drastycznych obrazów. A

jednak z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłam wskazać, moja postawa chyba nie była zbyt przekonująca, bo Karel zauważył:

– Dobrze, dziękuję, inspektorze. Mamy już pewne pojęcie. Wystarczy tych... materiałów. Powtórzmy zatem: w gabinecie pana Dubasa znaleziono cztery ciała. Śmierć jednego z mężczyzn, zidentyfikowanego właśnie jako pan François Dubas, nastąpiła prawdopodobnie w wyniku samobójstwa. Zastrzelił się z własnej broni.

– Tak jest, proszę pana. Miał otwór wlotowy w podniebieniu i wylotowy w górnej części czaszki. Trajektoria pocisku typowa dla strzału w usta – wtrącił się inspektor Lescaut.

– Tak... Pozostali trzej mężczyźni zostali uduszeni.

Inspektor Lescaut, który w swej gorliwości nie chciał dopuścić, by pominięto choć najdrobniejszy makabryczny szczegół zbrodni, a właśnie to chciał zrobić Karel, znowu przemówił:

– Tak właśnie. W każdym przypadku użyto chustki, nawiasem mówiąc żółtej. Wszystkie ofiary miały związane ręce, leżały na podłodze, ciała nosiły ślady tortur: siniaki, oparzenia, rany cięte... Zostali nie tylko uduszeni, proszę pana, ale także byli torturowani i okaleczeni w okrutny sposób.

– Żadnego z nich nie zidentyfikowano – przerwał Karel, zauważając, że opis staje się coraz bardziej kwiecisty.

– Dotychczas nie. Twarze są bardzo zniekształcone, a

żaden z nich nie miał przy sobie dowodu tożsamości. Jedyną rzeczą szczególną jest to, że każdy był ubrany w tunikę.

– Zgodnie z raportem tuniki były różnych kolorów: niebieska, biała, brązowa i czarna. Wspomina on też, że obok ciała pana Dubasa znaleziono napisaną odręcznie notkę.

– Tak jest. Jeszcze nie udało nam się jej odczytać, została napisana w mało popularnym języku.

– Ma pan tę notkę? Możemy ją zobaczyć?

– Oryginał jest tutaj – oznajmił inspektor, otwierając teczkę. – Wysłaliśmy kilka kopii na uniwersytet, żeby pomogli nam w tłumaczeniu... Proszę.

Karel wziął kopertę z rąk inspektora Lescaut. Otworzył ją, wyciągnął kartkę, rzucił na nią okiem i podał mi. Była to mała kartka grubego papieru dobrej jakości, na której napisano niedbałym pismem zdanie w języku, który natychmiast rozpoznałam – sanskryt.

– *Bhagawadgita*? – zapytał Karel dyskretnie, niemal szepcząc mi do ucha.

Przytaknęłam i przeczytałam na głos.

– *Akirtim capi bhutani kathajisjanti te'vjajam sambhavasja cakirtir maranad atiricjate.*

Inspektor Lescaut, obrzuciwszy mnie zdumionym spojrzeniem, spojrzął nieufnie na Karla. Nie potrafię powiedzieć, co go bardziej zaintrygowało: to, że byłam w stanie przeczytać to, z czym oni nie dawali sobie rady, czy też znaczenie dziwnych słów, jakie padały z moich ust.

Niemal natychmiast przetłumaczyłam:

– „Ludzie zawsze będą mówili o twojej hańbie, a dla tego, kogo darzono szacunkiem, niesława gorsza jest od śmierci”.

– Bardzo to ciekawe, jak na list samobójcy – podsumował Karel.

Inspektor Lescaut kiwnął głową, osłupiały, odbierając ode mnie notkę, żeby odłożyć ją do akt. A jako że jego zadaniem było nam pomagać i służyć informacjami, zagadnął mnie, nieco się krygując:

– Czy mogłaby pani... czy zechciałaby pani mi to zapisać? Byłbym zobowiązany.

– Tak, oczywiście. Może pan też dodać w raporcie, że nie są to słowa pana Dubasa, spisane w chwili natchnienia przed śmiercią, ale fragment tekstu zatytułowanego *Bhagawadgita*.

– Dlaczego pan Dubas wybrał tak oryginalny sposób usprawiedliwienia swych czynów? – myślał na głos inspektor Lescaut.

Karel, Richard i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Nie chcieliśmy udzielać zbyt wielu wyjaśnień, bo nie byłoby rozsądnie wciągać w sprawę szwajcarską policję.

– Mógłbym zobaczyć protokół sekcji zwłok? – poprosił Richard, jakby w ten sposób chciał odwrócić uwagę inspektora.

– Tak... tak, oczywiście – zgodził się oszołomiony inspektor i wyszukał wśród papierów odpowiedni

dokument. – To wstępny raport. Ostateczny będzie dopiero za kilka dni.

Richard szybko rzucił okiem na spięte spinaczem strony.

– Tutaj jest napisane, że wszystkie ofiary miały bardzo duże stężenie THC w wątrobie i barbituranów we krwi...

– Co to jest THC? – zapytał Karel.

– To jeden z komponentów kannabisu. Ci ludzie byli pod wpływem haszyszu albo marihuany. A sądząc po stężeniu THC, powiedziałbym, że zażywali je bardzo często.

Karel kiwnął głową. Zrozumiał już znaczenie tej informacji: haszysz był narkotykiem stale używanym przez członków sekty.

– Wydaje się oczywiste, że chodzi o zbiorowe zabójstwo o charakterze rytualnym – inspektor wrócił do sprawy. – Pan Dubas odurzył pozostałych, żeby nie stawiali oporu, potem ich związał i udusił. Zrobił to w różnych pokojach. Potem przeniósł ciała do swojego gabinetu, ułożył w rzędzie na podłodze, wypalił im piersi, wyrwał gałki oczne i pociął twarze nożem. Nic tu nie jest przypadkowe, wszystko wydaje się metodycznym działaniem ukierunkowanym na określony cel. Na koniec, i to też część rytuału, położył się obok ofiar i popełnił samobójstwo. Sprawa ma wszystkie cechy mordu rytualnego, popełnionego prawdopodobnie w ramach jakiejś pogańskiej ceremonii. Niestety, w naszych czasach

okultystyczne procedery, sekty i tajne stowarzyszenia mnożą się w zastraszającym tempie.

Po chwili milczenia, Karel, który przeglądał notatki, zapytał:

– Czy moglibyśmy zobaczyć miejsce zbrodni?

– Mamy ich... Zwróciliście uwagę na statuetkę stojącą obok ciał, jakby przydawała całej scenie? Na jednej fotografii było ją dokładnie widać.

Po drodze do pałacyku Dubasa nad brzegami Jeziora Genewskiego, siedząc sami w aucie, wymienialiśmy opinie. Chociaż inspektor się ofiarował, że będzie nam towarzyszył, jechał przed nami w policyjnym samochodzie.

– Tak. Posązek Kali-Kamy – potwierdził Karel spostrzeżenie Richarda. – Inspektor ma rację, że chodzi tu o rytualną zbrodnię.

– Lecz prawdopodobnie nie zna znaczenia tego rytuału – dodałam. – Ofiary zostały uduszone żółtą chustą. W Indiach w taki sposób zabijają thugowie.

– Zabójcy w imieniu Kali? – zapytał Karel. – Coś słyszałem na ten temat, ale nie za wiele.

– Chodzi o bractwo religijne, dość słabo znane, którego początki mają źródło w legendzie. Purany, dawne sanskryckie teksty religijne, opowiadają o starciu bogini Kali z demonem pożerającym ludzi. Podczas walki Kali zadawała mu straszliwe rany, ale z każdej kropli jego krwi rodził się nowy potwór. Wtedy Kali z własnego potu stworzyła dwóch ludzi, pierwszych thugów, i wręczyła im świętą chustę w kolorze żółtym, rumal, którą pomagali

bogini zabijać demony bez przelewania ich krwi. Do dziś thugowie atakują kupieckie karawany, mordując świadków za pomocą rumal. Po zabójstwie okaleczają ciała, rozcinają je z góry do dołu i zakopują w dołach za pomocą świętych narzędzi. Po tym wszystkim odprawiają makabryczny rytuał, w którym tańczą na grobach ku czci swojej bogini.

– To naprawdę wielki problem dla rządu brytyjskiego w Indiach. Zagrożają szlakom handlowym – dodał Richard. – To oczywiste, że zgładzono resztę władz kalikamaistów, w tym zabójcę Krüffnera. Kolorowe tuniki, cytat z *Bhagawadgity*, rytualny mord... Wiadomość rozpowszechniona przez nas w gazetach dała rezultaty: zabójca poczuł się osaczony i jak skorpion w otoczeniu płomieni sam wbił sobie kolec jadowy.

– Możliwe – wtrącił się Karel, znacznie bardziej powściągliwy w wyciąganiu wniosków. – Chociaż zadaję sobie pytanie, dlaczego Dubas zabił każdego z nich w innym pokoju, a wcześniej ich oszołomił. Skoro był to mord rytualny, powodowany wyrzutami sumienia, że spiskował przeciw własnemu mistrzowi, dlaczego wygląda na to, że zabił ich wbrew ich woli?

Automobil jechał ulicami Genewy w gęstym śniegu, który czynił gasnące popołudnie jeszcze ciemniejszym. Nad jeziorem unosiła się lekka mgła i cienka skorupa lodu więziła śpiące na wodzie stateczki. Usypiana kołysaniem automobilu, mrokiem oraz zmęczeniem, zaczęłam odpływać. Dyskretne ziewnięcie zakończone

westchnieniem wymknęło mi się z ust.

– Jesteś zmęczona, prawda? – zapytał mnie twój brat ze słodyczą, z jaką przemawia się do małych dzieci, jednocześnie kładąc rękę na mojej dłoni, żeby pieszczotliwie ścisnąć mi palce.

Ciepło jego dotyku i głosu, czułość i pieszczota sprawiły, że zadrżałam, tysiąc motyli zaczęło zatrzepotało skrzydełkami w moim brzuchu. Przestraszyło mnie to, bo poczułam się bezbronna. Ale najbardziej poruszyło mnie to, że nawet się nie starałam ukryć swojej bezbronności. Przeciwnie, odwróciłam dłoń, żeby połączyć i spleść nasze palce.

– Pewnie tak samo jak ty.

– Powinnaś była zostać w Paryżu.

– I stracić te wszystkie makabryczne szczegóły? – zażartowałam. – Poza tym, kto by wam opowiedział tę fantastyczną historię thugów?

Pałacik François Dubasa był wspaniałą rezydencją w stylu włoskiego renesansu, której ogrody, śpiące pod śniegiem, obmywało Jezioro Genewskie. Wnętrze zdobiły antyki, obrazy znanych mistrzów różnych szkół, wspaniałe marmurowe posadzki i stolarka ze szlachetnych gatunków drewna. Wystrój domu świadczył o pozycji i zamożności, które za życia były udziałem szwajcarskiego bankiera. W otoczeniu tylu pięknych przedmiotów trudno było sobie wyobrazić makabryczną scenę niedawno odkrytą przez policję; to że na miękkich perskich dywanach o jaskrawych kolorach leżały cztery okaleczone

i zmasakrowane trupy.

Po działaniach brygady kryminalnej pozostały tam tylko resztki taśmy policyjnej okalającej nietknięte, pięknie urządzone pomieszczenia, które były świadkami masakry. My zaś, wiedząc, które miejsca przeszukiwać, i mając określone cele, dostrzegliśmy kilka szczegółów, które umknęły policji jako nieistotne dla śledztwa. Zasadniczo skupiliśmy się na sypialni i gabinecie Dubasa. W tym pierwszym pokoju Karel znalazł czerwoną tunikę, złożoną na dnie szafy w garderobie; tej szaty brakowało do kompletu – tuniki Agni, ognia.

Ponadto w jednej z szuflad biurka w gabinecie natrafiliśmy na plik listów z ostatnich czterech lat. Były skierowane do „drogiego Arjamana”, mojego bliskiego przyjaciela, i podpisane przez gurudewę Akaśę. Krüffner wysłał je do Dubasa, którego uważał za swego doradcę i powiernika. Przejrzeliśmy je na miejscu, ale ich treść była bardzo ogólna: refleksje Krüffnera na różne transcendentalne tematy, jak życie i śmierć, religia; zalecenia, jak się zachowywać w obliczu konkretnych zdarzeń; wymiana poglądów na temat jakichś konkretnych wydarzeń... W zasadzie nic godnego uwagi poza faktem – samym w sobie istotnym – że był to oczywisty dowód na to, iż „drogi Arjaman”, zaufany człowiek, zamordował Krüffnera. Ten przygarbiony człowieczek z wielkim brzuchem i okrągłymi okularkami studenta, szanowany bankier, doradca zamożnych inwestorów, mężczyzna, którego skrywany homoseksualizm świadczył o słabości,

okazał się przebiegłym konspiratorem, brutalnym przestępcą, sekciarskim fanatykiem i zimnym mordercą; uzurpator w czarnej tunice Akaśy... Akaśa... A-ka-śa...

– Lizka, o czym myślisz?

Słodki głos wyrwał mnie z zamyślenia i przywrócił do rzeczywistości przedziału kolejowego. Nagle usłyszałam stukot kół pociągu i ujrzałam przed sobą własne odbicie w szybie, wyraźne na tle ciemności nocy, w której się zatopiłam, rozmyślając.

– O Akaśy. To imię... mam wrażenie, że już je gdzieś słyszałam.

– Cóż, Akaśa to eter, piąty element pańcabhuty. Z pewnością stąd je znasz.

– Tak, możliwe – przyznałam bez przekonania.

Karel się pochylił, ujął mnie pod brodę i delikatnie pocałował w usta, z czułością, która ostatnio tak zmieniała mi nastrój.

– Chodźmy coś zjeść. Richard już poszedł zająć stolik.

22 stycznia

Wyznaję ci, bracie, że widziałem, jak ją całowałeś. I ten obraz doprowadzał mnie do szału, jak kakofoniczne kompozycje Schönberga: piszczące trąbki, rzępolące skrzypce i grające w nierównym rytmie instrumenty perkusyjne doprowadzały mnie do wściekłości i nieodmiennie przygnębiały. Z waszym pocałunkiem

rozpoczęła się moja krucjata w imię tego, co, jak uważałem, mnie się należy. Poczucie, że jestem niczym krzyżowiec, czyniło mnie szlachetniejszym niż uznanie się za Kaina. Chociaż jest prawdą, że to ona była wzniosłą przyczyną podjęcia przeze mnie walki, to nie ma też wątpliwości co do tego, że w głębi ducha powodowała mną niezdrowa odwieczna rywalizacja między nami, nieustająca walka o pierwszeństwo, w której ty zawsze zwyciężałeś. Ale nie teraz; nie miałem zamiaru pozwolić ci wygrać. To ona była stawką i musiała być moja.

Jakże byłem, głupi, pretensjonalny i ślepy!

Zapomniałem, że ona nie należała i nie mogła należeć do nikogo. Nie była zwierzyną do upolowania: jej się nie brało, ona się dobrowolnie oddawała. Była boginią, doskonale o tym wiesz; a to bogowie wybierają ciebie, nie ty ich. Zapomniałem o tym, gdy się w niej zakochiwałem.

Znowu nalegałem, żeby poszła ze mną do Ritza. Zaproponowałem, że weźmiemy oddzielne pokoje. Ale ona ponownie odrzuciła moją propozycję i postanowiła pójść do siebie. Woląла swoje małe poddasze, jego przytulny klimat cyganerii, z zapachem kadzidełka i złotym światłem, ale tak zimne i samotne o poranku, tak odmienne od wygód luksusowego hotelu i mojego towarzystwa. Dręczyło mnie to tak bardzo jak perspektywa spędzenia nocy bez niej. Nie pragnąłem tylko seksu, nie tylko za tym tęskniłem. To było coś więcej, pragnienie już nie czysto fizyczne, lecz także duchowe. Musiałem mieć ją przy sobie. Budzić się przy

niej. Móc wyciągnąć rękę w nocy i poczuć ją u boku. Otworzyć oczy rano i jako pierwszą zobaczyć jej piękną, senną twarz. Ona stała się moim światłem w ciemności, nadzieją pośród rozpacz i tęczą na tle szarości. Dzięki niej miałem odwagę optymistycznie patrzeć w niepewną przyszłość. Dla niej byłem silny wobec przeciwności i codziennie chciałem się śmiać.

A jednak... Niech to szlag! Ona była też moim bólem i rozpaczą; bezsenną nocą i tęsknotą; strachem, niepokojem. Myśląc o niej, odkrywałem nieznane mi uczucia: zagubienie, desperację, wyobcowanie. Odkrywała moje słabości, czułem się bezbronny, chwiały się moje przekonania i zasady; wszystko, w co wierzyłem i o co walczyłem, traciło znaczenie.

Boże, ona była całym moim życiem, tylko ona, bracie, i nic więcej! Lecz ona nie była moja i czułem, że zdobyć ją będzie bardzo trudno. Była jak piękny i ulotny miraż, jak płatek śniegu na dłoni albo zapach świeżo ściętego kwiatu. Była popołudniowym światłem na horyzoncie, pianą na grzbietach fal. Wolnym duchem, który nie pozwoli się związać, nawet słodkim więzom miłości.

I... całowała ciebie.

– No przecież! Już wiem! – krzyknęła nagle Lizka, przerywając ciszę taksówki, którą wieźliśmy ją do domu, i w ten sposób burząc moje rozmyślenia.

– O co chodzi? – zapytał Richard, ubiegając mnie.

– Akaśa! Już wiem, skąd znam to imię! Akaśa!

Chodźcie ze mną do mojego mieszkania. Mam przeczucie.

Pamiętam, ukochany, jak wbiegałam po nierównych schodach na swoje poddasze, w eskorcie zaintrygowanych Karla i Richarda. Szukałam kluczy w torebce, nie mogłam się doczekać ich charakterystycznego pobrzękiwania; znalazłam je i włożyłam klucz do zamka. Zapomniałam o elementarnych zasadach dobrego wychowania i zostawiłam swoich gości samych na schodach. Wpadłam jak huragan do środka i od razu pognałam do sypialni. Kiedy po przyjeździe z Brunstriechu rozpakowywałam walizki, schowałam książki do szafki nocnej, gdzie zwykle kładłam te, które właśnie czytałam, żeby mieć je pod ręką w oczekiwaniu na sen.

– Tu są! – zawołałam tryumfalnie, wystawiając głowę z sypialni.

Karel i Richard patrzyli na mnie zbici z tropu. Poprowadziłam ich do stolika w małym pokoju, który czasem służył też za jadalnię. Na pięknej wzorzystej tkaninie, wykonanej przez himalajskie plemię Magar, położyłam obie książki.

– Dał mi je Borys Iljicz... to znaczy Krüffner, w noc przed śmiercią – wyjaśniłam. – Ta nie jest wyjątkowa, to francuskie wydanie *Poza dobrem i złem* Nietzschego. Ale spójrzcie na tę... Zwróćcie uwagę na nazwisko autora.

Karel wziął do rąk niewielką książkę o gładkich okładkach ze skóry. Przerzucił okładkę bez tytułu,

ozdobioną jedynie cienkim złotym szlaczkiem, i przeczytał dwie pierwsze linijki na pierwszej stronie.

– *La philosophie de Nietzsche. Une étude de A. Kasha...* A. Kasha! Akaśa! Eter!

– Otto Krüffner! – zawołaliśmy chórem.

– Tę książkę napisał sam Krüffner i założę się, że dał mi ją nie tylko z czystej sympatii.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Richard.

– Pamiętasz książkę, którą chciano mi ukraść w Tuileriach?

Richard cofnął się myślami do chwili, kiedy poznaliśmy się w parku, a on myślał, że jestem delikatną damą, którą chciano okraść; i sądząc, że jest moim obrońcą, flirtował ze mną jak sztubak. Z neutralną miną, która nie pozwoliła mi stwierdzić, czy to wspomnienie jest dla niego przyjemne czy nie, a może i jedno i drugie, tylko przytaknął.

– I pamiętasz, gdzie znaleźliśmy haszysz?

– Tak, oczywiście, w śro... w środku książki! Myślisz, że...?

– Myślę, że Krüffner, wręczając mi książkę, schował ważną rzecz tam, gdzie nikt by jej nie szukał, jak bogowie w legendzie.

– W takim razie sądzisz, że w książce jest zaszyfrowana jakaś wiadomość? – spytał Karel, który nie będąc świadkiem naszego paryskiego spotkania, czuł się nieco zdezorientowany.

– Nie. Uważam, że dokumenty sekty są w książce.

Poszukałam nożyczek w komodzie.

– Dalej, Richardzie – zachęciłam go, podając mu nożyczki. – Masz większą wprawę.

Richard otworzył książkę i czubkiem nożyczek ostrożnie podważał wyklejkę okładki. Gdy skończył, naszym oczom ukazało się wgłębienie, w którym wszyscy mogliśmy zobaczyć złożone kartki.

Wstrzymałam oddech, a sądząc po panującej w pokoju całkowitej ciszy oraz po ożywionych spojrzeniach moich towarzyszy, oni pewnie też przestali oddychać. W końcu Richard odważył się wyjąć kartki; ostrożnie, jakby bał się je podrzeć. Rozłożył papiery: jedna ich krawędź była poszarpana – zostały wyrwane z książki.

– Brakujące kartki... – wymamrotał Karel, starając się zapanować nad podnieceniem.

Richard mu je podał, więc patrzyliśmy na nie zza pleców Karla. Były upstrzone cyframi i wzorami, mało słów, a wiele symboli, jak dziwny kobierzec. Wyglądało to jak tablica pierwiastków na lekcji fizyki albo chemii i dla nas jako laików było bardziej niezrozumiałe niż jakakolwiek zaszyfrowana skomplikowanym kodem wiadomość, bo do odczytywania szyfrów przynajmniej zostaliśmy przeszkoleni.

– Cząsteczka $n...$ U... radiacja?... $238U...$ Co to jest, u diabła? – wyszeptał 92 Karel.

– Spójrzcie tutaj. – Wskazałam na wzór, który wydawał się dominować nad pozostałymi.

Karel przeczytał:

– $1\ n + 235\text{U} = 140\text{Cs} + 93\text{Rb} + 3\ n\dots$

– Powiedziałbym, że to wzór chemiczny. U to uran, Cs to cez, Rb, rubid... To pierwiastki chemiczne, ale nigdy nie widziałem nic podobnego – dodał Richard.

– Czy to może być ta śmiercionośna broń? – zapytałam.

Karel pokręcił głową.

– Nie wiem... Nie wiem...

27 stycznia

Wyznaję ci, bracie, że trudno mi było skoncentrować się na pracy. To, co do tamtej chwili było sensem mojego istnienia, nagle zmieniło się w torturę, którą mogłem znieść tylko dlatego, że ona była ze mną. Przyznaję, że wyruszyłem w podróż do Manchesteru pełen nadziei, ale nie dotyczyła ona tego, że uda nam się zbliżyć do rozwiązania zagadki. Powodowały mną bardziej osobiste sprawy: byłem gotów zrobić decydujący krok.

Gdy w końcu znaleźliśmy brakujące strony, musieliśmy się zwrócić do jednego z komitetów wsparcia francuskiego rządu, żeby odczytać te fizyczno-chemiczne hieroglify, które Krüffner zostawił nam w spadku. Przez komitet trafiliśmy do pani profesor Curie z Sorbony, ekspertki w dziedzinie chemii, laureatki Nagrody Nobla, pracującej nad zjawiskiem promieniowania. Kiedy pani profesor przejrzała nasze dokumenty, to oprócz tego, że okazała ogromne zdumienie ich zawartością, z powodów,

których wolała nam nie wyjawiać, skierowała nas do profesora Ernesta Rutherforda, który według niej był w tej sprawie najbardziej odpowiednią osobą spośród wszystkich naukowców.

Ernest Rutherford był profesorem fizyki na uniwersytecie w Manchesterze, dokąd wybraliśmy się z Lizką wraz z dokumentami.

Był to człowiek jowialny, niewiele ponadczterdziestoletni, którego zastaliśmy w laboratorium przy pracy z jakimiś dziwnymi aparatami. Ów słynny naukowiec, tak jak pani profesor Curie, został nagrodzony Noblem zaledwie kilka lat wcześniej, znakomity fizyk i chemik, wbrew wszelkim oczekiwaniom okazał się człowiekiem prostym i miłym.

– Och, pani profesor Curie! To niesamowita kobieta, naprawdę niesamowita – zawołał, gdy tylko przedstawiliśmy nasze listy polecające. – To dla mnie wielki zaszczyt, że poleca mnie jako eksperta. Bardzo bym nie chciał państwa zawieść, ale jestem tylko zwyczajnym człowiekiem. Proszę siadać, proszę. Mają państwo ochotę na herbatę?

– Nie, bardzo dziękujemy – odpowiedzieliśmy chóralnie, jednocześnie się wyginając i pochylając, aby usiąść w niskiej ławce.

– Dobrze, czegoż to pragnie rząd Jego Królewskiej Mości od kogoś takiego jak ja?

– Chcielibyśmy panu coś pokazać, profesorze – zaczęłam, wyciągając z teczki angielskie tłumaczenie

książki Krüffnera, w tym dwie wyrwane strony, ale wręczyłam profesorowi jedynie te ostatnie, z ciągami wzorów.

Profesor Rutherford skupił się na lekturze. Przez jego skupioną twarz przemykały różne grymasy – od zdumienia do niedowierzania. Zmarszczył brwi, wydał usta pod gęstymi czarnymi wąsami. W końcu westchnął, nim rzucił krótko:

– To zdumiewające. – Nie podnosił wzroku znad kartek, zahipnotyzowany ich zawartością.

– A zatem wie pan, co oznaczają te wzory?

– O ile mi wiadomo, proszę pani, przedstawiają coś niemożliwego.

– Ale...

Jako świetny nauczyciel przewidział, że jego słowa wprawiają nas w zmieszanie. Chodziło mu jednak o swego rodzaju efekt dramatyczny, do którego celowo się uciekł, jakby go to bawiło. Z uśmiechem postanowił naświetlić nam nieco swoje pierwsze wrażenia.

– Cóż mogę powiedzieć.... To, proszę państwa, przekracza moją wiedzę. Sądzę, że lepiej wam to uzmysłowię, gdy powiem, że czuję się trochę tak, jakbyście przybyli prosto z przyszłości, z wiedzą dalece wykraczającą poza to, co teraz wiemy. Człowiek albo ludzie, którzy sporządzili ten dokument, prowadzą badania fizyczne i chemiczne znacznie bardziej zaawansowane niż społeczność akademicka, do której mam zaszczyt należeć. – Profesor przerwał i ponownie

spojrzał na kartki. – Nie mogę wyjść ze zdumienia.

Tymczasem my zachowywaliśmy powściągliwe milczenie, nie odważając się komentować owego zdumienia geniusza nauki. Kiedy Lizka na mnie spojrzała, jakby oczekiwała ode mnie jakiejś reakcji, zobaczyłem u niej taką samą bezradną minę, jaką pewnie sam miałem.

– Mogę się dowiedzieć, jak to wpadło w państwa ręce?

– Przykro mi, ale to tajna informacja. Niemniej, mogę panu powiedzieć, że istnieją pewne przesłanki, iż może chodzić o broń, która może zostać użyta przeciwko Wielkiej Brytanii i jej sojusznikom w przypadku konfliktu.

– Rozumiem.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy uważa pan, że to jest broń, a jeśli tak, to jakiego typu – dodałam, mając nadzieję, że profesor powie wreszcie coś więcej.

– Naprawdę nie odważę się na żadne osądy. Potrzebuję trochę czasu, żeby dokładnie to przeanalizować – oświadczył, drapiąc się po brodzie.

– Niestety, akurat czasu nie mamy. Rozumie pan pilność sprawy...

– Tak, tak, oczywiście. Proszę przynajmniej o najbliższą noc. Chciałbym się skonsultować z kilkoma kolegami i...

– Kolegami? – przerwałam zaniepokojona. – Proszę pamiętać, że sprawa jest bardzo delikatna i absolutnie poufna. W grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe.

– Tak, tak, oczywiście. Jednak profesorowie Bohr i Geiger to eksperci...

– Profesor Geiger? Hans Geiger? Jeśli się nie mylę, on jest Niemcem.

– Tak – poważnie przytaknął naukowiec, który mimo swojego charakteru i chęci współpracy najwyraźniej już czuł się zmęczony tymi wszystkimi problemami.

– To nie byłoby roztropne, profesorze. Nie podaję w wątpliwość kompetencji profesora Geigera, ale mając na względzie obecną sytuację polityczną, nie możemy ryzykować.

Profesor Rutherford zamilkł. Nie wydawał się już tak jowialny jak na początku. Zakwestionowano lojalność jednego z jego współpracowników, a tego nie lubił. Przez chwilę myślałem, że odmówi nam pomocy. Wtedy okazało się, że rację miał ów przełożony Lizki, który uznał jej kobiecość za atut i wystarczający powód, aby wysłać ją na misję. Ta przepiękna kobieta pochyliła się i opierając otwarte dłonie na stole, przemówiła miłym głosem; cała emanowała sympatią i zaufaniem i stanowiła przeciwwagę dla mojej gruboskórności i rzeczowości.

– Proszę się skonsultować z profesorem Bohrem. Z pewnością we dwóch będziecie w stanie pomóc nam rozwiązać tę zagadkę. Sytuacja jest krytyczna. Połowa cywilizowanego świata potrzebuje pańskiej wiedzy, profesorze.

Lizka patrzyła na niego błagalnym i słodkim wzrokiem, aż po kilku pełnych napięcia sekundach on

przewyciężył swoją niechęć.

– W porządku. Proszę przyjść jutro po południu. Punktualnie o czwartej.

28 stycznia

Pamiętam, ukochany, że następnego dnia po naszej pierwszej raczej bezowocnej wizycie u profesora Rutherforda zebraliśmy się w kącie jego laboratorium, przed tablicą, która zajmowała całą ścianę. Był tam też profesor Niels Bohr, młody duński fizyk, niewiele starszy od Karla, który pracował z Rutherfordem nad modelem atomu.

– Od razu państwu powiem, że stoimy w obliczu wielkiego odkrycia naukowego. Na tych dwóch stronach streszczono lata badań, przedstawiono wnioski, co do których nie jestem pewien, czy zostały już dowiedzione, i choć od jakiegoś czasu wszystko to przeczuwamy, sądziliśmy jednak, że jeszcze nie narodzili się ludzie, którzy mogliby tego dokonać. W tym nieprawdopodobnie błyskotliwym wywodzie zawiera się destrukcja.

Słowo „destrukcja” w ustach tak mądrego człowieka przyprawiło mnie o gęsią skórę. Rutherford wziął kredę i podszedł do tablicy.

– Postaram się wyjaśnić wszystko możliwie najbardziej obrazowo i jak najprościej, choć zagadnienie jest bardzo skomplikowane. Podstawą wszystkiego jest materia. – Uderzył palcami w drewnianą tablicę. –

Materia składa się z pierwiastków chemicznych. Wszystkie pierwiastki zaś są zbudowane z cząsteczek, które nazywamy atomami. Dotychczas wiedzieliśmy, że atomy z kolei składają się z cząsteczek jeszcze mniejszych, o ujemnym ładunku elektrycznym, które nazwaliśmy elektronami. Profesor Bohr przedstawi państwu model wykonany przez nas na podstawie naszej dotychczasowej wiedzy.

Niels Bohr wstał i kreśląc na tablicy koncentryczne koła, wyjaśniał:

– Upraszczając, powiem państwu, że atom składa się z jądra i kory. W korze, wokół jądra, po kolistych trajektoriach, krążą elektrony zależne od emitowanych przez nie ładunków energii. Według przyniesionych przez państwa dokumentów, jądro, które uważaliśmy za jednorodne, także składa się z cząsteczek dwóch rodzajów: jedne nazywa się tu protonami, gdyż ich ładunek elektryczny jest dodatni, a drugie neutronami, bo ich ładunek elektryczny jest obojętny. Ich liczba zależy od pierwiastka. A zatem mamy atomy najprostsze, na przykład wodoru, który ma tylko jeden proton, aż do najbardziej złożonych, których jeszcze nie odkryto, choć zakłada się ich istnienie.

– Jak to? – zapytałam.

– Bo skoro odkryliśmy pierwiastek z pięćdziesięcioma trzema elektronami i inny z pięćdziesięcioma pięcioma, to jasne, że musi też istnieć pierwiastek o pięćdziesięciu czterech elektronach, choć

jeszcze go nie znamy.

– Elektronach czy protonach? – spytał Karel.

– To bardzo interesujące pytanie. Zgodnie z tym dokumentem, każdy atom jednego pierwiastka ma taką samą liczbę protonów i elektronów. Liczba neutronów zaś może być zmienna.

– Nawet w przypadku tego samego pierwiastka?

– Tak. Nazwano je tu izotopami³: o tych samych właściwościach chemicznych, ale o różnej liczbie masowej, to znaczy sumie neutronów i protonów.

Widząc, że nie mamy więcej pytań, a temat nas wciągnął, profesor Rutherford znowu zabrał głos:

– Najbardziej zaskakujące w tym wszystkim jest to, że osoby, które to napisały, twierdzą, że zdołały rozszczepić atom, podzielić go, czyli sprawić, że jeden pierwiastek zamienił się w drugi... Alchemia, proszę państwa.

– Alchemia? Kamień filozoficzny? Mogą przemienić każdą rzecz w złoto? – Sceptyczny Karel domagał się wyjaśnień.

– Coś w tym rodzaju. Ci ludzie znaleźli sposób, żeby przemienić każdy pierwiastek w złoto. A udało im się to, bo wyodrębnili i wykorzystali neutrony. Gdy wystrzeliwuje się neutron w kierunku jądra atomu danego pierwiastka, ten się dzieli, powodując przemianę w inny pierwiastek. Konkretnie eksperymentowali z uranem, pierwiastkiem o dziewięćdziesięciu dwóch elektronach i takiej samej liczbie protonów. Uderzyli neutronem w

atom uranu i, co zaskakujące, udało im się go podzielić na dwa pierwiastki: bar z pięćdziesięcioma sześcioma elektronami i krypton z trzydziestoma sześcioma. Razem daje to dziewięćdziesiąt dwa: liczbę elektronów uranu.

Profesor Rutherford pokrywał tablicę znakami i liczbami, wzorami i symbolami... Nagle się zatrzymał i spojrzał na nas.

– A najbardziej nieprawdopodobne, i to w tym miejscu państwo, rząd i wszyscy ludzie o pokojowych zamiarach powinni się zacząć martwić, jest to, co można osiągnąć dzięki magicznemu neutronowi. – Uczony znowu wrócił do tablicy i napisał kolejne symbole. – Według dokumentu uran posiada trzy izotopy, proszę pamiętać, że chodzi o atomy tego samego pierwiastka o innej liczbie neutronów, ale tylko jeden z nich, ^{235}U , łatwo poddaje się rozszczepieniu w reakcji, którą zapisano w następujący sposób. – Stojąc plecami do nas profesor Rutherford, przepisał na tablicę wzór z dokumentów: $1 n + ^{235}\text{U} = ^{140}\text{Cs} + ^{93}\text{Rb} + 3 n$ i podkreślił go z głośnym piskiem kredy. – To znaczy, uderzając w atom izotopu uranu ^{235}U jednym neutronem, rozszczepia się go i przekształca w jeden atom cezu oraz drugi rubidu i zostają jeszcze trzy wolne neutrony. To, co nazwali syntezą atomu, wyzwala ogromną energię, bo jeśli przeprowadzić ten proces przy użyciu jednego grama izotopu uranu ^{235}U , wyzwoli się energię równą eksplozji trzydziestu tysięcy kilogramów dynamitu. – Profesor Rutherford odwrócił się, żeby przekonać, czy nasze twarze wyrażają

zdumienie i przerażenie, którego się spodziewał. – Oto tutaj mają państwo tę broń – zawyrokował.

– Ale... ale to... czy to się da zrobić? – wybełkotał oszołomiony Karel.

– Teoretycznie tak. Szczęśliwie, jeszcze się nie udało. Zdaje się, że natrafiono na dwie przeszkody. Jedną jest wyodrębnienie uranu ^{235}U , jedyne go rozszczepialnego, z ^{238}U , który najczęściej występuje w naturze. To proces kosztowny i trudny. A drugą jest rozszczepienie, bo przeprowadzenie tej reakcji wymaga dostarczenia większej ilości energii, niż się jej uwalnia. To problem, który można rozwiązać za pomocą reakcji łańcuchowej, z wykorzystaniem trzech pozostałych neutronów. Trzeba sprawić, żeby każdy z nich uderzył w następne atomy ^{235}U , uwalniając w ten sposób następne trzy neutrony, to znaczy w sumie dziewięć, a te znowu uderzą w następnych dziewięć atomów i tak dalej. Można tego jednak dokonać wyłącznie w laboratoriach wyposażonych w bardzo nowoczesne i drogie urządzenia. Ich szkice, tak jak oni je sobie wyobrażają, są bardzo szczegółowo przedstawione w załączniku na końcu dokumentu.

– Myśli pan, że można by przeprowadzić taką reakcję?

– Sądzę, że niestety tak. Nie potrafię jednak określić koniecznego czasu ani budżetu. Pomyślcie jednak o mocy choćby kilograma ^{235}U .

Karel przeprowadził w myślach szybkie obliczenia.

– Trzydzieści tysięcy ton dynamitu – wyszeptał

powoli, jakby ta nieprawdopodobna liczba nie mogła mu przejść przez gardło.

– Wystarczy, żeby obrócić w perzynę miasto wielkości Londynu – podsumował poważnie profesor Bohr.

Pomieszczenie pogrążyło się w ciszy. „Przeleciał anioł”, zwykła mawiać matka. W tamtej chwili mogło jednak chodzić tylko o demona, język przykleił mi się do podniebienia, miałam zaciśnięte zęby, skurczony żołądek i brodę przyciągniętą do piersi. Mój mistrz jogi powiedziałby, że wszystkie moje bandhy były zamknięte. Nie potrafiłam wyobrazić sobie siły destrukcji trzydziestu tysięcy ton dynamitu. Nie chciałam wyobrazać sobie dantejskich scen ścierania z powierzchni ziemi miasta takiego jak Londyn, obróconego w ruinę, spalonego, zabitych mieszkańców... Jaki chory umysł mógł wymyślić taką potworność? Jak to możliwe, że miły Borys Iljicz, którego poznałam, miał zbrodniczy umysł jako człowiek, którego znaleźmy pod nazwiskiem Otto Krüffner? Po raz pierwszy poczułam, że jego śmierć była sprawiedliwością. Ogarnięta gniewem, pomyślałam, że sama powinnam go była zabić.

Tej nocy Karel i ja wyruszyliśmy w powrotną drogę do Londynu, żeby zakomunikować naszym przełożonym straszne wnioski ze spotkania z profesorem Rutherfordem. Odbyliśmy podróż w milczeniu, byliśmy poruszeni.

– Kundalini – pomyślałam na głos. – Kundalini to łącznik pomiędzy sektą i fizyką. Kundalini mówi o

istnieniu atomów: płonących cząsteczkach słońca i księżycy, które żyją w nas, a kiedy zostają uwolnione, czynią z nas istoty potężne, niemal boskie.

Karel tylko skinął głową, nie przestając wpatrywać się w drogę, wydawał się nieobecny.

Dalej rozmyślałam już w milczeniu. Dlaczego człowiek dąży tylko do destrukcyjnego aspektu boskości, a nie do mocy stwórczej, łaskawej, prowadzącej do dobra? Czy dla człowieka tak atrakcyjne jest zło? Wiedziałam, że tak. Kogo z nas nigdy ono nie pociągało? Tak jak wszyscy, ja też miałam swoją ciemną stronę i kilka razy przekroczyłam cienką granicę dzielącą dobro od zła. Jakże mogłam kogokolwiek oceniać, ukochany? A teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, jeszcze bardziej bym się przed tym wzbraniała.

Trzy godziny później, gdy przejechaliśmy sto pięćdziesiąt z trzystu kilometrów dzielących Manchester od Londynu, noc nadciągnęła nad wąskie i kręte drogi. Zmęczenie i wyspiarska zimna wilgoć jęła się wciskać przez szpary samochodu, co skłoniło nas do rozejrzenia się za noclegiem.

Wybraliśmy zwykłą gospodę w centrum dawnego Lichfield. W ceglanej fasadzie z drewnianymi belkami niczym wielkie oczy świeciły okna zalane złotym światłem. Zarejestrowaliśmy się jako pan i pani Smith.

Pamiętam, że jadalnia była malutka, zaledwie pięć czy sześć stolików. Mgliście pamiętam surowość kamienia i drewna oraz kolekcję kufli do piwa na

kominku. Tam, przy żywym ogniu rozsiewającym zapach drewna i żywicy, ze smakiem pochłonęliśmy prostą, smaczną kolację, przygotowaną ze świeżych produktów z pobliskich gospodarstw: rosół, pieczoną szynkę z ziemniakami, pudding jabłkowy i odrobinę stiltona z porto.

Milcząca i przygnębiona oddałam te chwile Karlowi. Wśród uporczywego brzęku talerzy i sztućców wychwytywałam jego słowa, czerpałam ulgę z jego głosu; moje zgrabiałe ręce przesuwwały się po obrusie w poszukiwaniu ciepła jego dłoni; moje oczy zasnutę sennością obserwowały jego miłą twarz nad krawędzią kieliszka. Szare oczy i ciepłe spojrzenie łagodziły kanciastość jego rysów.

Karel mówił, ja milczałam i słuchałam, a mój oszołomiony umysł analizował tego człowieka: dominujący, ale pełen szacunku; powściągliwy; analityk i obserwator; wrażliwy na niesprawiedliwość i nadużycia władzy; opiekuńczy; próżny; niezależny; pełen rezerwy; słowo przed mieczem; nieufność jako wizytówka; duma i pycha w przebraniu samodzielności; wrażliwość przytłumiona uprzedzeniami, ale codziennie walcząca o pierwszeństwo; lektura w fotelu, utwory wygrywane na pianinie, kierownica samochodu, whisky o zmierzchu; dobrowolna samotność dusz...

Dopiero pod koniec kolacji, kiedy usiedliśmy na kanapie – Karel ze szklaneczką whisky, którą pił zawsze na zakończenie dnia – zdałam sobie sprawę, że on też jest

zmęczony, że tłumi ziewnięcia i z całej siły stara się utrzymać otwarte oczy. Wreszcie sen wygrał i Karel zasnął z głową na oparciu kanapy i szklaneczką w ręku. Ten twardy zimny mężczyzna pogrążony w słodkim śnie rozczulił mnie. Pocałunkiem obudziłam go z drzemki i poszliśmy do pokoju, aby pogrążyć się w miłości. W upojeniu zmęczeniem i winem wydało mi się, że go kocham.

29 stycznia

Pamiętam, ukochany, że obudziłam się w środku nocy, czując jego dłoń na mojej piersi; ta pieśczoła przyprawiała mnie o dreszcz rozkoszy. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że śpi; z pewnością był to słodki sen, pełen erotycznych fantazji. Moja odpowiedź na jego nieświadome wezwanie go zbudziła. Ocknął się, gdy pokrywałam jego tors pocałunkami.

Gdy skończyliśmy się kochać, nie potrafiłam na powrót przywołać snu. Ponieważ w pokoju zrobiło się zimno, wstałam, żeby dorzucić drewno do przygaszonego kominka. Gdy polano zajęło się ogniem, pokój wypełniła pomarańczowawa poświata i ciepło owionęło moje ciało owinięte kołdrą tylko do pasa. Usiadłam przed lustrem toaletki, wzięłam szczotkę i zaczęłam rozczesywać włosy, ciesząc się delikatnym masażem; z zamkniętymi oczami i głową pozbawioną wszelkich nieprzyjemnych myśli...

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam w lustrze, że on

leży, podparty na poduszkach, i przygląda mi się. Gdy się do niego uśmiechnęłam, wstał i okrył się szlafrokiem, niedbale zawiązując pasek. Wziął szczotkę z moich rąk i zastąpił mnie w mojej czynności. Ale nie tylko zwyczajnie mnie cesał, także delikatnie i zmysłowo pieścił. Przesunął palcami pod moimi nagimi piersiami, obrysowując krzywizny mojego ciała. Wstrząsnął mną dreszcz.

– Nie ożenię się z Nadią – stwierdził nagle.

Nie miałam śmiałości otworzyć oczu ani wypowiedzieć choć jednego słowa. Zaległa cisza, która mnie wydała się pełna napięcia i groźna przez to, co przewidywałam.

– Nie chcę spędzić reszty życia z nikim innym, tylko z tobą.

Zmierzyłam czas trwania ciszy – już innej – swoim oddechem: wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech, wdech...

– Kocham cię.

Wdech.

Atak nastąpił pod pozorem miłości, tak jak to bywało wcześniej. Ale tym razem zdołał skruszyć moją fortecę, osłabić obronę i zagrozić mojej niezależności.

Spojrzałam na niego, jak skazaniec patrzy na kata. Powiedziałabym, że miał minę człowieka, który właśnie wyznał grzech, może dlatego, że moja twarz wyrażała urazę wywołaną grzechem.

– Wiesz, że to niemożliwe. Musisz się z nią ożenić.

To twój obowiązek – stwierdziłam, choć wiedziałam, że nie chodzi o nią, tylko o mnie.

– Sprawy się zmieniły. Moje życie się zmieniło. Nie jest już takie jałowe, że warto je poświęcić bez żalu. Do diabła z głupcami i ich wojną! Jeśli tego właśnie chcą, to będą ją mieli, a ja już nic nie mogę zrobić, żeby temu zapobiec. Nie chcę już nic więcej zrobić. Bo ja też się zmieniłem, Lizko. Chcę mieć dom, miejsce, do którego chciałbym wracać, stworzyć rodzinę, mieć dzieci. Ale przede wszystkim chcę się budzić przy tobie we wszystkie dni mojego życia. To jedyne, co ma dla mnie sens.

Odwróciłam się na krześle i poszukałam jego oczu. To okropne! Zakochał się we mnie! A ja znowu nie byłam pewna, czy go kocham, tak samo jak nigdy nie byłam pewna swej miłości do kogokolwiek... poza tym przypadkiem, kiedy miłość stała się dla mnie bolesną chorobą i przysięgałam sobie, że nigdy więcej nie dam się nią zarazić. Z poczuciem winy i smutku wzięłam go za rękę i przyciągnęłam do siebie. Jakby był wyczerpany, położył mi głowę na kolanach.

– Jesteśmy tacy sami – zaczęłam mówić, gładząc jego faliste włosy w miodowym odcieniu. – Dlatego nasze drogi się przecięły. Oboje ponad wszystko cenimy sobie niezależność i wolność. Zmieniliśmy się w istoty samotne i egoistyczne. Oto cena, którą płacimy. Ale przynajmniej poświęciliśmy życie sprawom, które uważamy za ważne. Teraz już jest za późno, żeby się wycofać.

Karel uniósł głowę i spojrzał na mnie. Jego wzrok był

przepełniony goryczą i bólem.

– Ja już nie, Lizko. I to nieprawda, że jest za późno. Nie dla mnie. Ale ty... To przez niego, prawda? Zakochałaś się w Larsie.

Twoje imię w jego ustach wywołało wstrząs. Podobne uczucie wzbudzają przekleństwa, bluźni, słowa niecenzuralne.

– Widziałem, jak się całowaliście.

– Całowałam w życiu wielu mężczyzn – broniłam się – ale zakochałam się w nielicznych.

Ta spokojna odpowiedź tylko pogorszyła sprawę i Karel od rozpaczki przeszedł do gniewu.

Wstał i oddalił się ode mnie, żeby rzucić mi kilka cierpkich słów:

– A więc tylko tym jestem! Kolejnym numerem na twojej liście! Teraz rozumiem...

– Nie idź tą drogą. Tylko jeszcze bardziej się skrzywdzisz – wyszeptałam ciepło.

– To i tak jest bardzo trudne.

– Co robisz? – zapytałam, widząc, że pośpiesznie narzuca płaszcz na szlafrok.

– Muszę się przewietrzyć.

Poszedł sobie. Zostawił mnie, wpatrującą się w zamknięte drzwi, z głową i sercem pogrążonymi w strachu i wątpliwościach.

Wrócił po godzinie. Rozbudzona, ale udając, że śpię, poczułam zimno na plecach, kiedy jego lodowate ciało wsunęło się pod kołdrę.

31 stycznia

Pamiętam, ukochany, że leżąc w łóżku, patrzyłam pustym wzrokiem w sufit. Było zimno, ale to mi nie przeszkadzało; przeciwnie, zdawało się koić moje zszargane nerwy.

Opuściłam Lichfield, gospodę i Karla, kiedy światło poranka zaczęło rysować na tle nieba dachy domów. Uciekłam od wrogiego przebudzenia, gorzkiego śniadania i długiej podróży. Nie mogłam jednak uciec od osaczających mnie demonów. Po niemal dwóch dniach podróży, trzy razy pociągiem i raz promem do Calais, dotarłam do swojego poddasza przy ulicy Saint-Sulpice, fizycznie zmęczona, moralnie wyczerpana. Czułam, że przestaję panować nad własnym życiem, że popełniam błędy, których przysięgłam sobie nigdy więcej nie popełnić, że znowu się zakochuję.

Słabość, zagubienie, samotność były pretekstem, żeby przypomnieć sobie o szczególnym prezencie, który mi dałeś przed moim wyjazdem z Brunstriechu. „Otwórz go wtedy, gdy będziesz za mną tęsknić”, powiedziałeś. Nie byłam pewna, czy to odpowiedni moment, ale i tak otworzyłam. Starannie opakowane pudełeczko zawierało flakonik z czerwonego kryształu, ze srebrną szyjką, na której przewiązано satynową niebieską wstążeczkę. Na niej gruby papier zapieczętowany lakiem. Złamałam pieczęć i otworzyłam list: kilka akapitów napisanych

czarnym atramentem, nienagannym pismem.

Pewna stara legenda mówi, że krople rosy lśniące o świcie na płatkach kwiatów w lesie to łzy ruszałek wylewane nad śmiercią każdej nocy.

Otwórz ten flakonik, a w perfumach odnajdziesz łzy, które wylewam każdej nocy umierającej bez ciebie... Weź kroplę. Pozwól jej spaść we wgłębienie, któremu tyle razy się przyglądałem, u nasady szyi. Poczuj, jak spływa po dekolcie, dosięga piersi i zasypia w dolinie pępka, gdzie w marzeniach składam głowę na spoczynek...

Zamknij oczy. Pomyśl o mnie. Ja myślę o tobie w każdej minucie swoich dni, w każdej sekundzie swoich nocy.

Lars

Tymi słowami, ukochany, pieściłeś moją skórę, po której przebiegały dreszcze; oczy zaszły mi łzami; pocałowałeś mnie w drżące usta. Swoimi słowami, ukochany, przekłętymi pięknymi słowami obudziłeś we mnie czułość i uczucie, od tak dawna uśpione. Dając się im ponieść, rozebrałam się, położyłam się do łóżka i zrobiłam dokładnie to, o czym mówiłeś. Kiedy jednak spowita delikatnym jaśminowym zapachem, który przepełnił pokój wonią lata, zamknęłam oczy i zasypiałam, nie mogłam myśleć o nikim ani o niczym.

Sen szybko przemienił się w koszmar. Koszmar w kolorach krwi i złota, w którym szydercza Kali, z niebieskim obliczem, naszyjnikiem z czaszek, z wytrzeszczonymi oczami i długim językiem zwisającym z

ust, ściagała mnie ciasnym, ciemnym korytarzem. Odnalazłam schronienie w pokoju gospody w Lichfield. W łóżku, wsparty na poduszkach, czekał na mnie twój brat, ale kiedy chciałam się do niego zbliżyć i go dotknąć, okazało się, że to nie on, tylko ty. Okropnie zmarznięta, weszłam do łóżka, a wtedy zdałam sobie sprawę, że znajduję się w drewnianej skrzyni, jakby trumnie. Pojawiło się pięciu zamaskowanych mężczyzn, a z ich ust wykrzywionych w groteskowym grymasie płynęły rytualne pieśni. Patrzyło na mnie pięciu mężczyzn, groziło mi pięciu mężczyzn, pięciu mężczyzn...

Obudziłam się nagle, spocona i wstrząsana dreszczami. Kiedy zdołałam dojść do siebie i wrócić do rzeczywistości, w głowie ciągle miałam pięciu zamaskowanych mężczyzn, wpatrujących się w bezruchu w moje rozszerzone strachem źrenice.

Pięciu mężczyzn!... W ceremonii w świątyni w Ottakringu brało udział nie czterech, a pięciu mężczyzn!

Wyznaję ci, bracie, że będąc mężczyzną rozsądnym, zarówno wyważonym i racjonalnym, od pierwszej chwili przeczuwałem, że ona mnie odrzuci; od pierwszej chwili walczyłem, by zachować chłodną głowę i trzymać zamknięte usta. Ale najbardziej irracjonalna strona mojej osobowości szponami pasji zdusiła rozsądek; kiedy zdałem sobie z tego sprawę, byłem już w niej na zabój zakochany. Zakochany, jak nigdy bym się tego nie spodziewał, czułem się niekompletny, złamany, niepewny

i samotny, jeśli jej nie było. Ta chorobliwa zależność musiała w końcu mnie zabić, byłem tego pewien.

I powoli umierałem od chwili, kiedy porzuciła mnie w tamtej gospodzie, zostawiając suchą wiadomość na nocnej szafce: „Wracam do Paryża”. Rozbity, zanurzyłem twarz w poduszce, nie po to, żeby płakać, ale żeby odnaleźć ostatni ślad jej zapachu.

Rzadko przebywanie u kogoś wydawało mi się tak przykre. Rzadko zdarzało mi się jeść potrawy tak pozbawione smaku, w towarzystwie tak nieznośnym i nudnym. Mając na uwadze mój nastrój, nigdy nie powinienem był się zgodzić na to spotkanie, które czekało mnie w Londynie. Po kolacji oznajmiłem, że źle się czuję, przeprosiłem i udałem się do siebie.

Chociaż noc była zimna i gęsta mgła spowijała ulice, zdecydowałem się przespacerować. Musiałem pomyśleć, rozjaśnić umysł; poprzeklinać swój los i poużalać się nad sobą. Chciałem pojechać za nią, bo czułem się okropnie, chory, bo bez niej byłem nikim. Ale nie zrobiłem tego, bo złość, duma i żal mi nie pozwalały.

Ta złość przytępiła mi zmysły, tak że dopiero po kilku przecznicach zdałem sobie sprawę, że ktoś za mną idzie, usłyszałem echo kroków na chodniku, które chciały zostać zagłuszone przez moje.

Stuk (stuk), stuk (stuk)...

Odwróciłem się.

We mgle było widać tylko pustą i źle oświetloną ulicą, jakby spowitą białym dymem.

Znowu ruszyłem naprzód, już z pobudzonymi zmysłami, i stwierdziłem, że nie opuszcza mnie to nieprzyjemne poczucie czyjejs obecności, bliskiej i zagrażającej, zagadkowej w swoim sposobie osaczania, niebezpiecznej, bo niewidzialnej, jak trujący gaz. Noc była ciemna i łatwo było ukryć się za rogiem, wtopić się w mgłę, zniknąć w zagłębieniu bramy...

Z prawą ręką przy piersi, gdzie pod marynarką miałem kaburę z pistoletem przyspieszyłem kroku, nieustannie rzucając spojrzenia przez ramię.

Stuk (stuk), stuk (stuk), stuk (stuk), stuk (stuk)...

Przyspieszony stukot moich własnych kroków i ich raniące uszy echo tylko podwyższały mi ciśnienie.

Oglądałem się za siebie, bo nie spodziewałem się, że znajdzie się przede mną. Wpadł na mnie niczym smolisty ciężar, ciężki i lepki i obłapił mnie ramionami, a ja, szamocząc się z ubraniami, usiłowałem wyciągnąć broń. Pchnięciem odrzuciłem go na ścianę i dopiero gdy wycelowałem w niego pistolet, zobaczyłem jego przerażoną twarz i drżące ręce wyciągnięte w moją stronę.

– *Just wanna penny, sir. Just wanna penny* – bełkotał z grymasem przerażenia, obnażającym rząd zepsutych brązowych zębów.

To tylko żebrak. Cholerny pijany żebrak.

Opuściłem broń. Z kieszeni wyciągnąłem monetę, którą rzuciłem mu bardziej z wściekłością niż litością. Byłem na niego zły za to, że na mnie wpadł i mnie przestraszył. Potem, czując jeszcze mrowienie w

koniuszkach palców, ruszyłem w swoją stronę.

W końcu dotarłem do domu, typowej wiktoriańskiej budowli o trzech piętrach przy Saville Road. Wszedłem po schodach do drzwi wejściowych czekających na mnie za zasłoną mgły. Poszukałem kluczy, bo służba już poszła spać. Zamek się otworzył i klamka puściła z głośnym szczękiem, który wydał się jeszcze głośniejszy pośród nocnej ciszy. Pchnąłem drzwi. Dokładnie w tej chwili poczułem mocne dźgnięcie w okolicy nerek. Głos przy moim uchu, tak blisko, że niemal czułem oddech mówiącego, rozkazał:

– Lepiej będzie, jeśli pan zrobi to, co każę.

Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że padłem ofiarą zwykłego napadu rabunkowego. Starając się trzymać nerwy na wodzy i zachować spokój, ale myśląc o swoim pistolecie, odpowiedziałem:

– Jeśli chce pan pieniędzy, mam portfel w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Chcę, żeby wszedł pan do domu z rękami w górze.

– Skoro nie chce pan pieniędzy, to czego?

– Obawiam się, że pańskie położenie nie pozwala panu zadawać pytań. Proszę robić, co każę, i nie gadać. Idziemy!

Świadom, że chwilowo nie mam wyboru, postanowiłem go posłuchać. Powoli przestąpiłem próg i wszedłem do hallu. Dom był pogrążony w ciszy i w półmroku, świeciła się jedynie mała lampa na stole przyległego pokoiku, w oczekiwaniu na moje przyjście.

Usłyszałem skrzypnięcie drzwi delikatnie zamykanych za moimi plecami. Niemal natychmiast przestałem czuć lufę pistoletu wbijającą mi się w nerki.

– Teraz proszę się odwrócić, bardzo powoli, i nie robić nic głupiego.

Stałem twarzą w twarz z napastnikiem. Nie byłem jednak w stanie stwierdzić, kto to taki, bo twarz miał ukrytą pod wełnianą kominiarką. Jedynie po głosie mogłem poznać, że jest młody. Ponadto zauważyłem, że jego wzrost i karnacja odsłoniętych fragmentów twarzy są podobne do mojej. W zasadzie były to dość istotne szczegóły.

– Proszę ściągnąć marynarkę i rzucić ją na podłogę. Teraz proszę odpiąć kaburę, położyć ją na podłodze i kopnąć w moją stronę.

Ten człowiek wiedział, z kim ma do czynienia.

– Dalej!

– Skoro ma pan zamiar mnie zabić, po co tyle ceregieli? – spytałem, kopiąc kaburę pod jego nogi.

Nie zadał sobie trudu, żeby ją podnieść, po prostu postawił na niej stopę, jakby chciał potwierdzić, że w kaburze jest broń.

– Milczeć! – Z kieszeni płaszcza wyciągnął niewielki przedmiot. – Ma pan dwie możliwości: szybka bezbolesna śmierć albo śmierć po strasznych torturach. Jeśli wybiera pan pierwszą opcję, proszę to wypić.

Rzucił mi mały flakonik, który miękko wylądował na dywanie. Spojrzałem na niego bez słowa.

– Będę krzyczeć. Usłyszysz mnie służba. – Usiłowałem zyskać na czasie.

– A ja strzelę panu prosto w brzuch. Nie umrze pan natychmiast, rzecz jasna, ale za jakąś godzinę, z upływu krwi i w okrutnych bólach.

– Co to jest? – zapytałem, wskazując oczami na buteleczkę do połowy wypełnioną przezroczystym płynem.

– Środek nasenny. Pan musi tylko zasnąć, a ja zajmę się całą resztą.

W jego głosie była kpina, a mówiąc, wyciągnął, chyba z rękawa, jak iluzjonista, żółtą chustę. Natychmiast rozpoznałem rumal, za pomocą której zlikwidowano przywódców kalikamaistów.

– W porządku – zgodziłem się z istic brytyjską elegancją.

Uklęknąłem i wyciągnąłem ręce po flakonik... Po czym szybkim ruchem chwyciłem brzeg dywanu i pociągnąłem z całej siły. Mężczyzna, który na nim stał, stracił równowagę i poleciał do tyłu. Rozbrzmiał strzał, zanim napastnik, upadając na plecy, wypuścił pistolet. Natychmiast rzuciłem się na niego, żeby go unieruchomić. Przygniótłszy go swoim ciężarem, zerwałem mu kominiarkę.

Przeraziło mnie, że był znacznie młodszy, niż przypuszczałem. W sumie nawet nie był mężczyzną, tylko chłopakiem, może szesnasto- albo siedemnastoletnim. Patrzył na mnie niebieskimi oczami, obłąkanymi z

przerażenia.

– Mam bombę! Mam bombę przymocowaną do ciała!

Rozpiąłem mu płaszcz. Sześć lasek dynamitu otaczało jego ciało jak zabójczy pas. Instynktownie odskoczyłem.

Służba, zaalarmowana hałasami i krzykami, zaczęła gromadzić się na schodach. Ubrani w piżamy patrzyli z przerażeniem na scenę rozgrywającą się w hallu.

– Cisza! Niech nikt się nie rusza! Bo zdetonuję te ładunki! – krzyczał chłopak histerycznie.

Pokojowiec i majordomus spojrzeli na mnie. Guwernantka i damy płakały, obejmując się, a ja czułem, że sytuacja wymknęła mi się spod kontroli.

– Nie! – krzyknąłem. – Jeśli to mnie chcesz zabić, bierz pistolet i strzelaj. Jeśli zdetonujesz ładunki, zginie wielu niewinnych ludzi.

Patrzyłem na niego uważnie. Jego mizerna twarz była wykrzywiona w strasznym grymasie, lśniły na niej krople potu, a w wytrzeszczonych oczach czaił się strach. W drżącej ręce trzymał detonator.

– Wszyscy won! Natychmiast stąd wyjdźcie!! – rozkazał spanikowanej służbie, nie wypuszczając detonatora.

Pojedynczo, przyklejeni do ściany, łkając, zaczęli schodzić po schodach do tylnych drzwi. Wszyscy oprócz mojego pokojowca, wiernego Hansa, który najpierw na mnie spojrzął i dopiero kiedy skinąłem mu głową, ruszył za pozostałymi.

Chłopak i ja zostaliśmy sami pośrodku hallu, parząc na siebie jak pojedynkujący się kowboje na Dzikim Zachodzie, tyle że w tym pojedynku żaden z nas nie mógł przeżyć. Zrozumiałem, że został mi tylko jedno podejście: psychologiczne.

– Oni cię przysłali, prawda? Jesteś z sekty?

Chłopak nie odpowiedział. Zaciskał zęby i wpatrywał się we mnie z napięciem.

– Dlaczego teraz nie chcesz wybrać pierwszej opcji? Ja umieram w słodkim śnie, a ty ratujesz życie.

Przez chwilę wydawało mi się, że widzę zwątpienie w jego szeroko otwartych oczach. Wydawało mi się, że palce z pobielającymi knykциями zwalniają nacisk na detonator; sądziłem, że wygrywam starcie.

– Nie ma sensu, żebyś składał siebie w ofierze. Nie sądzę, żebyś właśnie w taki sposób chciał umrzeć. Nie wydaje mi się nawet, żeby twój bóg chciał, abyś tak umarł.

I pomyliłem się.

– Proszę nie oceniać mnie ani mojej bogini!

W jego oczach zalśniły gniew i determinacja. Widziałem to. Skoczyłem, żeby spróbować dotrzeć do schodów. On krzyknął rozdzierająco:

– Dla ciebie Kali-Kamo!

Powietrzem targnął wybuch, a oślepiająco biały błysk poprzedził absolutną ciemność.

2 lutego

Pamiętam, ukochany, że byłam na spotkaniu w Ministerstwie Wojny z panem Quercym, moim zwierzchnikiem, kiedy otrzymałam pilny telefon z Londynu. Dzwonił Richard.

Wsiadłam w pierwszy pociąg do Calais, żeby przemierzyć tę samą drogę co kilka dni wcześniej: przybita w jedną stronę, przygnębiona w drugą. Ta trasa była moim piekłem, a twój brat moim demonem. Dopiero kiedy pośpiesznie przebiegałam białe korytarze szpitala wojskowego Saint Mary, zaczęło opuszczać mnie napięcie i osłabłam. Wszechobecna biel i woń środka dezynfekującego przytłaczały mnie. Richard zatrzymał się przed drzwiami, jednym z wielu w monotonnym rzędzie, nacisnął klamkę, pchnął je i przepuścił mnie przodem. Kiedy wchodziłam do pokoju, powiew chłodniejszego powietrza uderzył mnie w twarz i poczułam się lepiej.

Leżał w łóżku, z głową zwróconą w stronę okna, którego szyby były strumykami spływających kropel deszczu. Słyszając, że wchodzimy, odwrócił się w naszą stronę.

– Co ty tu robisz? – rzucił gwałtownie na mój widok.

Twarz miał poranioną i poparzoną, a na piersi spoczywało na temblaku zabandażowane prawe ramię. Widząc go żywego, poczułam, jak wielka ulga wzbiera mi w piersi, jakbym odzyskała coś, co uznałam już za utracone, jakbym wypuściła z siebie westchnienie do tej pory więznące mi w płucach i niepozwalające swobodnie

oddychać. Okazałabym swoją radość: rzuciłabym mu się w ramiona, zawisłabym na jego szyi, żeby nigdy więcej go nie wypuścić, i zasypałabym pocałunkami, gdyby nie to, że jego oschłe przywitanie pozbawiło mnie tej ochoty.

– Chyba... chyba zostawię was samych. Mam parę spraw...

Pośród nieskładnych wyjaśnień i nerwowo miętosząc kapelusz, Richard wyszedł z sali.

– Ty gburze – rzuciłam zimno, zdejmując płaszcz i rękawiczki. – Gdybym nie przebyła właśnie setek kilometrów z twojego powodu, już bym wyszła.

Niczym obrażony chłopczyk znowu odwrócił głowę i patrzył w okno.

– Poza tym mam dla ciebie wiadomości.

Chociaż sądząc po jego krzywej minie, dalej czuł się urażony, to jednak udało mi się dostrzec w jego spojrzeniu błysk uwagi. Lecz nie miałam zamiaru tak od razu zaspokajać jego ciekawości.

– Jak się czujesz? – zapytałam, podchodząc do łóżka.

– Jak na człowieka, który o mało nie zginął, to całkiem nieźle.

– Richard mówi, że eksplozja kompletnie zniszczyła dom i życie zawdzięczasz temu, że zdążyłeś się schować pod schodami.

Karel przytaknął z poważną miną i zagubionym wzrokiem. Po chwili, jakby nie mówił do mnie, wymamrotał:

– To był zaledwie dzieciak. Szesnastoletni chłopak,

który powinien grać w piłkę z kolegami, ale zrobili mu pranie mózgu, tak że pozwolił przytwierdzić sobie do ciała ładunki wybuchowe. Nie został po nim nawet ślad...

Nie byłam w stanie powiedzieć niczego mądrego, więc położyłam tylko rękę na jego dłoni w geście pocieszenia. Po kilku sekundach cofnął rękę, żeby nalać sobie wody. Choć nie sędzę, żeby chciało mu się pić.

– Daj, pomogę ci. – Sięgnęłam po dzbanek.

– Nie fatyguj się. Sam sobie poradzę.

Pozwoliłam, żeby napawał się swoją miłością własną, i dopiero kiedy zobaczyłam, że nie jest w stanie wykonać tej prostej czynności, bo ręka za bardzo mu drży, zdecydowałam się interweniować.

– Czy już minął ci atak dumy, czy dalej będziesz się zachowywał jak dziecko?

Nalałam wody do szklanki i pomogłam mu się napić. Kiedy zbliżył usta do krawędzi szklanki, zwróciłam uwagę, że są suche i spękane, pokryte strupami. Opuchlizna na twarzy ledwie pozwalała mu na otwarcie lewego oka; prawy policzek przecinała rana, która, gdyby była o kilka milimetrów dłuższa, sięgnęłaby oka. Jego wygląd mnie wzruszył, przesunęłam mu ręką po czole, żeby odgarnąć włosy.

– Jesteś rozpalony. Masz gorączkę.

Zostawiłam dłoń na jego szorstkim i spoconym czole; chciałam go dotykać, czuć to ciepło, które przypominało mi, że żyje, że go nie straciłam. On niechętnie pokręcił głową.

– Nie rób mi tego, proszę. Nie po tym, jak wyjechałaś, jak mnie porzuciłaś. Teraz nie możesz pojawiać się tutaj jak gdyby nigdy nic – rzucił mi w twarz, zwróciwszy na mnie mroczne spojrzenie. – Każda twoja pieszczota boli bardziej niż wszystkie rany razem wzięte.

W końcu cofnęłam rękę, która zdawała się palić mu czoło.

– Skoro tak, w takim razie nic nam już nie zostaje. Nie ma przyjaźni. Nie ma zrozumienia. Nie ma wsparcia.

– To jest miłość. Lecz dla ciebie najwyraźniej nigdy jej nie było. Ty dawałaś tylko seks.

To miało być obraźliwe. Lecz grzesznik nie ma prawa czuć się urażony surowym osądem swojego grzechu. Przełknęłam zranioną dumę i przyjąłam karę. Spokojnie, ale i wyniośle, odparłam:

– Nie ma już nawet dobrych manier.

– A czego się spodziewałaś?! Może mi powiesz?! Kiedy byś się zmęczyła tą łózkową historią? A może chciałaś poczekać, aż to ja się zmęczę? Nie przyszło ci nigdy do głowy, że mogę się zakochać, co? W co ty grałaś? Możesz mi powiedzieć?!

– Nie grałam – brzmiała moja żalosna obrona. Czuję się zmiażdżona jego gwałtownymi atakami, tymi ciągłymi krzykami. Zmiażdżona prawdą, tą prawdą, która sprawia ból, kiedy ktoś ją nam wytyka, prawdą, która mnie obnażała i wyciągała na światło dzienne całą moją nędzę.

– Och, daj spokój! Czym były te pieszczoty i

pocałunki, te noce, co...? Bezwzględna gra!

Tak, tak, tak! To była gra! Ale... skoro tak, to dlaczego tak bardzo ranią mnie jego przykre słowa? Dlaczego dotyka mnie jego gniew i odrzucenie? Dlaczego cierpię, gdy on czuje ból? Dlaczego boli mnie to, że dla mnie ta gra skończyła się tak samo jak zawsze?

Spuściłam głowę. Nie miałam nic więcej do powiedzenia na swoją obronę.

Zaległa cisza. Może to, że dobrowolnie zasiadłam na ławie oskarżonych, wyczerpało jego energię, osłabiło złość.

– Skoro nie możesz należeć do nikogo, Lizko... dlaczego mi to zrobiłaś? Dlaczego pozwoliłaś, że się w tobie zakochałem?

Niezdolna znieść swojej klęski, tym razem to ja zaczęłam patrzeć w okno, na bure otoczenie szpitala pod niełaskawym deszczem. Nie chciałam dalej w to brnąć; nie chciałam słuchać, jak mówi, że jest zakochany; nie chciałam odkrywać, że rany jego serca są poważniejsze niż te, które odniósł w wybuchu, i że to ja mu je zadałam... Nie miałam zamiaru dalej nurzać się w odmętach swojej duszy – obawiałam się tego, na co mogłam tam natrafić, w tym mrocznym miejscu.

– Żyje – przemówiłam. – Zabójca Krüffnera żyje. Masakra w Genewie została ukartowana, żeby nas zmylić.

Karel zareagował dopiero po kilku sekundach, jakby obudził się z koszmarne go snu, żeby powrócić do jeszcze gorszej rzeczywistości.

– Skąd wiesz?

– Przypomniałam sobie, że na ceremonii w świątyni w Ottakringu było nie czterech kapłanów, tylko pięciu. Wtedy już zastąpili wszystkich członków władz, zarówno Mikołaja, jak i Krüffnera. Może Dubasem, jeśli był jednym z nich, ale na pewno nie Arjamanem. To był tylko kozioł ofiarny, a pozostali trzej to zwykli statyści. Prawdziwy Arjaman, ten, który zabił i zastąpił Krüffnera, przygotował całą tę farsę, zostawił list i tunikę, żeby rzucić winę na Dubasa. Jest na wolności i mogę się założyć, że to on nasłał tego dzieciaka, żeby z tobą skończył.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Na jego stężałej twarzy nie było najmniejszych oznak zdziwienia. Jediną reakcją było głębokie westchnienie.

– Chyba przez cały czas o tym wiedziałem. To wszystko było... tak doskonale i proste. I tak oczywiste, że nie mogło być prawdą. – Zamyślił się. – Wracamy do punktu wyjścia.

– Niezupełnie. Z każdym krokiem, z każdym ruchem zostawia ślady, dając nam wskazówki co do swoich intencji i tożsamości. Przypuszczam, że ciągle pracuje nad bombą, ale nie po to, żeby jej użyć w zbiorowej ofierze wyznawców sekty. Właśnie w tej sprawie nie zgadzał się z mistrzem i dlatego go zamordował. To nie jest pseudoreligijny fanatyk. To człowiek zachłanny, który nie ma zamiaru oddawać życia dla żadnego boga, chce się wzbogacić kosztem sekty. Ośmielę się stwierdzić, że

pewnie chce sprzedać bombę temu ze sposobiających się do wojny krajów, który da najwięcej. I chce cię zabić, bo wie, że twoje małżeństwo z Nadią może zapobiec konfliktowi.

– Jeśli masz rację, ona też jest w niebezpieczeństwie.

– Tak, i już o nią zadbano. Chwilowo ukryła się w domu krewnego w Finlandii.

Karel patrzył na mnie na poły zaskoczony, na poły zaintrygowany. Pewnie zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że przez zaledwie dwa dni, na które wypadł z gry, tyle się wydarzyło.

Tymczasem ja się zastanawiałam, jak mu przedstawić swoje ostatnie podejrzenia.

– Karlu, ja... wydaje mi się, że wiem, kim może być Arjaman.

Nie mając odwagi zapytać, patrzył na mnie wyczekująco, z błyszczącymi oczami.

– To ktoś, kogo znasz, kto z bliska obserwuje twoje ruchy. I wie, że ożenisz się z Nadią i co ten ślub oznacza.

Wielu pasowało do tego opisu; tyłu, że Karel nie mógł sam tego odgadnąć, dzięki czemu nie musiałabym mu tego mówić. Jakżebym chciała odsunąć to, co nieuniknione! Czując, że powinnam się usprawiedliwić z powodu swoich podejrzeń, ciągnęłam:

– Zadzwoiłam do twojej matki. Chciałam, żeby opowiedziała mi o zaproszonych gościach, wyjaśniła, w jaki sposób ułożono ich listę. Popelniliśmy wielki błąd, nie odpowiadając sobie na podstawowe pytanie: W jaki

sposób Otto Krüffner dostał się do Brunstriechu. Wiesz, że Lars nawet go nie znał? Zasugerował mi, że pewnie to ty go zaprosiłeś.

Przerwałam na chwilę. Chciałam, żeby Karel coś powiedział, ale on nawet nie rozchylił ust.

– Twoja matka też go nie zaprosiła. „Nie mam w notesie jego adresu”, powiedziała, „więc nie mogłam wysłać mu zaproszenia”. Nalegałam: „Ciociu, przypomnij sobie. To niemożliwe, żeby zjawił się niezaproszony”. I twoja matka sobie przypomniła: „Poczekaj chwileczkę, kochanie... pamiętam, że na kilka dni przed przyjazdem do Europy zadzwonił do mnie i powiedział: Aleksandro, wykorzystując twoją gościnność, chciałbym zaprosić na święta do Brunstriechu kilkoro przyjaciół. Dlaczego miałam się nie zgodzić, skoro było miejsce? Było ich trzech, tak, pamiętam, że było ich trzech: jakiś profesor, bankier i ten gruby mężczyzna, o którym wspominasz, niech spoczywa w pokoju”. Serce skoczyło mi do gardła: Krüffner, Dubas i jeszcze jeden, którego nam brakuje. Domyśliliśmy się, że chodzi o Fredericha Tutscheka, profesora fizyki na Uniwersytecie Albertyna w Królewcu. Coś ci to mówi, prawda?

Karel przytaknął:

– Krüffner był profesorem sanskrytu na Uniwersytecie Albertyna.

– „Powiedz, ciociu, kto do ciebie zadzwonił?”, zapytałam. „No przecież ci mówiłam, kochanie, księżę Alois”.

Słyszeć było tylko bębnienie kropel deszczu o szyby, które brzmiało zarazem jak szelest papieru i uderzanie palcami o stół. Przez na wpół otwarte okno wpadał podmuch świeżego powietrza, przynosząc ze sobą zapach mokrej ziemi. Tylko tyle.

Nie wiedziałam, co miałabym jeszcze powiedzieć, żeby zagłuszyć echo, jakie wzbudziły te słowa, i tylko spoglądałam na twojego brata, który siedział kompletnie nieruchomy, nieobecny.

Wszechobecna biel, niezmienny szum deszczu i ten bezruch potęgowały moją nerwowość; czyniły ze mnie kogoś obcego w scenerii, która wydawała się kartonowa, niczym w muzeum figur woskowych.

– Powiedz coś, proszę – wyszeptałam, nie mając pewności, czy Karel mnie słyszy.

Minęła chwila, zanim przemówił, a kiedy to zrobił, poruszały się tylko jego usta, jak u lalki brzuchomówcy.

– Wiesz, kiedy byłem mały, zabierał mnie na spacer po Praterze. Jakże byłem dumny, kiedy na strzelnicy zdobywał pierwszą nagrodę. Ale największą dumą napawało mnie jego pełne przygód życie. Uwielbiałem jego historie o Brazylii i podróżach statkiem, o Murzynach na plantacjach kakao, którzy nie boją się dzikich zwierząt z dżungli... Mój wuj to fascynujący człowiek. Podziwiałem go i kochałem.

– Nikt z nas nie jest tym, kim był przed laty – zauważyłam spokojnie. – Ty też nie jesteś już chłopcem, który na wszystko patrzy oczami dziecka.

Przez chwilę miałam wrażenie, że moje słowa przywróciły życie twojemu bratu, który, wyczerpany, rozłożył się w łóżku, powściągając grymas bólu za każdym razem, kiedy przypadkiem poruszył zranionym ramieniem.

– Wszystko w porządku? Lepiej już pójdę, żebyś mógł odpocząć. Kiedy indziej porozmawiamy.

Znowu bardzo się starając, żeby emanować chłodem i odsunąć na bok uczucia, stał się beznamiętnym zawodowcem, asem wywiadu poświęcającym się w imię wyższych celów, i okazał gotowość do kontynuowania:

– Nie, nie. Dobrze się czuję. Powinniśmy się zastanowić, jak teraz zareagować, jaki wykonać ruch.

Niemal zawstydzona tym, że ta sprawa już została przedyskutowana, bez jego udziału, wyszeptałam:

– Tak naprawdę mamy pewien pomysł.

– No proszę – odezwał się, nie potrafiąc ukryć rozczarowania tym, że pozostawiliśmy go na uboczu. – A jakież to, jeśli można wiedzieć?

– Po pierwsze, trzeba przyspieszyć twój ślub z Nadią.

– Nie sądzę...

Kładąc delikatnie palec na jego ustach, przerwałam jego protesty.

– Ciii... Proszę. Wiesz, że to jedyna możliwość. I należy to zrobić także dla waszego bezpieczeństwa, Nadii i twojego. Ja wrócę do Brunstriechu. Ponieważ Alois pewnie tam będzie, wykorzystam sytuację, żeby się dowiedzieć, jakie ma zamiary i w jakim stadium

przygotowań jest bomba.

Przerwałam na chwilę, zanim wyznałam szeptem:

– Przejdę na stronę wroga.

Jego reakcja była tak zdecydowana i gwałtowna, jak się spodziewałam.

– Nie! Nie dopuszczę do tego! – wykrzykiwał. – To zbyt niebezpieczne!

– Konieczne.

– No to niech to zrobi ktoś inny! Są dziesiątki agentów, ty nie musisz się poświęcać.

– Nikt nie jest tak dobrze przygotowany, wiesz o tym. Przygotowanie innej osoby zajęłoby dużo czasu, a tego nie mamy. Poza tym to już postanowione. Quercy i kapitan Cumming wyrazili zgodę.

Fakt, że nie zapytano go o zdanie w tej sprawie, jeszcze podsycił jego sprzeciw i urazę.

– Czy ty nie rozumiesz?! Nikomu się to nie udało. Wszyscy, którzy próbowali, nie żyją!

– Wszyscy byli mężczyznami. Mnie nikt nie będzie podejrzewał, bo jestem kobietą. Możesz być spokojny, nie mam zamiaru umierać – zapewniłam go z uśmiechem, aby go rozbroić.

On jednak nie zmienił zdania. Z NIE wypisanym na twarzy oświadczył:

– Będę się domagał, żebyś tego nie robiła. Póki co, mam prawo głosu w tej misji. Nie dopuszczę do tego!

To wyprowadziło mnie z równowagi i nie zdołałam się opanować.

– A ja będę się domagać, żeby odebrano ci tę sprawę! Jesteś emocjonalnie niezdolny, żeby dalej się nią zajmować! Nie masz prawa decydować za mnie! – krzyczałam. – Pamiętasz?! Nic już nie zostało! Nic! Dla mnie był to tylko seks, sam to powiedziałeś!

Karel uniósł się gwałtownie i mocno mnie chwycił zdrową ręką.

– Więc powiedz to! No, powiedz! – rzucił wściekle.

– Proszę, puść mnie – wycedziłam przez zęby zaciśnięte z wściekłości.

Ale jego uścisk nie zelżał, a mina pozostała zacięta.

– Powiedz mi prosto w twarz, że mnie nie kochasz.

– Puść mnie. To boli.

Po kilku sekundach patrzenia mi w oczy, które było swego rodzaju próbą sił, zwolnił uścisk i mnie puścił.

Bez słowa i bez żadnego gestu, nie patrząc na niego, obeszłam łóżko i zaczęłam zbierać z krzesła swoje rzeczy.

– Co ty wyczyniasz?

Włożyłam płaszcz.

– Nie możesz tak wyjść. Nie możesz znowu mnie tak zostawić.

...ale przy zapinaniu guziki wydawały się za duże, a dziurki za małe dla moich drżących rąk.

– Nie możesz znowu mi tego zrobić, słyszysz?!

Zaczęłam wkładać rękawiczki.

– Nie możesz uciekać!

...ale moje niezgrabne palce nie trafiały.

– Miej odwagę powiedzieć, co czujesz! Miej odwagę

powiedzieć mi, że mnie nie kochasz! Chcę to od ciebie usłyszeć!

Oszołomiona i zdenerwowana jego naciskami, szybko zabrałam kapelusz i torebkę.

– Nie wychodź! Ani mi się waż przechodzić przez te drzwi! Lizka! Lizka!

Trzaśnięcie drzwi oddzieliło mnie od Karla i jego krzyków. „Lizka, wróć!”, słyszałam, opierając się o drzwi jak o barykadę, na których wytracała się furia jego słów. „Wracaj, do jasnej cholery! Lizka!” Podskoczyłam, słysząc mocne uderzenie w drzwi i brzęk tłuczonego szkła. Stałam tam jednak nadal, z kapeluszem i zmiętymi rękawiczkami w ręku. Nieruchoma. Wyczerpana.

Szczerliwie pojawienie się w korytarzu pielęgniarki pchającej wózek z lekarstwami pozwoliło mi zebrać siły. Odeszłam lekkim krokiem, ocierając chusteczką łzy, których duma już nie powstrzymywała. Krzyki po drugiej stronie drzwi umilkły.

19 lutego

Wyznaję ci, bracie, że nie winięm cię o swoje nieszczęście. Tylko ją. Cały mój świat został zredukowany do lunety, na której końcu jest tylko ona: anioł i diabeł. Ona była aniołem, który odmienił moje uczucia i życie w sposób tak słodki, jak słodka może być śmierć, i tak bolesny, jak bolesne są narodziny. I była też diabłem, który porzucił mnie na pustkowiu: bez wartości,

bez wiary, bo znałem już tylko ją, niedostępną, a ona mnie odrzuciła; pogrążony w rozpacz i wątpliwościach byłem zupełnie pusty, bo ona mnie wydrążyła, jak wyciąga się orzech z łupiny i wyrzuca pustą skorupę. Ona zabrała najważniejszą część mnie; straciła moją gwiazdę i zostawiła po niej czarną dziurę zasysającą całą moją energię, całe moje ja. Pytania bez odpowiedzi.

Dlaczego?

Dlaczego uczyniła ze mnie człowieka nieszczęśliwego i żałosnego? Dlaczego zmieniła moją wolność w bezosobową odpowiedzialność, moją niezależność w karę samotności i samodzielność w absolutną niemoc? Dlaczego wkroczyła w moje życie, żeby z niego wyjść, zaszczepiając mi pragnienie zakazające krew?

Codziennie znosiłem niemożliwą do zniesienia rzeczywistość swojego życia i wypatrywałem ukradkiem jakichś przejawów jej istnienia, uśmiechów posyłanych innym i podsycających moją zakazaną żądzę, jej wymijających spojrzeń, które sprawiały, że wrzało moje pragnienie, tembru jej głosu, jedyne pośród gwaru rozmów, budzącego mój seksualny apetyt, tak naprawdę nigdy niesłabnący. Oglądanie jej było nieznośnym cierpieniem. Wielkim wyczynem było traktowanie jej z obojętnością. Przebywanie przy niej i panowanie nad sobą było niemal niemożliwe.

Co noc znosiłem nieznośną rzeczywistość swojego życia i na nowo przeżywałem wszystkie chwile z nią, jej

nieobecność przyprawiała mnie o obłąd. Aksamitne krągłości, lśniące od potu, przepęłniały moje myśli i odbierały rozum; falując, tańczyły pod moim ciałem, podniecając mnie przy każdym dotknięciu. Drżałem przy każdym ruchu w niej. Jej oblicze, jak wyrzeźbione dłutem greckiego mistrza, spało na poduszce obok i w moich przepęłnionych zatruwającym erotyzmem snach gryzłem jej wargi, moje zęby zagłębiały się w nich, jak korzenie palmy w zagłębiają się piasku oazy, czułem jej rzęsy całujące motylimi skrzydłami moje wiecznie rozpalone policzki... A jednak kiedy się budziłem, byłem sam, wyciągnięty na łóżku, tłumiąc jęki nierzeczywistej rozkoszy, skrywając pod pościelą erekcję nastolatka. Myśli mąciły mi burzliwe obrazy zmysłowości, wspomnienie gorących pocałunków i mocnych uścisków.

Pewnej nocy pojawiła się w moich snach, bracie, jak nigdy wcześniej. Spowita mgławicowymi błękitami, jak kobieta Kokoschki; rozrywająca złoto swoim ciałem, niczym muza Klimta; same kreski niemal bez ciała, jakby była kochanką Schielego... Owej nocy, bracie, pomyślałem, że postradałem zmysły: ta sztuka, wcześniej brudna i brzydka, teraz odzwierciedlała moją obsesję! Mój rozum się pomieszał jak u tych obscenicznych szaleńców! Mój rozum zmacony przez nią. I uchwycił całe piękno i zmysłowość tych portretów, które mogłyby ją przedstawiać, bo w moich snach taka właśnie była.

Wiedziałem już, do jakiego stopnia ona mnie zatruła, skaziła, przewróciła do góry nogami mój świat i

przekonania. Poczulem się porzucony na pastwę własnego losu, jak okręt dryfujący po nieprzyjaznym morzu, jak dziecko u zamkniętych drzwi.

Dlaczego?

Dlaczego wyszła ze szpitala ze spuszczoną głową i z wyznaniem na ustach? Dlaczego, zamiast zabić mnie celnym strzałem, wybrała tę nieludzką torturę? Dlaczego zostawiła mnie ze wzrokiem utkwionym w drzwi i z nadzieją w sercu? Dlaczego kochała ciebie, jeśli rzeczywiście tak było?

Z tobą spacerowała po lesie w jasne poranki. Z tobą spędzała popołudnia, ciesząc się z rozmów przy kominku. Z tobą nieustannie splatała ręce w tańcu po kolacji. I wyobrażałem ją sobie, jak dzieli z tobą noc. W jej mrocznym schronieniu komponowałeś symfonie westchnień i szeptów; malowaliście pościel obrazami pragnień i namiętności; czytaliście z zamkniętymi oczami, jak niewidomi, historie zapisane w liniach waszych ciał. Potem, o świcie, namiętność ustępowała miejsca miłości i jej delikatnym uściskom, przeciągłym pieszczotom i czułym pocałunkom...

Wiedziałem to, bo to przeżyłem, a ty byłeś uzurpatorem zagarniającym moje życie.

Dlaczego?

Dlaczego, skoro moja miłość była wielka i szlachetna, czuła i bezinteresowna, zmieniła się w uczucie mroczne i złe? Dlaczego ja, który wierzyłem, że jestem depozytariuszem dobra, szczodrości i anielskich cnót,

pograżyłem się w zazdrości, goryczy i dawałem posłuch podszeptom demonów? Dlaczego ona, która wyniosła mnie pod niebiosa, pozwoliła mi upaść na dno piekieł? Dlaczego ona, która dała mi światło, właczała mnie w mrok? Dlaczego ona oddawała się innemu, choć należała do mnie?

Oglądanie was razem, albo, co gorsza, świadomość, że uprawiacie miłość, spalała mnie jak ogień spala papier, pożerała od środka niczym żarłoczny pasożyt, sprawiała, że gniłem, jak gnije ciało wraz z upływem czasu. Słowa, które ci szeptała, wspólny śmiech, ręce, które ci podawała, spojrzenia, które ku tobie kierowała, ciało, które co noc ci oddawała, były moje, były moim najcenniejszym dobrem. I potrafiłbym zabić, żeby je odzyskać.

Dlaczego?

Dlaczego miłość jest ulgą i bólem? Dlaczego jest śmiechem i płaczem? Życiem i śmiercią? Spalającym ogniem i gaszącą pragnienie wodą?

Dlaczego ona, bogini miłości i śmierci, boski nektar zatruwający moją krew, światło oślepiające moje oczy i balsam palący mi skórę... ona nie powiedziała mi, że mnie nie kocha.

Pamiętam, ukochany... Łatwiej przypomnieć sobie fakty niż myśli, ale powinieneś wiedzieć, co sobie myślałam.

Księżę się żeni...

Jak kropla, która drąży skałę, aż przewierci ją na

wylot; jak szum wiatru za oknem, niepozwalający na sen; jak cykanie cykad, które z nadejściem upałów staje się nie do zniesienia. Książę się żeni... Książę się żeni... Książę się żeni...

Książę się żeni...

Miałam misję, to wszystko. Byłam w Brunstriechu, żeby ją wypełnić i wyjechać, nie pozostawiając po sobie śladów ani wspomnień. Jakbym była duchem, po moim przejściu mały zostać jedynie zamazane wspomnienia, godne zapomnienia, bo fałszywe. Po zakończeniu nikt nie będzie chciał pamiętać o tym, za kogo się podawał, kto zniknął bez tożsamości... Tak powinno być.

Miałam misję, to wszystko. I jego spojrzenia przepełnione żalem i pretensją, że nie powiedziałam tego, czego już nigdy miałam nie powiedzieć, nie powinny robić na mnie wrażenia. Po moim wyjeździe wszystko by się skończyło: Brunstriech, święta, moja misja, on.

A jednak nie mogłam uciec od tego, że czuję go obok siebie; nie mogłam nie rzucać na niego okiem w głębi salonu, na jego usta, gdy rozmawiał z innymi, jego oczy, kiedy na mnie nie patrzył. Nie byłam w stanie uniknąć wspomnień jego wspierającego ramienia, jego czułych gestów; tego ramienia, na którym można się wypłakać, na którym można spać i słodko śnić. Nie byłam w stanie odepchnąć od siebie elektryzującego wspomnienia jego palców na mojej skórze i dreszczu rozkoszy, jaki czułam, gdy kochał mnie tak namiętnie. Nie byłam w stanie nie tęsknić za ciepłymi dniami i gorącymi nocami. Nie byłam

w stanie uciec od tego... chyba że byłam z tobą, ukochany. Wtedy moje pragnienia i tęsknota rozpływały się w twojej uprzejmości i troskliwości, w twoim uwodzicielskim uśmiechu i w twoich tajemniczych oczach, w twoich pieszczotach i pocałunkach; wtedy już nie wiedziałam, czy jestem zakochana w nim czy w tobie, w obu naraz, a może w żadnym z was.

Całe to zamieszanie i wątpliwości zaczynały źle wpływać na moją równowagę i zdrowy rozsądek. Zaczynałam się gubić. Wiedziałam o tym, bo sprawy nie szły tak, jak powinny. Zbliżenie z Aloisem, a zatem i do sekty, nie przebiegało zgodnie z planem. W obliczu moich zabiegów Alois zachowywał się poprawnie, lecz z dystansem: zwykle usuwał się na czas, zanim zdążyłam zrobić krok naprzód. Prowadziłam więc dziwną wojnę: z wymykającym się przeciwnikiem, z rozbrojonym wojownikiem, który, gdy tylko czuł, że się zbliżam, pokonywał mnie... ukrywając się w krzakach. Bitwa polegała na obleganiu nieprzeniknionej fortecy: nie było łuczników ani blenek, a mury były gładkie i pozbawione okien, wrota stały niewzruszone. W walce wręcz moja broń uderzała o twardą zbroję uprzejmej obojętności, zdawkowego flirtu, przesadnej ostrożności. W mojej desperacji czasem zaskakiwałam samą siebie, za bardzo na niego napierając. Mogło to być niebezpieczne: przyparte do ściany zwierzę może człowiekowi skoczyć do gardła; nierozważny żołnierz może polec na polu bitwy.

Może Karel miał rację, może nadeszła chwila odwrotu, zanim będzie za późno, jeśli już nie było...

– Napijesz się ze mną herbaty?

Był wczesny ranek, kiedy cały Brunstriech spał jeszcze w matowym świetle zimowego poranka; godzina spokojna i cicha, którą wybrałam po wielu naleganiach, żeby spotkać się z księciem Aloisem i pokazać mu kilka asan. Stojąc w oranżerii w moim białym ubraniu, symbolizującym czystość duszy jogina, spoglądałam na padający śnieg i wraz z jego płatkami pozwalałam fruwać swoim niedookreślonym myślom.

Kiedy obróciwszy się, zobaczyłam cię pośród zielonej dżungli wielkiej księżnej Aleksandry, poczułam się w obowiązku poczuć się rozczarowana, bo to nie na ciebie czekałam. Jednak w głębi ducha się ucieszyłam, bo twoja obecność zaspokajała moje pragnienia – powściągane ostrożnością – przebywania obok ciebie. „Zdecydowanie tracę zdolność do prowadzenia tej misji”, powiedziałam sobie w myślach, jednocześnie uśmiechając się na powitanie.

– Co ty tu robisz? – wyszeptałam bez cienia nagany, lecz wyrażając wielkie zaskoczenie.

– Wiem, że to nie na mnie czekasz. Minałam się w korytarzu z wujem Aloisem, który wyznał mi wasz sekret.

Mówiąc to, ostrożnie stawiałeś serwis do herbaty na stoliku w kącie oranżerii, czyniąc z niego oazę przywodzącą na myśl ciepłe i pachnące przyprawami powietrze arabskiego ogrodu.

– Praktycznie zmusiłem go, żeby zawrócił i ustąpił mi miejsca.

– I znowu jeleni ukrył się krzakach...

– Słucham?

– Tak naprawdę nie mogę wziąć udziału w tej niezaplanowanej lekcji. A właściwie nie mam ochoty na żadne lekcje o tak wczesnej porze.– Podeszedłeś i ująłeś moją rękę. – Po prostu chcę zawładnąć całym twoim czasem – wyszeptaleś, składając na niej pocałunek. – Poza tym nie ufam Aloisowi, mimo swojego wieku jest strasznym kobieciarzem. Chodź, usiądź. Napijemy się herbaty, to specjalna mieszanka, przyjaciel przywiózł mi ją z Cejlonu.

Gdy tylko usadowiłeś mnie na miękkich poduszkach na ławce, nalaleś z imbryka herbatę o zapachu cynamonu. Podaleś mi ją usłudnie i z powściągliwością najlepszego służącego oraz z uśmiechem i czułością wytrawnego kochanka. Kiedy jednak ujęłam filiżankę, poparzyła mi palce, zbyt gwałtownie ją odstawiłam, a ona spadła na podłogę.

– Och, tak mi przykro...

Pochyliłam się, żeby pozbierać porcelanowe skorupy leżące w kałuży herbaty.

– Nie martw się. Ja pozbieram, mogłabyś się... skaleczyć.

Twoje prorocze ostrzeżenie przyszło jednak za późno, bo jedna z ostrych krawędzi już przecięła mi opuszkę wskazującego palca i pojawiła się na niej kropla krwi.

– Ale ze mnie niezdara!

– Pokaż.

Delikatnie ująłeś moją dłoń i przyjrzałeś się niewielkiemu skaleczeniu, jakbyś badał ranę godną obejrzenia przez konsylium lekarskie. Delikatnie ucisnąłeś, sprawiając, że wypłynęło więcej krwi, i nie unosząc wzroku, wsunąłeś sobie mój palec do ust, żeby wysssać ranę.

Nie wiem, jak to się zaczęło. Ani kiedy to poczułam. Może gdy dotknęły mnie twoje ciepłe usta. Wtedy na ciebie spojrzałam i zobaczyłam, że zmrużyłeś oczy, oddając się tej dziwnej przyjemności. Ssałeś mój palec, przekształcając zwykłą czynność pierwszej pomocy w akt przepełniony erotyzmem i zmysłowością. Patrząc na twoją pogrążoną w ekstazie twarz, czując twój wilgotny język i twardą krawędź zębów pieszczące moją skórę, poczułam podniecenie, czułam się sparaliżowana dreszczem. Skurczony żołądek, zaparty dech, uśpiony mózg i łomoczące serce.

Dałam się ponieść temu słodkiemu omdleniu, oddając się rozkoszy twoich pocałunków składanych na mojej ręce. Twoje usta pięły się w górę. Lekkie ugryzienie w ramię. Twój oddech na mojej szyi. Koniuszek twojego języka na moim uchu. Twoje usta płonące w moich wargach. Powoli czułam, jak żar ogarnia moją skórę, namiętność obezwładnia nerwy, pragnienie – rozum, rozkosz – wolę... a ty – mnie.

Poddając się, pozwoliłam ci zatopić twarz między

moimi piersiami i poprowadziłam twoje ręce, ty zaś zacząłeś szukać drogi do dekoltu, po kolei rozpinając guziki.

– Kocham cię... kocham cię... kocham cię... – powtarzałeś szeptem pomiędzy westchnieniami i urywanym oddechem.

To wtedy, w obliczu tego wyznania, mój rozum zaczął walczyć o pierwszeństwo w całym tym szaleństwie, o wyrwanie się z rzuconego uroku. To wtedy zdałam sobie sprawę, że to posunęło się za daleko, że skaleczony palec może zakazić gangreną serce.

– Nie... nie... przestań, proszę. Proszę. Proszę!

Moje na wpół świadome szeptanie przeszło w desperacki krzyk, aż w końcu udało mi się od ciebie odsunąć i się opanować.

Spojrzałeś na mnie jakby niewidzącymi oczami. Byłeś wyraźnie zakłopotany i skrycie sfrustrowany.

– Co się stało? – Udało ci się wykrztusić.

– Nie mogę. Przepraszam, nie mogę – bełkotałam, niezręcznie zapinając bluzkę. – Przepraszam.

– Ale dlaczego?

Twój głos brzmiał rozpaczliwie.

Dlaczego? Skąd ten nagły przyływ wstydu? Skąd ten niepokój? Dlaczego tłumisz moje pragnienie? Dlaczego zabijasz własną namiętność? Jak odpowiedzieć na pytania, na które nie znałam odpowiedzi? Jak wyjaśnić powód mojego wycofania, skoro sama go nie znałam? Jak cię odrzucić, nie raniąc?

– No... bo... bo... nie jesteśmy po ślubie – wymyśliłam naprędce. – Nie możemy... sam rozumiesz... zrobić tego, skoro nie jesteśmy małżeństwem.

Najpierw było zdumienie, potem ulga, a na koniec uśmiech pojawił się na twojej twarzy.

– Ach, tylko to! – zlekceważyłeś te słowa, jakby moje przekonania cię bawiły. – W takim razie wyjdź za mnie.

– Żartujesz sobie?

– Nigdy nie byłem bardziej poważny.

I twoja mina, najpierw surowa i podejrzliwa, zaraz to potwierdziła.

Zasmuciło mnie to – naprawdę mnie kochałeś i może ja ciebie też kochałam. Wbiłam w podłogę ponure spojrzenie; nie chciałam, żebyś je źle zinterpretował.

– Moja matka będzie zachwycona, mogąc wyprawić dwa wesela naraz – dodałeś, by rozluźnić atmosferę, desperacko usiłując zajrzeć mi w oczy. Dostrzegłeś mój umiarkowany entuzjazm.

Spojrzałam na ciebie i uśmiechnęłam się. Staralam się, żeby mój uśmiech nie był smutny.

– I żyli długo i szczęśliwie. Ale nikt nie dodaje, że książę się obraził, gdy się dowiedział, że księżniczka jest zwykłą szwaczką. Nic o mnie nie wiesz, Lars.

– Księżniczka czy szwaczka, wiem, że cię kocham. I nie umiem sobie wyobrazić życia bez ciebie. Nic więcej nie muszę wiedzieć. Nie chcę nic więcej wiedzieć.

Z wielkim żalem pokręciłam opuszczoną głową, nie znajdując słów. Przeklinałam się za to, że dopuściłam, by

sprawy zaszły tak daleko. Pożałowałam, że nie jestem tą, za którą mnie uważałeś, żeby po prostu móc ci powiedzieć: Ja też cię kocham.

Po dramatycznej ciszy z twoich ust padło nie mniej dramatyczne oskarżenie:

– Zakochałaś się w Karlu, prawda?

Oskarżona o zbrodnię, której nie chciałam popełnić, zaskoczona *in flagranti*, oszołomiona, zawstydzona... powoli pokręciłam głową. Taka była moja odpowiedź: mało zdecydowana.

– Nie musisz zaprzeczać. Widziałem, jak na siebie patrzycie, jak jesteście w stanie odnaleźć się oczami w tłumie, jak pożądacie siebie spojrzeniami, jakbyście byli sami w salonie, jak sprawiacie, że wszyscy znikamy z waszego świata. Widziałem, jak on na ciebie patrzy, a co gorsza, jak ty patrzysz na niego. Nie potrzebowałbym twoich pocałunków ani pieszczot, wystarczyłoby mi, gdybyś patrzyła na mnie tak, jak patrzysz na niego. Nie potrzebowałbym niczego więcej, żeby wiedzieć, że mnie kochasz.

W twoich słowach była gorycz, a w moich oczach ból, łzy wstydu, które za wszelką ceną starałam się pohamować.

– To niemożliwe – wyszeptałam.

To niemożliwe, że kochałam dwóch braci; nikt nie kocha dwóch osób naraz, a tym bardziej ja, która przysięgłam, że nigdy więcej się nie zakocham.

Ty zaś mówiłeś dalej. Wstałeś i zacząłeś nerwowo się

przechadzać, podniosłeś przy tym głos, tak by nie zagłuszał go odgłos twoich kroków.

– Ale tym, co najbardziej mnie denerwuje, co naprawdę wyprowadza mnie z równowagi, jest myśl o tym, jak niesprawiedliwe jest życie i jak głupi jest mój brat. Bo on, któremu los zesłał gwiazdę, woli czołgać się w błocie i w swojej słabości nie jest gotowy walczyć o to, za co ja oddałbym życie. I nie mów mi, że jest zobowiązany ożenić się z Nadią. Nawet najświętsze porozumienie małżeńskie nie może być przeszkodą, skoro ty jesteś stawką.

Po tych ostrych słowach zatrzymałeś się jak nakręcana zabawka. Podeszedłeś do mnie, objąłeś mnie w pasie i spojrzałeś mi głęboko w oczy.

– Wyjdź za mnie. Jego już straciłaś, ale masz mnie. Wyjdź za mnie, a nadasz sens mojemu życiu. Bo ono ma sens tylko wtedy, gdy poświęcam je, żeby uczynić cię szczęśliwą. Z czasem mnie pokochasz, tak jak kochasz jego. Wyjdź za mnie, Isabel.

Isabel, a nie Lizka...

Nie powinnam była się zgodzić, ale nie mogłam powiedzieć nie. Stałam, pogrążona w milczeniu, w zgniliźnie oszustwa, spętana łańcuchami mojej fałszywej tożsamości. Byłam tchórzliwa i małoduszna, więc przykryłam jedno kłamstwo następnym.

– Daj mi trochę czasu, żeby to przemyśleć. Tylko trochę czasu.

20 lutego

Pamiętam, ukochany, tamtą tragiczną noc – nigdy jej nie zapomnę. Noc przed ślubem twojego brata.

– Kiedy zacznie się wojna, a oczywiście wicie, panowie, że niechybnie nadciąga, zamierzam otworzyć jedno z najlepszych crû z mojej piwniczki i zaprosić pana, marszałku, do wzniesienia toastu za kajzera.

– Gdy tak się zdarzy, przyłączę się do pana z toastem za ukochaną ojczyznę, słodką Francję. A jeśli pozwoli mi pan udzielić sobie rady, baronie, proszę wybrać wino alzackie, zanim Alzacja powróci do Francji.

Marszałek Combel, sardoniczny i sprawnie szermujący słowem, pociągając koniak, odpowiedział baronowi Gotfrydowi de Köeldowi na jego lekceważące i prowokacyjne słowa. W każdej grupie i przy każdej okazji wychodziło na jaw, że w tych dniach, kiedy cały świat zdawał się pogrążyć w szaleństwie, Niemcy pyszałkowato się cieszą z nadciągającego konfliktu. Brunstrieck nie był tu wyjątkiem. W sumie zamek przypominał mi miniaturowy teatr, w którym ludzie wszelkich narodowości i poglądów politycznych opowiadali sobie, co się dzieje w gabinetach rządów całego świata, na ulicach wszystkich miast, w salonach wszystkich domów. Brunstrieck był doskonałym miejscem, aby w czasie jednego wieczoru poczuć atmosferę nadciągającej wojny, która dla każdego miała inne konotacje.

Tamtej nocy, mimo że kolacja upłynęła w spokoju i

pomiędzy kolejnymi daniami prowadzono lekkie rozmowy, tak by nie zranić niczyich uczuć, po kawie, gdy znakomita część gości udała się na spoczynek i atmosfera stała się bardziej kameralna, niektórzy uznali, że czas poruszyć temat niepokojący wszystkich.

Błękitnemu salonowi wielkiej księżnej wdowy Aleksandry de Brunstreich groziło, że stanie się polem pierwszej bitwy rzeczony wojny. Szczęśliwie stary marszałek Combel miał wyczucie i unikał zaczepek barona de Köelda z poczuciem humoru, co Niemca drażniło bardziej niż jakakolwiek odpowiedź – wszyscy wiedzą, że poczucie humoru nie zajmuje pierwszego miejsca wśród germańskich cnót. Gdy podeszłam, żeby dolać mu odrobinę kawy, stwierdziłam, że baron klnie przez zęby, szykując się do następnej ofensywy.

– Oby litościwy Bóg zostawił mężczyznom resztki zdrowego rozsądku i oddalił tę wojnę – zauważyła jakaś dama z głębi salonu.

– Na Boga, droga pani! – rzucił się baron gotów do potyczki. – Pewne sprawy wymagają zdecydowanych działań!

– Proszę nie wzywać imienia Boga nadaremnie, skoro nie możemy go winić za ludzką niefrasobliwość – zauważył tonem kaznodziei katolicki prałat zwykle biorący udział w przyjęciach wielkiej księżnej.

– Phi, potulne damulki! Plotkujcie sobie w salonach i zostawcie nam, mężczyznom, szlachetną sztukę wojowania!

Baron de Köeld starał się, żeby jego korpulentna postać, ponury głos i głośno wypowiedane słowa wypełniły salon. W tym bardzo przypominał cesarza Wilhelma, nawet fizycznie.

– Oczywiście nie trzeba dramatyzować – wtrącił się młody człowiek o cienkim wąsiku i w nienagannie skrojonym smokingu. – W sumie ten konflikt jest tak naprawdę sprzeczką pomiędzy domami królewskimi. Pozwolę sobie przypomnieć państwu, że na pogrzeb Bertiego, no wiedzą państwo, króla Edwarda, przybyło ni mniej, ni więcej tylko dziewięciu monarchów, a wszyscy byli wujkami, kuzynami, siostrzeńcami czy innymi krewnymi. Kiedy oni się porozumieją co do kwestii rodzinnych, wojna się zakończy. Idę o zakład, że w następne święta wszyscy będziemy zajadać indyka w domu albo tutaj, w Brunstriechu, jeśli nasza kochana gospodyni uzna za stosowne nas zaprosić.

– W tej sprawie ma pan wiele racji, chłopcze. Wojna potrwa krócej niż wypalenie cygara – dodał baron, zaciągając się hawańskim cygarem. – A to z racji przewagi militarnej Niemiec, rzecz jasna.

– Och, na wszystkich świętych, proszę pana! Jesteśmy już zmęczeni tą fanfaronadą. Wojna będzie krótka, to prawda, bo cesarz ma zwyczaj niedoceniać przeciwnika. Zanim się połapie, zobaczy z piedestału swojej pychy, jak wojska niemieckie ponoszą najbardziej dotkliwą porażkę w historii. To nie będzie rok 1870!

Salon natychmiast wypełnił się gorączkowymi

dyskusjami prowadzonymi coraz donośniejszymi głosami. Ja jednak już ich nie słuchałam, od chwili, kiedy jedno zdanie poruszyło jakąś sprężynę w mojej głowie. W kilka sekund dziesiątki faktów i argumentów próbowało chaotycznie się ze sobą połączyć.

– Należy mi pani jeszcze odrobinę kawy, Isabel?
Isabel!

– Tak?

Odzyskałam świadomość tego, gdzie się znajduję, i zobaczyłam przed sobą Richarda Windfielda z pustą filiżanką.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak... tak. Niech pan posłucha, Richardzie, proszę mi powiedzieć, kto wie o traktacie dotyczącym małżeństwa Karla i Nadii? – wyszeptałam mu na ucho, starając się zachować najwyższą dyskrecję.

Nie wiedząc za dobrze, do czego zmierzam, Richard odpowiedział trochę niejasno:

– No... nikt. Poza nami, rzecz jasna. No i jeszcze cesarz, car, król, premier, kapitan Cumming. Także ja... I pani... Ale dlaczego?

– Nikt z rodziny? – przerwałam. – Nawet Aleksandra?

– Nie, nikt.

– Hm. Mógłby pan dać mi cygaro? To z pańskiej kieszeni.

– Tak, oczywiście. Proszę. – Usłużnie wyciągnął cygaro z kieszeni marynarki. Wręczając mi je, zdał sobie

sprawę, jak niezwykajna jest moja prośba. – Ale po co pani cygaro? Pani nie pali... a może tak?

– Nie, nie palę. Przepraszam.

Nie wdając się w wyjaśnienia, zostawiłam go z jego zaskoczeniem i wyszłam z salonu, gdzie dyskusja zaczęła przypominać bitwę.

Trwoga na dobre się we mnie zagnieździła, podczas gdy usiłowałam znaleźć jakieś uzasadnienie dla swojego niepokoju i wyjaśnienie swych podejrzeń. Zapragnęłam, żeby moja intuicja, bardzo rzadko godna zaufania, znowu się omyliła, gdy szybko biegłam w stronę mojego pokoju. Kiedy tylko tam wpadłam, zapaliłam cygaro od Richarda, położyłam na tacy na komodzie i zaczęłam mierzyć czas z zegarkiem w ręku.

– Proszę wejść...

Jeszcze nie spał. Był w gabinecie. Stał za mahoniowym biurkiem. Z otwartą książką w rękach. Skupiony na lekturze.

Miałam wrażenie, że wzrok zachodzi mi mgłą.

Zastanawiałam się, co mu powiem, żarliwie pragnąc, żeby nie zdradziły mnie emocje. Walcząc z trwogą i nerwami, a także z wściekłością, dobierałam słowa, które mogły najlepiej wyrazić nieugiętość i zdecydowanie, bo przeczuwałam, że mi ich zabraknie.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Zanim jedno spojrzenie zdradzi mu moją słabość, nie wiedząc, co będzie dalej, wypowiedziałam to co mnie dręczyło:

– Mam dla ciebie wiadomość: *Arjaman, jadyłap, Jete na paśyanti lobhopahatac-etasah, kula-kśayakritam dośam mitra-dohe ca patakam.* „Ludzie ci, opanowani przez chciwość, nie widzą niczego złego w zabiciu rodziny ani w kłótni z przyjaciółmi” – wyrecytowałam, choć wiedziałam, że rozumiesz moje słowa.

I były już tylko cienie na twojej twarzy, która pochyliła się ku mnie.

– To wiadomość od Ottona Krüffnera, którą ukrył w książce na krótko przed tym, jak go zabiłeś. Wiedział, że jej szukasz i że wcześniej czy później ją znajdziesz. Prawdopodobnie wiedział, że chcesz go zabić, od chwili, gdy na polowaniu celowo, a nie przez przypadek, do niego strzełeś. Później tamtej nocy... Wtedy już nie popełniłeś błędu. To była poduszka, prawda? Poduszka wygłuszyła strzał. A ja przez cały czas byłam marionetką w twoich rękach. Twoim doskonałym alibi. A ty... Jak mogłeś? Jak to możliwe, że byłeś w stanie sam sobie rozbić głowę? Czy nie była to zbyt wysoka cena, skoro i tak miałeś pozostać poza kręgiem podejrzeń po drugim strzale, czy raczej po tym, co brzmiało jak strzał... Bo to nie był strzał, tylko zwykła petarda z lontem, który palił się wystarczająco długo, żebyś mógł odegrać swoje przedstawienie: cygaro. Potem, kiedy oboje wpadliśmy do pokoju Krüffnera, udałeś, że cię zemdliło, i poszedłeś do łazienki, gdzie zostawiłeś swój... artefakt i w ten sposób się go pozbyłeś. Teraz wszystko do siebie pasuje: dym tytoniowy w pokoju, pióro z poduszki na podłodze, brak

śladów na ciele... Teraz wszystko pasuje. – Przez chwilę brakowało mi powietrza, bo twoje zastraszające spojrzenie i milczenie zaczynały mnie osłabiać. Przełknęłam ślinę, ale moje gardło było tak ściśnięte, że głos ledwie przez nie przechodził. – Ty go zabiłeś. Ty jesteś Arjamanem. A teraz, proszę, powiedz mi, że się mylę, powiedz, że to Alois – wyszeptałam głosem łamiącym się z wyczerpania i żalu. – Powiedz coś, zaklinam cię na wszystko, co kochasz.

Mrok twojego oblicza zdawał się rozjaśniać w uśmiechu. Przeklętym uśmiechu, który cię zdradził, bo dopiero gdy go zobaczyłam, koszmar się dopełnił. Twój uśmiech był gorzki.

– Wiedziałem, że wcześniej czy później to odkryjesz. Nikt, ani pozostali kalikamaiści, ani mój brat z tą żalosną bandą paniczków bawiących się w szpiegów nie byli w stanie tego osiągnąć. Tylko tobie się udało, zawsze to wiedziałem.

Ta bezwarunkowa kapitulacja mnie rozbroiła. Dlaczego nie zaprzeczałeś mojemu oskarżeniu? Dlaczego nie kłamałeś? Nie miałam żadnych dowodów, nic nie miałam, oprócz nieszczęsnej intuicji. Dlaczego mi nie powiedziałeś tego, co chciałam usłyszeć: że to wszystko moja wyobraźnia? Dlaczego mi to robiłeś?

– Ty jesteś wyjątkowy. Nie mogłeś być tego częścią... Dlaczego ty? Dlaczego?

– Dlaczego ja? – Sprawiałeś wrażenie, jakbyś sam zadawał sobie to pytanie. I znowu gorzko się

uśmiechnąłeś.

– To przez bombę, prawda? – przerwałam ci, bo tak naprawdę nie chciałam słuchać twoich wyjaśnień, pragnęłam tylko, żebyś mi powiedział, że się mylę. – Jesteś gotów zniszczyć świat tylko po to, żeby się wzbogacić. A może dla przyjemności? Radości niszczenia, jak zniszczyłeś nas wszystkich.

Powoli porzuciłeś barykadę biurka i zacząłeś się do mnie zbliżać, jak człowiek, który podchodząc do oazy na pustyni, nie wie jeszcze, czy obraz jest rzeczywisty, czy to złudzenie, które się rozwieje przy bliższym zetknięciu.

– Bomba... Ci głupcy chcą tylko wojny i będą ją mieli, do tego nie potrzebują mojej pomocy. Bombę byłbym gotów oddać, bo na nią zasługują. To oni znajdują przyjemność w niszczeniu, nie ja. Sądzisz, że powoduje mną chciwość, czy tak? Do diabła z bombą i przeklętą wojną! Żadna nie jest nic warta. Bomby ani nie mam, ani nie chcę jej mieć. Mam nadzieję, że zgnije razem z Ottonem pod ziemią... Czy ty nie rozumiesz?! Nie zdajesz sobie sprawy?! Dlaczego ja? – pytasz, podczas gdy sama jesteś odpowiedzią. Bo jestem w tobie zakochany. Tak! Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla ciebie. I niczego nie żałuję. Oni wszyscy chcieli stanąć na naszej drodze, oddzielić cię ode mnie. Otto, Karel... Wszyscy powinni umrzeć.

Ja? Cóż za perwersja! Dlaczego sąd, w którym uważałam się za sędziego, nagle zwrócił się przeciwko mnie i mnie oskarżał? Chciałam się oburzyć, a jednak

udało ci się sprawić, że poczułam się winna.

– Jak śmiesz mieszać mnie do swojego szaleństwa – broniłam się zaciekle, cedząc słowa przez zęby, obawiając się twojej bliskości i odrzucając ją.

– Już jesteś w to uwikłana. Byłaś od zawsze, nawet przed narodzinami. To twoje przeznaczenie, chociaż o tym nie wiesz. Ty, moja ukochana, jesteś nią, moją boginią miłości i śmierci, moją ukochaną Kali. Otto to dostrzegł, gdy tylko cię ujrzał: „To jest Kali, mój drogi Arjamanie. Nasza ukochana bogini jest pośród nas. Pora na hekatombę nadeszła”. Ten stary wariat chciał nas wszystkich zabić! Bezsensownie poświęcić! Nie wiedział, że przyszedł do nas nie po to, by przynieść śmierć, ale żeby dawać życie. Ty i ja stworzymy nowe pokolenie mężczyzn i kobiet o czystej duszy. Wyłonisz się z popiołów tej bezsensownej wojny, żeby nieść nowe życie, a ja poprowadzę cię za rękę. Oto nasze przeznaczenie – zakończyłeś, podchodząc do mnie z ciepłym spojrzeniem utkwionym w mojej twarzy, spojrzeniem nieskończonej miłości i... zupełnie bezrozumnym.

Z oczami niemal wychodzącymi z orbit, nie będąc w stanie wyartykułować słowa z wrażenia, słuchałam twoich nieprawdopodobnych wynurzeń.

– Oszalałeś...

– Poddaj się przeznaczeniu i chodź ze mną.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęłam słabo, starając się umknąć przed twoim hipnotycznym głosem i silnymi ramionami, w których wiłam się jak piskorz.

– Puść ją, Lars!

Przestaliśmy się szamotać. Polecenie dotarło do nas głośne i jasne, ale mnie wydawało się dalekie i niepewne, bo zapomniałam, że na świecie istnieje jeszcze ktoś inny oprócz nas.

Kiedy odwróciłam się w stronę drzwi, zobaczyłam twojego brata, Karla, patrzącego na ciebie wyzywająco. Za nim stał Richard.

– Puść ją!

Odwróciłeś się jak bestia: ostre kły, ofiara w szponach i słowa przypominające ryk.

– Won stąd! Won!

– Puszczaj ją, mówię ci! – nakazał znowu twój brat, robiąc krok naprzód. – Bo jeśli nie, sam po nią pójde.

Nie potrafię powiedzieć, jak to zrobiłeś; skąd wy dobyłeś pistolet, i przyciągnąwszy mnie do siebie jedną ręką, przyłożyłeś mi pistolet do skroni. Niemal w tej samej chwili Karel i Richard skierowali w twoją stronę broń, która również pojawiła się w ich rękach nie wiadomo skąd.

Serce biło mi boleśnie i mocno. Poczułam mdłości. Krew szumiała mi w uszach tak głośno, że słowa rzucane przez was, braci, w swego rodzaju pojedynku, docierały do mnie jak dalekie echo.

– Cholerny idioto. Jeszcze jeden krok i strzele!

– Przestań, Lars, nie pogarszaj sytuacji. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Jest moja! Słyszysz?! Moja! Nie możesz mi jej

odebrać! Nikt nie może! – krzyczałeś jak opętany.

– Lars, odłóż pistolet.

Wysiliłam się, aż do bólu oczu, żeby zerknąć na ciebie za swoimi plecami. Widziałam, że skóra na zaciśniętych szczękach jest napięta tak mocno, jakby miała pęknąć; że przymykasz powieki, jakby światło paliło ci źrenice; że twoje czoło zmarszczyło się w determinacji. Chciałam patrzeć na ciebie, tylko na ciebie, a ty w jednej ręce trzymałeś pistolet wycelowany w moją głowę, drugą zaś nerwowo gładziłeś moje ramię, raz za razem przeciągając po nim kciukiem; grożąc mi śmiercią, przyciskałeś mnie do piersi nie jak tarczę, ale jakbyś czerpał ze mnie pocieszenie. W końcu spojrzawszy mi w oczy, a ja nie znalazłam w twoim wzroku niczego, co wzbudziłoby we mnie strach. Za to ty zobaczyłeś coś w moich oczach.

– Wszystko się skończyło, Lars. Opuść broń albo ją stracisz.

– Nie bądź głupcem, już ją straciłem – odpowiedziałeś bratu, patrząc na mnie. – Wiesz, że cię kocham i nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy – wyszeptawszy mi słodko do ucha. – Nie bój się.

– Nie boję się – powiedziałam, bo czułam się zaskakująco bezpieczna w twoich ramionach.

Wtedy, nie spuszczać ze mnie wzroku, wylewając na mnie całą swoją miłość, pragnienie i melancholię, przemówiłeś. I tylko dla mnie były przeznaczone twoje słowa:

– Och, moja bogini, moja ukochana Kali. Otwórz ramiona i przyjmij mnie, wszak w nich właśnie pragnę umrzeć.

Lufa pistoletu przesunęła się po mojej wilgotnej i śliskiej skórze. Zamknęłam oczy.

Wyznaję ci, bracie, że... Mój Boże! Wyznaję ci, że czuję się winny, niech to szlag!

Tylko ułamek sekundy. Wystarczył ułamek sekundy, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zaledwie chwila, w której – zupełnie bezradny – zobaczyłem, jak przykładasz pistolet do serca i naciskasz spust. Twoje ciało bez życia osunęło się w jej ramiona. Ona upadła wraz z tobą na podłogę. Otworzyła usta, żeby wyrzucić z siebie bezgłośny krzyk, i klęcząc na dywanie, położyła ręce na twojej piersi, gdzie czerwona róża rozkwitła na białej koszuli. Widziałem, jak patrzy z przerażeniem na swoje palce; jak podnosi wzrok i wbija we mnie niewidzące spojrzenie, desperacko poszukując pomocy, ratunku, wyjaśnienia.

A ja w tym czasie, stałem sparaliżowany z groteskowo rozdziawionymi ustami – bezużyteczny, żaloszny – i dalej w ciebie celowałem, chociaż już nie żyłeś. Do wszystkich diabłów! Nie żyłeś!

A ona zapłakała. Szlochała rozdzierająco nad twoim trupem, jakby płakała po raz pierwszy w życiu.

Wydawało mi się, że z daleka widzę twój uśmiech. Był w nim spokój.

25 lutego

Pamiętam, ukochany, że opuściłam Brunstriech w wietrzny dzień, wiał północny wiatr, ten sam, który rozwiał twoje prochy w lesie, mieszając je z płatkami śniegu.

Moja misja dobiegła końca – władze kalikamaistów zostały zlikwidowane. Sekta unieszkodliwiona, a broń zagłady spoczęła w sejfie, bez sygnatury ani etykiety, ukryta w najgłębszych zakamarkach tajnego magazynu brytyjskiego rządu.

Po mnie została tylko fotografia prawdziwej Isabel de Alasui, wycięta z jakiejś argentyńskiej gazety, gdzie opisywano jej ślub z Fernandem Oconem. Własną ręką napisałam tylko suche: „Przepraszam”. Nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej wielkiej księżnej wdowie Aleksandrze. Nie byłam w stanie napisać nic więcej do nikogo.

1915

Teraz, kiedy to wszystko się skończyło, wiesz, że cię kochałam i nadal Kocham. Jest już za późno, a twoja śmierć jest karą za moje niezdecydowanie.

Co mi zostaje? Droga bez przeznaczenia i istnienie bez ciebie. Z tym ciężarem będę podróżować aż do końca swoich dni. Zanim on jednak nastąpi, będę miała

opowieść o nadziei, na której będę mogła się wesprzeć.

Ktoś mi kiedyś powiedział: tam, dokąd wiatry zanoszą ludzkie błagania, gdzie bogowie żyją na ośnieżonych szczytach gór, gdzie życie oznacza dążenie do Boga, a śmierć spotkanie z Nim, życie jest niekończącym się cyklem: zawsze kiedy gaśnie jedno, inne rozbłyśka w jego miejsce – oto prawdziwy dar bogów.

Teraz, ukochany, w końcu to zrozumiałam.

Wyznaję ci, bracie, że nie zdołałeś mnie zaskoczyć – nie zrobiłeś tego poprzez swoją mroczną tajemnicę ani dramatyczną śmierć. Możesz to nazwać braterskim przeczuciem lub odbiciem tego, czym sam mogłem się stać, bo ty i ja byliśmy jak awers i rewers tej samej monety. Obaj szliśmy przez życie jak linoskoczki po cienkiej linii, rozgraniczającej dobro i zło, czasami przechodząc nawet z jasnej na ciemną stronę egzystencji. Ani ty nie byłeś łotrem, ani ja bohaterem. Jestem przekonany, że decydujący krok zrobiliśmy raczej przypadkowo niż z rozmysłem. Straciliśmy równowagę. Na którą stronę spadłem ja? Jeszcze tego nie wiem. Na pewno na przeciwną niż ty.

Ona przyjechała i odmieniła nas. Wiedziałeś, że jeśli odejdziesz, nasze życie nieodwracalnie się zmieni i dlatego kiedy ją utraciłeś, jedynym wyjściem dla ciebie była śmierć. Ja nie chciałem tego do siebie dopuścić; ciągle zostawiałem miejsce na naiwną i rozpaczliwą nadzieję.

W dniu, kiedy ona odeszła, ja też poczułem, że umieram. Miłość do niej zabiła nas obu, lecz o ile ty osunąłeś się w jej ramiona z uśmiechem na ustach, o tyle ja umieram z dala od niej, pogrążony w bólu. W końcu to ty wygrałeś. Jak zawsze.

Wyznaję ci, że nienawidziłem cię, dopóki żyłeś; a ponieważ wiem, że ona nigdy nie przestanie cię kochać, nienawidzę cię także teraz, kiedy umarłeś.

Mimo to życzę ci, bracie, by tam, gdzie jesteś, twoja dusza znalazła pokój, którego mnie brakuje. To przynosi ulgę mojemu sumieniu.

Epilog

Prowincja Santander, Hiszpania, listopad 1919 roku

Urodziła dziewczynkę dokładnie trzy miesiące po wybuchu wojny, kiedy pierwsze jesienne deszcze zalewały łąki i sprawiały, że ciemnieje morze.

Kiedy stara akuszerka z miasteczka, ta sama, która pomagała przy jej narodzinach, podała jej dziecko, ból zmienił się w miłość, melancholia w szczęście, samotność w nadzieję i wreszcie zrozumiała, dokąd prowadziło ją jej naznaczone katastrofami życie. Wszystko nabrało sensu, kiedy usłyszała kwilenie dziecka, usteczkami szukającego piersi; zrozumiała, czym jest radość, kiedy maleńka rączka musnęła jej usta, gdy nachyliła się, żeby pocałować wypukłe czółko; a kiedy patrzyła, jak córeczka otwiera

oczka, odkryła w nich szarość nieba Brunstriechu i spojrzenie jej ojca. Wtedy poczuła, że już nigdy nie będzie sama.

Od chwili, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, jej obsesją stało się stworzenie dziecka domu. Wróciła do Hiszpanii, do swoich korzeni, tam, gdzie zaczęły się jej przygody, z jedną walizką i pieniędzmi, które otrzymała od francuskiego rządu za swoje usługi. Gdy tylko dotarła do miasteczka, do starego domu rodziców. Stała, żeby na niego popatrzeć, znowu chłonąć to miejsce, omieść spojrzeniem kamienną fasadę z balkonem o żelaznej balustradzie, z wielką przeszkloną werandą i białymi drzwiami, nad którymi kołysała się lampka – jej żółte światło było drogowskazem w zimowe wieczory, kiedy wracała do domu ze szkoły. To był jej dom, taki, jakiego chciała dla swojego dziecka. A dom, niczym wierna przyjaciółka, jakby tylko czekał, aż ona wróci, bo wielki plakat NA SPRZEDAŻ wisiał w jednym z okien, jak gdyby ktoś go wywiesił na powitanie.

Stary budynek był zaniedbany. Brakowało dachówek, a w niektórych oknach nie było szyb. Rdza toczyła poręcze i brudna farba zaczęła odłazić. Ogród na tyłach zarósł chwastami, a suche krzewy róż już nie kwitły. W środku było zimno, wilgoć przenikała do szpiku kości, w powietrzu unosił się zapach pleśni jak w krypcie, a kurz i pajęczyny miękko wyściełały kąty. Nie było prądu ani bieżącej wody. W miarę jednak jak spacerowała po pustych pokojach i skrzypienie desek pod nogami

rozbrzmiewało znajomą muzyką, przypominała sobie meble matki, ogień na kominku, książki na półkach i obrazy na ścianach; przywoływała z pamięci promienie słońca wpadające przez okna w letnie poranki i lampy rozświetlające dom w zimowe wieczory; pamiętała zapach czystej pościeli na łóżku i ten kąt swojej sypialni, w którym lubiła rysować nowymi kredkami; pamiętała sylwetkę matki, w białym fartuchu, przy piecu w kuchni, gdzie zawsze pachniało ciepłą zupą i świeżo upieczonym chlebem; przypominała sobie wiosenne wieczory w ogrodzie, w którym lubiła grać w klasy i biegać za motylami, gdzie gnieździły się ptaki pośród gałęzi świerku ocieniającego stół i cztery krzesła ustawione dla gości, żeby mogli napić się herbaty. Kupiła ten dom, a nie ruinę, którą jej sprzedano. To miał być dom dla jej dziecka.

Wiele starań, czasu i pieniędzy poświęciła na odbudowę. Kiedy dziecko przyszło na świat, nie brakowało już dachówek ani szyb w oknach, ściany i drzwi odzyskały nieskalaną biel; dom lśnił jak złote źródło, a płonący w kominkach ogień znowu ogrzewał pokoje.

Pomyślała, że najlepszym sposobem, by zarobić na życie i utrzymać córeczkę, będzie ponowne otwarcie pensjonatu, takiego, jaki prowadziła matka. A jednak nie było to proste zadanie. Samotna kobieta z dzieckiem, na co dzień stawiająca czoło wrogości mieszkańców, którzy ledwie ją pamiętali, a jeśli tak, to tylko z powodu

skandalicznego romansu jej matki z tym Francuzem, aby przetrwać, musiała starać się podwójnie. Nie zdołała się zżyć z tą hermetyczną społecznością, z ludźmi północy, którzy patrzyli na nią jak na obcą o niemożliwym do wymówieniu nazwisku, nigdy nie uwierzyli, że ojciec dziecka walczy na wojnie, i bezustannie szeptali za jej plecami. Wieczorem, wykończona po całym dniu, miała ochotę się poddać; o świcie, po niemal nieprzespanej nocy, bo musiała ciągle wstawać do dziecka, sprawy nie miały się lepiej... Wtedy patrzyła jednak na malutką, która uśmiechała się na widok mamy; widziała siebie w szarych oczkach i w cudowny sposób odzyskiwała siły.

I tak przetrwała, sama z córką, aż któryś z bogów przypomniał sobie o niej i się do niej uśmiechnął.

Pewnego letniego popołudnia nad miasteczkiem szalała burza, z tych, które tworzą historię, w annałach miasteczka zapisała się tym, że piorun uderzył w zagrodę wujka Fructuosa i zabił najlepszą mleczną krowę. Ona jednak zapamiętała ją z innego powodu, minęło dziesięć miesięcy od narodzin dziecka. Remont domu, urządzenie pensjonatu, ubranka dla córeczki (bo mama nigdy nie nauczyła się robić na drutach) i wiele innych wydatków sprawiały, że oszczędności topniały bardzo szybko. Gotówka była na wyczerpaniu, a w pensjonacie nie zatrzymał się ani jeden gość. Pewnego dnia stwierdziła, że nie wystarczy jej na rachunki. Poza tym mała od dwóch dni miała gorączkę i bardzo płakała, nikt nie był w stanie jej ukoić. Miejscowy lekarz, który był też weterynarzem,

był bardzo zajęty leczeniem psa, dwóch kur i atakiem nerwowym żony wujka Fructuosa.

Kiedy nie wiedziała już, co robić, żeby uspokoić dziecko, ktoś zapukał do drzwi.

– Dzień dobry. Ja...

Stojąca na progu nieznajoma kobieta usiłowała przekrzyczeć szum ulewy i huk grzmotu, który właśnie przetoczył się nad miasteczkiem.

– Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać.

Była zbyt zajęta, żeby poświęcić jej choć minutę, i chciała od razu zamknąć drzwi. Ale kobieta, zaglądając nad jej ramieniem do środka domu, skąd dobiegał rozdzierający płacz dziecka, ośmieliła się powiedzieć:

– To dziecko... boli je ucho?

Od dawna nikt nie interesował się nią ani jej dzieckiem. Zainteresowanie nieznajomej, choćby była to zwykła ciekawość, rozczuliło ją i niewiele brakowało, a straciłaby panowanie nad sobą.

– Nie... nie wiem. Tak naprawdę to nie wiem. Ma gorączkę i nie przestaje płakać... – wyjaśniła przygnębionym głosem.

– Proszę spróbować wpuścić dziecku do ucha kilka kropel oliwy czosnkowej i przyłożyć ciepły kompres – poradziła kobieta.

Spojrzała na nią zbита z tropu. Była tak zdenerwowana i zrozpaczona, że te proste instrukcje wydały jej się niemożliwe do wykonania.

– Oliwę czosnkową? Ale...

Malutka płakała i płakała. Deszcz padał nieprzerwanie. Kolejna błyskawica rozświetliła niebo jasnym płomieniem, potem rozległ się następny ogłuszający grzmot.

– Proszę wejść. Przemoknie pani. – Ustąpiła w końcu.

Kiedy zamknęła drzwi i w ciepłym wnętrzu odgłosy burzy nie były już tak przerażające, poczuła niewielką ulgę. Mogła trochę jaśniej myśleć.

– Gdy dzieciak tak strasznie płacze, to najczęściej przez uszy. Biedaczek, ma zapalenie, a to bardzo boli. Trzeba je ogrzać, żeby trochę ulżyło. Sama pani zobaczy, po kilku kroplach oliwy z czosnkiem i kompresie z ciepłego mleka wydobrzeje.

Przeszła do salonu, a kobieta za nią. Dziecko płakało wniebogłosy, zaciskało piąstki i podkurczało konwulsyjnie nóżki. Wzięła córeczkę na ręce i przygarnęła spocone, gorące ciało do piersi, czule całując główkę pokrytą delikatnym puszkciem.

– Jeśli pani chce, ja mogę przygotować kompres. Robiłam to setki razy.

Początkowo się wahała, ale w końcu pomyślała sobie, że nie ma nic do stracenia. Odrobina oliwy nie może przecież wyrządzić dziecku krzywdy.

– Dobrze... jeśli... pani tak uważa. Może to ją uspokoi. Proszę, tam jest kuchnia. Może napije się pani kawy, właśnie zaparzyłam.

– Ja tam nie wiem dużo o dzieciach, ale w mojej wiosce w górach jest dużo kóz, a kózki i dzieciaki są do

siebie bardzo podobne.

Lekarstwo działało cuda. Mała się uspokoiła i zasnęła. Temperatura zaczęła spadać. Burza ucichła i ustąpiła miejsca słońcu. Kobiety napiły się kawy przy stole w kuchni. I Daria już nigdy nie opuściła tego domu.

Właściwie trudno by ją uznać za nieoszlifowany diament, była zupełnie dzika. Ale miała wielkie serce i inteligencję, która pozwalała jej czerpać z mądrości ludowej i życia pełnego nieszczęść i rozlicznych perypetii. Urodziła się w małej wiosce koło Toledo, matka umarła przy porodzie, zostawiając ojca, koguta i dwie kury, które znosiły najlepsze jajka w okolicy. Karmiono ją jajkami od dnia narodzin i sama o sobie mówiła, że jest kobietą z jajami. Niańczyły ją po trochu wszystkie kobiety z wioski, podczas gdy Simon, koziarz, nie brał sobie zbytnio do serca swego ojcostwa: lato spędzał w górach, a zimę w knajpie. Chociaż był człowiekiem ponurym i małomównym, dla Darii zawsze był miły. Spokojnie znosił buntowniczą naturę córki, ona zaś starała się nie ingerować zbytnio w zwyczaje ojca. Czas upływał, aż nadszedł dzień, w którym Simon, poczuł się stary i u kresu swoich dni. Stwierdził wówczas, że w rodzinie potrzeba mężczyzny, który zająłby się córką. Nie obchodziło go, że Daria sama potrafiła się sobą zająć, bo robiła to przez całe życie, i postanowił wydać ją za mąż za chłopaka z wioski, którego sam wybrał, nie licząc się wcale z jej zdaniem. W tym momencie uległość dziewczyny się wyczerpała. Daria nie miała zamiaru

spełniać życzenia ojca, zwłaszcza z tym chłopakiem, który był jednocześnie głupcem i złym człowiekiem, a takie cechy, w przekonaniu Darii, rzadko chodzą parami, bo przecież trzeba mieć trochę oleju w głowie, żeby świadomie być złym człowiekiem. Ponieważ Simon też nie miał zamiaru ustąpić, pokłócili się. W wyniku tej kłótni Daria spakowała trochę rzeczy do tobołka i uciekła z domu. Ruszyła w stronę Toledo.

Koleje losu zawiodły ją jednak do Madrytu, gdzie z polecenia jakiegoś kuzyna, który był portierem w jednym z bogatych domów przy ulicy Goi, została tam służącą. Nosiła piękny niebieski uniform z fartuszkim i czepkiem, nauczyła się prasować i krochmalić ubrania, podawać do stołu w białych rękawiczkach i składać serwetki w kształt łabędzia; po raz pierwszy poszła do kina z węglarzem, który się do niej zalecał; i choć część zarobionych pieniędzy wysłała ojcu, była w stanie trochę odłożyć. Tamtego roku życie zdawało się uśmiechać do Darii. A jednak szczęście nie trwało długo. Jej państwo mieli niesfornego syna, który podbierał pieniądze z szuflady w gabinecie ojca i wydawał je nie na panienki, co byłoby powodem do dumy dla rodziciela, lecz na chłopców. Kiedy naiwny pan domu zorientował się, że giną mu pieniądze, wpadł w furję. Matka nie tylko natychmiast zaczęła bronić syna-złodziejaska przed ojcowską wściekłością, ale także chciała ratować dobre imię rodziny. Dlatego nie zawahała się oskarżyć nieszczęsnej służącej, i tak Daria z dnia na dzień znalazła się na ulicy.

Bez ostatniej wypłaty i listu polecającego, w rozpaczy, zgodziła się na małżeństwo z węglarzem. Nigdy nie przestała żałować tej decyzji. Ów okropny, godny pogardy alkoholik zmienił się zaraz po odejściu od ołtarza, jakby zamiast świętej hostii dano mu jakąś truciznę. Co noc wracał do domu pijany i tak bił Darię, że siny zaczął być naturalnym kolorem jej skóry; a poza tym wydawał wszystkie oszczędności żony na wino i kobiety. Daria nigdy nie zaznała ze strony mężczyzn takiego zła, bo choć jej ojciec nie był wzorem cnót, to nie był też pijakiem i nigdy jej nie bił, nawet jeśli ona, przy swoim trudnym charakterze, na to zasługiwała. Po sześciu miesiącach upokorzeń, bicia i okradania przez męża porzuciła go. Na odchodne tak go kopnęła, że gdy opuszczała dom, on leżał skulony na ziemi, łowiąc powietrze jak ryba. Jakiś czas wałęsała się po ulicach Madrytu. Choć wyjadała resztki ze śmietników i spała w bramach, to nie straciła ani trochę godności i miłości własnej, które nie pozwalały jej wrócić do ojca. W końcu, pokonana, wsiadła do wagonu trzeciej klasy ekspresu do Salamanki. Tam spotkała trupę komików z Jaén, którzy podróżowali do Alba de Tormes. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego im się spodobała, więc postanowili dać jej rolę czarownicy. Chłopak, który do tej pory grał tę rolę, został zraniony w oko, podczas jednego z przedstawień. W taki oto sposób Daria, w przebraniu wiedźmy, objechała całą Hiszpanię i stanęła przed drzwiami Isabel. Ta zaś nie wiedziała, jak to się zdarzyło, jaka dobra gwiazda

przywiodła do niej Darię ani dlaczego kobieta postanowiła z nią zostać; wiedziała tylko, że od tamtej chwili jej życie się zmieniło. Daria, uważając się za specjalistkę od przyciągania klientów, poprosiła ją któregoś dnia, żeby napisała obwieszczenie, że w miejscu pensjonatu powstaje hotelik cudów morza i gór. Daria była analfaberką, nie potrafiła pisać, a odczytać umiała zaledwie kilka słów, które zapamiętała, lecz jej umiejętności myślenia nie można było nic zarzucić. Z przygotowanymi ulotkami Daria wyruszyła do Santander i rozdawała je w eleganckich restauracjach i kawiarniach, gdzie spędzała czas śmietanka towarzyska. Po niedługim czasie, jakby za sprawą czarów, dom wypełnił się bogatymi panami i paniami, którzy latem lubili spacerować po plaży, a zimą po łąkach i doceniali wspaniałą kuchnię Darii, która swoimi zręcznymi rękami przygotowywała pieczoną rybę, minestrone z warzyw świeżo zebranych w ogrodzie i pudding wprost rozplływający się w ustach.

Zaczęły nawet przestawać z ludźmi z miasteczka. Szczególnie od dnia, kiedy statek wpadł na zdradliwe skały przy plaży, a one spędziły noc, przygotowując czekoladę i tosty dla nieszczęsnych rozbitków i dzielnych ochotników biorących udział w akcji ratunkowej. Od tamtej pory mieszkańcy zaczęli postrzegać to dziwaczne kobiece trio jako kolejną rodzinę; pozdrawiali je uprzejmie na ulicy, zapraszali na zebrania w ratuszu i parafii, a od czasu do czasu wujek Fructuoso ofiarowywał

im koszyk najlepszych fig, z których Daria przygotowywała wyborną marmoladę.

Po raz pierwszy w życiu Isabel odkryła, co to znaczy mieć prawdziwy dom. Od tego czasu minęły już cztery lata.

Była połowa listopada. Dzień, wilgotny i chłodny, zapowiadał się spokojnie, dlatego uznała, że będzie to znakomita pora, żeby wejść na drabinę i umyć okna werandy, zanim sól i deszcz całkowicie przesłonią piękny widok na morze. Ledwie rozpoczęła swoją pracę, kiedy przyszła do niej Daria, ożywiona i poruszona. Szybkimi ruchami przyglądała kosmyki, które wysunęły się z koka i nerwowo wyglądała fartuszek. Jej podekscytowany głos przerwał ciszę:

– Isabel!

Daria zawsze wołała ją po imieniu, chociaż później zwracała się do niej „pani”. Isabel wiele razy prosiła, żeby przestała, ale Daria się upierała, że do kobiet z jej klasy nie mówi się po imieniu. „To kwestia zasad, rozumie pani”.

– Isabel!

– Słucham, Daria – odpowiedziała, nieco rozkojarzona, nie przestając wycierać szyby, która zaczęła pięknie lśnić.

– Przed drzwiami stoi jakiś mężczyzna, bardzo przystojny i elegancki, i mówi, że chce się z panią zobaczyć. Już mu powiedziałam, że jest pani zajęta, ale on jest bardzo uparty.

W końcu przestała pucować okna i spojrzała na Darię.

– Mężczyzna?

– Jak najbardziej. I bardzo ładny, prawdę mówiąc. Jak dla mnie to jeden z tych, pożałuj Boże, sprzedawców z miasta. Dobry chłopak, dobrze wychowany i nic poza tym. Ale proszę uważać, ani się człowiek obejrzy, a już wciśnie maść na porost włosów pod pachami. Trzeba uważać.

Isabel tylko pokręciła głową.

– To co, mam go spławić?

– Nie, nie, wprowadź go do salonu. Zaraz przyjdę.

Daria pośpiesznie wyszła, żeby spełnić polecenie. Tymczasem ona znowu skupiła się na swojej pracy, zwłaszcza w narożnikach, skąd szczególnie trudno pozbyć się brudu. Spróbowała szmatką, szorstką gąbką, a nawet czubkiem noża, ale i tak nie była zadowolona z efektu.

Nie zносиła zostawiać niedokończonej pracy, ale minęło już sporo czasu, odkąd Daria wyszła. Niechętna gościowi zostawiła nóż na ostatnim szczeblu drabiny i ruszyła do salonu.

Zabrakło jej powietrza. Płuca przestały oddychać, a serce bić. Schody nagle stały się strasznie wysokie i doznała zawrotów głowy, gdy go zobaczyła. On – w milczeniu, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy – mierzył ją od stóp do głów.

Ona także nie zdobyła się na to, by wypowiedzieć choć jedno słowo, tylko patrzyła na niego, mając nadzieję,

że to nie jest złudzenie jej zmęczonych oczu czy obsesja umysłu. Jednak on trwał niezmiennie pośrodku pokoju, i wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Uczucia, które napłynęły teraz gwałtowną falą, nie zaskoczyły jej. Radość, spokój, ulga. Nagle zrozumiała, że te pięć lat walki miało sens, bo czekała na niego, bo zbudowała dom, do którego on przyszedł, bo przechowywała butelkę whisky, żeby on mógł wypić sobie szklaneczkę przed snem. Było tak, jakby zawsze wiedziała, że on ją odnajdzie. Zawsze.

– Lizka...

Imię, które należało tylko do niego. Ledwie był w stanie je wypowiedzieć. Ileż to razy budził się w środku nocy, wykrzykując je! Ileż to razy stracił nadzieję, że kiedykolwiek ją zobaczy! Ileż to razy płakał z żalu, sądząc, że czas zaczyna zamazywać wspomnienie jej oblicza! A teraz miał ją przed sobą, piękną jak zawsze.

Minęło tyle czasu...

Krótko po wybuchu wojny austriackie wojsko przejęło zamek w Brunstriechu i urządziło w nim kwaterę. Próbował przenieść się z rodziną do neutralnej Szwajcarii, ale jego matka, która już nigdy nie była sobą po śmierci Larsa, przybita, pogrążona w smutku i podupadająca na zdrowiu, niebawem poszła w ślady ukochanego pierworodnego syna. Zmarła, zanim dotarli do granicy. Potem stracił Nadie. Będąc w ciąży z ich pierwszym dzieckiem, nie była w stanie znieść trudów podróży przez pogrążoną w wojnie Europę. Nadia, wątła i słaba, zmarła

podczas porodu. Dziecko także nie przeżyło.

Na wszystkich świętych, jakże on się starał! Próbował o niej zapomnieć; wyrzeć ją ze swego życia, jak usuwa się chory narząd, który już tylko sprawia ból! Próbował wieść normalne życie: uszczęśliwiać żonę i z nadzieją czekać na dziecko! Jakże on się starał! Kiedy jednak przeszłość rozwiązała się jak zły sen, kiedy zniknęły zobowiązania wobec rodziny, zdał sobie sprawę, że nie zdołał jej się pozbyć. Była tylko związana i zakneblowana w jakimś zakamarku jego uśpionego serca, ale cały czas obecna; w każdym jego ruchu, w każdym słowie, w każdym spojrzeniu, na jawie i we śnie, w każdym geście i mrugnięciu powieki, w każdym westchnieniu, w każdej myśli, w każdym uderzeniu serca... zawsze, jak przewlekły ból, z którym nauczył się żyć.

Kiedy zawalił się jego domek z kart, ból znowu stał się dojmujący, nieznośny. Znowu krzyczał z rozpacz. Ona znowu stała się jego obsesją, obłędem i bezsennością. Znowu stała się jedynym sensem jego życia, jedyną wartością. Nigdy nie przestała nią być. Tak naprawdę tylko z jej powodu starał się przeżyć. A ponieważ nie mogło być inaczej, tylko w jej stronę kierował swoje życie.

Minęły cztery długie lata pełnych wyrzeczeń poszukiwań; cztery lata, podczas których obijał się od kraju do kraju, omijając wojnę, krążąc po popiołach Europy zniszczonej krwawym konfliktem, wykorzystując swoje wpływy i kontakty, żeby ją odnaleźć... Cztery lata,

które właśnie dobiegły końca.

W korytarzu prowadzącym na werandę rozległy się charakterystyczne kroki córki. Pojawiła się w drzwiach, w białym fartuszk, który Daria z wielką miłością jej krochmaliła, jedna kolanówka podciągnięta, druga opuszczona, potargane loki i policzki zarumienione od zabawy.

Dziewczynka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale jej uwagę nagle zwrócił nieznajomy pan, który był z matką. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, po czym uśmiechnęła się do niego i w końcu powiedziała dźwięcznym głosem:

– Mam już cztery lata. – Wyciągnięte cztery palce potwierdzały tę informację. – A on ma dopiero miesiąc – dodała, patrząc na pieska, którego z trudem trzymała na ręku. – Ma na imię Blas. – Znowu spojrzała na Karla ciekawskimi oczkami, pochylając głowę, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć. – Chce go pan pogłaskać? – Podała mu szczeniaka. – Tylko bardzo ostrożnie, bo jest jeszcze malutki.

Karel się uśmiechał, kiedy przesunął ręką po miękkim grzbiecie.

– Wiesz? – zwrócił się do dziewczynki. – Ja też miałem pieska bardzo podobnego do tego. Też miał długie uszy i nazywał się Bach.

Usłyszawszy jego niski, aksamitny głos, Isabel, która ze szczytu schodów przyglądała się tej scenie, zadrżała.

Malutka uśmiechnęła się półgębkiem i, z psem w

ramionach, popędziła korytarzem. Po chwili jednak znowu wściubiła nosek do pokoju.

– Mamo...

– Słucham, kochanie.

– Daria pyta, ile widelców ma położyć na stole.

– Powiedz jej, że cztery.

– Dobrze.

I pognąła przed siebie, a echo jej kroków rozbrzmiało w całym domu.

– Ja... Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę. Nie przyszedłem w dobrym momencie...

Karel miał poważną minę. Jego głos zdradzał zmieszanie. Po tylu latach... Powinien był się domyślić, że ona na niego nie czeka.

– Kolacja zaraz będzie gotowa. Przejdźmy do jadalni. Mam ci tak wiele do opowiedzenia – mówiła Isabel, schodząc po schodach. Nie musiała się zastanawiać, jak ma się zachować, gdy znajdzie się przy nim. Jego ramię było jej schronieniem, jej siłą i radością. Ech, ty głuptasie – wyszeptała z twarzą w zagłębieniu jego szyi. – Nie zauważyłeś? Mała ma twoje oczy. – Poczwała, że Karel zadrżał. – Witaj w domu, kochany.

Przypisy

1 Wszystkie cytaty z *Bhagawadgity* w tłumaczeniu Krystyny Bocek, Vaduz, Warszawa 1990.

2 *Cola loca* to po hiszpańsku „zwariowany ogon”, gra słów nieprzetłumaczalna na język polski (przyp. tłum.).

3 Mimo że terminy, takie jak proton, neutron czy izotop, w 1914 roku jeszcze nie istniały, pozwoliłam sobie je włożyć w usta profesorów Rutherforda i Bohra, aby wyjaśnienia stały się bardziej przejrzyste (przypis autorki).

CARLA MONTERO, hiszpańska pisarka, jest absolwentką prawa i zarządzania w biznesie, jednak od zawsze uwielbiała pisać. Za swoją pierwszą bestsellerową powieść, *Wiedeńska gra*, otrzymała nagrodę Círcule de Lectores. *Szmaragdowa Tablica* jest jej drugą powieścią, która również stała się bestsellerem.